



# Buchanan Edna Zdrada

---

Tytuł oryginału ACT OF BETRAYAL



TLR

*Dla Renée Turolli, Davida M. Thornburgha  
i Peggy Thornburgh Żaden pisarz nie ma lepszych przyjaciół*

TLR

Wtem powiał szalony wicher z pustyni, poruszył czterema węgłami domu, zwałił go na dzieci, tak iż poumieraly. Ja sam uszedłem, by ci o tym donieść.

**Księga Hioba 1,19**

# Rozdział pierwszy

---

Miła, łagodna starsza pani zmarła natychmiast. Dostała salwę prosto w twarz, kiedy otworzyła piecyk gazowy, by sprawdzić, co to za wybuchy w środku. Zabierała się właśnie do pieczenia ciasteczek dla ulubionego wnuczka i nie miała pojęcia, że schował tam amunicję.

Jej wypadek niewiele tylko był groźniejszy od tego z grillem, który zdarzył się na początku tygodnia. Elektryczna pułapka na owady połknęła komara i w momencie, kiedy wyparowywał w nicość, powstała iskra, która spowodowała wybuch gazu w ogrodowym grillu. Jeszcze nie skończyłam rozmawiać z ocalałymi członkami rodziny, kiedy zapiszczał mój pager i otrzymałam polecenie, aby udać się do jednej z leżących od strony oceanu dzielnic Miami Beach. Fale wyrzuciły na brzeg niedbale skleconą tratwę z sześcioma uciekinierami z Kuby. Przy życiu pozostał jeden pasażer — spalona słońcem, odwodniona sześciolatnia dziewczynka.

Kilka godzin później na jednym z przewężeń międzystanowej numer jeden przewróciła się i przeturlała kilka razy przez dach przeładowana furgonetka. Tak jak trzy poprzednie, które poszły na złom w ciągu minionego miesiąca, i ta wiozła haitańskich robotników do któregoś z portów na jednej z północnych wysp łańcucha Florida Keys. Żadna z furgonetek nie była ubezpieczona, żadna nie miała ani jednej porządnej opony. Ofiary wypadku płacili po dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo za wożenie do opłacanej według minimalnych stawek pracy w restauracjach i hotelach. Spędziłam wiele godzin z tymi, którzy przeżyli, i ich najbliższymi, wystarczająco długo, abym przesiąkła wciskającym się wszędzie odorem zielonego *cachimon* i werbeny, głównymi składnikami „herbatki uspokajającej”, jaką Haitańczycy stosują, aby ukoić żal.

Wstrząśnięta, uciekłam od tych przeżyć. Aby trochę odetchnąć, poszłam poszpendać się po mojej ulubionej galerii. Jest tam cicho i chłodno, a niedawno otwarto nową wystawę. W niewielkim, przypominającym kryptę pomieszczeniu stała w cieniu potężna, samotna figura. Gardło ścisnęła jej pętla z grubej żeglarskiej liny. Kiedy weszłam do środka, moje obcasy zastukały o betonową posadzkę. Na ścianach sali wisiały prymitywne rysunki łodzi i samolocików oraz ciemne zwierzęce rogi. Sceneria zdawała się ciasno otaczać widza; miało się wrażenie, że to więzienie. Nagle wydało mi się, że powietrze gęstnieje i zaczyna się wokół mnie zaciskać. W nagłym ataku klaustrofobii uciekłam na plac pełen słońca, gdzie wesoło kwitły różowe rozkoszniki i skromne hibiskusy, a w górze sunęły puszyste obłoki.

Wygrzebałam z torby owiniętą w papier *empanada* z ulicznej budki i usiadłam w zacienionym kąciku tuż obok galerii na wolnym powietrzu. Pogryzałam lunch, patrząc raz za razem na najbardziej cudaczny eksponat — olbrzymiego bałwana ze smoły, wypacającego w sierpniowym upale Miami ciemne łyzy. Do dziś szaleje dyskusja nad tą rzeźbą. Jedni krytycy twierdzą, że białe oznacza dobro, a czarne zło, inni, że jest ona symbolem naszego rasizmu i stronniczości. Mnie po prostu podoba się absurdalność skwierczącego w upale bałwana ze smoły.

Przeciągnęłam się, czując rozluźniające się mięśnie pleców i karku. Chłonełam całą sobą słońce i piękne otoczenie. Uroczy, jakby przeniesiony znad Morza Śródziemnego plac z łukami i portykami otaczały obramowania z misternie kutego żelaza. Wokół placu — niczym strażnicy ze szkła i nierdzewnej stali — wznoszą się wieżowce centrum. Moje rozleniwione myśli powróciły do rzeźby mężczyzny z pętlą na szyi. Katalog wystawy informował, że jest to dzieło kubańskiego emigranta, urodzonego na wyspie za panowania Castro.

Najwyższy czas wracać do pracy. Niechętnie zgmiotłam zatłuszczony papier i wstałam. Kiedy szłam w kierunku kosza na śmieci, zatrzęsła się ziemia. Zadygotały ściany, a fala dźwiękowa zagrzechotała oknami. Przez ułamek sekundy zdawało mi się, że ktoś wreszcie odpalił historyczną hiszpańską armatę sprzed muzeum historycznego. Gdzieś zawył pies. Spojrzałam w górę, w nieskazitelnie błękitne niebo i wraz z uczuciem coraz większego przerażenia docierało do mnie, co się stało.

Kilka metrów dalej wisiał na ścianie automat. Starając się jak najszybciej wygrzebać z kieszeni nieodzowną awaryjną ćwierćdolarówkę, zaczęłam wystukiwać numer dyspozytora straży pożarnej.

—Cześć. Tu Britt Monterò z „Miami News”. Jestem w centrum. Gdzie wybuchła bomba?

—Bomba?

—Zgadza się. Właśnie słyszałam eksplozję. — Niecierpliwie podrygując, obserwowałam wjazd do podziemnego garażu. Czy miejsce wybuchu znajdowało się na tyle blisko, by można było dotrzeć tam na piechotę? Może to szybszy i lepszy sposób od jazdy samochodem?

—Dlaczego pani sądzi, że to bomba? — Dyspozytorka mówiła powoli, ton jej głosu wyrażał sceptycyzm.

—Jesteśmy w Miami! — niemal warknęłam. — Pracuję wystarczająco długo w dziale policyjnym, by nie mieć wątpliwości co do tego.

—Gdzie doszło do wybuchu?

—Właśnie tego chcę się dowiedzieć. — Wraz z lunchem zaczęła mi podchodzić do gardła złość, nie miałam jednak innego wyboru, jak ścisnąć kurczowo słuchawkę i omiatać wzrokiem panoramę wieżowców. W końcu zauważyłam wirującą strużkę czarnego dymu.

Dyspozytorka nagle spoważniała.

—Nie wiem, co się stało, ale budzą się moje telefony alarmowe. Niech pani czeka.

Nie odzywała się tak długo, że mało brakowało, a odwiesiłabym słuchawkę.

—Nie mam dokładnego miejsca, ale ludzie dzwonią, że to w okolicy skrzyżowania Druhej Północnozachodniej Alei i Flagler Street. Podobno samochód — dodała dyspozytorka. — Muszę kończyć, zaczyna się piekło.

Odwiesiłam słuchawkę i ruszyłam biegiem. Zbiegając schodami z podwyższonego placu przed Centrum Sztuk Pięknych, zauważyłam pierwszych przechodniów z otwartymi ustami, wpatrujących się w słup dymu. Miejsce wypadku znajdowało się dwie przecznice dalej. Uświadomiłam sobie, dokąd biegnę, dopiero wtedy, kiedy zobaczyłam budynek stacji telewizyjnej WTOP. Załomotało mi serce. Cholera. Ich ekipa na pewno będzie pierwsza na miejscu. Potem przeleciała mi przez głowę myśl, że celem zamachu może być sama stacja, zajmująca trzecie miejsce w mieście w rankingu aktualności i jakości nadawanych informacji. Dym wznosił się zza budynku.

Ruch był zablokowany. Wyły syreny. Biegali ludzie.

Kiedy złapałam oddech, poczułam znajomą atmosferę pełnego przerażenia oczekiwania i w ułamku sekundy przemknęło mi przez myśl tysiąc możliwości. Mieliśmy już bomby wybuchające pod nogami działaczy związkowych, właścicieli nocnych klubów, handlarzy narkotyków, pracujących na dwie strony informatorów, świadków FBI, latynoskich aktywistów politycznych i niewinnych ludzi, których wzięto za kogo innego.

Zamachowcy podkładali u nas bomby w komendzie głównej policji, biurze prokuratora okręgowego, Pałacu Sprawiedliwości, Latynoskiej Izbie Handlowej, salonach piękności, salach do gry w bingo, w łodziach, pociągach i samolotach, także na pocztach, w budynkach należących do FBI i firm ubezpieczeniowych. Czasami ofiarami stawali się sami potencjalni zamachowcy. Po pewnym konstruktorze bomby, który popełnił błąd, pozostał jedynie członek. Wkładano materiały wybuchowe do podejrzanie wyglądających paczek i telewizorów pułapek, zawijano je w hiszpańskojęzyczne gazety. Przed niejednym konsulatem wzleciał w niebo samochód.

Całkiem niedawno odkryto bombę na sali operacyjnej przyczepioną do pleców ofiary strzelaniny. Znaleziony na ulicy osobnik miał przy sobie trzydzieści paczek kokainy i dwa tysiące dolarów, a w ciele pełno ran postrzałowych. Kiedy przenoszono go z noszy na stół

operacyjny, zauważono, że we wgłębieniu na dole pleców ma przymocowaną laskę dynamitu i jakieś druty. Gdyby jedna z kul trafiła go dwa centymetry niżej, dynamit by wybuchł.

Ewakuowano szpital i oddział saperów zabrał się za unieszkodliwienie bomby, równocześnie chirurdzy próbowali ratować życie ofiary. Facet zmarł mimo ich wysiłków. Byłam przy tym obecna. Chciałam poznać jego historię, ale zabrał ją ze sobą do grobu.

W Miami było już wszystko: bomby w listach, bomby w kawałkach rur, granaty ręczne, granatniki przeciwpancerne, wyrzutnie rakiet, bomby ze zdalnym sterowaniem i bomby zegarowe. Nienawidzę nieprzewidywalności bomb, bezosobowości sianego przez nich zniszczenia. Bomby nie mają oczu. Nie mają duszy. Rozrywają na kawałki, oślepiają, zabierają życie zarówno tych, których miały zlikwidować, jak i niewinnych przechodniów. Policji płaci się za kontakt z niebezpieczeństwem, ale przypadkowym ludziom wchodzącym do publicznego budynku — nie.

Dziennikarze bywają obiektami gróźb i zastraszzeń, ale jeszcze nigdy celem zamachu bombowego nie był u nas żaden reporter ani żadna stacja telewizyjna. Poczulałam zaciskającą mi się wokół klatki piersiowej stalową obręcz. Ludzie z WTOP-TV to konkurencja — czasem bardziej przyjazna, czasem mniej — ale to koledzy po fachu i wielu z nich znam osobiście.

Zdyszana, wybiegłam z za rogu na parking stacji.

Wokół leżały szczątki, centrum wybuchu stanowił jednak nowiutki czerwony ford mustang. Stał na oponach bez powietrza, z których leciał dym. Otaczające go samochody miały powybijane okna i masę wgnieceń. Alarmy wyły chórem, jakby na znak żałoby. Bomba wyrwała spod samochodu kawał betonu. Z budynku wybiegali przerażeni pracownicy stacji.

Kinowa pirotechnika, powodująca że samochody wybuchają w gigantycznych kulach ognia, a ich resztki są natychmiast pożerane przez szalejący żywioł, to fikcja. W rzeczywistości pierwsza eksplozja płomieni i fala uderzeniowa znikają niemal natychmiast, a kiedy z przewodów wypłyną benzyna i oleje, pojawia się stosunkowo spokojny ogień. Mustang nie miał szyb, maska — pozwijany kawał blachy — leżała na daszku przybudówki.

Zdawało mi się, że rozpoznaję eleganckiego przed chwilą forda z poczerniałą nalepką PRASA za przednią szybą.

Wśród szczątków stała starsza, kompletnie oszołomiona kobieta. Wyglądała na pracownicę stacji.

— Czy to samochód Alexa Acuirre'a? — spytałam.

— Miał jechać do domu na lunch... — powiedziała splatając nerwowo dłonie. Były poparzone, ale chyba tego nie czuła. — Jeździ codziennie na lunch do domu.

Bezlitośnie prażące sierpniowe powietrze tarło mi niemal skórę. Było jak ognisty oddech dzikiej bestii.

—Próbowałam otworzyć drzwi — powiedziała monotonnym, pozbawionym wyrazu głosem — ale są za gorące...

—Jest ciągle w środku?

—Tylko na mnie popatrzyl...

Mógł jeszcze żyć. Z walącym sercem ruszyłam na sztywnych nogach do samochodu. Odsunęłam stopą kawałki metalu, mimo chrzęstu szkła pod butem zrobiłam jeszcze dwa kroki — i natychmiast pożałowałam swojej decyzji.

Bryła na przednim siedzeniu niczym nie przypominała zawadiackiego, nieustraszonego i gadatliwego komentatora, niskiego, mocno zbudowanego Latynosa, który od kolorowych błyszczących guayaber wołał jaskrawe ekstrawaganckie garnitury i zawsze przed pojawieniem się na wizji skrupulatnie czesał czarne włosy.

Całe ubranie dymiło się, był strasznie spalony. Głowę odrzucił daleko do tyłu, jakby walczył o ostatni, najcenniejszy łyk powietrza. Brakowało lewej ręki. Wybuch owinął mu prawą nogę wokół szyi.

Kolana miałam jak z gumy. Łykałam łapczywie powietrze, aby uspokoić żołądek i za-trzymać lunch. Odwróciłam się, niemal mdlejąc od zawieszistej, ostrej mieszanki zapachów płynu hamulcowego, benzyny, oleju oraz — zawsze rozpoznawalnego — odoru palonego ludzkiego ciała. Przypomniały mi się zdjęcia uśmiechniętych dzieciaków, które Alex pokazywał mi z dumą, kiedy widzieliśmy się ostatni raz na konferencji prasowej.

Chciałam odpędzić rosnący tłum gapiów, nie dopuścić, by zobaczyli widok, którego nigdy nie zapomnę. Wiem, że martwi nie mają prawa do prywatności, ale nie chciałam, by oglądali go gapie. Nie teraz. Nie w ten sposób.

Moja obawa była zbyt duża. Zjawili się strażacy i zaczęli polewać samochód pianą. Jak zwykle — w stadzie — zjawili się policjanci i detektywi z Wydziału Zabójstw. Gliniarze zaczęli wypychać wszystkich z parkingu, na drugą stronę ulicy, prawie do następnej przecznicy i zamykali teren. Saperzy w brązowych drelichowych spodniach i koszulach kłócili się hałaśliwie ze strażakami, oskarżając ich o to, że zmyli wszelkie dowody.

Zjawili się kolejni przedstawiciele prasy. Zauważyłam moją przyjaciółkę Lottie Dane i jeszcze jednego fotografa z „News” — Villanueve. Trudno nie zauważyć ognistorudych włosów Lottie, jej obcisłych dżinsów i aparatu. Ma ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, ale Villanueva ze swoimi ponad metr osiemdziesięcioma górował nad nią niemal o pół głowy. Przechodzili się przez tłum, oboje mieli ponure miny.



— Czy to ta osoba, co myślę? — spytała Lottie z teksaskim akcentem.

— Alex... — szepnęłam.

— Spalony? Kiwnęłam głową.

— Ten kędzierzawy krytyk? — spytał Villanueva.

Nie odpowiedziałam. Pokręcił głową i zaczął strzelać zdjęcie za zdjęciem swoim nikonem z trzystumilimetrowym obiektywem.

Do krawężnika z piskiem podjechał wóz transmisyjny stacji WTOP. Byli ostatni. Zaskoczona kompletnie ekipa rzuciła się, aby robić zdjęcia z bliska, natychmiast jednak została zatrzymana przez policję. Wyglądało na to, że w momencie wybuchu wszyscy reporterzy WTOP byli na miejscu. W panice, jaka po nim nastąpiła, odpowiedzialny za dział wiadomości redaktor zbyt późno ściągnął ekipę, by zajęła się sensacją dnia, która wydarzyła się na ich własnym parkingu.

Ewakuowano stację i saperzy zaczęli szukać drugiej bomby. Jest to standardowa procedura, choć na szczęście jeszcze nigdy się nie zdarzyło, aby druga bomba wybuchła zaraz po tym, jak wybuch pierwszej przyciągnął tłum. Sama myśl o czymś takim powodowała pojawienie się na mojej rozżarzonej skórze gęsiej skórki. Czekaając, obserwowałam saperów, przeczesujących uważnie parking, przeszukujących podwozia i wnętrza samochodów.

— Jeszcze za wcześnie, by cokolwiek powiedzieć — stwierdził porucznik brygady saperkiej Dave Yates, kiedy zapytałam, jakiego materiału wybuchowego użyto. — Dopiero zaczęliśmy. Musimy zbadać resztki metalu, sprawdzić, jak wyglądają brzegi rozerwanych płytów. Mocniejsze materiały wybuchowe, jak na przykład C-4, powodują proste, równe przecięcia. Proch strzelniczy skręca blachę i sprawia, że przerwane brzegi są sfalowane. — Popatrzył na mnie i zadał pytanie: — Czy ten facet był osobą bardzo kontrowersyjną?

Wyglądało na to, że Yates nie spędza zbyt wiele czasu przed telewizorem.

— Robił mnóstwo hałasu w społeczności kubańskiej, lubił naigrawać się z nadętego establishmentu zapalczywymi komentarzami, ale nie sądzę, by ktokolwiek brał go poważnie.

— Tak jest — potwierdziła moją opinię Lottie, która przerwała fotografowanie i podeszła do nas. — Miał wielki kapelusz, ale nie nosił broni.

WTOP, angielskojęzyczna stacja, w celu poprawy oglądalności przez członków społeczności latynoskiej, podkupiła Aquirre'a hiszpańskojęzycznej konkurencji i zleciła mu prowadzenie trzy razy w tygodniu programu komentującego aktualne wydarzenia polityczne oraz dorywcze robienie reportaży dotyczących problemów Latynosów.

— Czy w ostatnim czasie miał z kimś szczególnie na pieńku? — spytał Yates.

—Ba! — odparłam. — Z Fidelem Castro, prezydentem, naszym burmistrzem, radnymi, Juanem Carlosem Reyesem, „Miami News”, mafią, CIA. Alex jest... — westchnęłam i poprawiłam się: — ...był jak giez, jak Don Kichot. Uwielbiał walczyć z wiatrakami. Patriotycznie nastawiony, nienawidził Castro i komunizmu, kochał Kubę, kochał Amerykę i polemizował dla samej polemiki. Atakował każdego, kto nie podzielał jego poglądów politycznych, i grał rolę adwokata diabła wobec wszystkich, którzy je podzieliali.

Wymieniona przeze mnie lista potencjalnych podejrzanych o spowodowanie śmierci Alexa nie była Yatesowi w smak. Gliniarze zawsze się spodziewają, że rozwiązanie będzie proste. Zwykle mają rację. Wyraźnie się skupił i zaczął się uważniej przyglądać, kiedy jego ludzie badali wyrwany pod mustangiem krater w betonie.

—Myśli pan, że właśnie tam umieszczono bombę? Skinął głową.

—Wygląda na to, że brakuje sporej części silnika, kawałka skrzyni biegów i fragmentów przegrody przeciwpożarowej.

—Sądzi pan, że bomba była zdalnie sterowana? Że ktoś zobaczył, jak wsiada do samochodu, i w tym momencie nacisnął guzik? — Zmrużyłam oczy i popatrzyłam pod słońce na zebrany tłumek, szukając ewentualnego sprawcy.

—Jeszcze za wcześnie, by cokolwiek wiedzieć — powiedział z irytacją. — Sposób, w jaki powyginany jest metal, i rodzaj uszkodzeń, jakich doznała podłoga, dostarczają nam pewnych wskazówek. Bomba mogła zostać szybko przymocowana za pomocą ścisków i magnesów do podwozia, podpięta krokodylkami do rozrusznika albo zapłonu, może do przewodu zapłonowego. Mogła też mieć wyzwalacz czasowy.

—Podobno codziennie jeździł do domu na lunch — poinformowałam. — Nie wiem, czy o tej samej porze. Co planujecie dalej? — spytałam robiąc notatki.

—Przeczyszemy parking, zbierzemy co się da, potem pogłębimy dziurę pod samochodem, zapakujemy towar do worków i będziemy wszystko starannie badać w laboratorium. Prawdopodobnie weźmiemy trochę szczątków do sklepu z częściami fordą, by ustalić, co pochodzi z samochodu, a co z bomby.

—Niech pan spojrzy... — szepnęłam. Powiódł wzrokiem, gdzie wskazałam. Coś zwisało nad naszymi głowami z gałęzi figowca. — Co to?

Uważnie się przyjrzał znad okularów słonecznych.

—Cholera... Wygląda mi na wycieraczkę. — Zawołał mundurowego. — Odsuńcie tłum, z prasą włącznie, przynajmniej o przecznice. Mamy tu dowody rzeczowe.

—Dzięki, Britt... — wymamrotali zezłoszczeni na mnie pozostali dziennikarze, kiedy policjanci zaczęli otaczać żółtą taśmą znacznie rozleglejszy teren.

Ekipa WTOP kłóciła się hałaśliwie, ale bez efektu, z policjantami, którzy nie uważali, żeby należały im się specjalne prawa, chociaż ofiarą zamachu był ich kolega. Saperzy podzielili parking na niewielkie prostokąty, przeczesując jeden po drugim. Detektywi z Wydziału Zabójstw rozeszli się w poszukiwaniu świadków. Dziennikarze darli się jeden przez drugiego.

—Czy było to nowoczesne, skomplikowane techniczne urządzenie? — żądał odpowiedzi dziennikarz radiowy, wymachując Yatesowi mikrofonem przed nosem.

—Jeszcze za wcześnie, by cokolwiek wiedzieć — powtórzył policjant. — Aby skonstruować bombę, nie trzeba specjalisty budowy rakiet kosmicznych, trzeba tylko być ostrożnym. Jeszcze czas na jakiegokolwiek spekulacje. Dopiero zaczęliśmy pracę.

—Czy bomba zawierała silny materiał wybuchowy? — spytał dziennikarz telewizyjny. .

—Co jest uważane za silny materiał wybuchowy? — zapytał ktoś inny.

—C-4, TNT, Flex-X — cierpliwie wyjaśnił Yates, nie przejęty tym, że wokół niego ciśnie się coraz więcej dziennikarzy, wyciągających ręce jak mewy szyje do pokarmu. — W odróżnieniu od materiałów wybuchowych niższego stopnia, takich jak dynamit czy proch strzelniczy. Nie przypominałam sobie, bym czuła tu proch strzelniczy.

—Niech to dunder... — mruknęła Lottie. — Wszyscy chcą wiedzieć, czy w bombie był silny materiał wybuchowy, czy była skomplikowanej budowy czy nie... Mocno wybuchowa, słabo wybuchowa, skomplikowana czy nie, przecież to nieistotne jak zabiła. Trup to trup.

—Chciałem coś przekazać — oznajmił w tym momencie sierżant Danny Menendez, rzecznik prasowy policji, który zjawił się z notesem w dłoni. Przyciągnięta jak magnesem do nowego źródła informacji, fala dziennikarzy odwróciła się od Yatesa i odpłynęła. Wyraźnie mu ulżyło. Nadętym żargonem Menendez oznajmił, że detektywi z Wydziału Zabójstw „skonstatowali”, iż „ofiara” w ciągu ostatnich kilku miesięcy była celem licznych pogróżek, mających prawdopodobnie związek z jej audycjami na temat imigracji, wolnego handlu z Kubą i innych kontrowersyjnych tematów. Z tego powodu policja zorganizowała ochronę jego domu. Oficjalne ujawnienie nazwiska zabitego mogło nastąpić dopiero po formalnej identyfikacji i zawiadomieniu najbliższej rodziny, ale każdy dziennikarz wiedział, o kogo chodzi. Według Menendeza ofiara po wejściu do mustanga pomachała pracownicy stacji, sekretarce (z którą rozmawiałam), zamknęła drzwi, przekręciła kluczyk i w tym momencie samochód wybuchł. Przerazona kobieta i inni świadkowie ujrzeni eksplozję płomieni i czarnego gęstego dymu. Maskę samochodu została wyrzucona trzydzieści metrów w powietrze i spadła na daszek przybudówki.

Wysłałam z tłumu i poszłam za Yatesem, by zadać mu ostatnie pytanie.

—Sądzi pan, że to odosobniony incydent czy początek serii? Ostatnia fala zamachów bombowych zakończyła się ledwie półtora roku temu.

—Skąd mam wiedzieć? — odparł zmęczony już dziennikarzami, ze mną włącznie. — Mam nadzieję, że więcej nie będzie. Niczego nam mniej nie brakuje jak kolejnych zamachów bombowych, niestety po każdym wybuchu wychodzą na światło dzienne wszelkiego rodzaju świry, ludzie, którzy w mrocznych zakamarkach umysłu zawsze odczuwały potrzebę takich zabaw.

Niemal każda organizacja i osobistość kubańskiej sceny emigracyjnej poczuły kiedyś żądło komentarza Alexa, miałam jednak nadzieję, że z jego śmiercią nie są związani emigracyjni politycy. Nie cierpię ludzi, którzy uważają, że najlepszym sposobem na wyzwolenie Kuby jest wysadzenie w powietrze południowej Florydy. Ich motywy działania są oczywiste — tak jest bezpieczniej. Mój ojciec najprawdopodobniej żyłby do dziś, gdyby prowadził walkę z reżimem Castro na Flagler Street, a nie w górach Sierra Maestra na Kubie.

Na odgrodzonym terenie zrobiło się poruszenie. Jeden z saperów znalazł coś na tylnym siedzeniu samochodu z powybijanymi szybami, który stał trzy rzędy za mustangiem. Była to prawa ręka Alexa. Jeżeli rzuciło ją tak daleko, musiała być w momencie wybuchu bardzo blisko bomby.

Po powrocie do redakcji usiadłam za biurkiem i zaczęłam przeglądać teczkę, którą trzymam w górnej szufladzie. Mające siedzibę w Miami grupy terrorystyczne często zabawiają się, wydając „oficjalne komunikaty”, w których skazują swych wrogów na karę śmierci i ogłaszają ich nazwiska środkom masowego przekazu. Czasami zdarza się, że ktoś z ich „list śmierci” zostaje ranny lub ginie. Nazwisko Alexa nie pojawiała się wśród wyroków. Zaczęłam obdzwaniać przywódców kubańskich grup emigracyjnych oraz polityków z prośbą o komentarz.

—Odważny człowiek — stwierdził burmistrz. — Męczennik. Zadzwoiłam do Juana Callosa Reyesa, lidera *Grupo para la Libertad de*

*Cuba*, który sam nieraz był celem zamachów. Jest on weteranem Brygady 2506, oddziału, który w 1961 roku wylądował w Zatoce Świń i, choć teraz zajmuje się wielkim biznesem, ciągle jeszcze stanowi ogromną zakulisową siłę polityczną. Zanim mnie z nim połączono, musiałam przebić się przez telefonistkę, a następnie sekretarkę.

—Będzie brakować jego głosu — stwierdził Reyes. — Nie zawsze zgadzałem się z Alexem, ale to właśnie różnorodność opinii czyni ten kraj wielkim.

—Bojownik, który zginął za to, w co wierzył! — wykrzyknął Jorge Bravo. — Kolejny męczennik, zamordowany przez płatnych zabójców za walkę o wyrwanie Kuby z uścisku tyrana!

Bravo, starzejący się bojownik o wolność, nigdy nie przestał organizować tajnych misji na rzecz wyzwolenia swej ojczyzny. Ostatnio walczy nie tylko z Castro, ale także z FBI. Agenci praktycznie bez przerwy pracują nad oskarżeniem go o łamanie Ustawy o Neutralności, zabraniającej organizowania z terenu USA akcji wojskowych przeciwko krajom nie znajdującym się w stanie wojny ze Stanami Zjednoczonymi.

Resztki wysadzonego mustanga gliniarze zabrali ciężarówką do Ośrodka medycyny sądowej, gdzie będzie można usunąć szczątki Alexa i zbadać samochód w klimatyzowanej, dobrze oświetlonej hali, bez wścibskich oczu, tłumu i kamer. Odjeżdżając, stwierdzili, że zamachowiec najprawdopodobniej zamontował śmiertelne narzędzie pod maską samochodu już na parkingu. Jeżeli mieli rację, musiał zrobić to w biały dzień, ale jak na razie nie zgłosił się nikt, kto by zauważył coś podejrzanego.

Tuż przed zachodem słońca musiałam pognać na południe do Dinner Keyij gdzie straż pożarna walczyła z pożarem, który zniszczył do poziomu wody przeszło dziesięciometrowy kuter rybacki. Nim skończyłam pisać artykuł na ten temat, zdążyło się już zrobić dość późno, ale byłam jeszcze umówiona z Lottie na drinka i przekąskę w South Pointę Seafood House. Apetyt przeszedł mi rano na parkingu, na widok Alexa Aguirre'a, i byłam wykończona po całym dniu, ale Lottie zawsze mi pomaga, kiedy tego potrzebuję, więc nie wypadało jej zostawić.

Jej kłopoty nie były tak zatrwajające, jak czasami bywają moje. Jak zwykle, dotyczyły mężczyzny, czy raczej jego braku.

Czekała za Seafood House, na jednej ze skał z widokiem na wody Government Cut. Potrząsała w dłoni kieliszkiem z lodowatą margaritą, napis na jej bawełnianej podkoszulce oznajmiał dumnie: SOUTH BEACH — TU KOBIETY SĄ SILNE, A MĘŻCZYŹNI ŁADNI.

—Co ze Stoshem, Polskim Księciem? — zapytałam podchodząc. Stosh Górski jest adwokatem, którego spotkała w sądzie robiąc zdjęcia

podczas głośnego procesu o morderstwo. Jego klient został oskarżony o śmiertelne pobicie żony i teściowej zakończonym kulką młotkiem do metaloplastyki. Ława przysięgłych nie uwierzyła wyjaśnieniom oskarżonego, podejrzewam też, że obrona adwokata też nie była zbyt przekonująca.

Lottie, rozwiedziona i bezdzietna, marzy o tym, aby założyć rodzinę. W swej karierze zdobyła mnóstwo nagród, zjawiała się we wszystkich punktach zapalnych na świecie i

uwieczniała historię na żywo. Wyszła cało z niezliczonych bombardowań, strzelaniny, odrzuciła też niejedną propozycję lubieżnych dyktatorów.

Teraz chciałyby się ustatkować i pobawić w prowadzenie domu, ale Polski Książę ma problemy z przyjęciem na siebie jakichkolwiek zobowiązań, a nawet ze zjawianiem na umówione spotkania.

—Nie dzwonił od zeszłego piątku — stwierdziła markotnie.

W oddali, otoczone czarnymi jak noc wodami przesmyku, sunęły na wschód, ku prądowi Gofsztromu i nieznanym portom, światła frachtowca.

—Kiedy rozmawialiśmy ostatni raz, powiedział, że właśnie zrywa z kimś, z kim chodził, zanim się poznaliśmy. Dodał jednak, że bez trudu powinien się jej pozbyć.

—To dobrze.

Popijała margaritę i z morderczym błyskiem w oku przyglądała mi się znad brzegu kieliszka.

—Tak się jej pozbył, że spędzili weekend na Sugarloaf Key.

—To źle. Jesteś pewna? Kiwnęła głową i wstała.

—Nie było go w domu całą sobotę, tak samo w nocy z soboty na niedzielę, zadzwoniłam więc do jego domu weekendowego — wyjaśniała, kiedy szłyśmy do restauracji i siadałyśmy przy niewielkim dwuosobowym stoliku. — Odebrała kobieta, więc odłożyłam słuchawkę.

—Och, Lottie... Tak mi przykro. Może to była sprzątaczką? Wbiła we mnie wzrok.

—Słyszałam w tle Julio Iglesiasa. Dla Stosha to muzyka jedynie dla kochanków. Tę samą płytę grał podczas naszej wielkiej nocy... tak a propos, była oszałamiająca... — westchnęła z rozmarzeniem.

—Lepiej wcześniej wiedzieć, że nie można mu ufać.

Przerwał nam kelner. Lottie zamówiła kolejną margaritę, ja kieliszek wina.

—Wiem... — westchnęła. — Masz rację, ale on tak ładuje mi akumulator...

—Od początku wiedziałas, że ma reputację kobieciarza.

—Tak, ale tacy jak on czasami spotykają odpowiednią kobietę i porządnieją. Popatrz na Hugh'a Hefnera. — W oczach Lottie migotała ogromna nadzieja.

—Fakt, to się zdarza, ale zwykle kiedy przekroczą sześćdziesiątkę i są po zawale.

Lottie łapczywie chwyciła drinka z tacy kelnera, który właśnie podszedł, wzięła duży łyk, przełknęła alkohol i zmieniła temat.

—Cholerna szkoda biednego Alexa. Nie ma nic gorszego od bomb, są nawet paskudniejsze od węzów w śmieciach. Mam nadzieję, że nie zaczniesz się znów kubańska rozróżba. Wczoraj miałam okropny sen. Obudziłam się rano i każdy mężczyzna w Miami miał na imię Raul.

—To nie był sen. — Powiedziałam stanowczo. — Taka jest prawda. Roześmiała się jak dawna, odprężona Lottie.

—Masz jakieś wiadomości od McDonalda?

—Dwa dni temu dostałam list z Louisville. — Przerwałam na chwilę, by napić się wina. — Nic, od czego dostałabyś dreszczy. Mam wrażenie, że boi się pisać o konkretach.

Mój najważniejszy mężczyzna, porucznik z Wydziału Zabójstw z Miami, Rendali McDonald, pojechał na cztery miesiące do Południowego Instytutu Policyjnego kontynuować swą edukację, co dla kogoś z jego ambicjami powinno się okazać przełomem w karierze. Nasz to rozkwitający, to zanikający romans, którego głównym zagrożeniem jest sprzeczność wykonywanych przez nas zawodów, zdawało się, że jest akurat na wznoszącej fali. Choć oddaleni o tysiące kilometrów, byliśmy *muy simpáticos*.

—Powiedział, że kiedy go nie będzie, mogę spotykać się z innymi — dodałam.

—Albo jest pewny siebie jak cholera, albo chce bez poczucia winy pokosić lalunie z Kentucky.

—Dziękuję ci bardzo. To chyba ja miałam cię rozweselać, ale teraz sama zaczynam wpadać w depresję. — Spojrzałam na zegarek. — O cholera, muszę już iść. Zaczynam jutro wcześniej rano, ty pewnie też. Możesz jechać? — spytałam, kiedy dopijała drinka. — Ile ich opróżniłaś?

—Nic mi nie jest. Mam nadzieję, że glina, który mnie zatrzyma, będzie dobrze zbudowany i przystojny.

Wyszliśmy na dwór. Pod rozgwieżdżonym niebem właśnie zaczynało się rozkręcać nocne życie South Beach. Sceneria była jak rodem z filmu Felliniego — wokół kręcili się młodzi wykolejeńcy, królowe nocy, nagie karły i inne postacie, nie przejęte tym, że są obiektem uwagi czarnobrodego, ściskającego w dłoniach Biblię, ulicznego kaznodziei o rozszerzonych fanatyzmem oczach. Stał na ławce przystanku autobusowego, rozkraczony, wznosząc wysoko ramiona i pomstując, do nieba bez jednej choćby chmury, że Bóg wkrótce zniszczy nas za nasz upadek.

## Rozdział drugi

---

Pojechałam do domu, nakarmiłam Bitsy i Billy'ego Bootsa, potem wzięłam psa i poszliśmy na spacer wokół bloku. Powietrze było łagodne i wilgotne, typowo letnie. Kiedy wyszliśmy z za rogu, Billy Boots, który czekał na nas w oświetlonym oknie frontowego pokoju mojego mieszkania, zamiauczał. Helen Goldstein, moja gospodyni, uchyliła okno, aby mnie pozdrowić. Za jej plecami, w głębi ciemnego salonu tańczyły światła i cienie. Musiała oglądać z mężem telewizję.

—Pamiętasz o swojej obietnicy, Britt?

—Czy kiedyś o czymkolwiek zapomniałam?

—Wiem, że możemy na ciebie liczyć. Dobranoc.

Uśmiechnęłam się i, odchodząc, pomachałam jej. Zamknęła okno. Co to za obietnica? Próbowałam przypomnieć sobie nasze ostatnie rozmowy i stwierdziłam, że choć Helen ma osiemdziesiąt lat, jej pamięć pracuje lepiej od mojej. Cóż, bez względu na to, co obiecałam, spełnię. Miałam wobec niej dług wdzięczności — rosół z kury i czekoladowe ciasteczka jej własnej roboty pozwoliły mi przetrwać niejedną kryzys.

Po szybkim przeskoczeniu kilkunastu kanałów stwierdziłam, że wszyscy mieli lepsze od WTOP-TV zdjęcia ze sceny wybuchu bomby. Próbując zasnąć, zastanawiałam się, o czym pomyślał Alex w momencie, kiedy świat wokół niego eksplodował. Czy miał w ogóle czas, choćby ułamek sekundy, aby cokolwiek pomyśleć?

Wiedział, że już po nim?

Budzik przerwał moje mroczne sny tuż przed świtem. Wyślizgnęłam się z ciemnego domu w mrok i zanurzona w wilgotnym powietrzu przebiegłam wzdłuż dwóch bloków po pustych ulicach, docierając do zamglonej, szarej plaży. Woda pieniała się srebrzyście, niebo przecinały długie, wąskie pasy chmur. Biegając promenadą wzdłuż brzegu, słyszałam głuchy tupot własnych stóp o płyty chodnika i wiedziałam, że za chwilę pogrążony w porannym brzasku świat gwałtownie eksploduje, a zza horyzontu wyprysnie orgia światła wschodzącej-



go słońca, którą można porównać jedynie z orkiestrą dętą, wybuchającą marszem Johna Philipa Sousa.

Kiedy świat się rozjaśnił, mój duch wleciał w niebiosa. Jakbym przestała dotykać stopami ziemi. Poczułam, jak wielkim darem jest każdy nowy dzień. Zbiegłam schodami na plażę, stanęłam na chwilę, by złapać oddech, zdjęłam buty i zaczęłam wylawiać muszle kołyszące się na grzbietach turkusowych fal, które biły z całą siłą o brzeg. Między palcami przeciekał mi piasek, pchana nieustającym ruchem oceanu ciepła woda muskała mi stopy. Horyzont był usiany świecącymi punkcikami statków, nad nimi unosiły się kanciaste od spodu, wysoko wypiętrzone chmury, które mogły zapowiadać falę burz i szkwałów. Meteorolodzy obserwowali ten front od momentu powstania u wybrzeży Afryki Zachodniej, w okolicy Wysp Zielonego Przylądka, prześledzili, jak przekraczał Atlantyk, minął Antyle i skierował się ku Zatoce Meksykańskiej.

Obawa, że taki układ atmosferyczny może doprowadzić do tropikalnych burz, istnieje, dopóki będzie trwało lato, ale większość z siedemdziesięciu pięciu do stu dwudziestu pięciu takich frontów, jakie pojawiają się w ciągu roku, nie jest groźna. Eksperci i w tym nie dopatrywali się niebezpieczeństwa.

Szukając w spienionej i wirującej wodzie skarbów, odrzucałam zamieszkane muszle i napełniałam kieszenie szortów pustymi: wypolerowanymi przez morską wodę jajowatymi, błyszczącymi oliwkowymi, czarnymi wachlarzo-watymi. Nie miałam najmniejszej ochoty wracać, ale zaczynało się robić późno. W domu szybko opróżniłam kieszenie, opłukałam muszle, położyłam je do wyschnięcia na suszarce i poszłam pod prysznic. Włożyłam cienką bawełnianą sukienkę, przełknęłam kilka haustów soku pomarańczowego, obeszłam z Bitsy blok i w pośpiechu zadzwoniłam do paru komisariatów.

Jeden ze schodzących z nocnej zmiany detektywów podrzucił mi smakowity kąsek: znalezisko sprzed tygodnia, dokonane na zachód od miasta na polnej drodze w Everglades. Samochód. Rozerwany na kawałki. Sprawą zajmowali się policjanci hrabstwa. Nikt nie został ranny. Sprawa nie była ważna. Teraz okazała się ważna. Zniszczony samochód był takiej samej marki jak wóz Axela Aguirre'a. Zamachowiec czy zamachowcy robili próby.

Kilka lat temu pewien działacz związkowy został co prawda okaleczony, ale uszedł cało z zamachu, ponieważ bomba została umieszczona w jego samochodzie po niewłaściwej stronie przegrody przeciwpożarowej. Ten zabójca chciał mieć pewność.

Miejmy nadzieję, że znalezione w Everglades szczątki dostarczą jakichś wskazówek, wyglądało bowiem na to, że policja nie ma innych obiecujących tropów.

Po załatwieniu telefonów pojechałam prosto do redakcji, żeby zająć się pisaniem dalszego ciągu artykułów o zamachu na Axela do jutrzejszego porannego wydania. Od anatomopatologów dowiedziałam się, że Alex co prawda został w czasie wybuchu śmiertelnie ranny,

ale nie zginął. Wskazywały na to ślady sadzy i dymu w jego płucach, co świadczyło o tym, że po eksplozji musiał jeszcze oddychać. Miał dopiero trzydzieści cztery lata i robił wrażenie człowieka zdrowego, dowiedziałam się jednak, że w jego aorcie znajdowały się liczne złogi wapnia. Gdyby żył dłużej, musiałyby się niewątpliwie poddać poważnej operacji serca.

Przerwał mi telefon od czytelniczki ze skargą na narkomana, który ukradł jej czeki, wyczyścił konto bankowe i zastawił w lombardzie telewizor. Domagała się informacji, dlaczego zwolniono go za kaucją.

Było mi jej żal.

—To pani jedyny syn? — spytałam.

—O nie... — Odniosłam wrażenie, jakby pytanie sprawiło jej przyjemność — Mam pięciu. Chętnie o nich opowiem.

Choć nie wyraziłam zgody, bez wahania rzuciła się do szczegółowych opowieści o swoim nieszczęściu. Najstarszy syn, „fanatyczny zwolennik Jezusa”, służył jakiemś dziwnemu wędrownemu kultowi. Drugi miał problemy emocjonalne, ponieważ był homoseksualistą. Numer trzy okazał się skinem, niezdolnym do dłuższego utrzymania się w jakimkolwiek związku partnerskim ani w pracy. Czwarty cierpiał na rzadką nerwicę natręctw, polegającą na przymusie bezsensownego wydawania pieniędzy, przez co już zdążył się rozwieść, a piąty... piąty był teraz na zwolnieniu warunkowym.

—Może przechodzą jedynie" gorsze fazy w życiu — powiedziałam bez przekonania, żałując, że tej rozmowy nie słyszy moja matka. Może doceniłaby wtedy bardziej swoją jedyną córkę.

—Moje dziecko ma trzydzieści trzy lata — oznajmiła tonem pozbawionym śladu emocji.

—To tyle co ja... — stwierdziłam, nie wiedząc, co innego powiedzieć.

—Pani przynajmniej ma pracę.

—To prawda, ale praca to nie wszystko — stwierdziłam filozoficznie, dodając w myślach: „I kto to mówi”. Równocześnie przeglądałam notes, by podać jej numer telefonu zaufania poradni rodzinnej. Wątpliwe jednak, by moja rozmówczyni do nich zadzwoniła — miałam wrażenie, że znajduje upodobanie w życiu przypominającym akcję opery mydlanej.

Ledwie odłożyłam słuchawkę, zadzwoniła Lottie. Spadł jej kamień z serca. Jej podejrzenia wobec Polskiego Księcia były „kompletnym nieporozumieniem”. Przez kilka minut zastanawialiśmy się, w co ma się ubrać na dzisiejszą randkę. W czasie rozmowy przerzucałam korespondencję, z nadzieją na list z Louisville.

—Jeżeli włożysz tę prześwitującą czarną sukienkę, nie wkładaj kowbojek — ostrzegłam.

Recepcjonistka z dołu włączyła się do rozmowy umówionym znakiem, musiałam więc rozłączyć się z Lottie. Miałam gościa.

—Nie oczekuję nikogo — rzuciłam z irytacją. — Pracuję nad pilnym artykułem. Kto to?

—Nazywa się chyba Randolph, przychodzi już trzeci raz. Poprzednio cię nie było. — Zniżyła głos i przymilnie dodała: — Nie dało się go wepchnąć nikomu innemu. Upiera się, że musi rozmawiać z tobą.

Ciekawe, czy jej sympatia stała po mojej stronie, czy gościa. Wydałam z siebie jęk świadczący o tym, jak bardzo się spieszę.

—Powiedz, że jestem zajęta i nie mam czasu... — zawahałam się jednak i zakończyłam: — ...rozmawiać z nim dłużej niż pięć minut.

Próbowałam przekonać samą siebie, że czasami najlepsze historie przychodzą wtedy, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewa, mając nadzieję, że mój gość nie jest wariatem, którego trzeba będzie polewać zimną wodą i wyrzucać z redakcji przy pomocy ochrony.

Okazał się chudym, grubokościstym mężczyzną z rzadkimi jasnymi włosami. Kiedy wszedł do olbrzymiej hali redakcyjnej, sprawiał wrażenie zdezorientowanego i zaczął się niepewnie rozglądać. Miał na sobie robocze spodnie, wykrochmaloną białą koszulę z wyszytym na kieszonce na piersi napisem SMAR-EXPRESS, na nosie okulary. Opadły mi ręce, kiedy ujrzałam jego oczy. Reporterzy doskonale takie znają: rozszerzone, płonące, skaczące na wszystkie strony w poszukiwaniu pomocy. Ludzi o takich oczach zauważa się bez najmniejszego trudu; nachodzą redakcje całego świata, ściskając pod pachami pliki pełnych dokumentów teczek albo szarych kopert noszących ślady częstego używania, z których wysypują się kartki papieru z pozaginanymi rogami.

Opanowani poczuciem niesprawiedliwości z powodu przegranych procesów, walczą z ratuszem, rządem albo własnymi rodzinami i są przekonani, że zagrażają im tajne spiski. Krucha, mocno podstarzała matka wierzy nieugięcie, że jej zmarła prawie trzydzieści lat temu córka nie padła ofiarą przedawkowania narkotyków, ale spisku. Inna, dwadzieścia dwa lata po rozwodzie, nieustająco skarży byłego męża, emerytowanego sędziego, o złamanie dawanych jej obietnic. Każda redakcja ma swoich stałych gości, odsyłanych przez starszych pracowników do młodych, niczego się nie spodziewających członków zespołu.

Postanowiłam uzbroić się w cierpliwość. Twarz nie była mi co prawda znajoma, ale mina typowa. Cóż, czasami warta wysiłku historia jest efektem obsesji.

Rozglądał się po redakcji i w końcu mnie dojrzał. Uśmiechnęłam się i wstałam, solennie sobie obiecując, że nie poświęcę mu wiele czasu. Kiedy podchodził energicznym krokiem, zauważyłam, że ma pod pachą teczkę do akt i, choć bezgłośnie, jęknęłam.

— Witam, panie Randolph — zaczęłam serdecznie, przybierając najlepszą dwulicową manierę. Kiedy wyciągnęłam ku niemu dłoń, zawahał się. Kostki miał czerwone i rozdrapanie niemal do krwi, jakby tarł je zbyt długo i zbyt mocno pumeksem i mydłem; nie usunął też brudu spod paznokci. Szybko się jednak przełamał. Miał pewny uścisk dłoni.

— Przepraszam — zaczął — ale właśnie wyszedłem z pracy. Powiedzieli mi, że bym pytał o panią.

— Oni? — Wskazałam krzesło przy moim biurku. Usiadł.

— Mój brat Nick i jego żona. — Pochylił się do przodu i konfidencjonalnie ściszył głos. — Powiedzieli, że to pani pracowała nad sprawą małej Rafferty.

— Mary Beth Rafferty. — Skinęłam głową. Pracując nad tą sprawą nie tylko straciłam przyjaciela, ale też samochód i o mało co życie.

— Morderstwo, które wyjaśniono po wielu latach. — Przełknął ślinę. — Mam nadzieję, że i mnie pani pomoże.

Zadzwoił telefon na moim biurku i capnęłam słuchawkę, jakby to było koło ratunkowe. Uśmiechnęłam się przepraszająco. Dzwonił policjant z wydzielonej jednostki, zajmującej się patrolowaniem autostrad, z wiadomością o wypadku na Palmetto Expressway. Przewróciła się ciężarówka, należąca do firmy zajmującej się czyszczeniem szamb, rozlewając wieszoną zawartość; na wszystkie cztery pasy. Jęknęłam. Cóż za śmierdząca sprawa w tym najduszniejszym dniu lata...

Kiedy zadawałam pytania i robiłam notatki, niemal zapominając o moim gościu, siedział cierpliwie, rozglądał się z nadzieją po olbrzymiej hali o wielkich, wychodzących na zatokę oknach, ukazujących kawał nieba i panoramę wieżowców Miami Beach. Wreszcie skończyłam i ponownie się do niego odwróciłam.

— A więc ma pan w rodzinie starą, nie rozwiązana sprawę morderstwa?

— Boże, nie! — Zawahał się jednak, jakby rozważał tę możliwość. Jeden z zauszników jego okularów był złamany i sklejonny plastrem. — Mój syn... zaginął.

— Ile ma lat?

— Piętnaście.

Każdy reporter słyszał coś podobnego setki razy.

— Wypełniał pan odpowiedni formularz na policji?

— Wypełniałem.

Widoczne w jego oczach nieszczęście sprawiało, że czułam radość, iż jestem samotna i bezdzietna. Jak dzieci mogą tak łamać rodzicom serca?

—I co powiedzieli?

—Zakwalifikowali go w aktach jako uciekiniera z domu, ale oboje wiemy, że nie uciekł. — Zacisnęła mu się szczęka. — Nie miał powodu, to nie w jego stylu. Nigdy by...

—Kiedy zaginął? — spytałam patrząc na zegarek i coraz częściej wracając myślą do tekstu migoczącego na ekranie monitora.

—Szóstego tego miesiąca minęło dwa i pół roku.

—Co? — Całkiem zaskoczona, ponownie się skoncentrowałam na twarzy gościa. Na pewno się nie przesłyszałam?

—Dwa i pół roku — powtórzył, nie odwracając wzroku nawet na centymetr. — Charles zniknął szóstego lutego, dwa lata temu. W sobotę.

—I przez cały ten czas nie miał pan od niego żadnej wiadomości? — Obróciłam krzesło, by móc patrzeć na pana Randolpha wprost.

—Ani słowa. Żadnego telefonu ani kartki świątecznej. I to w przypadku chłopca, który nigdy nie wyszedł z domu, nie całując matki na pożegnanie.

Wcisnęłam kilka klawiszy, by zapamiętać plik, nad którym pracowałam, i otworzyłam inny. Nazywa się ZAGUBIENI i zbieram w nim informacje dotyczące typowych spraw z tego zakresu: są tu „wędrowcy”, czyli gubiący się chorzy na Alzheimera, lekarz sprzedający dietę-cud, który zniknął po zaaranżowaniu na morzu własnej śmierci, małżeństwo w średnim wieku, które osiem lat temu wyszło z organizowanej w ich kościele kolacji i jeszcze nie dotarło do domu. Zaginieni mieszkańcy Miami, tajemnice bez ostatniej strony. Nie wiem, co w gorące, bezsenne noce dręczy umysły ludzi, ale wiem, co prześladowuje mnie.

—Co się stało? — spytałam. — Kłótnia w domu? Kłopoty w szkole? Rzuciła go dziewczyna? Był z nim kolega? Gdzie widziano go po raz ostatni?

Kiedy zaczął odpowiadać, do jego oczu powróciło życie. Może była to nadzieja?

Według słów mojego gościa, Charles C. Randolph był jedynakiem, dobrym i pracowitym chłopcem, nad wiek wysokim i dojrzałym. Od szóstej klasy rozwoził gazety, mył ludziom samochody, strzygł trawniki. Osiągał świetne wyniki w nauce i wybierał się do college'u. W tym momencie została otwarta teczka i ujrzałam świadectwa pełne szóstek oraz entuzjastycznych opinii nauczycieli. Charles dobrze się zapowiadał jako zwolennik ekologii, uwielbiał czytać książki o rekinach, lotnictwie i sporcie. Jego najcenniejszym skarbem był wspałały zbiór kart z baseballistami, a największym przyjacielem — Duke, pies mieszaniec, którego chłopiec znalazł rannego na ulicy i przywrócił do zdrowia.

—Zabrał ze sobą Duke'a? Ojciec pokręcił głową.

—Pies do dziś siada codziennie o tej samej porze na werandzie i czeka, aż Charles wysiądzie ze szkolnego autobusu.

—Ile pański syn miał pieniędzy, kiedy zniknął?

—Góra dwanaście dolarów. Wychodząc, zostawił znacznie więcej w domu. Miał skromne konto w banku, ale pieniądze są na nim do dziś. Zarabiał, czyszcząc dna łodzi ze skorupiaków, głównie w wielkich, zwróconych frontem do wody domach na wyspie Fairway. Robił to od niedawna, ale sam wpadł na pomysł.

Uśmiechnęłam się.

—Wygląda na zapowiadającego się dobrze przedsiębiorcę. Randolph patrzył poza mną na okno nie widzącym wzrokiem, pogrążony w swoich ponurych myślach.

—Odkąd pamiętam, chciałem otworzyć własne przedsiębiorstwo. Zawsze mu powtarzałem, że to jedyna droga, jaką należy iść w życiu. Byłem pewien, że jemu się uda.

Wyjął z teczki niewielkie szkolne zdjęcie i, zanim mi je podał, potrzymał chwilę w spracowanej dłoni, studiując z powagą. Chłopiec nie miał kolczyka, tatuażu, nic z ubrania, co by świadczyło o przynależności do gangu, za to gładko uczesane blond włosy i policzki jak jabłuszka. Pogodne błękitne oczy patrzyły w obiektyw z niewinnością nastolatka, który nieco wyprzedził rówieśników w dojrzewaniu psychicznym. Jego uśmiech był ujmujący, ze śladem figlarności.

—Jest pan pewien, że nie mieszka u kogoś z rodziny albo nie wiadomo gdzie z jakimś kolegą?

—Jedynym członkiem rodziny spoza Florydy jest babcia Lillian z Nowego Jorku.

—Miała od niego jakąś wiadomość? Pokręcił głową.

—Jest dość stara i chorowita. Nic jej nawet nie mówiliśmy. To byłoby dla niej zbyt przygnębiające.

—Nic nie wie o zniknięciu wnuka?

—Co mielibyśmy jej powiedzieć? Sami nic nie wiemy. Kiedy byliśmy u niej w zeszłym roku trzy dni, powiedzieliśmy, że Charles jest na obozie. Ciągłe prosi o świeże zdjęcia i chce wiedzieć, dlaczego przestał do niej pisywać, co robił dotąd regularnie. Kłamiemy dalej, mówimy, że jest bardzo zajęty nauką i treningami koszykówki.

Popatrzyłam na wielki zegar pod sufitem. Wskazówki sunęły nieubłaganie do przodu, zbliżało się zamknięcie numeru.

—Gdzie pan pracuje, panie Randolph?

—W SMAR-EXPRESSIE na rogu Bulwaru Biscayne i Sześćdziesiątej Ósmej. — Wyciągnął z kieszeni wizytówkę. JEFFREY RANDOLPH, KIEROWNIK.

—Dziękuję panu za wizytę, ale niestety muszę wracać do pracy. Mam przed zamknięciem numeru artykuł do skończenia.

Przełknął ciężko ślinę, zamknął teczkę i zaczął powoli wstawać. Jego mina wyrażała pełną rezygnację.

—Kiedy skończę, chętnie do pana wpadnę i dowiem się więcej.

Moje słowa odniosły skutek, jakby ktoś wystrzelił mu tuż nad uchem z pistoletu.

—Spróbuję być u pana mniej więcej o czwartej — ciągnęłam, udając że nie zauważam jego zdziwionej miny — chyba że zatrzyma mnie coś, co nagle wyskoczy. Zadzwonię przed przyjazdem.

Nagle wypłynęła na wierzch, drażąca mnie od początku naszej rozmowy, ukryta myśl.

—Niech pan zaczeka jeszcze sekundę! — rzuciłam i zaczęłam przelatywać przez plik z informacjami o zaginionych, nie zrównoważonych psychicznie, nie publikowane artykuły o mieszkańcach Miami, którzy tak naprawdę wcale nie zaginęli, przez listy z nazwiskami, datami i rysopisami, służącymi do ewentualnej identyfikacji szkieletów i anonimowych zwłok, które aż nazbyt często pojawiają się w naszym mieście.

W końcu znalazłam, co chciałam. Blondyn, błękitne oczy, trzynaście lat. Niemal identyczny rysopis. Chyba to właśnie musiało trącić strunę w mojej pamięci.

—Czy pański syn zna chłopca o nazwisku Butch Beltran? Randolph zmrużył oczy.

— Butch brzmi znajomo, ale nie wiem, jak miał na nazwisko. Będę musiał zapytać żonę.

— Prawdopodobnie nie ma tu żadnego związku — stwierdziłam sprawdzając datę. — Ten Butch jest poszukiwany od marca bieżącego roku.

W Miami rocznie znikają tysiące osób. Większość z nich znajduje się bardzo szybko. Niektórzy mają na twarzach bezczelne uśmiešky i nie chcą o niczym mówić, inni nie mogą, bo leżą w kostnicy. Tylko nieliczne jednostki nie odnajdują się nigdy.

Patrzyłam, jak Jeffrey Randolph wychodzi. Gdzie jest jego syn? Nie żyje? Jeśli tak, dlaczego nie znaleziono ciała? Zwłoki prawie zawsze są odnajdowane. Jeżeli uciekł z domu, żeby przejechać autostopem w poprzek Ameryki, jego przygoda już dawno by się zakończyła i albo zadzwoniłby do domu z prośbą o bilet powrotny, albo znalazłaby go gdzieś policja. Zaginieni ludzie to żywe łamigłówki.

Skończyłam artykuł, napisałam krótką notkę o przewróconej ciężarówce z szambem i podpisy pod zdjęciami zamieszania wynikłego na autostradzie, które Lottie zrobiła z helikoptera. Potem zadzwoniłam do ośrodka medycyny sądowej.

Nie zidentyfikowane zwłoki grzebie się tam w płytkim rowie, jedynymi żałobnikami są wykonujący tę robotę skazani na dożywocie więźniowie. Zmarli spędzają wieczność w nie oznakowanym wspólnym grobie razem z biedakami, do których zwłok nikt nie rości sobie pretensji.

Nie zidentyfikowane szkielety są wygotowywane w wielkich kotłach w celu usunięcia najdrobniejszych resztek mięsa, kości są składowane w pudłach, ustawianych w magazynie w wielu warstwach.

W archiwum przechowuje się zdjęcia i dane dentystyczne wszystkich nie zidentyfikowanych zwłok — czasami ktoś jest tak uparty, że dociera śladem zaginionej osoby do kostnicy.

Dyrektor był u siebie.

—Macie jakiegoś młodego iksa?

—A czy w Jerozolimie mają obwarzanki? Czego pani szuka?

—Biały, płęć męska, trzynaście do piętnastu lat. Szczupły, blond włosy, błękitne oczy, zniknął...

—Brzmi znajomo.

Wstrzymałam oddech, załomotało mi serce. Zawsze tak się dzieje, kiedy ujawnia się rąbek tajemnicy.

—Ciągłe ktoś dzwoni, szukając takiego. Chyba rodzina. Ostatni raz sprawdzałem trzy, może cztery dni temu. Od tego czasu nie dostaliśmy żadnych nowych iksów ani białych, ani smagłych.

Westchnęłam. Od razu powinnam była wiedzieć, że to nie pójdzie tak łatwo. Randolph daleko mnie wyprzedzał.

—A co z...?

—Sprawdzałem też w Broward, Palm Beach i Monroe. Nikt nie pasuje. Masa iksów i iksek, ale tego nie ma.

—Gdyby w najbliższych dniach... — zasugerowałam. — Pierwsza się pani dowie.

Randolph twierdził, że zgłoszenie o zaginięciu przyjmowała policja w Coral Gables. Z moich danych wiedziałam, że ten sam detektyw, Wally Soams, zajmuje się osobami zaginio-



nymi oraz wszystkim, co dotyczy młodzieży. Zostawiłam mu wiadomość i zadzwoniłam do SMAR-EXPRESSU, że jadę.

Musiałam zdążyć uciec z redakcji, zanim zjawi się jakaś zawalidroga. Na przykład Gretchen Platt, rodem z piekła zastępczyni kierownika działu miejskiego. Niestety, akurat wychodziła z konferencji z typkami z zarządu i naszym prawnikiem, Markiem Seyboldem. Miała na sobie szykowną garsonkę z watowanymi ramionami i ucieszyła się na mój widok, co mogło tylko oznaczać kłopoty. Jest bardziej groźna dla mojego morale niż lecąca kula karabinowa i, choć znana jako snajperka, czasami woli rzucić granatem. Od postawnej, zawsze modnie ubranej sylwetki promieniuje ambicja, gorąca niczym rozżarzona do białego stal, a notoryczny brak kompetencji dorównuje jedynie jej wrednemu i obraźliwemu stylowi bycia. Specjalność Gretchen to robienie z podwładnych idiotów, najlepiej za pomocą zjadliwego sarkazmu albo znakomicie wystudiowanego wznoszenia oczu do góry. Z absolutnie niezrozumiałych dla mnie powodów błyskawicznie awansuje. Chcąc kolejny raz z zapalem udowodnić swe zdolności kierownicze, zablokowała mi drogę.

—Britt! — wykrzyknęła niepotrzebnie głośno. — Skończyłaś już pisać o szambie? — Strzelając wzrokiem na boki, na towarzyszących jej panów, zmarszczyła nos i lekko się wzdrygnęła.

—Skończyłam — odparłam ze słodkim uśmiechem, zastanawiając się, ile kosztowałoby namówienie kierowcy, żeby następny ładunek gówna wywalił na jej szpanerski kabriolet. Byłoby warto spróbować bez względu na cenę.

—Dokąd biegniesz? Zamordowano kogoś? — Ton głosu był protekcyjny i wyrażał, jak bardzo musi się zniżyć, by zejść do mojego poziomu. Odrzuciła do tyłu obcięte według najnowszej mody włosy i czekała na odpowiedź.

—Jeszcze nie.

Stała z uniesioną wysoko brwią, głowę w aureoli błyszczących blond włosów przekrzywiła wyczekująco.

—Idę zrobić wywiad — odparłam.

—Ma przydzielone miejsce w jutrzejszej ramówce?

—Nie, dopiero zaczynam nad tym pracować.

—Co to za sprawa?

Pytanie było kłopotliwe. Zaginięcia nastolatków nie są pod koniec lata sensacją. Wraz ze zbliżaniem się nowego roku szkolnego wielu postanawia przed nim uciec.

Rozpaczliwie naciskałam przycisk windy.

—To stara sprawa, coś w stylu przypadku Mary Beth Rafferty — odparłam w końcu.

Wszyscy drgnęli. Mark, nasz prawnik, zagryzł wargę. To jego typowy nerwowy tik, kiedy nie może gryźć paznokci. W sprawie Mary Beth moim pierwotnym podejrzanym był Erie Fielding, obecny mieszkaniec rezydencji gubernatora. Kiedy oskarżyłam go o popełnienie morderstwa, był jedynie kandydatem na to stanowisko.

Drzwi windy wreszcie się otworzyły i uciekłam, zastanawiając się, co za perwersyjny kaprys kazał mi powiedzieć coś podobnego. Gretchen zawsze wyzwała we mnie najgorsze instynkty.

Pojechałam na północ Bulwarem Biscayne, najbardziej zatłoczoną trasą w mieście. Oślepiająca jaskrawość popołudniowego słońca kłuła w oczy tak samo jak obrzydliwe otoczenie. Kiedyś Bulwar był ulicą marzeń, przyjaźnie witał turystów i przejezdnych, uciekinierów z zimnej północy, teraz jest po obu stronach zabudowany obskurnymi motelami, pralniami automatycznymi, cukierniami oraz maleńkimi haitańskimi i kubańskimi restauracjami.

SMAR-EXPRESS, świeżo pomalowany, wolno stojący budynek, stał frontem do Bulwaru, klienci wjeżdżali od tyłu. Kierowcy tworzyli karną kolejkę, wysiadali i kolumna samochodów powoli przejeżdżała na prowadnicach przez boksy, w których zwijający się jak w ukropie pracownicy zmieniali olej, sprawdzali filtry, poziom płynów, stan wycieraczek, opon i akumulatorów, czyścili wnętrze i myli okna — wszystko w dziesięć minut. Na ścianie przyjemnie urządzonej poczekalni wisiał kolorowy telewizor, w którym leciała właśnie jakaś opera mydlana, na regale stał dzbanek z kawą, leżały gazety. W ścianie znajdowało się okienko kasy.

Randolph właśnie drukował rachunek dla klienta. Kiedy mnie ujrzał, jego poważna twarz rozpromieniła się i machnięciem ręki zaprosił mnie do maleńkiego oszklonego biura, z którego można było równocześnie obserwować pracowników i poczekalnię.

—Zacznijmy od samego początku — powiedziałam, siadając przed metalowym regalem, pełnym jaskrawoczerwonych i żółtych puszek z płynem hamulcowym i dodatkami do paliwa.

Kiwnął głową i usiadł naprzeciw. Choć i tym razem miał w ręku tę samą brązową kartonową teczkę, rozpacz jego oczach była odrobinę mniejsza. Teraz już nie był sam na tratwie ratunkowej, ktoś usłyszał wołanie o pomoc.

—Charles urodził się tutaj, w hrabstwie Dade?

—W szpitalu baptystów. Byłem przy tym, pozwalają ojcom wchodzić na salę porodową. Było to dwa dni przed naszą siódmą rocznicą ślubu... — Przerwał na chwilę, potem wyjaśnił: — Moja żona miała cztery poronienia, ale chłopak wszystko nam wynagrodził. Nawet przez minutę nie mieliśmy z nim kłopotów.

Charles, zdrowy jak byk, wyszedł z domu jak zwykle w niedzielę rano, ubrany do pracy w bawełniany podkoszulek i drelichową koszulę, dżinsy i sportowe buty.

—Nie w swoje najlepsze, za kostkę, takie gorsze, które wkładał do pracy... — powoli powiedział Randolph. — Zazwyczaj wracał do domu o czwartej. O piątej, wpół do szóstej moja żona zaczęła się niepokoić. Zawsze jadaliliśmy kolację we trójkę i jeżeli miał się spóźnić, dzwonił. Kiedy nie wrócił do Wpół do siódmej, wiedzieliśmy, że musiało się stać coś złego, i zadzwoniliśmy na policję. Powiedzieli, że nikogo nie wysyłają w teren na podstawie informacji telefonicznej, nawet nie przyjmują zgłoszeń na podstawie telefonów. Dyżurny funkcjonariusz stwierdził, że polityka wydziału wyklucza sporządzanie oficjalnych raportów, dopóki ktoś nie daje o sobie wieści przez dwadzieścia cztery godziny od zniknięcia. — Westchnął. — Obdzwoniliśmy wszystkich przyjaciół Charlesa. Jeden z nich widział go rano, około wpół do jedenastej na wyspie Fairway. Szedł Garden Drive z puszką doktora Peppera w dłoni, niedaleko domu, w którym —jak wiedzieliśmy — zamierzał czyścić motorowy jacht rybacki. Nie udało nam się znaleźć nikogo więcej, kto go widział. Pojechałem tam, gdzie był widziany ostatni raz. Właściciel domu wyjechał chwilowo z miasta, ale administrator powiedział, że Charles wyczyścił jacht, a potem zmył nabrzeże i pomost. Przed wyjściem dostał od niego puszkę z napojem. Jeździłem po okolicy przez kilka godzin, potem wróciłem do domu. To była... — powiedział, unosząc brwi — ciężka noc.

Jego mina świadczyła jednoznacznie o tym, że na jednej ciężkiej nocy się nie skończyło.

—Następnego dnia ponownie zadzwoniliśmy na policję. — Uśmiechnął się gorzko. — Nie chcieli spisywać protokołu w niedzielę. Sierżant powiedział, że sam ma synów i krótkotrwałe zniknięcia to norma. Kiedy powiedziałem mu, że nie w wypadku mojego syna, poradził, bym obdzwonił kolegów Charlesa i poczekał do poniedziałku.

—Do tego czasu — mruknełam — trop wystygł.

—Gdybym to wtedy wiedział... — stwierdził, kiwając głową. — Potrzebna była natychmiastowa akcja, z reflektorami i psami... No, ale to byli fachowcy i musieliśmy się ich słuchać...

—Wie pan, dokąd miał potem iść pański syn? Zamierzał czyścić kolejną łódź?

Ponownie potaknął. Odchrząknął.

—Sam obszedłem wszystkie domy w okolicy, która wchodziła w rachubę. Nie znaleźliśmy dokładnych adresów, Charles miał je w notesiku, który zawsze nosił ze sobą, tego dnia, kiedy zginął, też musiał go zabrać. Znalazłem dwa wielkie domy, w których miał być tego dnia. Powiedziano mi, że nigdy tam nie dotarł. — Randolph wyjął z kieszeni chusteczkę i wydmuchał nos. — Wszyscy mówili, jakim jest grzecznym chłopcem i znakomitym pracownikiem.

—Ma pan te adresy?

—Wszystko jest tutaj. — Wyjął z teczki kartkę papieru w linie. — Pierwszy adres to dom, gdzie był, pod pozostałe dwa nie dotarł.

—Taa... — mruknęłam studiując adresy. — Tak więc wiemy, że zniknął na nieco krótszym od kilometra odcinku Garden Drive.

—Osoby, do których nie dotarł, to kubańska piosenkarka, Vera Verela, i taki gość, o którym jest teraz pełno w wiadomościach: Reyes.

Kiwnęłam głową. Obie postacie były mi znane.

—A kim był ten, od kogo wyszedł?

—To doktor, badacz, jeździ dużo do Kanady. W tym czasie nie było go w mieście. Ma jedenastometrowego biało granatowego rampage'a z wysoką nadbudówką. Twierdził, że jest zbyt zajęty, by wiele z niego korzystać, zresztą zaraz potem go sprzedał. Po jakimś czasie byłem u niego jeszcze raz. Powiedział, że Charles przypomina mu jego własnych synów.

—Sądzi pan, że mógł dotrzeć do drugiego miejsca, zacząć pracę i coś się stało? Dobrze pływał?

Czasami wokół licznych w naszej okolicy portów wypływają ciała ludzi, czasem tych, którzy mieszkali na łodziach albo przy nich pracowali, częściej zalanych do nieprzytomności balangowiczów, którzy wpadają nie zauważeni do wody, zwykle w nocy.

—Jest znakomitym pływakiem, świadomym niebezpieczeństw wody i środków ostrożności, jakie należy zachować, pracując przy łodzi. Nie twierdzę, że nic nie mogło mu się stać — stwierdził Randolph pocierając podbródek — ale w takim razie gdzie jest ciało?

Miał rację. Ciała topielców zazwyczaj wypływają po trzydziestu sześciu godzinach. Nawet te, które dostały się pod pomosty albo zaplątały w rośliny i śmieci na dnie, są w końcu uwalnianie pod wpływem wiatru, fal i pływów.

—Czy gliniarze słyszeli o czymś niezwykłym, co wydarzyło się tego dnia w okolicy?

—Na przykład? — Randolph na chwilę wstał i zamknął szybkę, ponieważ na zewnątrz jeden z pracowników głośno tłumaczył klientowi, że jeżeli przy pięćdziesięciu tysiącach kilometrów jeszcze nigdy nie był robiony przegląd silnika i skrzyni, to: „uszczelka miski może spękać, olej puści i silnik pierdyknie”.

Wzruszyłam ramionami.

—Może wypadek drogowy? Kręcąca film ekipa, spieszący się na wyścig rowerzyści, napad, jakiegokolwiek nieoczekiwane zdarzenie, nawet kradzież samochodu, cokolwiek, byle jakie zdarzenie, na jakie Charles mógł się natknąć albo zostać w nie wplątany.

—O niczym takim nie słyszałem — odparł, marszcząc czoło — a proszę mi uwierzyć, że przeczesywałem w okolicy każdy krzak i przewracałem każdy kamień, aż policja mnie zatrzymała jako podejrzanego się zachowującego osobnika. Myślę, że nasz detektyw chyba to sprawdził.

—Detektyw z Gables?

Nie chciałam, żeby jego wiara pękła jak przekłuty balon, ale większość detektywów zajmujących się zaginionymi nie robi wiele więcej od pisania raportów. Czasami nawet i to już dla nich za dużo. Rzadko wychodzą w teren. Dopóki zaginionym nie jest dziecko albo nie stanie się ewidentne, że chodzi o przestępstwo, żaden z nich nie przeczesuje miasta, poza tym jeśli sprawa jest naprawdę poważna, zwykle śledztwo przejmuje Wydział Zabójstw.

—Nie, nasz prywatny detektyw — wyjaśnił Randolph. — Wynająłem go po dwóch tygodniach, kiedy było jednoznaczne, że policja nic nie robi. Powiedział, że za piętnaście tysięcy dolarów sprowadzi Charlesa do domu. Udało nam się wskrobać siedem tysięcy. Wziął je i też nic nie zrobił. Zadaje mi pani więcej pytań niż on.

Zapisałam sobie numer telefonu tego detektywa.

—Mam nadzieję, że będzie pani miała więcej szczęścia. Na nasze telefony nie reaguje.

Znałam nazwisko. Był to podejrzany były gliniarz, który powinien mówić o szczęściu, że go o nic nie oskarżono, a jedynie wyrzucono, ale nic nie powiedziałam Randolphowi. Nie miało sensu wytykać mu, że został z żoną wystawiony do wiatru.

—Czego pan jeszcze próbował? Westchnął z zażenowaniem.

—Jasnowidzów. Z inicjatywy żony i bratowej. W ich kręgach wieści muszą się szybko rozchodzić, bo kiedy skonsultowały się z jednym, zaraz zadzwoniło dziesięciu. Każdy chciał pieniędzy. Większość twierdziła, że Charles żyje, ale nie pamięta, kim jest.

Nigdy nie kupuję wersji z amnezją. Zdarza się jedynie w kiepskich serialach. Faktyczne przypadki zaniku pamięci są mocno przesadzone. O ile dobrze pamiętam, spotkałam jedną osobę, której mogłabym uwierzyć, że jej się to przydarzyło, ale też nie do końca.

—Co jeszcze?

—Sprawdziliśmy hare krysznowców i kilka innych sekt, koptyjczyków i moonowców. Te, które były u nas najaktywniejsze. Charles nie wstąpiłby do sekty —z przekonaniem stwierdził Randolph. — Nigdy nie miał do tego skłonności, ale chcieliśmy mieć czyste sumienie, sprawdzić wszystko, co możliwe. Gdyby był w którejś z tego typu grup, znaleźlibyśmy go i sprowadzili do domu.

Opadł plecami na oparcie i przeczesał palcami włosy, jakby sprawiało to wielki wysiłek. Na pewno przypominał sobie minione dwa lata.

—Chadzałem na Targi Młdzieży i koncerty zespołów, które lubił. Sam. Moja żona nie była w stanie patrzeć na zebrane tam tłumy dzieciaków.

Na chwilę zapadła cisza. Patrzyliśmy sobie w oczy.

—Co z kartą dentystyczną?

—Istnieje — odparł bez emocji. — Nasz rodzinny dentysta wie, że Charles zaginął. Mimo dobrych zębów, miał robioną plombę i drobną protetykę. Porcelanową koronkę na jednym z przednich zębów. Wyszczubił go sobie jako dwunastolatek, w efekcie wypadku na nartach wodnych. Rozklejałem ulotki z jego zdjęciem i rysopisem w pralniach, supermarketach, wszędzie, gdzie mi pozwolono. To wszystko. No, jeszcze tylko nasza grupa kościelna. Czasami organizują za niego czuwanie z modlitwą.

—Środki masowego przekazu zwykle przynoszą szybsze efekty. — Zabrzmiało to bardziej cynicznie, niż zamierzałam. Miałam na myśli prywatnego detektywa i jasnowidzów — czujące zapach pieniędzy sępy, zlatujące się nad trupem. — Dlaczego nie przyszedł pan wcześniej do nas? W jego śmiechu nie było wesołości.

— Myśli pani, że nie próbowałem? — Zmarszczył czoło, aż brwi się zetknęły. — Ponieważ nie byłem z nikim umówiony, wasza ochrona nie chciała mnie wpuścić do budynku. Kiedy zadzwoniłem do działu wiadomości, jakaś redaktorka zbyła mnie, twierdząc, że w Miami jest masa zaginionych dzieciaków i gdybyście napisali o jednym, musielibyście pisać o wszystkich. Poradziła mi, żebym dał anons.

—Idiotyczne! — wybuchnęłam. To musiała być Gretchen. Kiedy zaczęłam pracować w „News”, każdy mógł wejść z ulicy albo zadzwonić do działu miejskiego i porozmawiać z którymś z dziennikarzy. Co się przez te lata stało? Zbieracze wiadomości siedzą w klimatyzowanych gabinetach, odizolowani od prawdziwego świata przez ochronę, pocztę głosową i automatyczne sekretarki. Siedzący w wieżach z kości słoniowej redaktorzy są ślepi na realia ulicy. Do budynku redakcji może bez najmniejszego trudu dostać się nawet najbardziej zakichany terrorysta, podczas gdy normalni obywatele błądzą w labiryntach systemu, a kiedy potrzebują pomocy, wyrzuca ich ochrona. Przełknęłam poczucie frustracji i rozczarowania zawodem, który kocham. — Niewiele dzieci jest zaginionych od tak dawna — zapewniłam Randolpha. — To sprawa warta publikacji.

—Opublikowano na ten temat artykuł w „Gables Time Guide”. — Kiedy pokazywał wycinek z maleńkiego tygodnika, zadrżały mu ręce. Składany i rozkładany niezliczoną ilość razy artykułik trzymał się jedynie na paskach taśmy samoprzylepnej. Była to krótka notka ze zdjęciem ze szkolnego albumu, numerami telefonów rodziny i policji oraz prośbą o informacje.

Nasz społeczeństwo jest bardzo ruchliwe. Ofiary i podejrzani mogą się bardzo szybko przemieszczać o tysiące kilometrów. Samo nasze hrabstwo jest większe od stanów Rhode Island czy Delaware i znacznie przekracza zasięg kolportażu tego mało znaczącego tygodnika.

—Były jakieś reakcje?

—Nic wartego wspomnienia. Kilka telefonów od wariatów, którzy twierdzili, że go spotkali, ale nie wiedzieli nic konkretnego. Starłem się codziennie coś zrobić w sprawie Charlesa. Jeździłem do kostnicy, na komistariat. Dzwoniłem do ośrodka imienia Adama Walsh, zajmującego się zaginionymi i wykorzystywanymi dziećmi, chadzałem na plażę i place sportowe, gdzie pokazywałem jego zdjęcie. Raz za razem znajdował się ktoś, kto widział takiego chłopaka jak Charles, kiedy jednak badałam to dokładniej, okazywało się, że to czyjś inny syn, nie mój. — Odsunął z czoła niepokorny kosmyk.

—Czy krótko przed zniknięciem został może przez kogoś uziemiony? Kłóciliście się?

—Nie zdarzyło się nic przekraczającego zwykłe spory nastolatka z rodzicami. Nic, co mogło go sprowokować do ucieczki.

—Co z miłością i seksem?

—Proszę pani, kiedy zaginał, miał dwanaście i pół roku!

—W tym właśnie wieku zaczynają szaleć hormony. Pokręcił głową.

—Jeszcze nawet nie zaliczył pierwszej randki. Dopiero się uczył tańczyć.

—Żadnego seksu, narkotyków, rapu, heavy metalu... — głośno myślałam.

—Dlatego to takie niezrozumiałe. — Objął głowę dłońmi. Przerwał nam zdenerwowany pracownik. Ubrana w drogie rzeczy

klientka, która przyjechała najnowszym modelem ekskluzywnego samochodu, upierała się, żeby zaakceptował nieaktualny pięciodolarowy kupon rabatowy. Randolph pokazał wyraźnie napisaną datę ważności, mimo to darła się, dopóki nie zaoferował jej pięciu dolarów z własnej kieszeni. Bezwstydnie przyjęła ofertę i odjechała z zadowolonym uśmiechem.

—Obsługujemy dziennie dziewięćdziesiąt, może sto samochodów — wyjaśnił. — Naszą krwią są stali klienci. Warto takie rzeczy robić, żeby ich utrzymać.

Wróciłam do redakcji w kilkanaście minut. Byłam wkurzona na ludzi żerujących na tych, których dotknął los, obrażona na ochronę „News” i gotowa nakazać, żeby za każdym razem, kiedy ktoś szuka pomocy, zawiadamiali mnie albo innego reportera. Tym razem nie było

jednak w holu ani jednego munduru. Recepcjonistka wyjaśniła, że właśnie szukają krążącego po budynku wściekłego czytelnika.

Zacisnęłam za niego kciuki.

W ogłoszeniu agencji oferującej seks przez telefon pomyłono coś w składzie i ludzie dzwoniли do prywatnego mieszkania. Kiedy właściciel telefonu zadzwonił do działu ogłoszeń, wytykając pomyłkę, odpowiedziano mu, że polityka redakcji wyklucza korekty na podstawie kontaktu telefonicznego. Wtedy zadzwonił do działu produkcji, gdzie dowiedział się, że nikt stamtąd nie jest upoważniony do dokonywania zmian treści otrzymanych materiałów, ale sprawa zostanie załatwiona. Nie została. Ogłoszenie poszło ponownie, zgłodniali seksu dalej do niego dzwoniли.

Facet, nieźle już wkurzony, zadzwonił, grożąc, że wsiądzie w samochód, przyjedzie z Homestead, choć to kawał drogi, i wrzuci w maszynę drukarską klucz francuski. Zaraz po tym na ulicę trafiło poranne wydanie, oczywiście znów ze złym numerem i zaczęła się kolejna fala telefonów. Teraz było za późno, żeby poprawić cokolwiek przed poniedziałkiem. We wszystkich wydaniach weekendowych, czyli ponad milionie egzemplarzy, będzie figurować jego numer telefonu.

Kiedy przy wejściu dla pracowników pojawił się mężczyzna z kluczem francuskim w ręku, zamyślony ochroniarz pozwolił mu wejść. Teraz trwało polowanie.

Zachwycona, szłam uśmiechnięta do mojego biurka. Zostałam dziennikarzem, aby odnajdywać, ujawniać i zwalczać przypadki biurokracji. Jak to się stało, że upodobniliśmy się do wroga?

Tym razem Wally Soams, detektyw do spraw osób zaginionych z komisariatu w Gables, był u siebie.

—Zawsze uważałem tego dzieciaka za uciekiniera — stwierdził na początek.

—Na jakiej podstawie?

—No wiesz... dzieciaki w tym wieku... — Był wyraźnie zirytowany, że pytam. — Co dzień mamy podobne sprawy. Połowa z nich wraca do domu i rodzice nawet nie są łaskawi do nas zadzwonić. Nieraz nie wiem, że się znaleźli, do momentu kiedy matka ponownie zgłasza zaginięcie. To ten dzieciak, który jeździł autostopem po LeJeune?

—Nie! — rzuciłam ostro. — Był przy Garden na wyspie Fairway, czyścił bogatym ludziami łódzie. Co zrobiłeś w jego sprawie?

Słyszałam, jak przerzuca papiery.

—Wpisałem do komputera hrabstwa.



—Świetna robota.

—O co chodzi, Britt? Przecież doskonale wiesz, ilu brakuje nam ludzi, a ile spraw musimy obrobić.

—Właśnie spędziłam popołudnie z jego ojcem. Jak byś się czuł, pozostawiony swojemu losowi przez dwa i pół roku, nie wiedząc, czy twoje jedyne dziecko żyje czy nie?

—Mam — stwierdził Soams. Chyba znalazł akta sprawy. — Tak, to on. Mieliśmy kilka informacji, że go widziano.

—Gdzie?

—Zaraz zobaczymy... artykuł w jakiejś gazetce... ulotki... aha, chłopak, który chodził z nim do szkoły, zeznał, że jest dość pewny, że w weekend po zaginięciu widział Charlesa Randolpha, jak gra w kosza na boisku przy świętym Patryku. Kobieta, dawna sąsiadka Randolphów, zeznała, że wydawało jej się, iż widziała Charlesa przed Pizza Hut w centrum handlowym w Dadeland.

—Kiedy?

—Podczas tego samego weekendu.

—Wally, to ponad czterdzieści kilometrów od siebie. Jest coś bardziej wiarygodnego?

—Po artykule w prasie zjawił się dzieciak, któremu się wydawało, że widział Charlesa w salonie gier wideo przy Northside. Twierdził, że poszedł za nim i Charles zagroził mu poważnymi kłopotami, jeżeli wspomni, że go widział.

—Co o tym sądzisz?

—Hmmm... może to efekt nadmiernej chęci pomocy, połączonej z przesadną wyobraźnią. Cóż, wtedy wyglądało na to, że chłopak poczuł wolność i bawi się w kotka i myszkę. Teraz... kto wie?

—Było coś jeszcze?

—Nie. Teraz na sprawie zbiera się już tylko kurz. Co dzień mamy nowe przypadki.

—On nie uciekł z domu! — stwierdziłam oskarżycielsko. — Co się stało?

—Wszystko co wiem, to że dzieciak idzie sobie w biały dzień Garden i PUFFF! Ty mi powiedz. Masz dobrą wyobraźnię. Mimo wszystko może to być mały spryciarz, który w dalszym ciągu bawi się w kotka i myszkę.

Wydałam z siebie szydercze parsknięcie.

—Albo... — ciągnął dalej — ojciec sprzął go, bo się wymądrzał, trzasnął raz za mocno, zakopał swoją pomyłkę w ogrodzie i zgłosił zaginięcie. Przecież wiesz, że to się zdarzało.

—Pewnie. To wyjaśnia, dlaczego przychodzi do redakcji, szukając pomocy. Wyjaśnia, dlaczego wydał tysiące dolarów na jasnowidzów i lewych detektywów.

Najchętniej powiedziałabym Soamsowi, że nie znalazłby nawet ryby w oceanie i, biorąc pensję, okrada państwo.

—Hej, hej! — zawołał przyjaźnie. — Jeśli czegoś się dowiesz, daj znać. Cassie Randolph podniosła słuchawkę po drugim dzwonku.

—Mąż mówił, że może pani zadzwonić. Dziękuję, pani Monterò, za to co pani dla nas zrobiła.

—Jeszcze nic nie zrobiłam.

—Musimy sprowadzić Charlesa do domu. — Jej głos był łagodny, ale pobrzmiwało w nim coś ostrego. — Niektórzy ludzie, nawet przyjaciele, twierdzą, że powinniśmy pogodzić się z faktem, że odszedł i nigdy więcej go nie zobaczymy, ale to nieprawda. On żyje. Matki to wiedzą. Jest gdzieś i potrzebuje nas. Musimy go odnaleźć, póki nie jest za późno.

—Jeżeli to prawda — obiecałam głupkowato — to go znajdziemy. Ktoś musi coś wiedzieć.

Poniosło mnie, ale wierzyłam w to, co mówię, poza tym naprawdę mieliśmy nie najgorszą sytuację. „News” ma ponad pół miliona nakładu. Nasze materiały powielają agencje informacyjne, radio i telewizja, więc docierają do znacznie szerszego kręgu odbiorców. Jeżeli przedstawię temat wystarczająco dobrze, może naprawdę uda się sprowadzić Charlesa do domu. Mogłam tylko mieć nadzieję, że matczyne instynkt nie zawodzi Cassie Randolph. Lubię happy endy.

Doktor, którego łódź Charles czyścił na końcu, akurat wyjechał z miasta, a administrator był nowy i o niczym nie wiedział. Vera Verela pracowała w Nowym Jorku nad nową płytą. Złapałam ją w hotelu Westbury.

Nie od razu przypomniała sobie, o co chodzi, kiedy jednak dotarło do niej, o kim mówię, zrobiła się wylewna.

—Piękkknny chłopiec! — zaświergotała. — Taki cichy, grzeczny, pracowity. Jeszcze go nie odnaleziono? *Dios mío! Qué pasa en Miami?* Ludzie przecież nie znikają ot tak...

—On zniknął.

—Jakie to straszne dla jego rodziców. Powiedz im, że będę się modlić za nich i ich pięknego syna.

—Czy kiedykolwiek coś pani mówił, że się dokądkolwiek wybiera albo o jakichś dręczących go problemach?

—Britt, tak naprawdę nigdy z nim nie rozmawiałam. Przychodził raz w tygodniu czyścić mi łódź. Nazywa się *Sex Sea*. — Roześmiała się soczystym, typowym dla show-biznesu śmiechem. — Raz opalałam się przy basenie. Otworzył furtkę, ale bał się spojrzeć. Taki był zawstydzony, że zaraz się zaczerwienił. — Znow się roześmiała.

Juan Carlos Reyes nie był aż tak wylewny.

—Wiadomo, kto zabił Alexa Aguirre'a?

—Nie, chodzi o coś innego.

—Cóż, pani Monterò, z pewnością pani wie, że nie stoję z „Miami News” na zbyt przyjacielskiej stopie. Polecono pani telefonować do mnie za każdym razem, kiedy pisze pani artykuł?

—Nie. Jestem jedynie reporterką z działu policyjnego i dzwonię w sprawie zaginięcia Charlesa Randolpha.

—Kogo? Przypomniałam mu.

—O, tego... Nie wiedziałem, że młody człowiek jeszcze nie został odnaleziony. Pamiętam, że rozmawiałem jakiś czas temu z jego ojcem.

—Jakie wrażenie chłopiec na panu zrobił? Ma pan jakąś teorię?

—Pani Monterò, proszę wybaczyć, ale z pewnością pani wie, że działam na arenie międzynarodowej i mam wiele ważnych spraw na głowie. Przyznam, że od trzech czy czterech lat nie poświęciłem akurat tej sprawie ani chwili na zastanowienie.

—Zaginął dwa lata temu. Dokładnie dwa i pół.

—Proszę pani, miałem bardzo ograniczony kontakt z tym chłopcem. Mój dozorca zatrudnił go do wykonywania prostych prac przy *Libertad*. Gdyby w tej chwili zjawił się u moich drzwi, nawet bym go nie rozpoznał. Powiem Wilfredo, żeby zadzwonił do pani, jeżeli pamięta coś ważnego.

Spławił mnie grzecznie, ale zdecydowanie, i w dalszym ciągu nie miałam nic, na co mogłabym się powołać.

—Czy chciałby pan coś przekazać rodzicom?

—Dlaczego miałbym... Aha... podkład głosowy do audycji.

—Nie, tego potrzebują w telewizji. Ja potrzebuję czegoś, co mogłabym zacytować.

Milczał przez chwilę. Potem powiedział patetycznie:

—Wiem, co znaczy wszystko stracić, bo straciłem ojczyznę. Możemy jedynie mieć nadzieję, że któregoś dnia chłopiec wróci cały i zdrowy, a wkrótce Kuba będzie wolna.

—Nie rozumiem.

Kuba jako metafora nie była mi niezbędna do życia, ale cytaty nadawał się do użycia. Choć sama jestem pół-Kubanką, nie lubię, kiedy Amerykanie kubańskiego pochodzenia odnoszą wszystko do Castro.

Pracowałam nad artykułem do późna, nazwałam sprawę „jednym z najbardziej zaskakujących przypadków zaginięcia w Miami” i użyłam cytatu Soamesa z PUFFF. Gretchen dawno poszła do domu, co było dla mnie wielkim szczęściem. Dyżurował Bobby Tubbs. Kiedy się u niego zjawiłam, miał jeszcze kawałek wolnego miejsca w dziale lokalnym. Nie mogłam się zdecydować, czy wziąć mój tekst, czy tekst Ryana o braku w hrabstwie pomieszczeń do nauki w szkołach. Nie zawahałam się zaważać o miejsce.

—Jesteś pewna, że nikt nie znajdzie dzieciaka do rana? — spytał lekliwie Tubbs.

—Obiecuję — powiedziałam, krzyżując palce.

Już dziwniejsze rzeczy zdarzały się w naszym mieście. Chciałam, by odnaleziono Charlesa Randolpha, ale nie przedtem, nim mój artykuł znajdzie się jutro rano na trawnikach pod domami. Gdyby chłopak wybrał sobie na powrót akurat dzisiejszy dzień i zrobił z gazety głupka, długo nie byłoby szans sprzedać redakcji miejskiej kolejnego artykułu o zaginionej osobie.

—Jeżeli odnajdą się dzięki temu jakieś tropy, w poniedziałkowym wydaniu ukaże się dalszy ciąg.

Kupił to. Wydanie niedzielne to najlepsze miejsce na takie artykuły. Ma największy nakład, poza tym ludzie uważnie czytają gazetę, bo mają przy śniadaniu czas.

W domu, choć sama i tylko z zimną pizzą w dłoni, czułam zadowolenie z minionego dnia. Lottie gdzieś poszła z Polskim Księciem, ale nie zazdrościłam jej. Złapałam Billy'ego Bootsa i mocno go przytuliłam. Wstąpiła we mnie nadzieja. Jeszcze nigdy czytelnicy z Miami mnie nie zawiedli. Ktoś musiał coś wiedzieć. Wszystko, czego potrzebowałam, to

jeden solidny trop. Dziennikarze są często ostatnią nadzieją w świecie pełnym niechęci i biurokracji. To jedna z radości pracy w moim zawodzie.

Nucąc pod nosem, podrasowałam pizzę kroplą oliwy, szczyptą oregano i plasterkami świeżych pieczarek, nalałam sobie kieliszek czerwonego wina i wypiłam za zdrowie Charlesa Randolpha.

—Gdziekolwiek jesteś, Charles, idziemy po ciebie.

TLR

# Rozdział trzeci

---

Poruszałam się w śnie z gracją baletnicy, podskakując i wirując w kierunku wymykającego się kochanka marzeń, którego chłopięcą postać o jasnych, połyskliwych włosach unosiła się eterycznie jak duch. Kiedy się do niego zbliżyłam, przemienił się w krępą, samotną figurę z pętlą żeglarskiej liny na szyi. Obudził mnie dzwonek telefonu. Siedziałam na łóżku wyprostowana, oszołomiona, chwilę potrwało, nim odzyskałam przytomność.

—Britt, *mi hijita*, moja mała córeczko. Wszystko u ciebie w porządku? — Przy telefonie była ciotka Odalys.

—Oczywiście — odparłam głosem mogącym należeć do narkomana. Rzuciłam okiem na zegarek przy łóżku. Piąta rano.

—Dzieje się coś złego... — szepnęła.

—O czym mówisz? — spytałam z przestachem, mimowolnie ścisząc głos do szeptu.

—Nie wiem. Ojciec dusz, który mieszka w kotle... — Przerwała, jakby nie była pewna, co ma mówić dalej.

—O nie... — Odsunęłam włosy sprzed oczu. — Nie składałaś chyba ofiary z gęsi czy czegoś podobnego? Mamy pełnię?

—Britt! — Była ewidentnie obrażona.

Z całego serca kocham siostrę mojego ojca, ale ponieważ kocham zwierzęta, santeria, krwawa religia, będąca mieszaniną katolicyzmu i kubańskich rytuałów rodem z Afryki, jest dla mnie odrażająca. Kiedy byłam dzieckiem, stosowane przez ciotkę praktyki spowodowały zerwanie kontaktów między nią a moją matką — wywodzącą się z należących do Kościoła episkopalnego pionierów Miami. Właściwie powodów było więcej: religia ciotki, częste aresztowania wuja Hectora, ale przede wszystkim mój ojciec. W jej oczach jego głównym grzechem było tak nieugięte angażowanie się w wyzwolenie Kuby, że została młodą wdową. Nigdy mu nie wybaczyła, że zmarnował swoje życie i naszą wspólną przyszłość.

W oczach pozostałej rodziny jest skazanym na śmierć męczennikiem. Nigdy nie wybaczyli Fidelowi Castro, który wydał rozkaz rozstrzelania go przez pluton egzekucyjny.

Dorastałam w dwóch światach, anglosaskim i latynoskim, ale w żadnym nie czułam się naprawdę u siebie. Mimo to pewne jest, że moim miejscem jest to tętniące życiem miasto światła i cienia, śmierci i namiętności — jakbym była związana z nim więzami tajnego przeznaczenia. Moje związki z Miami są silniejsze i bardziej emocjonalne niż więzy krwi czy pochodzenia.

—Wstałaś tak wcześnie, czy nie spałaś całą noc? — spytałam, opadając na poduszkę.

—Nosisz korale i *resguardo*, które ci dałam?

—Bez przerwy — jęknęłam, zastanawiając się gorączkowo, co z nimi zrobiłam.

—Coś wisi w powietrzu. Coś okropnego...

—To nic niezwykłego. Niemal zawsze tak jest. Może dolatuje do ciebie smród z Palmetto Expressway. Czytałaś o przewróconej ciężarówce?

—Nie żartuję.

—Wszystko jest w porządku.

—Ale muszle porcelanek mówią co innego. *Orishas* są złe. Nic z tego nie rozumiem. Całą noc paliłam świece. Duchy jeszcze nigdy nie były tak podniecone. Jesteś w niebezpieczeństwie. Jesteś córką *Changó*, boga ognia, grzmotu i pioruna. Nadchodzi coś strasznego, zaczyna nas otaczać, ale nie rozumiem kto, gdzie...

—Wszystko będzie dobrze — zapewniłam, po czym odwiesiłam słuchawkę. Lekko się zataczając, poszłam do kuchni zrobić kawę. Choć nie jestem zwolenniczką wiary w zjawiska nadprzyrodzone, staram się nie odrzucać niczego z góry. Pukam w nie malowane drewno, wysypaną sól wyrzucam przez lewe ramię, modłę się. Nigdy nie zaszkodzi być zabezpieczonym ze wszystkich stron.

Dziennikarka w stechnicyzowanym świecie końca dwudziestego wieku musi zajmować się faktami, ale nie wolno zaprzeczać, że na skwarnych ulicach i w skrytych w cieniu miejscach, gdzie odbywa się nieustanna pogoń życia i śmierci, pewne zdarzenia są niemożliwe do wyjaśnienia. Młody policjant budzi się zlany zimnym potem, ponieważ śniło mu się, że został zastrzelony, i kilka godzin później rzeczywiście to następuje — w dokładnie taki sposób, jak we śnie. Kobietę tak przeraża sen o pożarze, że zostaje cały dzień w domu — akurat wtedy wybucha w jej fabryce pożar, w którym ginie troje kolegów. Aktywni, zdrowi ludzie nagle mają przeczucie, że zginą, i rzeczywiście tak się dzieje — dochodzi do niecodziennego wypadku albo przypadkowego aktu przemocy.

Jest coś magicznego w tym znajdującym się na samym dole mapy miejscu, gdzie mieszkamy. Żyjemy na poziomie morza, otoczeni wodą, a olbrzymi księżyc, wiszący na bezkresnym niebie, które wydaje się, że jest bliżej ziemi niż gdziekolwiek indziej na południowej

półkuli, nieustająco ciągnie masy oceanu, powodując potężne przyływy i odpływy. Temperatura rośnie, barometr spada, robi się pełnia i wtedy zaczyna się piekło. Kiedyś starałam się znaleźć logiczne wyjaśnienie każdego zdarzenia, ale teraz zmańdrałam. Jesteśmy nieustająco bombardowani niewidocznymi talami radiowymi i telewizyjnymi, z których istnienia nie zdawalibyśmy sobie sprawy nie mając odpowiednich odbiorników. Podejrzewam, że niektórzy ludzie — choć nie umiem wyjaśnić dlaczego — są odbiornikami innych niewidzialnych sygnałów.

Rok temu ciotka Odalys wymogła na mnie, bym nosiła naszyjnik z czerwonych i białych paciorków i *resguardo* — talizman ochronny. Nie posłuchałam jej i o mało nie straciłam życia.

Kiedy moją kuchnię wypełnił zapach kawy, zabrałam z górnego schodka przed drzwiami gazetę. Niebo było rozpalone i różowe, czułam gorąco, choć miałam na sobie jedynie nocną koszulę. Wyjęłam „News” z plastikowej koszulki i zaczęłam przeglądać. Grzbiet z reklamami powędrował nie otwierany do pudła na makulaturę.

Z pierwszej strony części lokalnej świat witał niewinny uśmiech Charlesa Randolpha. Odwzajemniłam mu uśmiech. Mojego materiału nie wypchnęła z numeru żadna wieczorna sensacja. Artykuł czytał się nieźle. Uwielbiam widzieć swój tekst w porannej gazecie i mieć świadomość, że czyta go jeszcze pół miliona ludzi. Wyobrażam ich sobie — w lokówkach, szlafrokach, walczących z kacem, przy jajecznicy albo ze szklaneczką Bloody Mary w dłoni, wymieniających się stronami małżonków w łóżkach, rodziny przy śniadaniowym stole. Miałam nadzieję, że akurat ten artykuł przeczyta odpowiednia osoba i zdecyduje się powiedzieć, co wie. Kontynuacja artykułu o zamachu bombowym była w dolnej części, tuż pod zgięciem.

Dzwonek telefonu wystraszył siedzącego mi na kolanach Billy'ego Bootsa. Szybko złąpałam słuchawkę, z nadzieją że usłyszę głos McDonalda.

Dzwoniła Lottie.

— Jak poszła randka?

— Właśnie idę się zastrzelić.

— Co się stało?

Romantyczne spotkanie nie zmaterializowało się. Polski Książę nie zjawił się o umówionej godzinie, zaczęła więc na niego polować. Pojechała do jego domu w mieście, do biura, sprawdziła w jego ulubionym źródelku płynów. Nie było po nim śladu.

— Co byś zrobiła, gdybyś go spotkała? Zawahała się na moment.



— To zależy, z kim by był i jak się zachował. Ale to jeszcze nie wszystko. Kiedy w końcu pojechała do domu, wściekła i zdecydowana na dobre dać sobie z nim spokój, w drzwiach znalazła wizytówkę i różę. Natychmiast zadzwoniła do niego do domu, ale nikt nie odebrał.

— Cholera, murzyński taniec...

— Lottie, tak mi przykro. Dlaczego nie zadzwonił, że się spóźni?

— Nie wiem. Jestem pewna, że robi mnie w konia. Przynajmniej nie będzie myślał, że czekam na niego w domu. Pytanie jest tylko, kto kogo przetrzyma.

Roześmiałyśmy się.

— Widziałaś gazetę?

— Tak. Świetny artykuł. Mam nadzieję, że znajdziesz maślaka. Sądysz, że żyje?

— Zdrowy rozsądek mówi, że nie, zwłaszcza po tak długim czasie, ale jego matka uważa, że tak.

— Matki zawsze tak uważają. Widziałaś ten artykuł w dziale redakcyjnym?

— Który?

— Tę głupotę jakiegoś doktora z Harvardu, który twierdzi, że siedem procent populacji jest do cna zepsute.

— Tylko siedem?

— To mnie właśnie zaskoczyło. Cholera, dlaczego wszyscy sprowadzają się do nas?

— A co z resztą? Pięćdziesiąt procent dobrych i reszta niezdecydowana?

— Nic tu o tym nie mówią.

Nienawidzę, kiedy w artykule jest dziura. Popijałam kawę, diabelsko mocny, czarny jak węgiel płyn, który natychmiast mnie rozkręca.

— Tuż przed tobą dzwoniła ciotka Odalys i powiedziała, że czyha nad nami coś niedobrego.

— Może ma rację. Też coś czuję w kościach. Mam nadzieję, że uda mi się to pstryknąć w kolorze.

Poszłam na dziewiątą rano na mszę do kościoła obok pasażu handlowego przy Lincoln Road. Kiedy msza się zaczynała, okolicę zalewały promienie słońca, a kiedy zebrani śpiewa-

li „bezpieczny i spokojny przed wszelkim niepokojem”, rozszalała się burza, wyrzucając z siebie oślepiające salwy błyskawic i wyzwalając chór zawodzących, wyjących i trąbiących alarmów samochodowych. Kakofonia przypomniła mi Alexa i parking stacji WTOP. Kiedy uroczystość się kończyła, niebo się rozjaśniło, a jedynymi pozostałościami po błyskawicznie się przenoszącej burzy były poobrywane kwiaty, liście, gałęzie i mokre chodniki.

Czułam, jak w wilgotnym upale skręcają mi się włosy. Postanowiłam pojechać na chwilę do domu. Kiedy zaparkowałam samochód i wysiadłam, zauważyłam, że na schodkach przed moimi drzwiami ktoś siedzi. Szczupły, trzynasto- może czternastoletni jasnowłosy blondyn przyglądał mi się i nerwowo szurał nogami. Kiedy podniósł głowę, ujrzałam błękitne oczy, nieco ciemniejsze od koloru koszuli z krótkimi rękawami, którą miał na sobie. Był ubrany w jasne spodnie i sportowe buty. Chciałam przełknąć, ale nagle wyschły mi usta.

— Britt? — Energicznie skoczył na nogi, wyrosnięte kończyny zabujały przy tym jak w nieco nieporadnie prowadzonej marionetce. — Przyjechałaś po mnie?

Opadła mi szczęka i zamarłam, zapatrzona w niego. Zmrużył podejrzliwie oczy.

— Wiesz, kim jestem, prawda?

— Ttak... — odparłam słabo. Kręciło mi się w głowie.

— Powiedziałaś, że będziesz pamiętać. Obiecałaś mojej babci, że pokażesz mi „News” od środka i zabierzesz w kilka miejsc, o których piszesz artykuły. Tak więc jestem!

Rzucił mi spojrzenie mające naśladować lubieżność Groucho Marxa, zrobił dwa kroki do przodu i obcesowo wyciągnął do mnie rękę.

— Ba ba bumm! Okropny. Co za gówniarz. Jestem Seth.

— Seth?

Na szyi miał zawieszony na skórzanym pasku tani aparat fotograficzny, z tylnej kieszeni spodni wystawał mu reporterski notes. W kieszonce na piersi miał trzy cienkopisy. Wyciągnął wizytówkę.

— Seth Goldstein. Zastępca kierownika działu miejskiego „Gazette”, Eastside Junior High School w Hopewell w stanie New Jersey.

— Oczywiście, że nie zapomniałam — skłamałam i znów zaczęłam oddychać. — Byłam zaskoczona, ponieważ jesteś bardzo podobny do kogoś, o kim właśnie piszę.

Co mi chodziło po głowie, kiedy składałam tę obietnicę? Czego się wtedy napiłam? Musiało to być w czasie *sederu* u Goldsteinów, uroczystej wieczerzy, na którą zaprosili mnie w drugi dzień święta Paschy. Powoli zaczynałam sobie przypominać tamtą rozmowę. Bystry jak cholera, bardzo wysoki iloraz inteligencji, przyszły dziennikarz. Seth.

—Czytałem. W dzisiejszym wydaniu. TAJEMNICA ZAGINIONEGO CHŁOPCA. Babcia przysłała mi wszystkie twoje artykuły. Wieszamy je na tablicy ogłoszeń w naszym dziale wiadomości.

Kiedy otwierałam drzwi, stał tuż za moimi plecami. Nie zdradzał ochoty, by sobie pójść. Wręcz przeciwnie, wszedł za mną do środka i sunął krok w krok niczym szczeniak za suką. Odmówił zjedzenia jajka na miękko, ale połknął trzy kawałki tostu rodzynkowego i wypił całą moją kawę. Mimo ostrzeżenia, że w niedzielę niewiele się dzieje w dziedzinie, którą się zajmuję, i sugestii, by raczej poszedł na plażę, jego entuzjazm był nie do pohamowania.

—Jak często przyszedł dziennikarz ma okazję być sam na sam i podglądać w działaniu laureatkę Nagrody Zielonego Daszka Przeciwsłonecznego w kategorii reportażu błyskawicznego? — zapytał, dowodząc, że dobrze odrobił lekcje. — Myślisz, że wolałbym spędzić ostatnie dwa tygodnie wakacji z dziadkami? — Wzniósł oczy do góry. — To moja wielka szansa brać udział w akcji z asem reportażu wielkomijskiej gazety.

—Pojedziemy do kostnicy? — spytał z podnieceniem, kiedy jechaliśmy do redakcji.

—Tylko nogami do przodu.

Jednym z plusów pracy w weekendy jest prawie pusta redakcja. Mniej więcej o tej porze powinny już być pierwsze reakcje na mój artykuł. Przesłałam przez telefon mój kod i razem z ciągle zadającym pytania i chłonącym wszystko Sethem poszłam do pokoju agencyjnego, gdzie drukowały się wiadomości dla mnie. Drukowały i drukowały, i drukowały. Im więcej drukarka wypluwała papieru, tym bardziej rosło mi serce.

Oderwałam papier po ostatniej wiadomości i z podnieceniem przebiegłam wzrokiem listę, z nadzieją że gdzieś między czterdziestoma ośmioma telefonami jest rozwiązanie zagadki zniknięcia Charlesa Randolpha.

Jeden z telefonów był od mojej matki. Postanowiłam zadzwonić później. Najpierw wykręciłam numer Randolphów. Może mieli nowe wiadomości. Dodzwoniłam się dopiero za trzecim razem. Podniósł pan Randolph, Cassie wzięła do ręki dodatkową słuchawkę. Zaskoczeni, że pracuję w niedzielę, zaczęli mi dziękować za artykuł i powiedzieli, że ich telefon dzwoni bez przerwy od szóstej. Nikt nie dostarczył żadnej informacji, jedynie dawni koledzy z pracy, przyjaciele, sąsiedzi i obcy ludzie przekazywali słowa sympatii i zgłaszali chęć pomocy.

—Wszyscy chcą pomagać — powiedział Randolph. — Pytają, co mogliby zrobić. Nie wiem, co mówić.

Na chwilę oślepił mnie błysk światła i nawet po kilkakrotnym mrugnięciu miałam przed oczami ciemne placki. Seth siedział przykucnięty przed moim biurkiem i właśnie zrobił mi zdjęcie.

—To się może przydać — powiedziałam Randolphowi, zasłaniając oczy dłonią. — Niech pan zapisuje adresy i numery telefonów. Jeżeli nie pojawi się żaden konkretny trop, może warto będzie poprosić ludzi o roznoszenie ulotek, zorganizowanie demonstracji albo wzięcie udziału w marszu milczenia. W czymkolwiek, co uznamy za przydatne, aby nie zapomniano o sprawie. Im bardziej się ją nagłośni, tym lepiej.

—Reporter z Kanału Dziesiątego chce wpaść, żeby zamienić z nami kilka słów i sfilmować pokój Charlesa. Uważa pani, że to dobry pomysł? — Chyba miał co do tego wątpliwości.

—Jak najbardziej — powiedziałam, kręcąc ostrzegawczo głową i rzucając zabójcze spojrzenia Sethowi, który znów mnie namierzał. — Niech mu pan tylko nie pozwala czegokolwiek dotykać. Teraz, kiedy sprawa została nagłośniona, może się zdarzyć, że policja zechce zdjąć z książek albo innych rzeczy Charlesa odciski palców, albo wziąć z jego grzebienia czy szczotki próbki włosów.

—Zdawało mi się, że to pani temat.

—Chcę jedynie, żeby informował mnie pan pierwszą, gdyby zaszło coś nowego. Zgoda?

—Oczywiście, w końcu jest pani jedyną osobą, która zechciała nam pomóc.

—Były jakieś dziwne telefony?

Zawahał się, najwyraźniej nie zamierzał o tym mówić.

—Kilka. Zadzwonił jakiś dzieciak i zaczął jęczeć: „Tato, mamó, przyjedź po mnie”, podczas gdy w tle było słycać chichoty jego kolegów. Dzwoniła też dziewczyna, nastolatka i chciała rozmawiać z Charlesem.

Zawsze zadziwia mnie okrucieństwo dzieciaków. Z radością skreśliłabym paru z nich chudy kark. Najbardziej przeraża mnie to, że wielu z nich to już wcale nie dzieciaki.

—Jak mogą... — mruknęłam, kiedy Cassie odłożyła słuchawkę i poszła do kuchni.

—Nie szkodzi. Poradzimy sobie z tym. Najważniejsze, że istnieją ludzie, dla których sprawa nie jest obojętna i chcą pomóc. Zrobić cokolwiek, co pomoże go odnaleźć.

—Ma pan rację, to najbardziej się liczy. Jeżeli dostaniecie kolejny „dowcipny” telefon, proponuję szepnąć dramatycznym tonem, tak jakby obok stał policjant: „To znów ci sami, poruczniku...” Da im to trochę do myślenia.

Seth, wypinając dumnie pierś z przypiętym identyfikatorem, siedział za biurkiem Ryana i stukał w klawisze jego komputera.

—Uważaj! — ostrzegłam go. — Niczego nie dotykaj.

—Jezu, ale system... — było jedyną odpowiedzią.

Zaczęłam oddzwaniać. Mężczyzny z hrabstwa Broward nie interesował Charles Randolph. Miał własną obsesję. Jego matka zniknęła bez śladu, kiedy miał dziesięć lat. Prawdopodobne było, że dokonano przestępstwa, od dawna głównym podejrzanym był jego agresywny ojczym, ale nigdy nie został oskarżony. Poradziłam mu zgłoszenie się do naszej filii w Broward.

Nauczycielka z Hialeah Gardens też nie miała informacji o Charlesie, ale chciała, bym pomogła jej znaleźć pewną osobę. Była bardzo wstydliva i spędziła czterdzieści lat w panińskim stanie, spotkała jednak przystojnego nieznajomego, który niemal zwałił ją z nóg. Po trzech tygodniach dzikich zalotów wzięli ślub. Osiem błogich miesięcy później przyczepił łódź do samochodu i pojechał na dzień lub dwa na ryby. Zdarzyło się to rok temu. W odróżnieniu od sceptycznej policji, uważała, że miał wypadek albo stał się ofiarą przestępstwa. Prawie bym uwierzyła, dodała jednak, że kiedy chciała zawiadomić o zaginięciu męża jego rodzinę w San Antonio, okazało się, że i oni zaginęli. Nie istnieli ani tacy ludzie, ani podany adres. Mężczyzna, za którego wyszła za mąż, nie miał przeszłości, przynajmniej nie pod znanym jej nazwiskiem.

Zaciskając zęby, zaczęłam wciskać kolejny numer, kiedy z boksu redaktora działu miejskiego pomachał Bobby Tubbs. Wystarczyło zobaczyć jego minę. Jęknęłam.

—Pod Miami Dream Motel przy Północnowschodniej Drugiej Alei jest strzelanina!

—Znowu? Cholera! — Złapałam notes i torebkę. Gdzie się podziały spokojne niedzielne poranki w Magicznym Mieście? — To pewne? — Nienawidzę pogoni za kaczkami dziennikarskimi.

Wzruszył ramionami.

—Lottie dzwoniła. Jest tarn.

—Strzelanina? Super! — zawołał Seth. W drodze do windy przegonił mnie o kilka długości.

Miami Dream Motel został owinięty jaskrawożółtą policyjną taśmą jak prezent. Różowo-fioletowa fasada była podziurawiona pociskami z broni ręcznej dużego kalibru.

—Trzymaj się mnie i nie wchodź w drogę — ostrzegłam Setha. Ruch był zablokowany, a budynek pełen policji. Trzecia strzelanina

w ciągu miesiąca mogła kosztować hotel licencję. Podobnie jak jest to stosowane wobec popełniających wykroczenia kierowców, władze miasta wprowadziły system punktów karnych, obciążających hotelarzy za popełniane na ich terenie przestępstwa. Przyznaje się je za morderstwa, strzelaniny, aresztowania prostytutek, handel narkotykami i interwencje oddziału specjalnego. Kiedy dany budynek traci prawo do prowadzenia w nim działalności, pustoszeje, przemienia się w melinę narkotykową i władze mają jeszcze więcej problemów.

Patio motelu przypominało pole bitwy. Wszędzie była krew, leżał jeden trup, czterech rannych klęło, jęczało i postękiwało. Wyglądało mi to na kolejną potyczkę między zwalczającymi się frakcjami z Jamajki: wiejskimi chojrakami znad Montego Bay oraz miejskimi kowbojami z Kingston. Dziś zwycięzcami byli gliniarze z Miami, którym udało się złapać większość uczestników, zbyt poturbowanych, aby mogli uciekać.

Istniała szansa sprawdzenia, kto obecnie bierze udział w walkach, i uaktualnienia mojej listy „trafionych”. Tydzień temu do sali przyjęć szpitala hrabstwa wtoczył się ostatkiem sił postrzelony w pierś i plecy Jamajczyk. Powiedział policji, że nazywa się Desmond Whitacker i właśnie, nikomu nie wadząc, szedł sobie ulicą, kiedy białym cadillakiem podjechał do niego rastafarianin, którego zna jako Dino, i bez powodu zaczął do niego strzelać. Ranny przeżył operację i leżał teraz na oddziale intensywnej terapii.

Pomyślałam, że może dałoby się teraz zweryfikować tę wersję, ale na ulicy nie było wiadać białego cadillaka.

—To wszystko rastafarianie, prawda? — spytałam Cala Woodruffa, chudego detektywa w ciemnym garniturze.

Popatrzył na mnie zde gustowany i wbił wzrok w wyglądającego zza moich pleców Setha, trzymającego w ręku notes i coś do pisania.

—Britt, wystarczy, że mam ciebie na karku, a teraz jeszcze cień... — Cicho jęknął i poprawił okulary. Bez dwóch zdań, Woodruff wolałby w tak gorący dzień znajdować się całkiem gdzie indziej, najlepiej tam, gdzie jest klimatyzacja. — Wszyscy wyglądają jak rastamani, wszyscy gadają jak rastamani, ale jeszcze nigdy nie spotkałem prawdziwego rastamana.

Woodruff mógł mieć rację. Jamajska Komisja do spraw Turystyki twierdzi, że w Miami mieszka niewielu prawdziwych rastafarian, są oni nastawieni pokojowo, zajmują się działalnością artystyczną i nikomu nie szkodzą. Nie każdy, kto ma dredy, musi być od razu rastafarianinem.

— Jak ja nienawidzę, kiedy się strzelają... — Woodruff był ujmujący. Nie zwrócił uwagi na to, co mówię.

— Oni chyba też nie lubią dostawać kulki.

— Każdy jest ofiarą — ciągnął gorzko. — Nigdy nie podają prawdziwych nazwisk. Większość z nich przebywa tu nielegalnie, ale twierdzą, że pochodzą z Karoliny Południowej, tyle tylko że żaden nie ma tamtejszego akcentu. — Rzucił notes na tylne siedzenie swego prywatnego samochodu i wyjął z kieszeni długopis. — Spisywanie ich jest gównem, a ten z tych skurwielów, który nie umrze w szpitalu, znika w tej samej sekundzie, kiedy się go wypisuje, i szukaj wiatru w polu.

— To kiepsko, kiedy ofiary przestępstw trzeba ganiać jak złodziei — powiedziałam łagodząco.

Głos Woodruffa miał w sobie ten sam ton zniechęcenia co głos Lottie, kiedy streszczała pościg za Polskim Księciem.

Podeszłam do leżącego na noszach jednego z rannych, by zamienić z nim kilka słów. Postrzały w obie nogi uniemożliwiły mu ucieczkę. Skamłając, powiedział, że ma na imię Rat i o niczym nie wie. Kiedy go postrzelono, spacerował ulicą, nie wadząc nikomu. Kiedy to mówił, w miejscu, gdzie upadł, technik fotografował dwa wrednie wyglądające pistolety — półautomatycznego waltera i dwunastostrzałowego browninga. Oba miały wystrzelane do ostatniego naboju magazynki.

— Kim byli ludzie, którzy do pana strzelali? — zapytałam.

— Ach, to handlarze dymu... jeżdżą po okolicy i strzelają do ludzi. — Popatrzył na mnie podbiegłymi krwią oczami, starając się, aby to brzmiało wiarygodnie. — Szedłem sobie chodnikiem, kiedy pojawił się ten samochód i zaczęli strzelać.

— Są na pana o coś źli?

Kiedy wsuwano go do karetki, zapatrzył się w przepływające w górze puchate chmury.

— Na to wygląda.

Sanitariusz zatrzasnął za nim drzwi.

— A to, do jasnej cholery, kto? — wrzasnął któryś z policjantów. Gwałtownie się odwróciłam. Trup z dreadami na głowie w dalszym ciągu leżał na plecach, z rozrzuconymi na boki ramionami. W strefie otoczonej policyjną taśmą stał Seth, w szerokim rozkroku nad ciałem, zgięty w pół i nisko pochylony, z bliska robiąc zabitemu zdjęcia. Wrzeszczeli na niego policjanci.

—Nie! — zawylałam. — To turysta! Zaraz się nim zajmę. — Podeszłam do niego. — Seth, zwiewaj stąd! — kazałam mu wyjść poza żółtą taśmę. Udawał, że mnie nie słyszy, póki nie skończył mu się film. Był naprawdę dobry. Twarz mu płonęła. Byłam gotowa założyć się o każde pieniądze, że jego koledzy z uwagą obejrzą sobie wakacyjne zdjęcia z Miami. Co sobie o nas pomyślą w Hopewell w stanie New Jersey? Co pomyśli o mnie jego babcia?

Był wszędzie, zaglądał przez ramię sanitariuszom, szedł jak cień za technikami, nie odstępował na krok detektywów. Obiecałam sobie solennie, że już nigdy nie poczęstuję go kawą.

Gliniarze starali się odróżnić, które dziury po kulach są świeże, a które pochodzą z poprzedniej strzelaniny, ja poszłam rozmawiać ze świadkami, spotkałam Lottie i przedstawiłam Setna, który natychmiast zainteresował się jej aparatami. Kiedy przeszukujący policyjne pasma skaner wychwycił na jej krótkofalówce informację o strzelaninie, właśnie jechała na śniadanie.

Spróbowałam odesłać z nią Seta do redakcji, ale uparł się jechać ze mną do szpitala, gdzie Woodruff zamierzał uporządkować dotychczas uzyskane informacje. Dziennikarze nie mają prawa wstępu do izby przyjęć, jeżeli jednak wpadam do środka razem z gliniarzami z przypiętym identyfikatorem prasowym, który z daleka jest podobny do identyfikatora policyjnego, często udaje mi pozostać nie odkrytą.

—Zaczekaj na zewnątrz — kazałam Sethowi.

W środku zespół traumatologów zajmował się najbardziej poszkodowaną ofiarą — postrzeloną, ale przytomną. Woodruff miał nadzieję, że uda mu się porozmawiać z tym człowiekiem, zanim zabiorą go na chirurgię. Stałam obok detektywa i, zezując na prawo jazdy w jego dłoni, spisałam nazwisko. Clement Blake.

—Myślisz, że ma to związek z incydentem z zeszłego tygodnia? — spytałam.

—Masz na myśli sprawę Desmonda Whitackera?

—Chyba tak się nazywał.

—Możliwe. Chętnie pogawędziłbym sobie z nim o prawdziwym Desmondzie Whitackerze z Nowego Jorku, który dwa miesiące temu w czasie napadu stracił samochód i portfel.

—Kim więc jest nasz Desmond Whitacker?

—Właśnie o to chciałem zapytać. Zobacz! O wilku mowa! Korytarzem szedł powoli wymizerowany mężczyzna w szpitalnej piżamie.

Włókł za sobą stelaż z zawieszonymi wysoko butelkami, z których skąpy wały mu do żył różne płyny.



—To on. To ten facet strzelał w zeszłym tygodniu — stwierdził Woodruff. — Wygląda znacznie lepiej.

Desmond Whitacker, czy jak się tam nazywał, przyjrzał się rannemu, nad którym pracowali lekarze.

—To człowiek, który do mnie strzelał! — wrzasnął nagle, gwałtownie wyciągając połączoną rurką ze stelażem rękę i wskazując na dopiero co postrzelonego.

Wyjąc, skoczył do przodu. Zablokowała go pielęgniarka, inna zaczęła wołać ochroniarzy.

—Mam nadzieję, że nie położą ich w tym samym pokoju — mruknęłam.

—Cholera, muszę z nim porozmawiać! — rzucił Woodruff i w tym samym momencie ożył jego walkie-talkie. Dyspozytor przekazał, że prawdziwy właściciel prawa jazdy na nazwisko Clément Blake siedzi w więzieniu, i to od dwóch tygodni.

—To pewne? — spytał Woodruff.

—Bez najmniejszej wątpliwości.

Jeden z lekarzy dał znak, że można przez chwilę porozmawiać z pacjentem.

—Kto pana postrzelił? — zaczął detektyw. Wzruszenie ramionami.

—Jak się pan nazywa?

—Clément Blake — mruknął słabo.

—Clément Blake siedzi w więzieniu. Ma pan jego dowód osobisty. Jak pan się faktycznie nazywa?

Mężczyzna westchnął.

—Clive. Clive Steadman. — Było to wszystko i już jechał na chirurgię. Detektyw zauważył, że zapisuje nazwisko.

—Nie tak szybko — powiedział marszcząc czoło. — Clive Steadman został miesiąc temu zamordowany na między stanowej.

Przypomniałam sobie. Martwy kierowca, przewrócony na bok samochód, uciekający ranni pasażerowie. Teraz ja zmarszczyłam czoło.

—Ale przed zamknięciem numeru musimy poskładać wszystkie nazwiska do kupy. Potrzebujemy ich do mojego artykułu i podpisów pod zdjęciami Lottie!

Detektyw zakrył podkrążone oczy okularami.

—Jeżeli wam się uda, daj mi znać.

Wszedł Peterson, niski, krępy policjant i na ladzie boksu pielęgniarek rozłożył niczym karty prawa jazdy pozostałych ofiar.

—Popatrz — zaczął zwracając się do Woodruffa. — Dwóch ma to samo nazwisko i datę urodzenia, ale zdjęcia są różne. Co z tym zrobić?

Woodruff zaklął, Peterson odwrócił się do mnie.

—Cześć, Britt, czytałem twój dzisiejszy artykuł. Jesteś pewna, że nie pomyliłaś nazwiska dzieciaka?

—Słucham?

—Mógłbym przysiąc, że zajmowałem się tą sprawą, kiedy jeszcze robiłem na południu. Spisywałem protokół zgłoszeniowy. Rysopis był identyczny, ale nazwisko inne.

—Ciekawe — odparowałam i wyszłam.

Gliniarze uwielbiają podpuszczać, ale nie byłam w nastroju do zabaw.

Jedynymi osobami przed izbą przyjęć byli sanitariusze, wyładowujący z karetki staruszkę, która przewróciła się na korytarzu w domu starców.

— Niech cię cholera, Seth... — mruknęłam rozglądając się. — Gdzie się schowałeś?

Sanitariusze nie widzieli go. Oburzona, poczłapałam z powrotem do mojego t-birda. Przy samochodzie też go nie było. Gdyby był trochę starszy, bez mrugnięcia okiem bym go zostawiła, żeby sam sobie znalazł drogę do domu, ale miał dopiero dwanaście lat, a szpital znajdował się w niezbyt bezpiecznej okolicy.

Wróciłam do izby przyjęć. Woodruff i jeszcze dwóch gliniarzy siedziało nad papierami.

—Widzieliście dzieciaka, z którym przyjechałam? Tego z aparatem.

—Masz na myśli Jimmy'ego Olsona? — spytał Woodruff.

Nie widzieli go. Tak samo ochroniarz przy wejściu. Seth zniknął. Moja złość zaczęła przechodzić w niepokój. Co powiem pani Goldstein? „Przepraszam, ale zgubiłam pani wnuczka”? Obiecał czekać przed wejściem. Przypomniał mi się Charles Randolph. Co powiedział detektyw z Gables?

PUFFF...

Wybiegłam z powrotem przed szpital. Znów pudło. Zastanawiałam się gorączkowo... Kostnica... cały dzień mówił o pojechaniu do kostnicy. Siedziba anatomopatologów była tuż za rogiem, przy Bob Hope Road numer jeden. Wskoczyłam do samochodu, trzęsącymi się rękami przekręciłam kluczyk. Wyjechałam tyłem z parkingu i właśnie skręcałam, kiedy w tylnym lusterku mignął Seth, z puszką coli w jednej ręce i torebką chipsów w drugiej.

—Hej! — wrzasnął, otworzył drzwi i wskoczył na siedzenie obok mnie. — Zamierzałaś jechać beze mnie?

—I to jak cholera. — Kolana zmiękły mi z ulgi i musiałam się powstrzymać, aby go nie objąć. — Nigdy więcej tego nie rób, Seth.

Zostawiłam go w ciemni z Lottie, gdzie mógł jej trochę pomóc i przy okazji posłuchać policyjnych komunikatów, wyłapywanych przez skaner na radiostacji, i wróciłam do pracy. Ledwie usiadłam za biurkiem, zadzwonił telefon.

—Zadzwoniłbym rano — odezwał się głos McDonalda — ale musiałem zająć się samochodem.

—Cherokee? Co się stało? Ukradli ci go?

—Nie, to długa historia. Jeden z kolegów z kursu jest szeryfem w Teksasie. Wielki, barczysty facet o łapskach jak kowal. Ostro baluje. W piątek wieczorem pożyczył samochód, a kiedy pojawił się dziś rano i spytałem go, gdzie zaparkował wóz, popatrzył na mnie błędnym wzrokiem i tylko wydyszał: „Jezus Maria... Miałem twój samochód? Cholera jasna, wróciłem do domu taryfą...”

—O nie... —jęknęłam, przypominając sobie niejedną miłą chwilę, jaką spędziliśmy wspólnie w jego dziuple cherokee.

—Pojechałem do miasta poszukać samochodu. Znalazłem go pod knajpą, która nazywa się John Dandy, taką speluną dla łobuzów z podłogą posypywaną trocinami. Nie był nawet zadrapany. Ten Teksaszczyk to charakterny gość.

Kilka dni temu ktoś zapytał go, co się u nich robi, jeżeli ktoś spotkany przy granicy zaczyna uciekać, na co bez wahania odparł: „Strzela”.

—Przyjemne... —jęknęłam. — Może mógłby nam pomóc w rozwiązaniu naszych problemów z imigrantami. Powiedziałaś, że to Teksaszczyk? Żonaty?

—Dlaczego pytasz?

—Może znam odpowiednią dla niego kobietę.

—Lottie?

—A dlaczego by nie?

—Myślałem, że spotyka się z jakimś prawnikiem.

—Konkurencja to zdrowa rzecz.

—Naprawdę?

—Jasne —: odparłam z przekorą.

Kiedy opowiedziałam mu o wysadzeniu samochodu i bitwie w Miami Dream Hotel, od razu zatęsknił za domem. Przynajmniej tak twierdził. Wyglądało na to, że brakuje mu informacji o tym, co się u nas nowego dzieje, oraz policyjnych plotek, w miarę możliwości go więc wprowadziłam. Nie omieszkałam wspomnieć o historii z Charlesem Randolphem.

—Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że coś mi się z tym kojarzy — odparł.

—Chłopiec nigdy nie miał kontaktu z policją.

—Dowiedz się, czy ludzie z Gables wysłali kiedykolwiek do jego domu technika, by spróbował zdjąć z rzeczy odciski palców. Byłby potworny wstyd, gdyby okazało się, że nie mamy próbek.

—Nie wysłali technika. Wygląda na to, że prowadzący sprawę detektyw zrobił najmniej, jak tylko się dało.

—Tęsknię za tobą — wtrącił nieoczekiwanie McDonald, romantyczny jak zwykle przez telefon.

—Jeszcze trzy miesiące — odparłam, przesyłając do słuchawki całusa.

—Może nie... — mruknął. — Może dostaniemy wolne w długi weekend przed Dniem Pracy. Nie planuj nic w tym czasie, może przylecę.

—Brzmi to znakomicie. Mogę odebrać sobie w tym czasie nadgodziny. Zastanawiałam się potem, dlaczego, choć tak pragnę tego mężczyzny, rozmawiam z nim tak obojętnie. Obiecałam sobie, że następnym razem będzie inaczej. Ciężko pracowaliśmy nad tym, by nasze zawody nie powodowały konfliktów między nami. Nigdy nie pytał, czy w czasie jego nieobecności spotykam się z kimś innym, wręcz dał mi na to przyzwolenie. Sądził, że to robię? Jak było z nim? Czy dlatego poprosił, bym nic nie planowała w weekend Dnia Pracy? Czyżby dzieliło nas coś jeszcze poza odległością? Na szczęście nie miałam czasu na walkę z cieniem.

Następną osobą na mojej liście osób do oddzwonienia była kobieta, która interesowała się sprawą Charlesa Randolpha, ponieważ jej syn także zaginął. Razem z najlepszym kolegą.

Tak dawno temu, iż należało zakładać, że nie żyją. Agent z Wydziału do spraw Narkotyków przekazał jej nieoficjalnie, że obaj zostali zastrzeleni w czasie przerzutu towaru u wybrzeży Key West i pozostawieni na miejscu śmierci. Wydarzyło się to dwanaście lat temu, ale mimo że jej syn miał na koncie szereg aresztowań w związku z narkotykami, kobieta nie chciała się pogodzić z tą wersją.

—Czy istnieje szansa — zapytała mnie — że żyje i przez te wszystkie lata pracował dla rządu w ukryciu jako tajny agent?

Choć starałam się ubrać odpowiedź w jak najłagodniejsze słowa, nie spodobała jej się.

—Dzwoniłam w sprawie chłopca Randolphów... — powiedziała następna kobieta. Jej głos brzmiał, jakby była przeziębiona. — Przepraszam, że zawracam głowę, ale nie mogłam się powstrzymać. Zobaczyłam dziś rano zdjęcie i... — Pociągnęła nosem i wydmuchała go w chusteczkę. — Przepraszam, płakałam.

—Znała go pani? — Przekręciłam krzesło tak, by móc robić notatki.

—Nie... — szepnęła. — To mimo wszystko szok. Jest tak podobny do mojego syna...

—Aha... — Rozczarowana, zaczęłam sprawdzać na liście, czego dotyczył następny telefon do mnie.

—David zaginął cztery lata temu.

Na te słowa poczułam mrowienie na kręgosłupie.

—Co się stało?

—Jestem rozwiedziona z jego ojcem. Był u niego w czasie weekendu, pokłócili się i David wybiegł na ulicę. Chodziło o jakiś drobiazg, wie pani, jakie są dzieci. Nie miał przy sobie pieniędzy i wygląda na to, że próbował wrócić do domu autostopem. Mieszkam przy Surfside. Nigdy więcej go nie widzieliśmy.

David Clower miał dwanaście lat, jasne włosy, błękitne oczy i był szczupły.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, otworzyłam plik pod tytułem ZAGINIENI i wbiłam wzrok w dane dotyczące Butcha Beltrana. Jasne włosy, błękitne oczy, szczupły, zaginiony w marcu.

Co tu się, do cholery, działo?

## Rozdział czwarty

---

Kiedy obudziłam się następnego dnia, od razu zaczęłam myśleć o zaginionych chłopcach. Poranne wiadomości donosiły, że trzeci huragan w tym sezonie, który spadł na Bermudy, zmienił kierunek i właśnie zanika gdzieś nad oceanem. Meteorolodzy co prawda zaobserwowali nowy front niskiego ciśnienia, który spłynął nad Atlantyk znad Senegalu, było to jednak tysiące kilometrów stąd, i to w miejscu gdzie poszczególne elementy — gorąca woda, ciśnienie, wiatry i kilka innych czynników — aż się proszą, by przekształcić się w sztorm. W czasie „dobrego” sezonu letniego pojawia się mniej więcej sto dwadzieścia pięć fal tropikalnego powietrza. Mniej więcej dziesięć przemienia się w tropikalne niży. Z około sześciu robią się tropikalne sztormy, cztery rozrastają się w huragany. Tuż przed śniadaniem zadzwoniła matka.

—Co robiłaś, kochanie? Dlaczego nie oddzwoniasz?

Nie czekając na odpowiedź, zaczęła paplać o nowej modzie zimowej. W zimie marzę jednak głównie o bikini i plaży. Nie interesowała mnie opowieść o skórzanych paskach, szykownych pantoflach i stylizowanych na lata czterdzieste garsonkach, które będą lansowane w organizowanych przez nią pokazach.

Kiedy zrobiła przerwę na oddech, a ja z kolei zaczęłam mówić o tym, co mnie interesowało, nie spotkało się to z żadną reakcją z jej strony. Do momentu, w którym wspomniałam o Alexie Aguirre.

—Widziałam to w telewizji — stwierdziła. — Ci okropni ludzie, tak brutalni...

—Nie czytałaś mojego artykułu? — spytałam natrętnie, jeżeli bowiem moja własna matka nie czyta tego, co piszę, to kto ma to robić?

—Znasz moje stanowisko dotyczące przestępczości i przemocy — odparła krótko, omijając pytanie.

—Zajmuję się rubryką policyjną, mamó. — Zabrzmiało to, jakbym była szukającym aprobaty dzieckiem, ale nic nie mogłam na to poradzić.

—Kiedy zostaniesz awansowana do zajmowania się czymś bardziej pozytywnym?

—To nie o to chodzi, mamó. Lubię to, co robię. — Wyjaśniałam to jej chyba po raz tysięczny. — Tu są najlepsze tematy, prawdziwe ludzkie opowieści. Dział policyjny to dla re-

portera złota żyła. Można ujawniać czarne charaktery, wydobywać na światło dzienne nowe okoliczności, pokazywać różnicę między dobrem a złem.

—Nic się nigdy nie zmienia, Britt. Nie zbawisz świata. Po tym, jak zginęła tamta dziennikarka, o mało sama nie straciłaś życia i musiałaś przeżyć takie poniżenie, pomyślałam sobie, że zarówno ty, jak i ci, którzy tobą kierują, opamiętacie się. Już choćby zdrowy rozsądek mówi, że nie wolno igrać z losem.

To ostrzeżenie słyszałam przynajmniej po raz dwudziestotysięczny pierwszy. Tyle samo razy musiała je mówić ojcu. Pewne rzeczy się nie zmieniają.

Musiała usłyszeć moje westchnienie, bowiem gwałtownie zmieniła temat.

—Na pewno cię ucieszy, że styl grunge jest już niemodny — zaświergotała wesoło.

—Cóż za szkoda. Pasował mi jak ulał.

—Niektóre nowości są takie wesołe! — zagruchała, ignorując mój sarkazm. — Torebki w kształcie doniczek będą hitem, i to im bardziej kiczowate, tym lepiej. Podobnie sztuczne futro i plastikowe buty do pół uda.

Wyobraziłam sobie, jak wchodzę do komendy głównej policji w futrze ze sztucznego futra i plastikowych butach do połowy uda, a potem wyciągam notes z torebki w kształcie doniczki. Na pewno nikt by mnie nie potraktował jak powietrza. Powstrzymałam się jednak od ironicznego komentarza, nagle bowiem miałam wizję Cassie Randolph, matki, która płakała przez telefon z powodu zaginionego syna, a także przypomniało mi się, jak to w najczarniejszej godzinie mojego życia matka dla ratowania mnie bez namysłu zastawiła wszystko, co posiada.

—Kocham cię, mamo.

Na ułamek sekundy zamilkła, potem znów zaczęła gadać, jakby nic nie usłyszała.

—Nowe długości sukienek nieco bardziej pasują do rzeczywistości, dochodzą do połowy kolana, ale mam także poważne zamówienia na białe skarpetki tuż za kostkę i sandały na koturnie.

—Masz całkowitą rację — stwierdziłam. — Ale ja też. Obiecałyśmy sobie, że spotkamy się w tym tygodniu na lunchu. Zdarzały

się takie chwile, kiedy myślałam, że należałoby się poddać badaniom DNA, byłam bowiem przekonana, że zostałam zamieniona po urodzeniu, szybko mi to jednak przechodziło, jestem bowiem tak bardzo podobna do ojca... Nasz duchowy związek jest nierozzerwalny, choć praktycznie się nie znaliśmy. Zawsze, kiedy jestem w niebezpieczeństwie albo w rozpacz, ojciec mi towarzyszy. *Estamos juntos*. Jesteśmy razem. Mam naprawdę niewiele

związanych z nim wspomnień. Pamiętam, jak stoję w kojcu, ustawionym pod drzewem grapefruitowym na nasłonecznionym podwórku, wyglądam przez pręty, ojciec przychodzi, nachyla się, przebijające się przez liście słońce tworzy na jego twarzy grę światłocieni, a on zabiera mnie z więzienia i podnosi coraz wyżej i wyżej. Pamiętam ciepło, kiedy mówi *mi angelito rubia*, i śmiech matki, jakiego już nigdy potem nie słyszałam z jej ust. Pamiętam jazdę samochodem, wciśnięta bezpiecznie między ich oboje.

Matka twierdzi, że byłam wtedy zbyt mała i nie mogę nic takiego pamiętać, ale to prawda.

To niewiele, co o nim mówi, jest w takiej sprzeczności z tym, co opowiadała mi o ojcu ciotka Odalys i inni krewni, że teraz — prawie trzydzieści lat po jego śmierci — nie mam żadnej możliwości zrozumienia, kim był i jaki był. Mimo to czuję, że jestem bardzo do niego podobna. Może bierze się to stąd, że bardziej czuję się związana z tym, co go pasjonowało i czemu się poświęcił, niż ze światem haute couture i damskich torebek w kształcie doniczek.

Zdaniem Wydziału Zabójstw, w sprawie zamachu na Alexa Aguirre'a nie pojawiły się żadne obiecujące ślady. Nie zadzwonił nikt, kto wziąłby na siebie odpowiedzialność za wysadzenie go w powietrze, nie znany pozostawał motyw zbrodni. Żeby to potwierdzić, zadzwoniłam do Yatesa z brygady saperów.

Ślady pozostawiane przez podkładaczy bomb są tak indywidualne jak odciski palców. Składają się na nie między innymi sposób skręcania przewodów, dobór elementów, znaki po używanych narzędziach, rodzaj materiału wybuchowego.

— Jeszcze niczego nie znaleźliśmy — stwierdził Yates. — W dalszym ciągu przeszukujemy pozostałości, na znacznie mocniejszych powiększeniach.

Dzięki różnym telefonom w tej sprawie nasunął mi się nowy temat. Rodzynek jak rzadko.

Mój pierwszy przystanek znajdował się na Washington Avenue, w znajdującej się trzy przecznice na zachód od oceanu komendzie Miami Beach. Zanim została zbudowana, miejsca pracy gliniarzy we wszystkich częściach miasta przypominały fortece. Zmieniły to dwie rzeczy: serial *Miami Vice* oraz renesans stylu art deco. Dzięki temu zaczęły powstawać oślepiająco białe budynki o zamasztych krzywych, pełne ścian ze szklanych kostek i z wysoko umieszczonymi galeriami wewnątrz budynku. Zaczęto wręcz respektować przeszłość, co jest dość niezwykle w mieście o krótkiej historii, rządzone przez urzędników o jeszcze krótszej pamięci. Nowa komenda główna policji znajduje się za starym Ratuszem, zbudowanym w rok po huraganie z 1926 roku, który zmiotł z powierzchni ziemi pół miasta. W odróżnieniu od strzelistego, nowego budynku, który zbudowano siedem przecznic dalej, stary Ratusz



wygląda jak tort weselny, jak wzniesiony w dniach tragedii symbol wiary. Dwukondygnacyjny fundament wspiera dziewięciokondygnacyjną budowlę, zwieńczoną łukami, balustradami, kolumnkami i pokrytą dachówką.

Obecnie znajdują się tu sale sądowe, biura i restauracja. Nowa komenda policji w stylu art deco stoi na placu, ulubionym miejscu do pokazów mody i arenie psychodelicznych zabaw.

Pod błękitnym jak w technikolorze niebem, które pachnie morzem i solą, snują się przepiękne długonogie modelki i sławni europejscy fotografowie, a obok nich detektywi w pogniecionych ubraniach, skuci kajdankami więźniowie, ofiary pobic i przypominający obślizgłe płazy specjaliści od płacenia kaucji. Sceneria nie tylko może pomieszać w głowie, ale powoduje wrażenie, że nic tu nie jest prawdziwe, a jedynie wystylizowane, stworzone na potrzeby błyszczących stron międzynarodowych magazynów.

Na mój widok komendant jęknął i szybko zwał z powrotem do gabinetu, najprawdopodobniej ostrzeżony przez burmistrza, który też unikał moich telefonów.

Urzednicy kolejny raz okazali nadmierny pośpiech w przyznawaniu kluczy do miasta. Jakby zapomnieli o poprzedniej wpadce, kiedy uhonorowany przez nich gość okazał się byłym hitlerowcem.

Ostatni wyróżniony przez nich, krzepki turysta z Niemiec, przewrócił uzbrojonego bandytę, wytrącił mu z ręki broń i przytrzymał zapaśniczym chwytem na asfalcie do przybycia policji. Po niezbyt zachęcających informacjach, które obieły świat w wyniku szeregu napadów, kiedy to zginęło w naszym mieście kilku zagranicznych turystów, zachowanie Niemca było odpowiedzią na modlitwy publicystów i dało pretekst do pisania o nim na okrągło.

Policja nagrodziła bohatera odznaką honorowego funkcjonariusza, burmistrz dał mu klucze do miasta, obsypano go też wyrazami uznania podczas owacji na stojąco na generalnym zebraniu Rady Miejskiej. W świat poszły zdjęcia i w błyskawicznym tempie wyszło na jaw, że bohater jest poszukiwany w Berlinie za seksualne molestowanie dzieci.

Świat jest pełen mistrzów oszustwa i przekrętu, a kto z nich może, ściąga do naszego miasta, dlatego najbezpieczniejsze byłoby honorowanie jedynie martwych, i to po dokładnym sprawdzeniu życiorysu. Ostatnio ojcowie miasta dochodzą do wniosku, że nie ma chyba innego wyjścia, zbyt często się bowiem sparzyli, nadając ulicom nazwiska znakomitości, znaczących obywateli i filantropów, którzy wnet okazywali się handlarzami narkotyków, oszustami podatkowymi albo sprytnymi kryminalistami. Powinni być tak samo ostrożni z oficjalnymi oświadczeniami, które mogą okazać się kolejnym pocałunkiem śmierci. Na przykład tuż po tym, jak miejscy oficjele obchodzili Dzień Syna Boga Yahweh Ben Yahweh,

który sam mianował się bogiem, okazało się, że jest on zamieszany w czternaście morderstw i zamach bombowy.

Zapędziłam komendanta w róg i wydusiłam z niego komentarz, potem poszłam do biura osób zaginionych. Służbę miał dziś Causey, niedawno zatrudniony pracownik. Zaginione osoby były dawniej wyłączną domeną kobiet, dziś jednak wolą one patrolować miasto i walczyć z przestępcami na ulicach, tak więc niejedna robota przy biurku spada na mężczyzn.

Poprosiłam o akta osób poszukiwanych, których sprawy nie zostały jeszcze zamknięte. Nie za bardzo wiedziałam, jak daleko wstecz sięgnąć. Niektóre przypadki (teczki wypełniały dwie półki w szafie) były starsze od Causeya, który dopiero co skończył dwadzieścia lat i znacznie bardziej niż poszukiwaniem zaginionych interesował się wykonywaną po godzinach robotą ochroniarską dla pracujących w Miami ekip filmowych.

—Większość z nich wcale nie zaginęła — zaczął wesoło, splatając dłonie na potylicy i rozpierając się wygodnie na krześle. — Dobrze wiedzą, gdzie są, tylko my tego nie wiemy.

Roześmiał się z własnego dowcipu. Postanowiłam sięgnąć pięć lat wstecz.

Usiadłam przy pustym biurku i choć podejrzewałam, że okaże się to jedynie marnotrawstwem czasu, zaczęłam przeglądać teczki. W efekcie wyłuskałam dwie możliwości. Samuel Lifter, trzynaście lat, i Derek Malone, jedenaście.

Lifter został zgłoszony jako zaginiony trzy lata temu, raport dotyczący Malone'a był rok młodszy. Obaj byli wysocy jak na swój wiek, jasnowłosi, błękitnoocy. Lifter groził ucieczką z domu, ponieważ nienawidził brania leków. Miał padaczkę. W dniu, kiedy zaginał, pływał z kolegami na plaży Crandon Park w Key Biscayne. Kiedy zaczęli się zbierać do domu, nie mogli go znaleźć. Malone pokłócił się z nauczycielem z Nautilus Junior High i nie wrócił tego dnia do domu. W aktach nie było informacji, czy sprawy te znalazły rozwiązanie.

Zastanawiając się, czy rodzina jeszcze mieszka tam, gdzie mieszkała, wykręciłam numer Lifterów.

Podniosła kobieta, przedstawiłam się.

—Dzwonię w sprawie pani syna, Samuela. Jej głos złodowaciał.

—Czy to ma być dowcip?

—Nie — zapewniłam. — Chciałam się dowiedzieć, czy coś pani o nim słyszała, czy wrócił do domu.

Westchnęła. Dzień po zgłoszeniu jego zaginięcia, Samuel Lifter został znaleziony — martwy, w przyboju. Oficjalna teoria brzmiała, że nie wziął leków i w czasie wyprawy z kolegami dostał ataku. Jego ciało znalazła spacerująca plażą para nowożeńców. Choć przez

trzy lata spoczywa w rodzinnym grobie w Shalom Memorial Gardens, w dalszym ciągu figuruje w aktach wydziału policji Miami Beach jako nie odnaleziony zaginiony.

Przepraszając, rzuciłam zabójcze spojrzenie oficerowi Causeyowi, który zapomniawszy o bożym świecie, opowiadał komuś przez telefon, jak to w czasie zdjęć do nowego thrillera, robionych w South Beach, był „tak blisko Sharon Stone...”

Do domu państwa Malone zadzwoniłam ze strachem.

Odebrał nastolatek.

—Cześć — zaczęłam. — Dzwonię z policji w Miami Beach. Uaktualniamy nasze dane i chciałabym się dowiedzieć, co się dzieje z Derekiem Malone. Cztery lata temu został zgłoszony jako zaginiony.

—Derek?

—Tak, nie odnalazł się?

—Boże, skąd! — Chłopak się roześmiał. — Chyba wiem, o co chodzi. Nauczyciel kazał bratu iść do zastępcy dyrektora, co go tak przestraszyło, że zwiął. Wieczorem pojechał autobusem do babci w Hallandale. Następnego dnia przywiozła go do domu. Tak, to było cztery szalone lata temu! Gliniarze w dalszym ciągu go szukają? Odjazd!

—Dziękuję bardzo. Aha, i pozdrowienia dla Dereka — zakończyłam słodziutko.

Rzuciłam obie teczki na biurko Causeya, przekonana, że mogłby odnaleźć zaginioną osobę wyłącznie, gdyby pojawiła się na planie filmowym.

—Mam u ciebie dług — stwierdziłam, zbierając swoje rzeczy. — Właśnie rozwiązałam dwie sprawy.

—Dzięki, Britt. — Zakrył mikrofon dłonią i rozpromienił się jak małolat. — Nie chcesz zostać i rozwiązać jeszcze więcej?

Pojechałam dwanaście kilometrów na północ do Surfside, niewielkiej, obejmującej osiem przecznic dzielnicy, rozciągającej się z północy na południe od Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy do Dziewięćdziesiątej Szóstej i ze wschodu na zachód między Atlantykiem a Zatoką Biscayne.

Główną ulicę Surfside blokował ciężki sprzęt, zawężając ją do jednej jezdni. Znaki oznajmiały, że nie wolno przekraczać prędkości trzydziestu kilometrów na godzinę. Żaden problem. Pełzłam dziesięć na godzinę, przy jeździe zderzak w zderzak nie da się szybciej.

Dyżurny sierżant dwudziestojednoosobowego komisariatu, sąsiadującego z urzędem dzielnicy, nie pamiętał sprawy Clowera, ale siedzący w budynku samotny detektyw był tak

uprzejmy i wyszukał mi odpowiednie akta. Gdyby chodziło o morderstwo, sprawą zajęłoby się hrabstwo, nie byłoby dostępu do akt, a policjanci mieliby zasznurowane usta, ale zaginięcia to rutynowy drobiazg.

Przejrzałam akta Davida Clowera. Matka zgłosiła jego zaginięcie w poniedziałek, zaraz po telefonie do byłego męża z zapytaniem, dlaczego nie oddał syna po weekendzie. Nie interweniowała wcześniej, ponieważ uważała, że widocznie tak miło spędzili razem weekend, że nie mogą się rozstać. Okazało się, że ojciec nie widział Davida od siódmej wieczór w sobotę, kiedy to chłopak, trzaskając za sobą drzwiami, wybiegł z jego domu w południowym Miami. Zapytałam głośno, czy istnieją na to świadkowie. Czy ojciec był wcześniej karany? Pił? Czy dochodziło między synem a ojcem do aktów agresji?

—Rany, Britt, ale z ciebie podejrzliwa kobieta — stwierdził detektyw. Okazało się, że nic nie wie o sprawie. Akta były bardzo skąpe i przekazano je policji Metro-Dade, ponieważ wszystko wskazywało na to, że chłopiec zniknął na podlegającym im terenie. Nie było sposobu dowiedzieć się, czy kiedykolwiek wrócił do Beach albo Surfside.

W środku znajdowało się zdjęcie. Jego matka miała rację — David Clower był podobny do Charlesa Randolpha jak dwie krople wody. Mogliby być bliźniakami.

Żaden inny przypadek nie pasował do schematu. Większość zaginionych w Surfside to odwieczni włóczędzy, cierpiący na zanik pamięci starsi ludzie, niezdolni odnaleźć domu, ponieważ w ich mózgu nastąpiło coś w rodzaju krótkiego śpięcia; uważają, że jest rok 1954 i znajdują się z powrotem w Brooklynie albo że są buntownikami, którzy muszą rozpocząć marsz w proteście przeciwko swoim obecnym opiekunom lub warunkom życia. Choć potrafią wkręcić się wszędzie, trudno ich znaleźć i utrzymać, w końcu są odnajdywani i, czy im się to podoba, czy nie, odwożeni do domu.

Dom Clowerów znajdował się kilka przecznic dalej. W Surfside wszystko jest kilka przecznic dalej. Z nadzieją, że ktoś będzie w domu, włączyłam się z powrotem w korek.

Dom okazał się schludnym, pomalowanym na biało, parterowym bungalowem z garażem na jeden samochód. Zadzwoiłam i cierpliwie czekałam. Po chwili, nie dalej niż pięć metrów od domu z rykiem przejechała jaskrawożółta koparka. Na niedużej werandzie kawał płótna przykrywał coś, co wyglądało jak stary dwuosobowy fotel. Po dłuższej chwili drzwi uchyliły się na kilka centymetrów i stanęła w nich kobieta. Miała na twarzy maskę.

Materiał zakrywał jej usta i nos. Jedyne osoby poza chirurgami, u jakich widziałam coś podobnego, to policjanci z Wydziału Zabójstw, którzy zajmują się zwłokami w daleko posuniętym stanie rozkładu.

—Halo... — rzuciłam niepewnie i przedstawiłam się. — Przeszkodziłam w czymś? — Może operowała kogoś na kuchennym stole?

Może robiła coś jeszcze gorszego? Ściągnęła z twarzy maskę.

—Proszę wejść! — prychnęła i wepchnęła mnie pospiesznie do środka, jakby za moimi plecami miał się pokazać pościg. — Szybko! — Natychmiast po tym, jak weszłam, z ulgą zatrzasnęła drzwi. — Jezu! — Zrobiła głęboki wdech i potarła zaczerwienione oczy. — Te roboty drogowe powodują, że wszystko pokrywa się kurzem. Trwają już trzeci miesiąc i alergia mnie dobija. Nie ma sposobu, żeby uchronić się od kurzu w domu. Pył i smród wciśkają się do środka przez każdą szparkę. — Znowu głęboko odetchnęła i uśmiechnęła się. — Dziękuję, że pani przyjechała.

Tak jak jej zaginiony syn, Vanessa Clower miała jasne włosy i błękitne oczy. Dobiegała czterdziestki, miała wąskie biodra, była ubrana w dżinsy i pomazaną farbami, spraną bawełnianą podkoszulkę. Artystka. Pracująca w domu.

Wewnątrz dom aż lśnił. Był czysty i wypucowany, pozbawiony dywanów, serwetek i zasłon w oknach, jakby właścicielka specjalnie go opróżniła, by móc lepiej walczyć z wznoszonymi przez maszyny na ulicy chmurami pyłu.

—Można żyć tylko wtedy, kiedy pada — stwierdziła, szczypiąc się w grzbiet nosa. — Te roboty mają jeszcze potrwać kilka miesięcy. Wymieniają kanalizację w mieście, a naprawdę było to już potrzebne. Ciągłe wywala gówno. Powinna pani zobaczyć, ile wody stoi w brodziku, kiedy idzie się pod prysznic. Proszę wejść, to nie będzie trwało długo. Muszę coś skończyć.

Poszłam za nią do pomieszczenia na tyłach domu, najlepiej odseparowanego od zgiełku na ulicy. Na podłodze, na warstwie gazet leżały tuż obok siebie dwa duże płótna. Jedno było czyste, drugie zamalowane błyszczącą czarną farbą. Nachyliła się nad czarnym i prosto z tub zaczęła wyciskać soczyste, jaskrawe kolory robiąc linie, kleksy i zawijasy. Napisy na tubkach brzmiały CZERŃ MARSOWA, SZKARŁAT NAFTOŁOWY, FIOLET KOBALTOWY, OCHRA, SIENA NATURALNA. Swędziały mnie ręce, żeby wziąć którąś z tubek i zacząć robić to samo. Wyglądało to na zabawę: jak malowanie palcami, które uwielbiałam w przedszkolu, póki nie zaczęłam mieć kłopotów z powodu zdejmowania butów i skarpetek i mazania się farbą między palcami stóp, na kolanach i całym ubraniu.

Dodała na dole odrobinę umbry palonej i zieleni permanentnej jasnej, na górze sporo błękitu kobaltowego, w środku, co wyglądało jak słońce, czerwieni indyjskiej, potem dokładnie dopasowując brzegami, płótnem do dołu, położyła na tej kompozycji pusty obraz. Wzięła gruby drewniany wałek do ciasta i zaczęła wałkować swe dzieło. Kolory wypływały bokami jak keczup, musztarda i majonez z rozgniatanego hamburgera.

Przyglądałam się zafascynowana.

Fachowo rozdzieliła płótna i ukazało się zadziwiające lustrzane odbicie przedziwnej kolorystycznej orgii. Na obu obrazach dodała cieniuseńkie jak ostrze brzytwy smugi bieli, po-

tem wzięła z podłogi coś przypominającego panel, z jakich robi się podwieszane sufity, ale tak karbowany, jakby były w nim setki drobnych prostokątnych zagłębień. Położyła płytę na jednym z płócien i ostrożnie na nim stanęła. Przeszła się kilka razy we wszystkie strony i kiedy zdjęła płytę, okazało się, że w obrazie jest wytłoczona siateczka. To samo powtórzyła z drugim płótnem.

—No i koniec — powiedziała z uśmiechem, wycierając dłonie w szmatę. — Trzeba się spieszyć, zanim wyschnie.

—Jak pani to nazywa? Przekrzywiła głowę.

—Abstrakcyjny ekspresjonizm.

—Nie, mam na myśli technikę. Wzruszyła ramionami.

—To mój własny pomysł. Każdy ma swój styl. Robię te rzeczy na wystawę pod tytułem „Różne gusta w sztuce”, która ma być otwarta w Dniu Pracy w Fort Lauderdale.

Choć mam bardziej tradycyjny gust, uznałam, że dzieła są ciekawe. Nigdy nie rozumiałam ludzi, którzy płacą ciężkie pieniądze za obrazy nabazgrane przez szympansy albo trzymające pędzle w trąbach słonie. Musiała zrozumieć moje spojrzenie, bo dodała:

—Niektóre nowo powstające biurowce kupują to w parach. Dwa kosztują tysiąc dwieście dolarów, pojedyncze są po siedemset pięćdziesiąt.

Robiło wrażenie.

—Ma pani ochotę na szklanekę soku pomarańczowego?

Poszłyśmy do kuchni. Wszystko aż błyszczało tu od chromu, jedynymi osobistymi elementami były stojące na lodówce zdjęcie dziecka i dziecięcy rysunek w ramce. Na zdjęciu była ona, jej syn i może czteroletnia dziewczynka, uśmiechnięta trójka, pstryknięta w czasie pikniku na plaży.

—Moja córka — wyjaśniła, lejąc sok. — Ma dziś osiem lat, jest teraz w szkole. Kiedy dzieci były małe, uwielbiałam pracować w domu. Dlatego teraz nie mam dokąd chodzić.

Siedziałyśmy w kąciku śniadaniowym, a ona powtarzała okoliczności zaginięcia syna.

—Próbowaliśmy wszystkiego — stwierdziła bez złości. — Jesteśmy kompletnie w kropce.

Kiedy zaczęłam pytać, doskonale zdawała sobie sprawę z tego, do czego dążę, nie miała więc nic przeciwko temu, kiedy usiłowałam czegoś się dowiedzieć o byłym mężu.

—Wierzę mu — powiedziała. — Mimo wszystkich wad Edwin nie jest agresywny. Rozstaliśmy się, kiedy zaczął romansować z nową sekretarką. Wiedziała, że niezbyt nam się

układa, i zabrała się za niego bez wahania, ale to była jedynie ostatnia kropla, która spowodowała rozpad niezbyt dobrego związku. Obwiniam go o to, że pozwolił Davidowi wyjść z domu, ale on też się za to obwinia. Jest dobrym ojcem, choć udaje macho. David jest do niego taki podobny... też nigdy się nie przyzna, że nie ma racji. Edwin myślał, że David raz-dwa się opamięta i wróci, kiedy jednak to nie nastąpiło, uznał, że pojechał do mnie. Że po prostu gra w jedną z gier, w jakie ludzie ciągle ze sobą grają. — Potrząsnęła głową i jej długie do ramion włosy gwałtownie zafalowały.

—Co pani o tym wszystkim sądzi?

Popatrzyła na zdjęcie szczęśliwej rodziny na lodówce.

—Jest gdzieś i nie wiem, jak sam sobie radzi. Nie jest zbyt zaradnym chłopcem, nie umiałby przeżyć na tym, co rośnie na polach. Minęło już tyle czasu... Chce pani herbaty?

Wstała szybko, nalała butelkowanej wody do czajnika z nierdzewnej stali, zapaliła gaz i ponownie usiadła.

—Pani artykuł i zdjęcie tego drugiego chłopca w gazecie bardzo mnie wzruszyły. Zwłaszcza ich podobieństwo. Przyznam, że pozazdrościłam tamtemu, że się o nim pisze i zwraca na niego uwagę, a nikt nie interesuje się Davidem.

—Trzeba było do mnie zadzwonić. Nie wiedziałam nic o sprawie Davida.

—Próbowałam nawiązać kontakt ze środkami masowego przekazu. Raz zadzwoniłam do stacji telewizyjnej, kiedy bębiono o tej dziewczynie z Miami, która zaginęła w Atlancie. Jeśli jednak zaginionym nie jest małe dziecko lub piękna dziewczyna, nikogo to nie obchodzi.

—Sądzi pani, że jechał autostopem? Wzruszyła ramionami i westchnęła.

—Nie miał przy sobie pieniędzy. Sądzę, że mógł już kiedyś jeździć autostopem, choć go przed tym ostrzegałam.

—Czy był na tyle sprytny, aby dać sobie radę w mieście, na ulicy? Czy umiałby się przeciwstawić, gdyby ktoś go zabrał i... zaczął się wygłupiać?

Ostrożnie, jakby ją tam bolało, dotknęła czubkiem języka kącika ust.

—W tym stopniu, w jakim wszystkie dzieci są sprytnie. Gdyby ta osoba okazała się przestępcą z nożem albo pistoletem... nie, nie poradziłby sobie. Kiedy zaginał, miał dopiero dwanaście lat.

—Nie uważa pani, że uciekł z domu?

—Nie.

Zaczął gwizdać czajnik, wstała, podeszła do świecącej czystością białej szafy i wyjęła z niej dwa kubki i puszkę torebek z herbatą.

—Początkowo oczywiście dopuszczałam taką możliwość, był bowiem zły z powodu naszego rozwodu. Tak samo jak ja. Mąż odstawił mnie dla nowej sekretarki. Tego dnia był wściekły jak cholera na ojca, ale w żadnym wypadku nie pozostałby z własnej woli tak długo poza domem. Zwłaszcza że nie miał pretensji do mnie. — Postawiła przede mną parujący kubek i usiadła. — Kocha nas, lubi szkołę, ma dobry kontakt z siostrą. Lubi przyjemności życia, ma swój rower i gry komputerowe, własny telewizor w pokoju, ulubione jedzenie w lodówce. Od czego tu uciekać?

Popatrzyła na mnie z nadzieją w oczach, jakbym była w stanie dać jej na to odpowiedź. Nie miałam żadnej.

Zamieszała herbatę i ostrożnie odłożyła łyżeczkę.

—Ból trwa bez przerwy. Za każdym razem, kiedy rozlega się dzwonek u drzwi, mam wrażenie, że ktoś obraca mi nożem w sercu. Zawsze myślę, że to on albo ktoś z wiadomością o nim. Może to dziwne, ale odkąd zniknął, mam alergię na coraz więcej rzeczy. Moje obrazy zrobiły się bardzo ponure. — Popatrzyła w kierunku pracowni. — Zniknęła niewinność mojego życia — oznajmiła i spojrzała mi w twarz. — Najgorsza prawda jest lepsza od takiego zawieszenia. Zamierzam wyznaczyć nagrodę. Rozmawialiśmy o tym z Edwinem. Możemy zaoferować pięć tysięcy dolarów.

Skończyłyśmy herbatę i, kiedy wstawałam, przyglądała mi się rozszerzonymi oczami.

—Kiedy pani wróci? — spytała tonem, jakby było to oczywiste.

—Wkrótce — obiecałam po krótkim wahaniu. — Zadzwoń. Trwało długo, nim uciekłam z burzy kurzowej. Aż do Siedemdziesiątej Dziewiątej wlokłam się noga za nogą, dopiero potem korek się rozładował. Pojechałam do nowej komendy głównej policji Metro-Dade, znajdującej się przy Palmetto Expressway. Tam znalazłam akta Larsa Sjowalla, czternastoletniego szczupłego błękitnookiego blondynka. Po spędzonym w Stanach Zjednoczonych roku kilkunastu uczniów, którzy przyjechali z Europy w ramach wymiany, miało spędzić swój ostatni tydzień na zwiedzaniu Miami. Wieczorem, w dniu przed odjazdem, Lars poszedł do znajdującego się niedaleko hotelu kina na horror. Sam, ponieważ nikt z kolegów nie miał ochoty na film. Nie zobaczono go więcej. Policja wysnuła teorię, że może nie chciał wyjeżdżać z Ameryki i uciekł, by zwiedzić jeszcze inne tereny. Ale w hotelu zostawił paszport, pieniądze, ubrania, szczoteczkę do zębów i wszystkie prezenty, które chciał zawieźć do Szwecji. Ani rodzina w Szwecji, ani jego gospodarze w Indianie nie dostali od niego żadnej wiadomości. Było to dwa lata temu.

Sprawdziłam także Butcha Beltrana. W dalszym ciągu nie odnaleziono go. Prowadzący sprawę detektyw rozmawiał ostatnio z kimś z rodziny, kto zadzwonił z prośbą o informacje.



Butchowi zdarzało się przedtem uciekać z domu, ale zawsze wracał po kilku dniach. Tym razem nie widziano go od pięciu miesięcy.

Pojechałam na chwilę do redakcji, aby szybko napisać artykuł o turyście z Niemiec. Zarówno on, jak i jego klucze do miasta dawno zniknęły.

Potem udałam się do komendy głównej policji miejskiej, gdzie zapoznałam się z przypadkami dwóch kolejnych chłopców. William i Michael Kearns, bracia, dwanaście i trzynaście lat, zaginęli rok temu. Obaj szczupli, jasnowłosi, błękitnooccy. Pojechali na jarmark w Grove i nie wrócili do domu. Policja zakładała, że po prostu uciekli z domu.

Kiedy zobaczyłam ich zdjęcia, poczułam mrowienie na karku.

Hrabstwo Dade ma prawie pięć tysięcy pięćset kilometrów kwadratowych. W zespole miejskim mieszka dwa i pół miliona ludzi, a składa się on z dwudziestu siedmiu dzielnic i wielkich obszarów wodnych. Większość dzielnic ma własne wydziały policji i każdy prowadzi listy zaginionych.

Do sprawdzenia pozostało mi dwadzieścia jeden komend.

TLR

## Rozdział piąty

---

Minęłam strzeżoną bramę i wjechałam powoli na zacieniony odcinek Garden Drive, gdzie ostatni raz widziano Charlesa Randolpha. Żółte popołudniowe słońce przebijało się gdzieniegdzie przez gęsty baldachim liści. Na otoczonych murami posiadłościach bogatych i ważnych tego świata panował spokój. Jedynymi osobami były ubrane w uniformy niańki, pchające w wózkach swych małych podopiecznych, oraz kilku ogrodników, sprzątających poobrywane orzechy kokosowe i przycinających ciężko zwisające gałęzie. Wyglądało na to, że właściciele posesji przestraszyli się zapowiedziami meteorologów, którzy uwielbiają wzniecać niepokój. Jeden z programów za każdym razem, kiedy zapowiada formowanie się sztormu tropikalnego, podmalowuje to muzyką ze „Szczęk”. Co rok meteorologowie z całkowitą powagą oświadczają, że skoro nie mieliśmy huraganu od 1965 roku, południowa Floryda nie powinna już dłużej czekać na Wielkie Bum.

Zignorowałam popiskujący nerwowo pager. Ta obrzydliwa Gretchen nigdy nie wie, kiedy dać spokój. Nie zrażona, przekazywała mi wiadomość za wiadomością, aż w końcu się zezłościłam, zdjęłam przywoływacz z paska i rzuciłam cholerstwo na tylne siedzenie. Wmawiałam sobie, że bez względu na to, czego chce, sprawa może poczekać. Miejmy nadzieję, że to znów mało ważne głupstwa, a nie coś naprawdę istotnego, co mogę stracić. Skaner mojej krótkofalówki nie wyszukał na paśmie policyjnym żadnej ważnej informacji — no, może poza przewróconą na Palmetto Expressway ciężarówką, z której na pas szybkiego ruchu wysypał się ładunek gwoździ. Znów będzie zator jak cholera.

Im więcej myślałam o zaginionych chłopcach, tym mniej wszystko rozumiałam. Wyglądało na to, że się nie znali, nie chodzili do tej samej szkoły, nie należeli do tej samej drużyny harcerskiej ani nie mieszkali w tej samej okolicy. Charles Randolph był pogodny i przedsiębiorczy. David Clower wściekał się na rozwód rodziców. Butch Beltran najwyraźniej sprawiał kłopoty wychowawcze i nieraz przedtem uciekał. Lars Sjowall był sam, dziesięć tysięcy kilometrów od domu. Nie wiedziałam wiele o braciach Kearns.

Łączyło ich niewiele: wszyscy byli szczupli, błękitnoocy i jasnowłosi. No i wszyscy zaginęli.

Niechętnie wróciłam do redakcji. Weszłam na salę oczywiście z pagerem przy pasku. Tak jak oczekiwałam, Gretchen zachowała się jak sterowana czujnikiem termicznym rakieta.

—Mój pager? — udawałam głupka, kiedy zaczęła orację. Zdjęłam go z paska i zaczęłam mu się przyglądać. — Włączony... działa... Jest pani pewna, że dzwoniła pod ten numer, co należy?

Niestety okazała się górą.

—Słyszałaś o ciężarówce na Palmetto Expressway?

—Tak jest. Trzymam rękę na pulsie.

—A co z konferencją prasową? Oho!

—Jaką konferencją?

Uśmiechnęła się wrogo, ściągnęła łopatki i wystawiła ku mnie spiczaste cycki. Czyżby miała wypychany biustonosz?

—W sprawie Alexa Agiurre'a. — Wyszczrzyła się złośliwie i popatrzyła na zegarek. — Już jesteś pięć minut spóźniona. Nie miałam kogo posłać.

O Boże... Skurczył mi się żołądek.

—Aresztowali kogoś?

—Na to wygląda. Może byś tak pojechała i sama się dowiedziała. Sięgnęłam po świeży notes. Kiedy dzwoniłam rano na policję, nie mieli nawet podejrzanego. Przynajmniej tak powiedzieli.

—W komendzie?

—Nie. W siedzibie WTOP.

Dziwne, gliniarze nie ogłaszaliby aresztowania ani przełomu w sprawie na terenie stacji telewizyjnej. Kiedy wychodziłam, Gretchen znów zaczęła mrużyć. Zajęło mi chwilę, nim pojęłam, czego chce.

—Od dziś bądź w stałym kontakcie z redakcją miejską, Britt. Życie prywatne zostaw sobie na wolne dni.

Byłam przy windzie, ale ona już się odwróciła i odeszła.

—Co?! — zawylałam zbaraniała. Czyżby naprawdę chciała zasugerować, że w czasie pracy... Drzwi zamknęły się i wyłam aż do parteru.

Jak zwykle Gretchen okazała się kopalnią złych informacji. Nie było żadnego aresztowania, nawet nie było glin. Kierownictwo stacji zwołało konferencję prasową w celu ogło-

szenia, że wyznaczyło nagrodę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów za informacje, które pomogą ująć i skazać sprawców śmierci Alexa Aguirre'a.

Choć spóźniłam się dwadzieścia minut, nie straciłam niczego poza przepychanką, kiedy oficjele WTOP kazali wszystkim konkurencyjnym stacjom przenieść sprzęt w najdziwniejsze miejsca w głębi sali. Ludzie z telewizji nie są jednak tacy łatwi do wypchnięcia. Gdyby zjawiał się Jezus Chrystus, aby ogłosić koniec świata, przerwaliby mu, kazali poczekać, aż ustawią sprzęt, i zacząć od samego początku.

Obecna była wdowa, cała w czerni, zapuchnięta od płaczu. Stacja zawarła z nią umowę, że nie będzie odpowiadać na pytania konkurencji. Po płamie, jaką dali w dniu zamachu, mieli dzięki temu wyłączność na każdą ciekawostkę. Na pokazywanie domowej roboty filmów ukazujących szczęśliwą rodzinę. Na filmowanie zrozpaczonych osieroconych dzieci. Na kręcenie całonocnego czuwania w domu pogrzebowym. Na zdjęcia łkającej wdowy, proszącej o kierowanie informacji pod specjalny numer w stacji WTOP, ewentualnie do policji. Biedaczka dała się złapać w sidła kierownictwa działu wiadomości. Reszta prasy pomrukiwała, ja ją jednak rozumiałam. Nie tylko była zszokowana, przerażona i samotna, ale miała do wychowania dwójkę dzieci. WTOP, pracodawca męża, stwarzał jej w tej chwili chyba jedyną szansę zabezpieczenia bytu.

Przeszło mi przez myśl, jak czuła się moja matka, kiedy została sama ze mną.

Lottie przyjechała na finał.

—Poczekaj tylko, aż ci powiem, co powiedziała Gretchen.

—Chodźmy na kawę — odparła.

—Możemy się napić w redakcji. Muszę napisać kilka artykułów.

—Nie. Teraz.

—Co?

Wyglądała na roztrzęsioną i podnieconą. Miała uczesane włosy, a to mogło oznaczać tylko jedno.

—Właśnie przejeżdżałam obok La Esquina de Tejas. Jego samochód stoi na zewnątrz. Chcę iść tam na kawę.

Westchnęłam.

—Jesteś pewna, że jeszcze tam jest?

—Jeżeli przestaniemy kłapać paszczami, będzie tam. Zrobię mu niespodziankę. Zaprosił mnie na kolację, ale musiałam odmówić, bo miałam masę pracy. Czuję się okropnie, biedaczek tak chciał się ze mną zobaczyć...

Restauracja znajdowała się o pięć minut drogi. Wzięliśmy mój samochód, gdyby więc zdecydowała się zostać, Stosh mógł ją podwieźć do stojącego pod WTOP służbowego chryslera.

Ponieważ byłam głodna, postanowiłam wziąć „kubańską kanapkę”. Kiedy weszliśmy do środka, stanęłam jak wryta. Polski Książę, rozbawiony jak zwykle, siedział przy zacisznym stoliku. Nie sam.

—Lottie... — Odwróciłam się z nadzieją, że może uda mi się ją na czas zatrzymać. Niech go cholera. Naprawdę byłam głodna.

Lottie nie zatrzymała się jednak nawet na chwilę. Minęła mnie i ruszyła ku jego stolikowi. Patrzyłam z otwartymi ustami, co nastąpi.

Zagłębiając się w intymnej konwersacji ze swą towarzyszką, uderzająco piękną młodą brunetką w czerwonej wydekoltowanej sukience, zauważył Lottie dopiero, kiedy się odezwała. W zasadzie zajęczała.

—Ssstoooshshsh...

Jeszcze nigdy nie słyszałam, by Lottie wydała z siebie podobny dźwięk.

Podniósł głowę i zrobił minę, jaką mógłby zrobić uciekinier z więzienia, kiedy nagle zauważy, że właśnie dogonił go szeryf.

—Ssstooosh... Dzieci są głoodne, skarbie... Kiedy wrócisz do dooo-muuu? Płaczą za tą.

Ciężko przełknął ślinę.

—Lottie... — uśmiechnął się z wysiłkiem, jakby mu się zbierało na wymioty. Kiedy prześlizgnął się wzrokiem, omijając Lottie i zobaczył mnie, w jego oczach pojawiło się błaganie.

Uśmiechnęłam się, lekko pokręciłam głową, usiadłam przy barze i obserwowałam rozwój wypadków.

Młoda kobieta przy stoliku wypuściła z dłoni serwetkę i wbiła wzrok w Lottie.

—Kristin... — ze strachem powiedział Stosh. Wstał. — Poznaj...

—Nie przejmuuuj sięęę — jęknęła Lottie do dziewczyny. — To się ciągle zdarza. Jestem przyzwyczajona...

Kiedy wychodziłam za Lottie z restauracji, Stosh Górski miał zbolalą minę i coś mówił szybko do Kristin, która odsunęła talerz i trzymała w dłoni torebkę.

—Niech cię cholera, Lottie. To było znakomite — powiedziałam z uznaniem.

—Zakichany adwokacina... — mamrotała wsiadając do samochodu. — Zaraz by ją pokłnął jak kaczka chrabąszcza. Chodźmy stąd. Miałś rację, Britt. Jedyne, co mam ochotę mu dać, to granat z wyciągniętą zawleczką.

Ruszyliśmy w mrok i zaczęliśmy się śmiać.

TLR

## Rozdział szósty

---

Potrzebowałam więcej czasu, żeby zająć się na serio sprawą zaginionych chłopców, a ponieważ wiedziałam, że Gretchen mi go nie da, wtajemniczyłam w to, co robię, kierownika działu miejskiego. Okazało się to błędem. Fred Douglas opadł plecami na popękane skórzane oparcie swego fotela. Dłonią zakrył usta, przykryte ciężkimi powiekami oczy były niewidoczne zza grubych szkieł. Wyglądałby dystyngowanie, gdyby nie ogromna plama tuszu z zepsutego długopisu, zdobiąca kieszonkę jego eleganckiej koszuli.

— Achchch, Britt... — miał minę człowieka, który właśnie połknął coś obrzydliwego. — Wiesz, co się dzieje z artykułami o zaginionych. Pamiętasz o...

— Pamiętam — przerwałam niecierpliwie. Któż mógł zapomnieć o niewinnej piętnastoletce z katolickiej szkoły, która pewnego dnia wyszła jak zwykle z domu, ale nigdy nie dotarła do elitarnej klasy w Akademii Świętego Imienia? Wstydliva i słodziutka, uwielbiana przez uczące ją zakonnice, dziewczynka nigdy nie była na randce, nawet sama z chłopakiem w jednym pomieszczeniu. Jej matka, owdowiała szwaczka, wychowywała jedynaczkę pod kloszem religijnego domu. Policja i dziennikarze podeszli do zaginięcia bardzo poważnie.

Popłakując, matka wystąpiła w telewizji błagając o oddanie córki.

— Jesteśmy kimś więcej niż matka i córka. Jesteśmy przyjaciółkami — oznajmiła.

Mądrzy detektywi i anatomopatolodzy podejrzewali najgorsze. Modły, rozgłos i troska opinii publicznej osiągnęły szczyty. Piątego dnia ponury spiker ogłosił na początku nocnych wiadomości, że brak już nadziei na powrót dziewczynki. Kiedy zaczęto pokazywać reportaż z poszukiwań, zaginiona nastolatka wpadła wściekła do stacji.

— Zostawcie mnie w spokoju! — zażądała. — Przestańcie pokazywać mnie w gazetach i telewizji!

Oświadczyła, że wcale nie zaginęła, tylko ma dość zakonnice, rzygać jej się chce na myśl o matce i nie zamierza wracać do domu.

Trudno ocenić krzywdę, jaką wyrządziła naprawdę zaginionym, ponieważ prasa i policja będzie po jej eskapadzie ignorować zgłoszenia. Jestem pewna, że niejeden dzieciak zmarł, oczekując pomocy.

— Wszędzie widzisz spiski i powtarzające się schematy, Britt — powiedział Fred. — Nie mówię, że nie powinnaś — dodał szybko i zrobił uspokajający gest dłonią, kiedy moja mina zdradziła oburzenie. — Twoja wyobraźnia i wielka ciekawość czynią z ciebie wspaniałą reporterkę, ale to — tu rozpostarł ramiona — wygląda na zbieg okoliczności. Nie wszystko, co się dzieje na świecie, jest częścią olbrzymiego spisku. Syf się zdarza.

— Posłuchaj, Fred — powiedziałam pochylając się ku niemu. — Przecież wiesz, że Anglosasi stanowią teraz w Miami mniejszość.

Uniósł pytająco brew.

— Jeżeli jeszcze tego nie zauważyłeś, chcę ci powiedzieć, że błękitnookich dwunasto- i trzynastoletnich chłopców o jasnych włosach niezbyt często się tu spotyka. Stali się gatunkiem zagrożonym. Nie uważasz, że sześć zaginięć to więcej niż przypadek?

— Niekoniecznie. Nie zapominaj, że następowały one w dość długich odstępach czasu.

— Ta sprawa jest godna publikacji — powiedziałam w sposób nie znoszący sprzeciwu.

— Godne publikacji jest to, co za godne publikacji uważają wydawcy. Niezbyt miły ton nie był w jego stylu i ostrzegł mnie. Nie miałam ochoty na kłótnie.

— Fred, pamiętasz, jak zaczęły znikać królowe piękności i zachwycające modelki? Christopher Wilder chwycił je w swoje sidła za pomocą aparatu fotograficznego. Obiecywał, że zrobi z nich dziewczyny na okładkę.

Fred w dalszym ciągu był sceptyczny.

— Pamiętasz, jak w drodze z Seattle na Florydę ginęły młode kobiety z kolczykami w uchu, ciemnowłose, z przedziałkiem na środku? Ted Bundy, kolejny seryjny zabójca, łapał je w czasie swych krwawych wędrówek po kraju.

— Nie ma dowodu, by którykolwiek z tych chłopaków nie żył, Britt. Byłoby całkiem nieodpowiedzialne z naszej strony sugerować, że na południu Florydy krąży seryjny zabójca i porywacz dzieci. Chcesz wywołać panikę tylko dlatego, że kilku nastolatków uciekło z domu? Głupio byśmy wyglądali, gdyby zaczęli wracać do domów.

— Nie twierdzę, że którykolwiek z tych chłopców nie żyje ani że istnieje seryjny zabójca. To byty tylko przykłady. Coś jednak się dzieje. Opublikowanie artykułu mogłoby pomóc w wyjaśnieniu tej sprawy. Jeżeli puciekali z domu, może udałoby się powyciągać ich z kryjówek. Uważam jedynie, że to sensacyjne, iż wszyscy chłopcy pasują do identycznego rysopisu.



—Nie twierdzą, że masz przestać nad tym pracować. Pogrzeb w tym jeszcze trochę, ale nie przeznaczaj na to zbyt wiele czasu. Zbliża się wielki dodatek na temat Kuby i w redakcji będzie potrzebny, kto żyw.

—Ja nie mam z tym nic wspólnego — rzuciłam szybko. — Muszę zajmować się swoją działką. To, że mam kubańskie nazwisko, nie znaczy wcale, że...

—Oczekujemy, że każdy wzniesie swój wkład — przerwał ostro Fred. Plotki o ustąpieniu Castro i załamaniu się Kuby pojawiają się w Miami

z regularnością metronomu. Słyszę je, odkąd żyję, ostatnio jednak wiatr zmian wieje mocniej i bardziej nieustępliwie niż kiedykolwiek. Zmiany staną się wreszcie realne, czy to w dalszym ciągu myślenie życzeniowe? Być może to, co nieuniknione, jest już bliskie? Brodacz przetrzymał ośmiu amerykańskich prezydentów, dlaczego więc miałabym liczyć na to, że *el lider* teraz odejdzie?

Gazeta musiała zareagować na rosnącą ilość dowodów niestabilności i problemów wewnętrznych Kuby, aby, jak zwykle, nie obudzić się z ręką w nocniku, gdyby naprawdę coś się stało. W ciągu minionych trzydziestu lat nad „już już mającą wybuchnąć sensacją” pracowało wielu wydawców i dziennikarzy, wielu dziś nieżyjących, emerytowanych lub zdziecinniałych ze starości.

—Coś się dzieje na Kubie — zapalczywie powiedział Fred. — Nie wolno nam przegapić, kiedy dojdzie do zmian, a ich impet dotrze do południowej Florydy. Nie wolno nam dopuścić do drugiego Watergate.

—Nie było mnie tu wtedy — powiedziałam utrzymując się w defensywie.

—Żałuję, że ktokolwiek z nas tu był. Sprawa okazała się żenująca. „Washington Post” pobiło nas na głowę, a powinien to być nasz temat. Włamywacze pochodzili z Miami, spis praktycznie został zawiązany tutaj, a mogliśmy o każdej dupereli pisać tylko kopiując „Post”. — Na myśl o upokorzeniu aż zacisnął szczękę. — Musimy szybko poskładać ten dodatek do kupy, a w dziale miejskim brakuje ludzi. Oczekuję, że zrobisz swoje, Britt.

„Jak to się stało?” — zastanawiałam się wychodząc z jego gabinetu. Poszłam poprosić o częściowe zwolnienie mnie z rutynowej roboty, żeby móc się poświęcić sprawie zaginionych chłopców, a skończyłam na prośbie, by pozwolono mi pozostać przy dotychczasowej pracy i zwolniono z obowiązku pisania do dodatku specjalnego. Jak Fred to robi? Będę musiała coś szybko wymyślić, by dostarczyć im temat mający związek z Kubą, jakąś dobrą historię, której opracowanie nie zajmie wiele czasu. Jeżeli będę czekać na przydział, na pewno wcisną mi coś nudnego i pracochłonnego.

Zawsze staram się sama sobie wymyślać tematy i unikać spraw mających związek z Kubą. Ponieważ noszę kubańskie nazwisko i mam akurat taki życiorys, jaki mam, wszyscy my-

śla, że fascynuje mnie kubańska polityka. Nie interesuję się nią. W tej chwili najbardziej leży mi na sercu sprawa chłopców.

W kafejce na drugim piętrze spotkałam Lottie.

—Nie dzwonił — zaczęła.

—Wcale mnie to nie dziwi, Lottie. Oczekiwałaś czegoś innego?

—Wiem, ale ma takie ładne oczy i świetny tyłek...

—Zdawało mi się, że jesteś już ponad to.

—Jestem. Oczywiście, że jestem.

Zlecono jej robienie zdjęć do dodatku specjalnego, zaczęłyśmy się więc zastanawiać, o czym ja mogłabym napisać. Zmarszczyła swoją piegowatą twarz w sposób typowy, kiedy myśli.

—Co powiesz na temat „Czy można uratować Kubę?” O złych architektach i zachłanych inwestorach budowlanych. Kiedy wyspa zostanie wyzwolona, bez dwóch zdań będą pierwszymi, którzy tam popłyną. Poważnie, Britt, pierwsze co zrobią, to zburzą wspaniałe stare domy w stylu śródziemnomorskim i art deco, i zbudują na ich miejscu ciągnące się całym ulicami centra handlowe, spelunki z hamburgerami i zamknięte kompleksy mieszkaniowe. Przerobią Malecon i Varadero na betonowe kaniony. Nie ma najmniejszej wątpliwości. Popatrz, co zrobili z Florydy. Pokroją, podzielą i zabetonują Hawanę, aż będzie wyglądać jak centrum handlowe w Westchester. — Wbiła błyszczące w świetle światełek zęby w olbrzymie czekoladowe ciastko. — Tak będzie wyglądać nasza ostateczna zemsta na Kubańczykach.

—Nie najgorszy pomysł, ale wolałabym coś bardziej związanego z działem policyjnym. Poza tym muszę wymyślić to szybko, zanim przydzielą mi coś absurdalnego.

—Co sądzisz o aktualnym temacie, jak to Marielitos nasilili przestępczość w Miami?

—Politycznie niestosowny — odparłam ponuro.

—W takim razie chyba oznacza to też, że nie możesz pisać o zamachu na Alexa Aguirre'a ani innych najprawdopodobniej politycznie motywowanych zabójstwach?

—Tak jest... — mruknęłam i wyjawiałam, nad czym tak naprawdę najchętniej bym pracowała.

Pogryzała ciastko, popijała herbatę, uważnie słuchała.

—Gdzie, twoim zdaniem, podzieli się ci wszyscy chłopcy? — spytała w końcu. — Te zniknięcia występowały w tak długim okresie... naprawdę uważasz, że mogą mieć ze sobą coś wspólnego?

—Nie wiem, ale się dowiem.

—Są fanami rocka? Za każdym razem, kiedy do miasta przyjeżdżają grupy rockowe, wyjeżdża za nimi kilkoro dzieciaków.

—Nie sędzę, by tak było, choć sprawdzę. — Zrobiłam notatkę, by sprawdzić daty zaginięć chłopców i ustalić, czy może mieć to jakiś związek z atrakcyjnymi dla młodzieży wydarzeniami w mieście.

—Mój starszy brat uciekał z domu dwadzieścia, może trzydzieści razy, a ja jechałam z nim z dziesięć razy, bo nie chciałam stracić nic ciekawego. Raz zajechaliśmy aż do hrabstwa Hidalgo. Wracaliśmy zazwyczaj wtedy, kiedy zgłodnieliśmy. Raz wzięliśmy furgonetkę taty. J.J. był za mały, aby głowa wystawała mu znad kierownicy, więc kiedy ruszył, zaczęłam się drzeć jak oszalała. Wylądowaliśmy na dachu w rowie, zabraliśmy dupska i zwialiśmy, nie oglądając się za siebie. Potem przysięgaliśmy, że to nie my. Tata dostał szału i oskarżył mamę, że pozwoliła wsiąść do samochodu swojemu biednemu kuzynowi Randy'emu. Był w stanie rozwalić każdy samochód.

—Nie mam ochoty słuchać opowieści o twojej nienaruszalnej rodzinie — warknęłam. — Mam własną. Próbuję wymyślić coś poważnego.

Zrobiła obrażoną minę, potem zapytała:

—Gdzie zamierzasz szukać tych chłopaków?

—Ty mi powiedz, jeśli wiesz. Cały kłopot w tym, że są w takim dziwnym wieku. Gdyby byli młodsi, od razu zorganizowano by ogólnokrajowe poszukiwania. Gdyby byli starsi, moglibyśmy sprawdzać raporty drogówki, spisy kart kredytowych, konta bankowe, rachunki za przedmioty codziennego użytku, paszporty, akty ślubu, sentencje rozwodów, karty firm ubezpieczeniowych, rachunki telefoniczne.

—Jeszcze akta więzienne, wojskowe i pozwolenia na broń — dodała. — I nie zapominaj o dowodach rejestracyjnych łodzi i prawach własności.

—Każdy gdzieś zostawia jakiś ślad, ale ci chłopcy byli zbyt młodzi. Dwunastolatki nie jeżdżą samochodem ani nie otwierają rachunków czekowych.

—Wypadają przez dziurki w sieci. Niektórzy „ginają”, ponieważ przedawkowali, a ich przyjaciele spanikowali.

Kiwnęłam głową, doskonale pamiętając studenta zerowego roku medycyny, który spotykał się z nastolatką i zakopał ją po tym, jak przedawkowała. W końcu zaprowadził upartych gliniarzy do jej płytkiego grobu. Większość tych, którzy przedawkowali, jest jednak wyrzucana na pobocza dróg, do lasów albo na schody przed szpitalnymi izbami przyjęć.

— Za młodzi... — stwierdziłam kręcąc głową. — Poza tym jest ich zbyt wielu.

W redakcji czekały na mnie kłopoty. Gretchen i Ron Sadler, nasz specjalista od polityki, byli zanadto uszczęśliwieni moim pojawieniem się, żeby nic się za tym nie kryło.

Ron, trzydziestoparoletni wypiełgnowany i przeintelektualizowany facet, ma falujące brązowe włosy i ciemne oczy, a ostatnio przeszedł metamorfozę związaną z otrzymaniem w „Spotkaniu z prasą” — porannym niedzielnym programie jednej z lokalnych stacji telewizyjnych — stanowiska „mędrca w zakresie spraw politycznych”. Sowie okulary, jakie zawsze nosił, zostały zastąpione oprawkami Giorgio Armaniego, ze szkłami z anty odbłaskową warstwą, aby wyglądać bardziej tajemniczo na wizji. Zniknęły pogniecione ubrania w stylu „reporterskim” — teraz nosi garnitury kreatorów mody, rzucające się w oczy krawaty, a włosy ma nie strzyżone, lecz „stylizowane”. Zdarza się, że przyjeżdża do redakcji z resztkami makijażu telewizyjnego na twarzy nawet w te dni, kiedy nie był na nagraniu. Zdaniem Lottie uwierzył, że jest gwiazdą.

Zaczęli krążyć wokół mojego biurka jak sępy.

— Britt! — zaterkotała Gretchen, pewna siebie jak zwykle. — Właśnie o tobie mówiliśmy.

Cholera jasna...

— Czy słyszałaś o dodatku specjalnym na temat Kuby? — Ron rozpromienił się. Kiepsko imitował specja od talk-show.

— Tak jak każdy na świecie — odparłam pogodnie. — Mam kilka pomysłów na artykuły do niego. — Moje skotłowane myśli zderzały się jak kule bilardowe i w końcu zbiły w jedno. — Wpływ upadku władzy Fidela na Miami, związany z tym chaos, korki na ulicach, parady, wiece, przemarsze. — Wyrzucałam z siebie słowa, zastanawiając się sama, skąd je nagle biorę. Przerażenie czasami wyzwala we mnie pomysłowość. — Oficjele miasta i hrabstwa będą musieli ułożyć plany działania. Prześlę wam pod wieczór streszczenie. — Powiedziawszy to, zaczęłam się wycofywać, jakbym już była spóźniona na ważne spotkanie.

Gretchen machnęła dłonią, pokazując, jak ma nieskazitelnie zrobiony manicure.

—To niepotrzebne, Britt — rzuciła jakby nigdy nic. — Choć pomysł jest niezły. — W zamyśleniu wydeła karminowe wargi. — Może komuś zlecimy pracę nad tym, dla ciebie mamy jednak coś znacznie lepszego.

O nie... Dokładnie tego się obawiałam.

—Przedstawisz sylwetkę Juana Carlosa Reyesa — oznajmiła.

—Reyesa? Czy to nie działka Rona? Przecież on zajmuje się polityką. Zwariowali? Przyjrzałam się to jej, to jemu. Nie spodobało mi się, co zobaczyłam.

—Teraz jest najaktywniejszy okres w dziale policyjnym. Przecież wiecie, że upał nasila liczbę gwałtów, wielokrotnych morderstw i innych dziwacznych przestępstw.

—To priorytet, Britt. — Gretchen wypowiedziała to tonem, który miał mi uświadomić, że powinnam poczuć się zaszczycona. — Chcemy, żebyś ty się tym zajęła.

—Dlaczego ja? Ron zajmuje się tym człowiekiem od dłuższego czasu, zna go lepiej niż ktokolwiek inny w redakcji. Mnie Reyes nienawidzi. — Pokręciłam energicznie głową. — Poza tym to mi zajmie masę czasu. Pojawiło się kilka zabójstw, na południu uduszono kilka prostytutek, w ciągu ostatnich dziesięciu dni obrabowano siedem banków. Pracuję nad artykułem o zaginionych, który muszę skończyć do wydania weekendowego... — Mówiłam coraz ciszej, aż zamilkłam. Ich miny oznajmiały, że mogę mieć tysiąc wymówek, a nic z tego nie będzie.

—Dlaczego ja? — zapytałam ponownie.

—On może być następnym prezydentem Kuby — oznajmił Ron. —Minutę po tym, jak Castro odejdzie, zamierza wpłynąć swoim jachtem do portu w Hawanie z kompletnym rządem na pokładzie.

—I wygląda na to, że ma błogosławieństwo Waszyngtonu — dodała Gretchen.

—Może po czterdziestu latach dyktatury Kubańczycy zechcą mieć w tym zakresie coś do powiedzenia... — stwierdziłam.

— Nieistotne — niecierpliwie przerwał Ron. — Cokolwiek by się zdarzyło, nie możemy zrobić dodatku bez Reyesa.

— Ty zrobisz to lepiej od kogokolwiek innego — upierałam się. — Masz czuja.

— Wiesz, jak Reyes gardzi „News” — powiedziała Gretchen.

— O tak...

Reyes regularnie szkalował naszą gazetę w hiszpańskojęzycznych rozgłośniach radiowych i telewizyjnych, oskarżając nas o procastryzm, ponieważ „News” nie określa Castro mianem tyrana, lecz prezydenta, i nie publikuje co dzień skierowanych przeciwko niemu artykułów.

— No więc, odmówił rozmowy ze mną i kimkolwiek z „News” poza tobą — przyznał w końcu Ron.

— Co? Nie powiedział tego. Powiedział? — Nie byłam w stanie uwierzyć. — Dlaczego miałby chcieć rozmawiać akurat ze mną?

— To nie tak, że on chce rozmawiać z tobą, Britt. On nie chce rozmawiać z nikim — wyjaśnił Ron. — Wybrał ciebie, gdyż widocznie uważa, że jesteś najmniejszym złem.

— Co to ma, do cholery, znaczyć?

— Wie, że tak czy owak o nim napiszemy, bez względu na to, czy zgodzi się na wywiad, czy nie. — Ron poprawił okulary i splótł ramiona na piersi. — Ego Reyesa nie pozwala mu odmówić, zależy mu bowiem na jak najszerszym...

— Ale woli, żeby pytań nie zadawał mu fachowiec od polityki — zakończyła Gretchen.

Wymienili się spojrzeniami. Dokładnie to sobie ułożyli.

— Pamiętaj więc, Britt — powiedział wyniośle Ron — to nie jest zwykły wywiad, tu chodzi o dogłębne przedstawienie sylwetki. Będziesz musiała porozmawiać także z jego wrogami.

— Wiem, co znaczy przedstawianie sylwetki. — Byłam wściekła. Najpierw wymuszają na mnie robotę, potem obrażają.

— Pewno chce ciebie, ponieważ jesteś Kubanką — sarkastycznie stwierdziła Gretchen.

Zaraz po tym jak stało się jasne, że nie robią mi przysługi, natychmiast przestała być wyniosła.

— Nie będziesz miała wiele czasu na przygotowanie się — pospiesznie dodał Ron. — Wywiad jest wyznaczony na jutro, na drugą po południu, w jego biurze w centrum. To był jedyne wolny termin, jakim dysponował.

— Dziękuję za informację z wyprzedzeniem.

— Nie dało się nic zrobić, choć próbowaliśmy przyszpilić go od tygodni. Nie panikuj. Pomogę ci, ile będę mógł. — Napuszył się niczym paw. — Uważaj na Reyesa. Aż go świerzbi, by zacząć walkę z naszą gazetą. Ma krótki lont i wybucha przy najmniejszej okazji. Nie zapomnij o niczym, bo drugiego razu nie będzie. Nie można się z nim skontaktować i

nie oddzwania. Przynajmniej do nas. I nie zapomnij w pierwszych pięciu minutach rozmowy dziesięć razy paść na kolana i wspomnieć, jak bardzo nienawidzisz Castro, bo w przeciwnym wypadku wywali cię na zbity pysk. O Jezu...

Nim pozostawili mnie samą z moim nieszczęściem, wystygła mi kawa. Była zimna jak serce naczelnego redaktora.

Zadzwoiłam do biblioteki. Dyżur miała Onnie, poprosiłam ją o wydruk wszystkiego, co ma na temat Reyesa.

—Po co ci to? — spytała. — Umarł?

—Niestety nie. — Wyjaśniłam, o co chodzi, a ona szybko wyraziła swoje współczucie.

—To przecież nie należy do ciebie. Dlaczego nie zrobi tego Ron Sadler?

—To długa i smutna historia. Opowiem ci przy okazji.

—Dobrze, co chcesz?

—Wszystko.

—Żartujesz, dziewczyno? Masz ciążarówkę? Chcesz nam zablokować wszystkie drukarki? Najstarsze wiadomości na jego temat mają po trzydzieści lat. Jego nazwisko pojawiało się w naszej gazecie częściej niż nazwiska wszystkich prezydentów Stanów Zjednoczonych razem wziętych.

—Co więc powiesz o ostatnich trzech latach?

—Zaczynam drukować — odparła, jakbym nie wiedziała, o co proszę. Zadzwoiłam do Lottie na jej telefon samochodowy, by się komuś

pożalić. Jak na kogoś, kto jedzie robić zdjęcia przepływającego przez czyjaś rezydencję kanału, pełnego gnijących ryb zabitych przez wylew chemikaliów, jej głos brzmiał pogodnie, wręcz radośnie.

—Britt, nie uwierzysz!

Opowiedziała o tym, jak podjechała w ciągu dnia do domu, żeby na chwilę wyprowadzić Pulitzera, uratowanego przed śmiercią wyścigowego charta.

—I wiesz, kto podjechał? Z bukietem najpiękniejszych na bożym świecie kwiatów? Przywiózł je osobiście!

—Nie wiem.

—Wiesz! Słyszałaś kiedyś coś takiego? To, co miało miejsce poprzedniego wieczora, było jedynie pomyłką. Stosh wszystko wyjaśnił.

— Ciekawe, co powiedział.

— Jest naprawdę cudowny!

— Mam nadzieję, że się nie mylisz. Wiesz, co mi zlecili? — Opowiedziałam moją smutną historię.

— Hej, hej, to będzie maksymalnie wyeksponowane. Główny artykuł dodatku i najprawdopodobniej najbardziej czytany kawałek w całej gazecie!

— Nic nie rozumiesz. Nie chcę stracić niczego, co się dzieje w dziale policyjnym. Nie mam ochoty wplątywać się w zagadnienia dotyczące emigracyjnej polityki.

— Popatrz na to inaczej, Britt. Zamiast gdzieś w slumsach stać w upale nad jakimś trupem, otoczona niespokojnym tłumem i prymitywnymi, niesympatycznymi gliniarzami, będziesz siedziała w luksusowym biurze, popijała herbatkę i gawędziła z jednym z najbogatszych, najpotężniejszych ludzi południowej Florydy. Biedactwo. Wiem, że to ciężka praca, zamiast tego mogłabyś uciekać przed pitbullami, ganiać złodziei torebek czy siedzieć ze mną, oglądając zdechłe ryby, ale ktoś to musi zrobić.

Lottie miała rację. Juan Carlos Reyes — wybawca czy przyszły dyktator? Bohater czy potencjalny tyran? Jako jeden z niewielu emigracyjnych przywódców stał się z biegiem lat postacią polityczną. Kim naprawdę był? Zaczynało mnie to intrygować.

Prawdopodobnie jedynym powodem mojej niechęci do tematu był fakt, że zleciła mi go Gretchen.

— Powiedziała, że zgodził się na rozmowę ze mną tylko dlatego, że jestem Kubanką. Nienawidzę takich tekstów — żaliłam się dalej.

— Nie utrzymałaby się chwili na swoim stanowisku, gdyby nie była kobietą — łobuzersko powiedziała Lottie. — W co się ubierzesz?

— A co to ma do rzeczy? Nie mam pojęcia. Mówisz jak Gretchen albo moja matka.

— Mam nadzieję, że będę mogła robić zdjęcia. On jest taki seksowny...

— Seksowny? Dochodzi do sześćdziesiątki.

— Robert Redford też. Władza jest seksowna. Nikogo nie lubię bardziej fotografować niż bogatych, posiadających władzę mężczyzn. Może i kierują żelazną ręką swoimi firmami, ale uwielbiają, jak im się robi zdjęcia. Umiem sprawić, by zrobili niemal wszystko, aby efektywnie wypaść.

— Ciekawe, kto tu wychwala władzę. — Może miała rację, pierwsze wrażenie jest zawsze istotne. — Co według ciebie powinnam włożyć na siebie?



—Coś takiego, co pomoże ci od razu nawiązać z nim kontakt, wtedy się przed tobą otworzy. — Musiała wjechać pod wiadukt, bo głos zanikł. — Jesteś Latynoską. Co przede wszystkim lubią Latynosi?

—Cholera, nie mam pojęcia. — Roześmiałam się. — Głębokie dekolty, wąskie spódnice, wysokie obcasy i kastaniety? To nie podryw, to wywiad. Ale to idiotyczne...

—Musisz wyglądać pociągająco, ale nie seksownie, oficjalnie, ale nie nudno.

—I to mówi kobieta, która nie zdejmuje z siebie džinsów i kowbojskich koszul.

—To co innego. Ja robię zdjęcia. Boże, chyba już jestem blisko tego kanału, którego szukam! Koniec świata! Już czuję smród!

Podniosłam głowę i ujrzałam idącego prosto w moim kierunku naszego gazetowego prawnika, Marka Seybolda.

—Muszę kończyć — powiedziałam szybko. — Żeby było do kompletu, zaraz jem lunch z matką.

—Mogłoby być gorzej. Właśnie dojechałam i nie uwierzysz, co się tu dzieje. Muszę włożyć moje specjalne kalosze do bioder. Niech mama ci powie, w co się ubrać.

Mark wyglądał ponuro.

—Słyszałem, że masz jutro robić wywiad z Reyesem. — Nachylił się przez biurko i zniżył głos. — Będę go przed drukiem przeglądał. Ten facet skarży, kogo się tylko da, bez najmniejszego wahania.

Kiedy wychodziłam na lunch, z windy właśnie wysiadał Ryan Battle, siedzący tuż za mną dziennikarz od spraw ogólnych.

—Słyszałem o twoim artykule do dodatku specjalnego. — Jego spanie-lowate oczy zdradzały troskę. — Reyes to macho, Britt. Nie lubi kobiet. Widziałem kiedyś na konferencji prasowej, jak doprowadził jedną z koleżanek do placzu. Jak zamierzasz się do niego dobrać?

Moja matka wyglądała na uosobienie chłodu. Miała na sobie kostium z białego płótna — krótką garsonkę ze złotymi guzikami i spódnicę do kompletu. Dlaczego nagle zaczęło mnie fascynować, w co się ludzie ubierają? Czyżby otrzymane zlecenie wyzwoliło we mnie aktywność jakiegoś recesyw-nego genu?

Zamówiła sałatkę cesarską i kieliszek chardonnay.

—Co to jest? — popatrzyła uważnie na moją spódnicę.

—Bawełna.

—Nie, to. — Zdjęła coś z materiału i trzymając między doskonale wymanikiurowanymi paznokciami, podniosła do światła.

—Koci włos — wyjaśniłam, rzuciwszy ukradkowe spojrzenie. — Albo psi.

—Coś nie w porządku? — zapytał nieskazitelnie ubrany kelner.

—Nie, przyniosłam go z domu — wyjaśniłam. Mimo wszystko postanowiłam skorzystać z rady.

—Mamo, chciałabym, abyś poradziła mi coś w związku z ważną rozmową, jaka mnie jutro czeka.

—Chodzi o rozmowę kwalifikacyjną do nowej pracy?

—Nie, o artykuł. Mam jutro przeprowadzić wywiad z Juanem Carlosem Reyesem. Co według ciebie powinnam włożyć?

Matka zbladła. Wydusiła z siebie jedynie:

—Co to ma... — i złamała się w pół. Jej głowa uderzyła w stół tuż obok kieliszka i wino rozprysnęło się na wszystkie strony.

Natychmiast pojawił się kelner. Zaczął sprzątać stół, coś przy tym pomrukiwał.

—Nic ci nie jest? — zapytałam, kiedy się wyprostowała. Zamiast na mnie, matka patrzyła na kelnera.

—Chyba doznałam szoku — wyjaśniła drżącym głosem. — Moja córka tak rzadko prosi mnie o radę...

—Pewnie myślałaś, że ten dzień nigdy nie nadejdzie — powiedziałam z uśmiechem. — Co mi poradzisz? Wiesz, co mam w szafie.

—Jestem pewna, że poradzisz sobie bez mojej pomocy, Britt.

Cóż to za słowa w ustach kobiety, która ma nieustanne do mnie pretensje, że nie mam wycucia stylu ani mody. Oburza ją również, że uwielbiam ubrania, które można wrzucić do pralki i włożyć na siebie prosto po wyjęciu z suszarki.

—Mówię poważnie, mamo.

Popatrzyła na zegarek i odsunęła krzesło. Nawet nie tknęła sałatki.

—Zapomniałam na śmierć... — powiedziała chrapliwym głosem, z czerwoną jak burak twarzą — ...że mam dziś o drugiej spotkanie zespołu. Jeżeli się pospieszę, zdążę.

—Ale...

—Przepraszam, Britt. Zapomniałam. — Musnęła mnie ustami w policzek i wyszła.

Skończyłam sandwicza, potem zjadłam sałatkę matki i zapłaciłam. Rozczarowanie zawsze objawia się u mnie głodem.

Fred zostawił mi na monitorze notkę: WPADNIJ.

—Chodzi o sprawę Reyesa. Nie zapomnij przed wywiadem porozmawiać z Ronem. Nie rozdawaj ciosów, pamiętaj, że facet wybucha przy najmniejszej okazji. — Wstał zza biurka i zaczął krążyć po niewielkim gabinecie. — To, co powiem, zachowaj dla siebie. Niczego nie udowodniliśmy, ale kiedy ostatnim razem napisaliśmy wytykający mu błędy artykuł, ukradziono albo zniszczono ponad sto naszych automatów do sprzedaży gazet. Odnaleziono kilka, ale całkowicie zniszczonych.

—Uważasz, że on kazał to zrobić?

Fredowi rozszerzyły się na chwilę źrenice i wzruszył ramionami.

—Każdego, kto to zasugerował, zaskarżył o wysokie odszkodowanie. Nie chciałbym jednak, byś czuła się zastraszona.

Ron czekał przy moim biurku. Co tu było grane?

—Wiem, jak umiesz być zazdrosna o swój rewir, i nie obraż się, że chcę ratować ten wywiad. — Uśmiechnął się łaskawie i położył na biurku wydruk. — Przygotowałem dla ciebie listę zawierającą wskazówki i pytania.

—Możliwe, że cała twoja robota pójdzie na marne, Ron — stwierdziłam, przeglądając moje notatki. — Popatrz na to. Dzwoniła sekretarka Reyesa. Założę się, że odwołał spotkanie.

—Niech go cholera weźmie. — Zmarszczył czoło i stał, przyglądając się, jak wystukuje numer. Też byłam rozczarowana, ale teraz będę mogła się poświęcić zaginionym chłopcom.

Telefonistka połączyła mnie z sekretarką Reyesa, odpowiedzialną za jego spotkania.

—Gilda, dzień dobry.

Głos brzmiał kompetentnie i pasował do osoby, którą czeka wspaniała kariera. Był w nim szelest wykrochmalonej śnieżnobiałej bluzki i znakomicie skrojonej garsonki. Co ja znowu z tymi ubraniami?

—Pani Monterò, miała pani wyznaczone spotkanie z panem Reyesem na jutro na drugą w jego biurze, niestety jednak musi nastąpić pewna zmiana.

Unosząc brwi, popatrzyłam na Rona i skinęłam głową. Skrzywił się i wbił pięść we wnętrze dłoni.

—Pan dyrektor pracuje jutro w domu — ciągnęła Gilda. — Chciałby, żeby przyjechała pani do jego rezydencji. — Ściszyła głos, jej ton zrobił się bardziej poufały. — To znacznie lepiej, pani Monterò — szepnęła. — Będzie mógł poświęcić pani więcej czasu i rozmowa nabierze charakteru bardziej prywatnego.

TLR

## Rozdział siódmy

---

Włożyłam sukienkę, która wisiała w głębi szafy, jeszcze w torbie z pralni. Taką bladobłękitną, z żakietem. Włożyłam też złote kolczyki z antycznego złota, które dostałam od matki na osiemnaste urodziny, do torby wepchnęłam magnetofon i kilka kaset.

Zapowiadano tworzenie się kolejnego centrum burzowego. W tej porze roku nad Everglades co dzień zbierają się groźne chmury, trawa zmienia się w błoto, a ogródki są zalewane masami wody, od których podnosi się lustro jeziora Okeechobee, co w języku Seminolów oznacza „wielka woda”. Po huraganie w latach trzydziestych, w wyniku którego jezioro wystąpiło z brzegów, topiąc trzysta osób, zbudowano wokół niego kamienny mur wysokości prawie jedenastu metrów i długości niemal stu czterdziestu kilometrów.

Gdzieś nad Atlantykiem znajdował się tropikalny niż, ale u nas niebo i woda były spokojne. Kiedy jechałam obsadzoną australijskimi sosnami szeroką szosą, prowadzącą między wąskimi piaszczystymi plażami do domu Reyesa na wyspie Fairway, wody zatoki były gładkie i lśniące jak turkusowy atlas. Musiało być przyjemnie wracać tą drogą co wieczór do domu. Ledwie widoczne, pokryte gontami dachy i soczysta zieleń dokoła stwarzały atmosferę egzotycznej tropikalnej wyspy.

Przy bramie wjazdowej do tego osiedla milionerów stał uzbrojony strażnik, tym razem dorabiający po godzinach policjant z Metro-Dade, którego znałam.

—Co robisz w tak bogatej dzielnicy, Britt? Nic się tutaj dla ciebie nie znajdzie.

—Chciałam zapytać o to samo.

—Pilnuję ulic dla bogatych i sławnych. Robię swoje, zarabiam na życie.

—Ja też. Czeka na mnie Juan Carlos Reyes.

—Sądziłem, że nie lubi gazet.

Wzruszył ramionami, wszedł do stróżówki i zadzwonił. Po kilku chwilach wcisnął przycisk, popatrzył, jak odsuwa się szlaban i kiedy wjeżdżałam, skrupulatnie zapisał mój numer rejestracyjny.

Wąski mostek prowadził do posiadłości otoczonych rabatami, palmami i latarniami w weneckim stylu, co nadawało okolicy uroku Starego Świata.

Bramę do otoczonej murem rezydencji Reyesa obserwował strażnik w cywilu. Jego guayabera nie ukrywała broni, którą miał zatknęta za pasek. Był młodszy ode mnie, miał oliwkową cerę i kręcone włosy, a podobne do stalowych kulek oczy pasowały do wojskowej postawy. Odzywając się po hiszpańsku, kazał mi się przedstawić i nawet nie mrugnął okiem, kiedy odpowiedziałam po angielsku i pokazałam legitymację prasową.

Brama odsunęła się i strażnik wskazał ręką na szeroki betonowy podjazd.

Kiedy wysiadałam z samochodu, skórę pieściła mi leniwa bryza znad zatoki. Czułam zapach wody, uderzającej o zbudowany z tekowego drewna pomost, przy którym cumował smukły jacht Reyesa — *Libertad*. W górę murów pięły się bugenwilla i meksykańska winorośl. Dom przypominał fortecę, od strony rozległej zatoki miał wieżyczki obserwacyjne: Próbowałam sobie wyobrazić, jak jego pierwszy właściciel lustruje uważnie horyzont, wypatrując szmuglujących rum statków.

Na środku centralnego podwórza rósł otoczony fontannami olbrzymi figowiec, a w zapraszających zacienionych wnękach, otoczonych palmami, paprociami i skrzypami, stały rzeźbione kamienne ławeczki.

Kto chciałby porzucić ten przepych i wrócić na Kubę, nawet po to, aby zostać prezydentem?

Czekał na mnie unizony starszy mężczyzna, najwyraźniej lokaj, i kazał iść za sobą. Pomyślałam, że mam wielkie szczęście, mogąc rozmawiać z Reyesem sam na sam w jego domu zamiast w biurze, gdzie przewalają się tłumy ludzi. Mój artykuł niewątpliwie na tym tle nabierze innego kolorytu i pewnej intymności. Miałam nadzieję, że nie będzie nieznośnego rzecznika prasowego, skaczącego ciągle wokół Reyesa i pilnującego, by nie powiedział nic nieodpowiedniego.

Kiedy weszliśmy do wielkiego, wysokiego gabinetu, aż jęknęłam. Pomieszczenie mogło bez trudu rywalizować z Gabinetem Owalnym. Szklane dwuskrzydłe drzwi wychodziły na taras, skąd rozpościerał się przepyszny widok na zatokę i port na drugim brzegu. Za olbrzymim biurkiem wisiały ciężkie draperie, flaga Kuby, naturalnej wielkości portret kubańskiego bohatera Joségo Martí oraz przedstawiające Hawanę litografie, jakie widziałam jedynie w muzeum. Jedną z bocznych ścian pokrywały zdjęcia polityków i innych znakomitości oprawione w ramy, wszystkie z pełnymi ciepła dedykacjami. Cóż za przewrotna galeria sławy i bogactwa... Jeżeli zostało to zorganizowane, aby wywrzeć wrażenie na dziennikarce, która zazwyczaj spędza czas na oglądaniu po komisariatach zdjęć najbardziej poszukiwanych w Ameryce przestępców, spełniło swój cel. Na jednym zdjęciu Reyesa obejmował prezydent Stanów Zjednoczonych, na innym Reyes grał w golfa z gubernatorem Erikiem Fieldingiem.

„Prawdziwi kumple i najlepsi przyjaciele” — pomyślałam z cynizmem reportera. Od pierwszych dni kierowanej z emigracji walki o wolność Reyes kokietował Biały Dom i znajdującą się właśnie przy władzy partię znaczącymi datkami na cele wyborcze.

W każdym rogu wisiały kamery. Czy ktoś oglądał, co transmitują? Obserwowano mnie? Czy będę mogła skorzystać z toalety? Na ozdobnych stolikach ze szklanymi blatami leżały stosy informacji agencyjnych. Nagłówek oznajmiał: *Cubanos Unidos*. „Zjednoczeni Kubańscy”. Jeżeli kiedykolwiek , byli zjednoczeni, to teraz była to sprzeczność wewnętrzna. W Miami jest ponad sto grup walczących o swe prawa Kubańczyków oraz odłamów dysydencjonalnych, a ich strategie sięgają od krańcowo lewackich po skrajnie prawicowe. Zżerają je namiętności i polityka, *todo el mundo*, a ponieważ ci, którzy chcą grać znaczącą rolę w epoce po zniknięciu Castro, czują, że moment coraz bardziej się zbliża, liczba frakcji wzrasta i zwalczają się one coraz gwałtowniej.

Wszedł, kiedy przeglądałam wiadomości. Był opalony i wygimnastykowany, ubrany w kremowy lniany garnitur z Savile Row i jasną egipską bawełnianą koszulę. Krawat wyglądał mi na Versace. Mokasyny musiały pochodzić z Włoch, pasek zrobiono ze skóry aligatora. Poruszał się szybko, ale pewnie i umiejętnie, uśmiechał z dużą pewnością siebie. Choć znakomitej jakości system stereo wypełniał dom łagodnymi dźwiękami klasycznej muzyki, byłam pewna, że gdzieś na podwórzu marynarska orkiestra wali „Niech żyje kapitan!”

Miał mocną, ciepłą dłoń i przytrzymał moją rękę o sekundę za długo. Bezcelne oczy, głęboko osadzone, mogły hipnotyzować.

—Pani Monterò... — zaczął cicho. — A więc w końcu się spotkaliśmy. Proszę siadać. — Wskazał dłonią miejsce. Zapadłam się w wygodnym skórzanym fotelu, on usiadł za biurkiem.

Omiatałam wzrokiem wspaniałe pomieszczenie. Usiłowałam wyobrazić sobie zakulisowe posiedzenia, które się tu odbywały, krzątanie, uściski dłoni i polityczne gry.

—Cóż za wspaniałe miejsce do życia i pracy. Gdyby te ściany umiały mówić, coż za sekrety by zdradziły...

Wydawał się zaskoczony, zaraz jednak, ukazując spinki do mankietów z monogramami, rozłożył dłonie w geście zażenowania. Jakby ten przepych wmuszono mu wbrew woli.

—Jestem prostym człowiekiem, pani Monterò. *Guajiro*. W moim kraju uprawiałbym pola, żył w zgodzie z Matką Naturą.

Nie umiałam go sobie wyobrazić za pługiem w garniturze kosztującym dwa tysiące dolarów i włoskich mokasynach.

Grzecznie udzielił mi pozwolenia na korzystanie z magnetofonu i przy żadnym z początkowych pytań nie zaoponował. Biorąc pod uwagę, jaką się cieszył opinią oraz ostrzeżenia

moich kolegów, zachowywał się zaskakująco sympatycznie. Omówiliśmy stworzony przez rząd amerykański plan demokratyzacji Kuby oraz działalność grup popierających negocjacje z Castro, a także ideologię, filozofię i działalność działaczy praw człowieka. Potem powiedział kilka słów, co sądzi o sytuacji w Guantanamo, przyszłości radia i telewizji Marti oraz embargu gospodarczym.

—Należy je rozszerzyć i dokładniej egzekwować — stwierdził zapalczywie. — Chciałbym, by objęło wszystko, aby nic, nawet powietrze, nie docierało do Castro. Tak aby się udusił i umarł.

Na jego zaciśniętej pięści migotał ciężki złoty sygnet, a w oczach tańczył ciemny ogień.

Zapamiętał się w swej wizji przyszłości.

—Koniec dyktatury Fidela zaczął się wraz z upadkiem komunizmu we wschodniej Europie. Niemcy wschodnie, Czechosłowacja, Polska, wszystkie te kraje pokazały nam, jaka przyszłość czeka Kubę. — Mówił głośno, z pasją, jakby przemawiał w teatrze. — Wiatr wolności zdmuchnie komunistów i Kuba zostanie odbudowana od podstaw.

—A co będzie z prawami własności? — spytałam cicho. — Czy żyjący przez dziesięciolecia za granicą emigranci będą mogli żądać zwrotu nieruchomości od tych, którzy zamieszkiwali je przez tyle lat?

—Aha, praktycznie myśląca kobieta! — Uśmiechnął się, ukazując idealnie równe, białe zęby. Musiał mieć korony. — To delikatny, bardzo skomplikowany problem, ale obiecuję, że zostanie rozwiązany uczciwie, maksymalnie demokratycznie. Nadchodzą wielkie zmiany, nie tylko na Kubie, także tutaj. Miami musi rozbudować lotniska, autostrady i porty, inaczej nie będzie w stanie obsłużyć handlu z wolną Kubą.

—A jaka będzie pańska rola w wolnej Kubie? — zapytałam jak najniewinniej.

Zrobił chytrą minę i zmrużył oczy, jakby trącił go łokciem niewidzialny doradca.

—Taka, jaką będę miał zaszczyt otrzymać — odparł z namysłem.

—Finansowa?

—To pewne — odpowiedział szybko. — Jak tylko na Kubie powstanie wolny rynek, zamierzam tam zainwestować miliony.

—A co z prezydenturą?

—Nigdy nie mówiłem, że chcę zostać prezydentem Kuby.

—Odmówiłby pan, gdyby ją panu zaproponowano?



Zamilkł na chwilę, jakby się zastanawiał. Bawił się przyciskiem do papieru, solidną kostką wypolerowanego drewna.

— Gdyby wyznaczono pana na prezydenta?

— Musieliby o tym zdecydować ludzie. — Wzruszył ramionami. — Zrobiłbym wszystko, cokolwiek by zechcieli. Wszyscy musimy się poświęcać dla wolnej Kuby. — Zbliżył do mnie głowę. — Po pierwsze i po ostatnie, zawsze byłem i będę Kubańczykiem. Nie chcę być prezydentem, nie staram się o to stanowisko. Jeżeli Kubańczycy tego zażądata, będę im jednak służyć.

Może wynikało to z cynizmu, ale odnosiłam wrażenie, że jeżeli nie zażądata, da im nie-  
źle popalić.

Zjawił się lokaj i podał niewielkie, słodkie *pasteles* z guajawy i pyszną *café cubano* w delikatnych porcelanowych filiżaneczkach, znacznie elegantszych od styropianowych kubków, do których jestem przyzwyczajona. Obserwowałam służącego, tego samego kostycznego mężczyznę, który prowadził mnie do gabinetu Reyesa, a teraz dyskretnie i zgrabnie rozstawiał talerzyki i filiżanki. Powstrzymałam się z pytaniem, dopóki nie wyszedł.

— Dlaczego pański lokaj nosi broń w kaburze pod pachą?

Reyes nie wydawał się wstrząśnięty pytaniem ani moją zdolnością obserwacji.

— Emigracja nie jest łatwa, pani Monterò. Przez wiele lat byłem zmuszony nosić kamizelkę kuloodporną. Moje nazwisko do dziś znajduje się na czele listy sporządzonej przez płatnych morderców Castro. Dziś, kiedy Fidel staje się coraz bardziej zdesperowany, zapewnienie sobie bezpieczeństwa jest niezmiernie ważne. Wszyscy ludzie, których zatrudniam, to zaufani członkowie mojego oddziału ochrony.

Kiwnęłam głową.

— Teraz z bardziej osobistej beczki. Czy był pan kiedyś żonaty?

— Nie. — Uśmiechnął się z zadumą. — Moją największą miłością zawsze była Kuba.

Westchnęłam. Gdzie to już słyszałam?

Najważniejsze pytania zostały zadane, ale rozmawiało nam się tak przyjemnie, że nie mogłam się powstrzymać przed wejściem na niebezpieczny teren. Może brawury dodała mi *café cubano*.

— Nie rozumiem pańskiej wrogości wobec mojej gazety.

— Wrogości? Z mojej strony? — Twarz mu spurpurowiała. — Mogę pani pokazać całą dokumentację wypaczeń i wyrwanych z kontekstu komentarzy, będących częścią prowadzo-

nej przez pani gazetę kampanii, której celem jest zdyskredytowanie mnie i mojej pracy. Te ataki i spiski są wynikiem osobistej vendetty. — Niemal krzyczał, zaczął wymachiwać rękami. — Ktoś, kto został zmuszony do emigracji przez tyranię Fidela Castro, musi walczyć z lansowaną przez pani gazetę tyranią rasizmu i bigoterii! Ci, którzy prowadzą pani gazetę, nie ustają w niszczeniu mojego dobrego imienia! Ja ich jedynie denuncjuję!

Kiedy wstał zza biurka, zaczął wymachiwać pięściami i nabierać tempa, spróbowałam zachować godną postawę i nie kurczyć się ze strachu.

—Denuncjuję ich! Próbują mnie zniszczyć, ponieważ nie akceptuję ich i ich poglądów! Postanowili nie zauważać odbywającego się sto pięćdziesiąt kilometrów od ich domów holocaustu!

Mieszkający na South Beach starszycy, którzy naprawdę przeżyli holocaust, mogliby uważać jego słowa za nieco przesadne.

—Proszę mi uwierzyć, panie Reyes, nikt w gazecie nie ma czasu ani powodu, aby spiskować przeciwko panu. — Uznałam, że jeżeli mnie teraz wyrzuci, mam już i tak dość materiału. — Gdyby kiedyś przyszedł pan do redakcji tuż przed zamknięciem numeru, na pewno by pan uwierzył.

Opadł na krzesło z sardonicznym uśmiechem.

—Moi wrogowie w pani gazecie nie pracują pod stresem zamknięcia numeru. Znajdzie ich pani na wysokich szczeblach władzy, w sali zarządu. To oni wydają rozkazy.

Westchnęłam na wspomnienie maratonowych tyrad Reyesa w hiszpańskojęzycznych rozgłośniach. Popijałam kawę i zastanawiałam się, czy w jego łazience znajdują się kamery.

—Chyba już nie ma pani pytań do mnie. Z pewnością będzie pani rozmawiała z ludźmi, którzy mnie znają.

Skinęłam głową, zadowolona, że nieco ochłonął.

—Z kim?

Wzruszyłam ramionami.

—Z Torriente, Masfererem, może Jorge Bravo.

Na dźwięk ostatniego nazwiska machnął, jakby opędzał się od natrętnego owada.

—*Viejo loco*, ma teraz spore problemy z prawem. Jest nikim.

—Możliwe, że tym razem będzie musiał iść do więzienia — przyznałam, zadowolona, że rozmowa zbieczyła w nowym kierunku.

Straż Wybrzeża złapała starzejącego się potencjalnego dowódcę trzydzieści pięć mil morskich od wybrzeży Kuby w kutrze, na którym znajdowały się karabiny maszynowe, granatniki, karabinki szturmowe i dwadzieścia tysięcy sztuk amunicji. Bravo obecnie przebywał na zwolnieniu za kaucją, miano go oskarżyć o nielegalne posiadanie sześciu nie rejestrowanych karabinów maszynowych.

—Może dostać dziesięć lat i dwieście pięćdziesiąt tysięcy grzywny — stwierdziłam.

—To wariat. — Palec wskazujący Reyesa zbliżał się, kręcąc kółka, do czoła. — Zupełnie nie na miejscu. Powinien nadal sprzedawać odkurzacze.

—A on to właśnie robił?

Od momentu zwolnienia z kubańskiego więzienia, po nieudanej inwazji w Zatoce Świń, Bravo większość czasu spędził na organizowaniu antycast-rowskich desantów wojskowych, uświadomiłam sobie.

—Niech pani o nim zapomni — pogardliwie powiedział Reyes. — Jeżeli musi już pani z kimś rozmawiać, to dlaczego nie z prezydentem? Nie wystarczy? Albo z gubernatorem Fieldingiem.

Uśmiechnęłam się nerwowo. Lokaj uprzątnął stół.

—To trzeci raz, kiedy rozmawiamy. Jaki był pierwszy powód? — Zmarszczył brwi, dzięki czemu zaczął nieco przypominać Ricardo Montal-bana. — Aha, nieszczęśliwe odejście Alexa Aguirre'a. Policja już znalazła zamachowca? — Złożył dłonie, czekał na moją odpowiedź.

—Dziś jeszcze nie rozmawiałam z detektywami, sądzę jednak, że nie. Pokręcił z powagą głową.

—Jak szybko świat zapomina... A uciekinier z domu? Ten chłopiec? Wrócił do domu?

—Nie, jeszcze pracuję nad sprawą. Wygląda na to, że jest wielu zaginionych nastolatków pasujących do tego samego schematu.

— To niezwykle — mruknął grzecznie. — Praca musi panią czasami prowadzić niezwykłymi ścieżkami.

—Włącznie z tą dzisiejszą. — Uśmiechnęłam się przyjaźnie. — Czy nie powinien tu dziś siedzieć z panem Ron Sadler? Nie jestem specjalistką od spraw politycznych.

Popatrzył nieco zaskoczony i przez chwilę nic nie mówił.

—Ależ my jesteśmy sobie bliżsi. — Jego głos stał się nieco cieplejszy. — Łączy nas historia. Mamy wiele wspólnego.

— Moim zdaniem mamy niewiele wspólnego — odparłam sceptycznie. Pokręcił pobłażliwie głową.

— Jesteś tak podobna do ojca.

Zamarłam z otwartymi ustami, kompletnie zaskoczona, zastanawiając się, czy dobrze usłyszałam.

— Z pewnością wiesz... — sięgnął przez blat i wyłączył mój magnetofon — ...że Tony Monterò i ja byliśmy w dzieciństwie, w Camaguey, przyjaciółmi. Jako młodzi chłopcy, służyliśmy ramię przy ramieniu jako partyzanci w Sierra Maestra. — W jego oczach pojawiła się nostalgia, jakby zanurzył się we wspomnieniach. Wydał wargi. — Na Isle de Pines siedzieliśmy w tej samej celi. Byliśmy *compañeros*.

Złapałam oddech, ale z trudem przychodziło mi zebrać myśli.

— Nie miałam pojęcia...

Tysiąc myśli przelatywało mi przez głowę. Popatrzył na mnie uważnie, wokół jego ust zaigrał łagodny uśmiech.

— A Catherine... Co słyhać u twojej matki? Piękna Catalina. Widzę, że twoim ulubionym kolorem jest również błękit...

— Zna pan moją matkę?

Zarówno postawa światowej dziennikarki, jak i aura tajemniczości, którą chciałam utrzymać, zniknęły.

— Ach... — westchnął. Błyszczały mu oczy. — Nikt nie umiał tak tańczyć *merengue* jak twoja matka.

Ołówek spadł mi na podłogę i kiedy schyliłam się po niego, dostałam zęza. *Merengue?* Moja matka? Czy mówiliśmy o tej samej kobiecie? Reyes nie mógł mnie zaskoczyć bardziej, niż gdyby oświadczył, że osobiście zastrzelił prezydenta Kennedy'ego.

— Masz jej wdzięk — ciągnął. Patrzył na mnie uważnie. — Masz tyle ze swojej matki. *Rubia, muy delicada*. Jeszcze jednak nie słyszałam, jak się śmiejesz. Jej śmiech zawsze pięknie brzmiał. *La musica*.

Odchrząknęłam.

— Nigdy o panu nie mówiła. Nie miałam pojęcia, że znał pan mojego ojca. Miałam trzy lata, kiedy zginął.

Skinął głową, na jego twarzy widać było cierpienie.

—Byłem razem z nim. Wpadliśmy w zasadzkę. Zginął za Kubę. Bohater. Męczennik. Ja miałem być następny, ale dwa dni później udało mi się uciec. Nie widziałem Cataliny wiele lat, ale wiem, że wszystko u niej w porządku. Przyjaciele informowali mnie na bieżąco. No i oczywiście, od początku obserwowałem z wielkim zainteresowaniem twoją karierę.

—Wiedział pan, kim jestem? Że pracuję dla „News”?

—*El mundo es muy chiquito*. W Miami nie ma tajemnic. Widzę w tobie także mojego przyjaciela Tony'ego. Pisarza. Zawsze chciał zostać pisarzem. Byłby z ciebie dumny. Stale prowadził dziennik.

—Nigdy nie czytałam niczego, co napisał — powiedziałam z podnieceniem. To, co Reyes mówił, było dla mnie całkowitą nowością.

—Szkoda. Catalina nigdy ci nie pokazywała jego listów? Reyes popatrzył na sufit, jakby chciał sobie coś przypomnieć.

—Zastanawiam się, czy ja mam jego dziennik, czy też został oddany twojej matce?

—Jaki dziennik?

Dotykając dłonią czoła, skupiał się.

—Próbuję sobie przypomnieć, co się z nim stało. W więzieniu bardzo go chronił. Może ja go mam. Należy się tym, za których walczył. — To przekonanie natychmiast wzmocniło mu głos. — Powinien zostać opublikowany.

—Jest pan pewien, że istnieje?

—Bez najmniejszej wątpliwości. Spędziłem z Antonio kilka miesięcy w więzieniu. Nie było dnia, by nie mówił o tobie albo o twojej matce i nie pisał przez kilka godzin. Dziennik ocalał, był przekazywany z ręki do ręki po jego... egzekucji. Jego słowa tak wielu ludziom dodawały ducha, ale dlaczego nie jestem w stanie sobie przypomnieć, gdzie teraz może być? Może leży gdzieś w jakimś starym kufrze wraz z innymi pamiątkami z tamtych czasów? W tym domu na strychu albo gdzieś w moim biurze. Będę musiał poprosić któregoś z moich pracowników, by go znalazł.

Wyjął złote pióro montblanc i zrobił na kartce papieru krótką notatkę. Byłam wstrząśnięta.

—Albo... może zwrócono go twojej matce? — Popatrzył na mnie oczekująco.

—Aż do dzisiejszego dnia nie wiedziałam, że coś takiego istnieje — odparłam ze wzruszeniem ramion. — Jestem pewna, że gdyby moja matka go miała, wiedziałabym o tym. Powiedziałaby mi...

Czy na pewno by mi o tym powiedziała?

—Mam nadzieję, że uda się go panu odnaleźć — odparłam zemocjonowana. Notatnik mógłby stać się moim pomostem do przeszłości, do tak dawno utraconego ojca. Możliwość zobaczenia jego pisma, napisanych przez niego słów, wyrażonych przezeń myśli powodowała, że dostawałam gęsiej skórki.

—Utrzymał swój *diario* w stylu *Archipelagu Gułag* Sołżenicyna. Kiedy Kuba będzie wolna, zdrajcy, których nazwiska tam umieścił, będą musieli zostać skazani za zbrodnie wojenne — oznajmił Reyes. — Dziennik będzie dowodem par excellence. Świat powinien poznać ich nazwiska. Jeżeli istnieje, musi zostać opublikowany.

—Mam nadzieję, że istnieje.

—Pozostaw to mnie — stwierdził uspokajająco. — Znajdziemy go. Niechętnie powróciłam do wywiadu. Włączyłam ponownie magnetofon i uzyskałam odpowiedź na kilka ostatnich pytań, jednak mój umysł i serce szalały. Podszyte złością milczenie matki na temat ojca wściekało mnie, odkąd pamiętam.

—Oczywiście jestem zawsze gotów do udzielenia wywiadu na każdy temat — zakończył Reyes. — No i zadzwonię natychmiast, kiedy uda mi się odnaleźć pamiętnik Antonio.

Odprowadził mnie do wyjścia i ponownie uścisnęliśmy sobie dłonie. Jego oczy były uważne i patrzyły świdrująco.

—Twoje kolczyki...

—Dostałam je od matki.

—Tak... — Roześmiał się z nie skrywaną przyjemnością. — Mówiła ci, skąd je ma?

—Nie. Sądziłam, że to pamiątka rodzinna.

—Zapytaj ją. Niech opowie ci o dniach, kiedy zostały zrobione dla pięknej kobiety przez najlepszego jubilera na *Calle de Oro* w Hawanie. — W jego wzroku było coś ciepłego. — Jestem tak dumny, jakbyś była... moją córką. Może i jesteś urodzona w Miami, ale serce masz kubańskie. Nigdy nie zapomnij o swej *cubania*. I proszę, przypomnij mnie drogiej Catalinie.

—Jestem pewna, że się ucieszy, że pan o niej myśli. Uśmiechnęłam się i powoli poszłam do samochodu. Czułam na plecach

jego wzrok. Nad zatoką koloru indygo unosiła się szkarłatna tarcza zachodzącego słońca. Widok był wspaniały, ale nozdrza podrażniło mi coś cuchnącego, jakiś niemiły odór. Coś musiało dolatywać znad wody. Wyjechałam i minęłam automatycznie zamykaną bramę. Strażnika nie było. Reyes w dalszym ciągu stał u wejścia swej wspaniałej posiadłości.

Opony mojego t-birda zaskrzypiały na asfalcie. Skrzyłem za potężne palmy i zniknęłam z jego pola widzenia. Kiedy poczułam się sama, wdepnęłam pedał gazu do podłogi i wyprysnęłam w zapadający zmrok, jakbym uciekała z piekła.

TLR

# Rozdział ósmy

---

Objechałam parking. Cholera jasna! Kabriolet matki nie stał na zwykłym miejscu. Żadnej reakcji na dzwonek do drzwi, waliłam więc tak długo kołatką, aż uchyliły się jakieś drzwi na parterze i wyrztał zaintrygowany sąsiad. Gdzie ona, do cholery, była, kiedy potrzebowałam kilku wyjaśnień? Wsunęłam jej pod drzwi wizytówkę i zbiegłam po schodach, zbyt podekscytowana, by czekać na windę. Byłam rozczarowana i zirytowana, nie chciało mi się iść do domu. Aby poczuć, że wraca mi życie, potrzebowałam seksu albo pracy, ale jedyny mężczyzna, którego chciałam, był tysiące kilometrów stąd. Bogu dzięki za jaskrawo oświetloną salę redakcyjną.

Czyhał na mnie Ron Sadler, który niemal nigdy nie pracował do późna. Natychmiast zauważył, jak jestem niezadowolona.

—Wiedziałem! Źle poszło? — zawołał, ledwie ukrywając radość. — Dostał szalu, prawda? Wykopał cię na zbity pysk? — Popatrzył na zegarek. — Boże, gdzie byłaś tyle czasu? Czy jest szansa, aby cokolwiek uratować z tego tekstu?

Zza swych biurków uważnie obserwowali nas Ryan i jeszcze dwóch kolegów.

—Ależ Ron, byłam całe popołudnie z Juanem Carlosem Reyesem — odparłam ze słodziutkim uśmiechem. — Wspaniały wywiad. To czarujący człowiek.

Ron zamrugnął owadzimi oczami i z niewiarą otworzył gębę.

—Robisz ze mnie wała.

Mogłabym przysiąc, że ma na twarzy makijaż grubości naleśnika. Otworzyłam torebkę i wysypałam na biurko nagrane kasety.

—Jest milusi jak kotek. — Wzruszyłam ramionami. — Nie odmówił odpowiedzi na żadne pytanie.

Zapadła grobowa cisza.

—Reyes? — Przerwał ciszę Ryan. — Ten sam, który pobił dziennikarza CNN?

—Zadałaś trudne pytania?



—Wszystkie, Ron. Sądzę, że praca w dziale policyjnym po prostu uczy, jak odpowiednio obchodzić się z ludźmi. — Powiedziałam to, ponieważ i on, i Gretchen lekceważą to, co robię. Jakże się mylą, jest w niej wszystko, o czym może zamarzyć dziennikarz. Dotyczące prawdziwych ludzi historie, ważne sprawy, bohaterowie.

Zanim Ron wyszedł na nagranie w telewizji, podszedł do biurka Gretchen i zaczęli coś sobie szeptać.

Zadzwoniłam do matki, ale nie podnosiła słuchawki. Nie miała nawet włączonej automatycznej sekretarki. Gdzie ona się podziewała? Delikatne drżenie podłogi poinformowało mnie, że właśnie ruszyła maszyna i następne wydanie jest właśnie w druku. W tak niepewnym świecie gazeta jest opoką, czymś, na czym zawsze można polegać.

Zanim zabrałam się za niewdzięczną pracę przepisania taśm, zadzwoniłam do pani Goldstein z prośbą, by wyprowadziła Bitsy. Odebrał Seth, ciekaw, czy były jakieś nowe morderstwa i kiedy będzie mógł znów przyjść do redakcji. Obiecał pójść z Bitsy na porządny spacer.

—Pamiętaj, ona ma krótkie nóżki — ostrzegłam. Potem sprawdziłam wiadomości dla mnie; była wśród nich pilna notatka od Lottie.

—Nie uwierzysz! —jęknęła na powitanie.

—W co?

—Te kwiaty...

—Wiem. Najpiękniejsze kwiaty na bożym świecie. Lottie, miałam...

—Posłuchaj! Dolewałam do wazonu wody i dodawałam trochę aspiryny, rozumiesz, żeby dłużej się trzymały i ładniej wyglądały, i wiesz, co znalazłam?

—Węza?

Zdarzało już się, że klienci, którzy kupili tropikalne doniczkowe kwiaty, zostali ukąszeni przez ukryte w nich jadowite gady, ale nie słyszałam, by zdarzyło się to w przypadku bukietów.

—Gorzej! Wolałabym zostać ugryziona przez węza. Kartkę. Zgadnij, co było na niej napisane!

—Lottie, dłużej tego nie wytrzymam. Nie baw się dłużej ze mną i powiedz. Jestem głodna i zła. Przed godziną przed oczami przeleciało mi całe moje życie. Nie mam nastroju na zgadywanki.

—Przeczytam ci. „Z wyrazami bólu z powodu Twego odejścia. Żegnaj, wujku Harry, będzie nam ciebie brakowało. Tom, Adrienne i dzieci”.

—A to kto? — Zaczęła mi drgać prawa powieka i poczułam, jak nadchodzi tępy ból głowy.

—Żałobnicy! Biedacy, którzy kupili kwiaty, które adwokacina ukradł z domu pogrzebowego! Fakt, kiedy mi je przynosił, wyglądały nieco słabosilnie.

—No popatrz. Zdawało mi się, jakbyś mówiła, że to najpiękniejsze kwiaty na Ziemi. Mogłabym wręcz przysiąc, że tak mówiłaś. Może wypadły z karetki, którą ścigał?

—Poczekaj chwilę! Jego biuro... tak jest! Jego zakichane biuro graniczy z cmentarzem Evergreen! Jestem tak wściekła, że mogłabym się zbić własną pięścią!

Chciałabym móc powiedzieć, że nie wierzę, aby Stosh był w stanie zrobić coś podobnego, ale nie byłabym szczerą. Wręcz odwrotnie — doskonale umiałam sobie wyobrazić, jak przełazi przez cmentarny mur.

Następnego dnia Lottie robiła zdjęcia Reyesowi. Spotkałyśmy się potem na lunchu w redakcyjnej kafejce.

Ubrany w fartuszek kelner stał znudzony za parującym stołem, pełnym osobliwie wyglądających *tacos*, zwieńczonych przywiedłą sałatą. Miał na głowie gigantyczne sombrero. Aż załopotałam powiekami na jego widok, potem jednak przypomniałam sobie, że dziś obchodzimy Dzień Meksykański. Kierownictwo kafejki robi różne akcje, aby ściągnąć do siebie pracowników redakcji, którzy z uporem opuszczają budynek, aby zjeść lunch gdzie indziej. Gdziekolwiek, byle nie tu. Ciekawe, dlaczego dla odmiany nie spróbują najskuteczniejszej taktyki — podać przyzwoite jedzenie. Kiedyś, w Dniu Włoskim, znalazłam w sosie do spaghetti marchewkę. Lottie, która uwielbia kuchnię teksasko-meksykańską i wszystko polewa sosem tabasco, podejrzliwie popatrzyła na *tacos*.

—Zjemy po kawałku zapiekanego z serem kurczaka i po kanapce z pomidorem? — mruknęła.

—Spróbuję zupy. — Bez większego przekonania położyłam sobie na talerz kilka solonych precli. — Co mówi Polski Książę?

—Krętacz! — prychnęła. — Dzień, w którym go ujrzałam, był najniezwyklejszym dniem mego życia. Nie denerwuj mnie.

—Przepraszam. Jak poszło z Reyesem? Jej mina zmieniła się na zadowoloną.

—Zrobiłam mu znakomity portret na jachcie. *Libertad*. Piękna łódź. Jest wściekły jak cholera na miasto. Musiało wybić gównem z rur kanalizacyjnych i smród na jego posiadłości jest nie do wytrzymania. — Kiedy siadała naprzeciwko mnie, jej oczy biegały wokół. — Bez przerwy pytał o ciebie. O wszystko możliwe.

—Wspomniał moją matkę?

—Twoją matkę? — Piegowata twarz Lottie skrzywiła się w maskę zdziwienia.

Kiwnęłam głową.

—Przed wieloma laty znał zarówno moją matkę, jak i ojca. Niemal się ślinił na samo jej wspomnienie.

—Nie wiedziałam, że jest przyjacielem twojej rodziny.

—Tak samo i ja. Dla mnie była to ogromna niespodzianka. Opowiedziałam o wszystkim.

—Sądziś, że on i twoja mama byli przed laty zaprzyjaźnieni? Buzi, buzi? Musiał być wtedy cudowny. Dziś też nie jest kiepski. — Opadła na oparcie i z rozmarzeniem powiedziała: — Britt, ten bogaty i mający tyle władzy *hombre* mógłby być twoim ojcem...

—Cholera, dziękuję ci bardzo. Moja matka też ci dziękuje.

—To lepsze niż drzazga w oku — stwierdziła, żując. — Co jest złego w posiadaniu w rodzinie milionera z politycznymi koneksjami? Mogłabyś być Pierwszą Córką Kuby albo, jeśli osiągnie to, czego chce, księżniczką korony. Kto by nie chciał być kijanką w takim jeziorze genów? Zauważyłaś jego wyrazistą szczękę? To nie przechodowany młodzieniec o blisko siebie osadzonych oczkach. — Wbiła zęby w drugą połówkę kanapki.

—Bądź poważna — westchnęłam, odsuwając talerz z zupą. — Dałabym wiele, by móc przeczytać pamiętnik ojca. Zawsze czułam, jak wiele nas łączy.

—Co mówi twoja mama?

—Nigdzie nie mogę jej znaleźć. Dzwonię do niej bez skutku od wczoraj wieczór.

—Założę się, że musiało to nią ruszyć. Kto wie, co wydarzyło się tyle lat temu? A co, jeżeli to nie był Tony Monterò? — Wystarczy, aby Lottie przypięła się do jakiegoś tematu, wbija się w niego jak pitbull w kość. — Twoim prawdziwym tatą może być sprzedawca mebli z Atlanty... albo przyszły prezydent Kuby.

—Daj spokój, Lottie. Nie rób z historii mojej rodziny mydlanej opery ani opowiadki rodem z powieści Cartlandowej. Zawsze chciałam wiedzieć, co się stało z moim ojcem, co się wtedy wydarzyło i dlaczego moja matka jest taka wredna.

—W przeszłości nie ma przyszłości — stwierdziła, ścierając serwetką musztardę z ust.

—Ale ignorowanie jej jest jak ucieczka przed własnym cieniem. Ciągłe pomagam różnym ludziom rozwiązywać tajemnice, ale zaniedbuję swoją własną, a jest dla mnie ważna.

Kiwnęła głową.

—No tak... Dzieci fotografów nigdy nie mają zdjęć z dzieciństwa, szewc chodzi bez butów, ale Britt, masa ludzi nie ma zielonego pojęcia, kim byli ich ojcowie, i świetnie sobie żyje. Przynajmniej większość z nich. — Przerwała i zrobiła zadumaną minę. Może przypomniała jej się niedawna sprawa pewnego mężczyzny, który zaraz po urodzeniu został oddany do adopcji i zaczął jako dorosły szukać swoich biologicznych rodziców. Dotarł ich śladem do Miami i zatłukł oboje kluczem francuskim.

—To trudno wytłumaczyć — stwierdziłam. — Mój ojciec, choć pozostawił po sobie wielką pustkę, zawsze jest blisko, tuż przy mnie. Jakby chciał mi coś przekazać. Mam wrażenie, że stanowimy jedność, zawsze jesteśmy razem.

— Ja bym dostawała od tego gęziej skórki.

— Teraz albo nigdy. Czas szybko mija, świat, w którym żył, znika. Tak samo ci, którzy go znali. Nie młodnieją.

— Nikt nie młodnieje. W każdym razie, gdybym mogła ci jakoś pomóc, możesz na mnie liczyć.

Uśmiechnęłam się. Zawsze chciałam mieć taką siostrę jak Lottie.

Zadzwoiłam do Białego Domu i dyrektor do spraw politycznych poinformował mnie, że Juan Carlos Reyes jest przez nich uważany za lojalnego członka partii i hojnego sponsora oraz liczącego się rzecznika społeczności amerykańskich Kubańczyków. W czasie pierwszej kampanii wyborczej prezydent rozmawiał z nim w Miami, obecnie Reyes był członkiem Komitetu na rzecz Ponownego Wyboru Prezydenta.

Porozmawiałam też z zastępcą sekretarza stanu do spraw wewnątrz-amerykańskich, byłym szefem Sekcji Interesów Amerykańskich w Hawanie, trzema kongresmanami z południowej Florydy (kubańskiego pochodzenia) oraz rzecznikiem Fundacji Kubańsko-Amerykańskiej. Mimo szczegółowych pytań i wścibstwa z mojej strony, najgorsze, co o nim powiedzieli, to że „ma problem z ego”. Czy nie jest to cecha każdego polityka?

Przejrzałam spisy nieruchomości, rejestr firm i dokumentację sądową. Majątek Reyesa był ogromny — sięgał od obozu treningowego dla bojowników o wolność, przez centra handlowe, śródmiejskie pasaży, biurowce, domy z apartamentami do wynajęcia, po supermarkety. Wszyscy jego partnerzy w interesach wyglądali na czystych, żaden nie miał przeszłości

kryminalnej. Częściej sam wnosił oskarżenia do sądu, niż był pozywany, a sprawy, w które go wikłano, były typowe dla potentata gospodarczego.

W pierwszej wersji artykuł wyszedł strasznie długi — na ponad trzysta centymetrów tekstu i wcale mi się nie podobało, że Ron i Gretchen uparli się zapoznać z nim, zanim zdążyłam go wygładzić i skrócić. Jeszcze nie zdążyłam usłyszeć od nich żadnego komentarza, kiedy do mojego biurka podszedł Fred Douglas.

—Znakomita robota, Britt. Twój artykuł o Reyesie będzie sercem dodatku. Trzeba go odrobinę podredagować, ale jeszcze nigdy Reyes tak chętnie nie mówił. Sprawia niemal wrażenie normalnego człowieka. Dowiedziałaś się masy rzeczy, których o nim nie wiedziałem. — Popatrzył na mnie z zachętą. — Powinniśmy robić to częściej. Wysłać reporterów z nietypowymi zadaniami, wprowadzać ludzi ze świeżym spojrzeniem.

O nie, tylko nie to...

—Natychmiast jak z tym skończę — wtrąciłam pospiesznie, nim wpadł na jakiś głupi pomysł — muszę wracać do swojej roboty i skończyć artykuł na temat tych zaginionych chłopców.

Nieobecny duchem, kiwnął głową. Może zapomni.

W chwilę potem do mojego biurka przypełzł jak krab Ron Sadler.

—Ładny kawałek... — zaczął z wahaniem. — Reyes nigdy przedtem nie ujawniał publicznie swoich planów włączenia Kuby do porozumienia o wolnym handlu ani nie mówił na temat swego udziału w inwazji w Zatoce Świń. Jak to z niego wydebiłaś? — Zniżył głos i lizusowato się uśmiechnął. — Przespałaś się z nim?

Powstrzymałam się przed walnięciem go w pysk. Nie chciałam umazać sobie ręki pudrem.

—Ron, sypiasz z każdą kobietą, z którą robisz wywiad?

—To zupełnie co innego — stwierdził z wyraźnym przekonaniem, że ma patent na odpowiednie zachowanie. — Ja jestem żonaty, mam rodzinę, a ty, no wiesz... jesteś ambitna i wolna. Ci *macho* Latynosi lubią młode kobiety.

—Spadaj stąd! Rzygać mi się chce od rozmowy z tobą! — Na mój głośny krzyk obróciło się kilka głów.

Rozejrzał się zażenowany, świadom, że jesteśmy obserwowani.

—Nie ma co się wkurzać. Przecież mnie znasz, Britt. Tylko żartowałem...

—Słyszałaś, co powiedziałam! Spadaj albo spiorę cię po pysku! Odpelznął i polazł na konferencję z Gretchen.

Jakiś czas później opowiedziałam Lottie, co zasugerował.

—Ja bym dostała piany. Zachowuje się jak wielki pan sprzed dwudziestu lat. Co z nim się stało?

—Nie wiem, Lottie. Zawsze był fajny.

—Pewnie zmieniła go telewizja. Nigdy nie ufałam mężczyznom, którzy mieli lepszy manicure od mojego.

Wzięłam transkrypty i wydruki, i żeby nie zdenerwować się jeszcze bardziej, pojechałam do domu. Niestety, moje miejsce do parkowania zajął ktoś obcy. Otworzyłam skrzynkę pocztową z nadzieją, że będzie w niej list od McDonalda, zamiast tego znalazłam głównie reklamy. Gdzie były listy do mnie? Czyżby mój nowy katalog „Tajemnice Wiktorii” wertował właśnie jakiś zboczeniec? Czyżby mój list miłosny od Kendalla McDonalda trzymał właśnie pod światło albo otwierał na parze jakiś podglądacz? Przynajmniej moje zwierzątka ucieszą się na mój widok. Weszłam do domu i zawołałam je miłym głosem.

Bitsy poszarpała na kawałki ulubioną zabawkę Billy'ego Bootsa i rozrzuciła strzępki po świeżo posprzątanym dywanie. Billy Boots, wyraźnie zestresowany tym wydarzeniem, zwymiotował coś, co wyglądało na resztki mojego storczyka. Złomowata klimatyzacja zdawała się zamiast chłodnego powietrza wdmuchiwać do pokoju gorące i sypialnia przypominała piec hutniczy. Było zbyt późno, by zawracać głowę Goldsteinom. O tej porze nikt nic nie naprawi.

Przesłuchałam wiadomości z automatycznej sekretarki. Nic od matki ani McDonalda. Nakarmiłam zwierzątko i zaczęłam grzebać w lodówce, co skończyło się na tym, że opuściłam rękę i zamarłam przed otwartymi drzwiczkami. Było to jedyne chłodne miejsce w mieszkaniu. Nie wiem, jak długo bym tak stała, gdyby nie Bitsy, która przyniosła smycz i zaczęła kręcić się pod nogami, przypominając o spacerze.

Nocne powietrze było jak mokra szmata. Niż rozwinął się w sztorm, który szalał gdzieś między Afryką a Antylami, ale u nas nie było najłżejszego ruchu powietrza. Późny sierpień w Miami jest niezwykle upalny, a powietrze aż naładowane elektrycznością. Znane są przypadki morderstw w walce o miejsce jak najbliżej wentylatora.

W Nowym Jorku i Chicago zimowe pomiary temperatury należy korygować o współczynnik wiatru, my mamy za to wysoki współczynnik letniego dyskomfortu. Po przemnożeniu temperatury z wilgotnością, szczytowe wartości osiągają u nas czterdzieści pięć stopni.

Czerwona wstążka na czubku głowy Bitsy zwisała w strzępach, więc chyba Billy Boots skutecznie zemścił się za zniszczenie jego zabawki. Co się odbyło między matką a Reyesem? I gdzie, do cholery, była?

Kiedy wróciłyśmy, ponownie zadzwoniłam do niej do domu i pracy. Znów bez efektu. Odechciało mi się jeść, postanowiłam zrezygnować z kolacji. Wrzuciłam do szklanki pokruszony lód, gruby plaster cytryny, wlałam tonik i kieliszek ginu. Usiadłam pod wentylatorem w sypialni i powoli popijając, delektowałam się słodkim, wyrazistym smakiem. Pracowałam nad artykułem o Reyesie, skróciłam go prawie o dwadzieścia pięć centymetrów, ale myślami byłam gdzie indziej.

Skończyłam drinka, odłożyłam artykuł i przebrałam się w bawełnianą nocną koszulę. W nadziei, że nadejdzie bryza, otworzyłam szeroko okna, sprawdziłam broń i na wypadek, gdyby przez okno zechciał wejść ktoś niepowołany, wsunęłam ją pod poduszkę.

Śniło mi się, że płynę po Zatoce Biscayne statkiem wycieczkowym. Zapadł już zmrok, woda daleko niosła śmiechy i muzykę. Nagle zaczęła się strzelanina i pasażerowie padli na pokład. Kanonada skończyła się tak samo nagle, jak zaczęła. Nikt nie został ranny i natychmiast ponownie rozbrzmiały muzyka i śmiechy. Kolejny wieczór w Miami. Szłam wąskim korytarzem jachtu, z cienia za mną wyszedł młody chłopak i przewrócił się na ziemię.

—To ja — powiedział. — Jestem ranny.

—O nie! — zaprotestowałam wyciągając ku niemu rękę. — Masz krew na ubraniu.

Wzięłam go na ręce i zaczęłam biec ku głosom w poszukiwaniu pomocy. Kiedy wyszliśmy na pokład, ujrzałam sylwetkę mężczyzny z pętlą na szyi. Mógł bez trudu uratować krwawiącego chłopaka, ale zastępowali mi drogę nic nie rozumiejący, roześmiani i gapiący się ludzie. Dzieciak robił się coraz cięższy. Krwi było coraz więcej. Choć robiłam co mogłam, nie miałam szans się przepchnąć ani obejść tłumu. Jego twarz spowijał cień. Miałam przed sobą postać z pętlą na szyi. Czy był to Juan Carlos Reyes?

Usiadłam na łóżku, przez chwilę jeszcze nie wiedząc, gdzie jestem. Przez otwarte okno słychać było śmiech przechodzących ludzi. Przewracałam się na mokrych prześcieradłach do samego świtu.

# Rozdział dziewiąty

---

W nocy nie wkradł się do mnie przez okno żaden intruz. Pewien rozwścieczony mieszkaniec Coconut Grove, ofiara trzech wcześniejszych włamań, nie miał tyle szczęścia. Kiedy o wpół do czwartej rano zaczął do jego domu wchodzić przez okno włamywacz, zarząbał go siekierą.

Drugiemu włamywaczowi udało się z trudem uciec przed rozjuszonym, wymachującym siekierą trzydziestopięcioletnim inżynierem elektronikiem, który tylko rozwalił bandycie siekierą okno w samochodzie.

—Nieźle machał, buzi dać — z uznaniem poinformował mnie na przywitaniu detektyw, kiedy przyjechałam na miejsce.

—Nie wytrzymałem — cicho powiedział inżynier robiący wrażenie człowieka o doskonałych manierach.

Znałam to uczucie. Miał proste brązowe włosy, kształtny nos, oczy, zwykle na pewno bystre, o tępym wyrazie.

—Nie jestem agresywny, ale obrobili mnie trzy razy. Ostatnim razem musieli mieć ze sobą ciężarówkę. — Popatrzył na jatkę w swoim pokoju. — Nie byłoby tyle świństwa, gdybym miał pistolet. Muszę kupić sobie pistolet...

—Albo alarm. Też mam broń, ale jeszcze nigdy się nie przydała, kiedy była potrzebna.

Stałam w zakrwawionym salonie z krępyim nieznajomym i rozmawialiśmy jak starzy kumple. W jednym miał rację, nigdy nie uda się doczyścić dywanu, a ściany i sufit trzeba będzie malować. Opryskany krwią był nawet stojak do gitary w rogu.

—Jestem Hal. — Wyciągnął rękę.

—Britt.

Jego dłoń była ciepła, palce szczupłe i delikatne. Trudno aż było uwierzyć, czego nimi dokonał. Popatrzyliśmy sobie w oczy. Dziwne uczucie. Coś takiego zawsze jest dziwne. Niektóre kobiety chadzają do barów dla samotnych albo dają anonse do gazet, ja najwyraźniej poznaję nowych mężczyzn na miejscach zbrodni. Właściciela łodzi turystycznej kapitana Curta Norskego spotkałam przy zwłokach pewnej od lat zaginionej osoby, ciągle jeszcze



przypiętej pasami w zardzewiałym samochodzie, który wyciągnięto z zatoki. McDonaldem zainteresowałam się w speluncie z zakrwawioną podłogą, kiedy w nocy ścigał przez pół miasta kolesia z pistoletem i szybką do strzelania ręką. Nic dziwnego, że moje życie to jedna wielka katastrofa. Powinnam być nieco mądrzejsza.

Bliskość gwałtownej śmierci wyzwala w człowieku animalistyczną potrzebę dokonania jakiegoś afirmującego życie czynu — na przykład odbycia aktu płciowego. To chyba jedna ze stosowanych przez Matkę Naturę sztuczek mających zagwarantować przetrwanie gatunku. Seks po śmierci to coś wspaiałego. Dopóki to nie my umarliśmy.

—Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach — bez ironii powiedział Hal.

—Jestem pewna, że twój salon nie zawsze tak wygląda.

W dalszym ciągu bosy, miał na sobie obcięte nad kolanami džinsy i rozpiętą koszulę. Ciemne oczy i tak samo ciemne kręcone włosy na piersi nie były złe, tak samo sylwetka. Hal był w znakomitej kondycji, co zresztą poczuł nieszczęsny włamywacz.

Podrapał się po karku, jakby go bolał.

—Gliniarze niewiele mówią. Mam kłopoty?

—Widziałeś go kiedyś przedtem?

—Nigdy, póki nie wyskoczył na mnie z ciemności. Uwierzyłam mu.

—Wygląda na to, że miałeś prawo się bronić, ale nie wiadomo, jak to się potoczy. Na pewno przeprowadzą śledztwo. Na twoim miejscu porozumiałabym się z adwokatem. — Przemawiało przeze mnie gorzkie doświadczenie na własnej skórze.

—Z adwokatem? Boże! Nie robiłem nic złego, spałem we własnym łóżku! — Musiało coś być w moim spojrzeniu, bo szybko dodał: — Sam! Facet się do mnie włamuje, a ja mam brać adwokata?!

„Biedny Hal" — przeszło mi przez głowę, kiedy jechałam do miasta. Rodzina włamywacza najprawdopodobniej oskarży go o odszkodowanie w wysokości dochodów, jakie zabity mógł im zapewnić w przyszłej złodziejskiej karierze.

Nie mogłam się doczekać powrotu do sprawy zaginionych chłopców, no i rozmowy z matką. Zwykle rozmawiamy codziennie, więc to, co się działo, było niezwykle. Czyżby aż taką zmianę jej zachowania spowodował Reyes? A może jednak miała dziennik ojca? Jeżeli posiadał go Reyes, oby dał mi go jeszcze przed niedzielą, dniem wyjścia dodatku specjalnego. Mój artykuł był co prawda uczciwy, bez wodolejstwa i przesady, ale słusznie czy nie — uparł się, że prasa robi na niego nagonkę i uważał, że każda strzelanina dotyczy go osobiście.

Tacy ludzie często obrażają się za niewinne zdanie czy nawet słowo. W tematyce politycznej artykuł w prasie może pomóc w wyjaśnieniu zbrodni, ujęciu zbiegłego przestępcy albo zrobieniu z gliniarza bohatera, czy to jednak znaczy, że gliniarze są zawsze szczęśliwi z tego, co piszę? Nie. Jakiś przesuwający papiery wysokiej rangi oficerek widzi nazwisko swojego podwładnego i już jest zazdrosny. Opieprza porucznika, ten wydziera się na sierżanta, który z kolei skacze na mundurowego z ulicy i w końcu dostaje się dziennikarzowi. Syf ma tendencje spływania z góry na dół i szybkiego rozprzestrzeniania się.

Plusem jest, że policjanci nie są zbyt pamiętliwi. Wiedzą, jak krótkie bywa życie. Ciekawe, jak to było w tym zakresie z Reyesem. Kiedy piszę, zawsze przykładam wielką wagę do rzetelności i zgodności z prawdą, jeżeli jednak z jakiegoś powodu mój artykuł Reyesa wkurzy, czy zatrzyma pamiętnik ojca jako zakładnika? Nonsens. Żaden z przyjaciół ojca nie zrobiłby czegoś takiego.

Zaraz po powrocie do redakcji zadzwoniłam do matki. Telefonistka powiedziała, że właśnie wyszła i zaraz ma wrócić. Uff, a więc nic jej się nie stało.

Zajęłam się artykułem o Halu i jego nocnym gościu. Gliniarze skłaniali się ku zakwalifikowaniu czynu jako uzasadnionego zabójstwa, ale ostateczną decyzję w tym zakresie zawsze podejmuje biuro prokuratora okręgowego. Z ostatnich informacji wynikało, że zabity włamywacz miał za paskiem nóż, w żyłach kokainę, a na koncie długą listę skazań. Wielkoduszność wprowadzonego ostatnio na Florydzie systemu wczesnych przedterminowych zwolnień z więzienia pozwoliła mu na wyjście na wolność po pół roku, choć skazano go na pięć lat. Nie był najmilszą osobą, jaką chciałoby się spotkać nad ranem w sypialni. Podejrzewałam, że Hal zadzwoni. To znaczy — miałam taką nadzieję.

Wcisnęłam klawisz WYŚLIJ i artykuł pognał w dalsze tryby procesu wydawniczego. Zadzwoniłam do rodziców Charlesa Randolpha. Po artykule w gazecie i programie w telewizji organizacja „Powstrzymać Przestępczość” zaoferowała nagrodę w wysokości tysiąca dolarów, a menedżer Very Vereli oświadczył, że piosenkarka przeznaczyła pięć tysięcy dolarów na nagrodę za wiadomość, która spowoduje powrót Charlesa do domu.

— Dzwonił detektyw Soams! — zawołała Cassie z wyraźnym podnieceniem w głosie. — Sprawdza pewne tropy. Znów zainteresował się sprawą.

Pomyślałam cynicznie, jaką to dziwną władzę mają media, że pobudzają organy do robienia tego, co należy do ich obowiązków.

Randolphom nic nie mówiły nazwiska ani adresy pozostałych chłopców. Potrzebowałam teraz pilnie wspólnego mianownika — miejsca, daty albo człowieka, który by ich łączył. Znalezienie wspólnego ogniw mogłoby stać się pierwszym krokiem do wyjaśnienia ich zaginięcia, niestety nic nie miałam.

Zadzwoiłam do Soamsa, żeby zapytać, co to za tropy tak podnieciły Randolphów. Sam przyznał, że tak naprawdę są mało obiecujące. Jakoby widziano Charlesa, ale informacje pochodziły od nastolatków, którzy znali kogoś, kto go widział. Kiedy ich proszono, aby wskazali naocznych świadków, wymieniali różnych kolegów, ci wskazywali następnych i w końcu wszystko się rozmywało. Ślady wyparowały, jakby młody Randolph miał się stać jednym z mitów, do którego źródeł nikt nie jest w stanie dotrzeć.

Edwin Clower czekał na mój telefon, umówiliśmy się na spotkanie. Sprzedawał i zajmował się serwisem maszyn. Kiedy przyszedłam, sekretarka uprzejmie mnie przywitała i zaprowadziła do jego gabinetu. Stwierdziłam, że chyba nigdy nie zrozumieję mężczyzn. Dlaczego zostawił Vanesse dla tej pulchnej niskiej kobietki w nieładnych butach i o zaciętych ustach?

Miał dość prymitywną urodę, rudoblond włosy, szare oczy, mocny uścisk dłoni. Ubrany był w białą koszulę z krótkim rękawem i krawat. Marynarka wisiała na haczyku na drzwiach.

Na biurku stało zdjęcie jego, Vanessy i ich dzieci. Postawił je ze względu na mnie?

—Napijmy się kawy — zaproponował i wyszliśmy na prazony słońcem chodnik, prowadzący do niewielkiego barku, dwoje drzwi dalej w tym samym ciągu biur.

Zamówił bezkofeinową i usiedliśmy we wnęce na pokrytych skajem siedzeniach.

—Alkohol popsuł mi żołądek — wyjaśnił, klepiąc się po brzuchu. — Doszło do tego, że nie mogę pić więcej niż dwie filiżanki na dzień. Teraz jestem w AA. — Jego oczy zatrzymały się na notesie, który wyjęłam z torebki. — Dlaczego zajęła się tym pani akurat teraz? Dziwi mnie, że interesuje się pani tą sprawą po upływie takiego długiego czasu.

—To z powodu pańskiej byłej żony. Zadzwoiła do mnie po opublikowaniu artykułu na temat Charlesa Randolpha.

—Oto cała Vanessa! — powiedział z dumą. — Nie zamierza się poddać w sprawie Davida. Ze mnie zrezygnowała dawno temu, ale z niego nie zrezygnuje. Cholernie dobra z niej matka.

—Powiedziała, że pan jest też niezłym ojcem.

—Naprawdę? — Wyraźnie go to zainteresowało. Kelnerka przyniosła kawę. Nasypał sobie cukru. — Co jeszcze mówiła?

—Że David się zezłościł i wyszedł po tym, jak się pokłóciliście. Że jego zaginięcie przez dwa dni nie zostało zauważone, ponieważ żona myślała, że jest z panem, a pan sądził, że jest z nią.

—Tak to było. Obiecałem mu wycieczkę kajakiem, długi wspólny weekend tylko we dwóch, wyprawę w górę Peace River. Zaczęliśmy się kłócić, kiedy powiedziałem mu, że musimy zrezygnować, bo mam inne plany.

—To znaczy?

Popatrzył na mnie zbolalym wzrokiem.

—Vanessa chyba pani powiedziała, że spotykałem się wtedy z kimś innym.

—Z pańską sekretarką. Kiwnął głową.

—Z Janine. Zaplanowaliśmy wyjazd na narty, do Kolorado. David strasznie się wkurzył. Właśnie mieliśmy za sobą pierwsze od rozvodu święta. Nie były zbyt przyjemne. Dzieciakom niełatwo było się przyzwyczaić.

—Ożenił się pan ponownie? — zapytałam, ponieważ nie miał obrączki.

—Skąd! — Na samą myśl zrzędała mu mina.

—Czy jesteście jeszcze... — skinęłam głową w kierunku biura. Jedną z przyjemności dziennikarstwa jest możliwość zadawania pytań, których zwykle nie zadaje się z grzeczności.

—Ależ nie. Myślała pani, że... To nie Janine, to Sue Ann. Janine zwolniła się, znalazła pracę w South Florida Motors. Ostatnio słyszałem, że kręci na poważnie z właścicielem. Rozeszliśmy się niedługo po zniknięciu Davida. Ona nie ma dzieci. Jeżeli kiedykolwiek będzie je miała, już mi ich żal. Ona myśli wyłącznie o sobie. Nie była w stanie zrozumieć, czym się tak właściwie denerwuję. Za każdym razem, kiedy rozmawiałem z Vanessą, robiła karczemną awanturę. Nawet oskarżyła Davida i Vanesę, że wszystko sfingowali, żeby ściągnąć na siebie moją uwagę. — Uśmiechnął się ironicznie i pokręcił głową. — Dałbym wszystko za to, gdyby to była prawda. Śmieszne. Nikt mnie wtedy nie chciał. Zaczęło mi kiepsko iść. Piłem, biznes podupadał, musiałem znacznie zredukować firmę.

Skłoniłam się do przodu, by dokładnie mu się przyjrzeć.

—Czy pamięta pan, co David powiedział tuż przed wyjściem? Czy był w tym choćby ślad informacji, dokąd mógł się wybierać?

—Zastanawiałem się nad tym tysiące razy. — Przeciągnął palcami przez włosy, zagryzł wargę. — To tylko i wyłącznie moja wina. Gdyby nie ja, nie rozwiedlibyśmy się. Gdybym go tylko powstrzymał przed wyjściem...

—Nie może się pan wiecznie oskarżać.

—Dlaczego nie? — Wzruszył rozpaczliwie ramionami. — Vanessa nigdy mi nie wybaczy, ja też nigdy sobie nie wybaczę. Przekonuję się, modłę się, żeby David żył i wrócił do domu. Wtedy może mógłbym zacząć coś naprawiać. Jeżeli nigdy więcej go nie zobaczymy, jeżeli zniknął na dobre, ja też straciłem szansę. — Zaczęła mu się zmieniać twarz, jakby poszczególne części się zapadały.

Odwróciłam wzrok, udając, że nie widzę bolesnej walki o odzyskanie panowania nad sobą.

—Może istnieje coś, na co nie zwrócił pan wtedy uwagi, jakieś słowo, które może okazać się ważne?

Odetchnął głęboko i odchrząknął. Kiedy się odezwał, był napięty, ale mówił wyraźnie, z lekkim cieniem irytacji.

—Powiedział, że już nie jestem jego ojcem i nie chce mnie więcej widzieć. A był jeszcze dzieckiem... — Twarz zaczerwieniła mu się ze złości. — Miałem na niedzielę dwa bilety na mecz Delfinów. Mimo to wyszedł.

—Poszedł pan na stadion?

—Słucham?

—Wykorzystał pan bilety? Poszedł pan na mecz?

Wbił wzrok w filiżankę.

—Wziąłem Janine. Niezbyt lubi sport.

—Co David ze sobą zabrał?

—Nic. Zostawił wszystko. Torbę z rzeczami, szczoteczkę do zębów, nawet książkę do nauki, którą dała mu matka. Musiał trochę nadgonić historię. Proszę zrozumieć, on działał w zaciętrzewieniu. Otworzył drzwi i zatrzasnął je za sobą, aż ściany zadygotały. Byłem wściekły, darłem się za nim, żeby wracał. Ostatnie, co widziałem, to jak biegł zapłakany w kierunku Sto Siedemdziesiątej Pierwszej Ulicy. Jeszcze nie zdążyliśmy zjeść kolacji i kilka minut wcześniej zamówiliśmy w Little Caesar's monstrualną pizzę, z których słyną. Myślałem, że nie będzie chciał jej stracić i Wróci. Kiedy przyniesiono pizzę, trzymałem ją w ciepłe przez kilka godzin. Nie pokazał się, uznałem więc, że złapał autobus i pojechał do matki.

—Nie zadzwonił pan do niej? Do Surfside to przecież kawał drogi. Trzeba się dwa razy przesiadać.

—Wiem, ale choć była chłodna noc, nawet nie zabrał kurtki i był głodny. Co prawda już raz, żeby mnie zaskoczyć, przejechał tę trasę, i to z siostrą. Skąd miałem wiedzieć, że nie ma przy sobie grosza? Dowiedziałem się o tym od Vanessy dopiero później. Powinienem był

zadzwoić, ale nie miałem nastroju. Vanessa ciągle mnie nękała, żebym spędzał z nim więcej czasu, i znów się nie sprawdziłem. Nie miałem ochoty słuchać tego kolejny raz. Mówiła pani o nagrodzie?

Potwierdziłam.

—Powiedziała coś na mój temat? — Pytając, miał minę jak zakochany nastolatek. Oczywiście świadczyły o tym, że jego najbliższy przyjaciel od dawna nazywa się „marne samopoczucie”.

Jego była żona wierzyła w to, co mówił. Ja też uwierzyłam.

Pojechałam do domu Clowerów i zaparkowałam na pustym podjeździe. Nikogo nie było w domu. Stałam dłuższą chwilę przed frontowymi drzwiami, potem zesłam z ganku i ruszyłam w kierunku Sto Siedemdziesiątej Pierwszej, tak samo jak tamtej nocy zaginiony David. Tyle tylko że on był wściekły, zapłakany i biegł w ciemności i wieczornym chłodzie, a ja szłam powoli, mrużąc oczy, oślepiana jaskrawym słońcem letniego dnia. Ulica, wzdłuż której stały skromne domy, wyglądała, jakby się nie zmieniła ani na jotę przez ostatnie cztery lata. W chłodną noc większość okien musiała być pozamykana, więc nikt by nie usłyszał krzyków wciągane do samochodu Davida. Mógł zostać zaczepiony lub zabrany gdziekolwiek po drodze do Surfside. Ciekawe, czy detektywi rozmawiali z pracującymi tamtego wieczora kierowcami autobusów. Teraz było na to o wiele za późno.

Podniosłam głowę i wbiłam wzrok w niebo, po którym szybko sunęły niskie chmury. Jakby tam mógł znajdować się jakiś znak.

—Gdzie jesteś, Davidzie? Dokąd poszedłeś?

## Rozdział dziesiąty

---

Droga do Coconut Grove zajęła mi dwadzieścia minut. Emily i Michael Kearnsowie prowadzili szkółkę roślin. Ona była drobna i ciemnowłosa, z nerwowym tikiem, który przypominał mi mnie samą tuż przed zamknięciem numeru. On — z nadwagą, łysiną i drobnymi wrednymi oczkami — wyglądał mi na piwosza. W salonie czuć było napięcie. Szybko stało się jasne, że w dniu, kiedy zniknęli, Emily wstawiła się u męża, zwolennika ostrej dyscypliny, za chłopcami, aby pozwolił im iść na objazdowy jarmark do Grove. Teraz nie tylko musiała pogodzić się z zaginięciem synów, ale także z nieprzemijającą wrogością męża.

W czasie rozmowy sięgnęła w dół, by pogłaskać kota koloru szarego dymu, który ocierał się o jej nogi, jakby wyczuwając nastrój pani. Kiedy zwierzak podszedł do mnie, zaczął mi obwąchiwać buty i popatrzył olbrzymimi złotymi oczami, Kearns mruknął:

—Możesz zabrać stąd tego gryzonia? Nie widzisz, że przeszkadza?

—O nie! — powiedziała szybko. — Na pewno czuje mojego kocura, Billy'ego Bootsa. Nie szkodzi. Kocham zwierzęta.

Kearns przyglądał się temu z obrzydzeniem i ponownie zauważył, że gdyby żona go słuchała, „jego chłopcy nigdy by nie uciekli”.

—Pozwalała im na zbyt wiele. Rozbestwiła ich. Rozbestwiła. Starszego, Michaela, wówczas trzynastoletniego, określali jako otwartego i przyjaznego. Był idolem młodszego Williama, skrytego i bardzo związanego z matką. Chłopcy wyszli wieczorem z domu rozochoceni, każdy miał w kieszeni po dziesięć dolarów. Kiedy nie wrócili, jak im kazano, do wpół do jedenastej, ojciec po nich pojechał. Nie znalazł synów, spotkał jednak ich przyjaciół, którzy w czasie wieczora widzieli chłopaków rzucających w jednej z bud piłkami. Willie bardzo chciał wygrać dla mamy miśka. O pierwszej w nocy rodzice zadzwonili na policję, powiedziano im, by zadzwonili ponownie, jeżeli chłopcy nie wrócą do rana. Rano policjanci stwierdzili, że rozbawieni chłopcy często tracą poczucie czasu, nie wracają, kiedy trzeba, więc boją się zjawić, żeby nie dostać bury. Poradzili im, by sprawdzili u rodziny i przyjaciół chłopców.

Jarmark wyjechał z miasta, a władze w dalszym ciągu nie traktowały zniknięcia chłopców poważnie. Oficjalna teoria brzmiała, że najprawdopodobniej uciekli szukać przygód i w swoim czasie wrócą.

Detektyw zajmujący się poszukiwaniem zaginionych złapał jarmark telefonicznie w Atlancie. Nikt nie pamiętał chłopców.

—Mam chore plecy i nie ma teraz nikogo, kto pomógłby mi w dźwiganiu ciężarów — narzekał Kearns. — Wie pani, ile ważą krzewy w tych wielkich kontenerach? Wieszaliśmy pod drzewem tamaryndy na podwórzu hamak, tuż na granicy dzikich kwiatów. Teraz go zarosły i czeka, aż wyzdrowieją mi plecy albo chłopcy wrócą do domu.

Mocno zaciśnięta szczęka i ponure, pełne wrogości spojrzenie, jakim obrzucał żonę, spowodowały, że zaczęłam brać pod uwagę, czy faktycznie chłopcy nie uciekli. Gdyby był moim ojcem, na pewno bym to zrobiła.

Emily Kearns wyszła za mną do samochodu i stanęła obok, krzyżując ramiona jakby było jej zimno, choć temperatura przekraczała trzydzieści stopni.

—Ma pani dzieci, pani Monterò? Przyznałam się, że nie.

—Kiedy będzie je pani miała, proszę wykorzystywać każdą okazję, by je objąć. W życiu nie ma pewności, nigdy się nie wie, czy będzie się jeszcze miało ku temu okazję. — Wbijiała wzrok w ziemię. — Ciągłe chodzi mi po głowie tyle spraw, które powinnam im była tamtego dnia powiedzieć. Żeby poszukali policjanta, jeżeli się zgubią. Żeby nie rozmawiali z obcymi. Jeżeli ktoś zacznie ich zagadywać, żeby odwrócili się i odeszli. Chodzą mi po głowie okropne wizje. — Wyglądała na naprawdę zażenowaną. — Mam niezwykle bujną wyobraźnię.

Nachyliła się w moją stronę i patrzyła nie widzącym wzrokiem, jak przekręcam kluczyk. Ostatnie, co powiedziała, nim odjechałam, to:

—Moi chłopcy nie uciekli.

Kiedy przyjechałam, Andrea Vitale była już w służbowym uniformie i szykowała się do wyjścia. Mieszkała w osiedlu na południowym zachodzie, zwanym Bramblewood Park. Basen, boisko i kort tenisowy znajdowały się w środku labiryntu identycznych niewielkich domków. Każdy z nich miał własne minipatio i wyznaczone dwa miejsca do parkowania. Ciekawe, co robiono, kiedy ktoś organizował przyjęcie? Wąskie ulice z mającymi ograniczać prędkość poprzecznymi garbami, ostrymi zakrętami i nieoczekiwanymi ślepymi zaułkami, zostały inteligentnie oznaczone literami alfabetu. Andrea Vitale mieszkała pod 402-B na ulicy D. Tyle tylko że po ulicy C następowała G. Gdzie, do cholery, była D? Gdzie była I? Nie było H i nagle okazało się, że jadę na południe M. Co za zabawa w chowanego. Nic by tu nie działał żaden goniec dostarczający pozwy sądowe ani natręt, który chciałby kogoś nachodzić, nie wspominając o oddziale antyterrorystycznym. Jeździłam w kółko, podskakując raz za razem na „śpiących policjantach", klnąc szaleńca, który stworzył ten labirynt, i re-



gularnie się zatrzymując, by zapytać grające w piłkę dzieci o drogę. Smutnie kręciły głowami i robiły zakłopotane miny. A przecież tu mieszkały. Jaką nadzieję mógł mieć obcy?

Z subaru wysiadła kobieta w białych szortach i z rakieta tenisową w dłoni, za nią pojawiły się dwie, mniej więcej jedenasto- lub dwunastoletnie dziewczynki. Spróbowałam jeszcze raz.

—Przepraszam, czy wie pani może, gdzie mieszkał Butch Beltran? Dziewczynki zamarły, patrząc na mnie rozszerzonymi oczami.

—Chyba nie chce pani powiedzieć, że wrócił?

W głosie kobiety zabrzmiał niepokój. Nie czekając na odpowiedź, wepchnęła dziewczynki do domu. Nie wyglądało na to, by sąsiedzi Butcha byli gotowi wyznaczać nagrody za sprowadzenie go do domu.

W końcu, całkiem przez przypadek, natknęłam się na ulicę D i znalazłam numer 402-B. Moją satysfakcję przyćmiewała nieco świadomość, że nie miałam zielonego pojęcia, jak to się stało. Modliłam się, abym nigdy nie musiała tu wracać.

Andrea Vitale zbliżała się do czterdziestki, była dość atrakcyjna, mocno zbudowana, miała ciepłe, jasnobrązowe oczy, wspaniałe jasnobrązowe włosy i trochę zniszczoną, pobrużdżoną twarz. Widać było jednak, że swój rozumek ma.

—Dojechała pani bez kłopotu? — spytała impertynencko.

—Bez najmniejszego — skłamałam. Najchętniej powiedziałabym: „Nic dziwnego, że Butch nie wrócił do domu. Krąży gdzieś po okolicy jak zagubiony zwierzak i próbuje się przebić przez alfabet”.

Na regale z nie malowanego drewna stało zdjęcie zaginionego od marca chłopca. Bawełniane podkoszulek, szerokie szorty i przekreślona daszkiem do tyłu baseballowa czapka. Uchwycony na fotografii w ruchu, z rozpostartymi na boki dla utrzymania równowagi ramionami, skupiony, wyglądał jak surfiingowiec, choć przemierzał przestrzeń jedynie na deskorolce. Znacznie bardziej zaciekało mnie drugie zdjęcie. Mniejsze, szkolne. Tak samo jak pozostali chłopcy miał jasnoblond włosy i błękitne oczy.

Zaproponowała kawę. Postawiła kubki i talerz ciasteczek z mąki owsianej na stoliku, przy którym usiadłam,

—Jego ulubione — oznajmiła, siadając na beżowej kanapie. — Do dziś kupuję raz w tygodniu opakowanie i nakręcam się, zjadając je sama. Gotuję w dalszym ciągu na dwie osoby. Siła nawyku. Mógłby już wrócić, moje ubrania porobiły się ciasne. — Roześmiała się, jej wzrok omiółł pokój. — Brakuje mi go — powiedziała bez wyrazu. — Nie zawsze dobrze się dogadywaliśmy, ale byliśmy jak Dwaj Muszkieterowie. Sporo razem przeszliśmy. Z ko-

nieczności byłam dla niego zarówno matką, jak i ojcem. Wobec tak inteligentnego dziecka jak on niełatwo być równocześnie wymagającym belfrem i kochającą mamusią. Ma w sobie coś dzikiego jak ojciec, ale sądzę, że już jest sprytniejszy, a na pewno będzie, kiedy dorosnie. Gdybym tylko mogła przeprowadzić go całego i zdrowego przez rafy młodości... — Zakończyła niemal jękiem.

—Wyklucza pani możliwość, że jest z ojcem?

Pokręciła głową, wyraz jej oczu świadczył, że jest tego stuprocentowo pewna.

—Jeździ w trasę z NASCAR, czasami jako kierowca, głównie jako mechanik. Dwa lata temu, kiedy Butch doprowadzał mnie do szału, wysłałam go na jakiś czas do ojca. Była to jedna wielka katastrofa. Zaraz po powrocie, trzy tygodnie przed terminem, Butch nawet mnie doceniał, choć nie trwało to długo. Spaprał mi letni romans. Jest w tym znakomity. — Westchnęła. — Od jego zniknięcia dwa razy rozmawiałam z jego ojcem, w Vegas. Nic nie wie. Rozwiedliśmy się prawie dziesięć lat temu, ja ponownie wyszłam za mąż, ale po roku małżeństwo się rozleciało. Butch nigdy nie miał męskiego wzorca, zawsze byliśmy tylko we dwoje.

—Co się działo w tym czasie, kiedy zniknął?

—Pracowałam nocami w szpitalu, na oddziale intensywnej opieki. Brałam trzecią zmianę ze względu na pieniądze, bardzo ich potrzebowaliśmy. Butch to typowy amerykański dzieciak typu „daj, daj, daj”, a ponieważ nie miał ojca i tak dalej, ciężko pracowałam, żeby mu dogodzić. Wie pani, tu deskorolka za sto siedemdziesiąt dolarów, tam buty do koszykówki za sto. Z przerażeniem oczekuję dnia, kiedy będzie wystarczająco duży, żeby zacząć jeździć samochodem. Tamtego dnia wróciłam do domu jak zwykle o pierwszej w nocy, ale nie było go ani przed telewizorem, ani w łóżku. Zawsze kiedy wracam, przynoszę coś do jedzenia i jeszcze przez chwilę razem siedzimy i rozmawiamy. Tym razem go nie było. — Wzruszyła ramionami. — Potem dopiero dowiedziałam się od sąsiadów, że co wieczór, kiedy szłam do pracy, on też wychodził z domu i wracał tuż przede mną. Miał wszystko wyliczone co do minuty.

—Dokąd szedł?

—Szwendał się po centrum handlowym w Cutler Ridge, po salonach wideo, po kinach, boiskach, bywał u przyjaciół. Odnalazłam parę dzieciaków i pracownika salonu wideo, którzy tego dnia widzieli go około dziesiątej wieczorem. Nikt nie widział, jak wychodził. Po prostu nie wrócił do domu.

—Może byłoby lepiej, gdyby sąsiedzi powiedzieli to pani przed jego zniknięciem...

—Cóż, nie byliśmy w okolicy zbyt lubiani. W zeszłym roku miał drobne kłopoty. Może mieli nadzieję, że nim się dowiem, co robi, znów się w coś wpakuje?

Przypomniała mi się kobieta w szortach i jej reakcja na perspektywę powrotu Butcha.

— Był o Butchu artykuł w pani gazecie — otwarcie powiedziała Andrea. — Nie użyto jednak nazwiska, ponieważ wobec nieletnich nie wolno.

— Co to za sprawa? — Jak to miejsce się nazywało? Usiłowałam sobie przypomnieć. Bramblewood?

— Został oskarżony o podpalenie. — Powiedziała to obojętnie, jakby to była sprawa równie błaha jak otrzymanie mandatu za złe parkowanie. — Wszystko jednak przycichło. To się wydarzyło ponad rok temu.

— Bomby? — zapytałam, nagle doznając olśnienia.

— Nigdy nie zamierzał nikogo zranić. Po prostu wiele rzeczy go interesuje, jest bystrym chłopcem.

Podeszła do regału, pogrzebała w szufladzie i podała mi złożony wycinek z gazety. NIE-LETNI PODKŁADACZ BOMB TERRORYZUJE OKOLICĘ.

Wycinek pochodził z „News”. Przebywałam wtedy na urlopie, na zachodnim wybrzeżu Florydy, w ramionach porucznika Wydziału Zabójstw Kendalla McDonalda. Artykuł napisał któryś z kolegów.

W czasie weekendu Czwartego Lipca Butch wysadził jednemu z sąsiadów klimatyzator. Nie bez przyczyny — matka skarżyła się, że działa zbyt głośno i nie pozwala jej zasnąć. Urządzenie zostało kompletnie zniszczone, podobnie jak ściana domu. Kiedy policja zaczęła prowadzić śledztwo, dzieci z sąsiedztwa opowiedziały o innych, związanych z ogniem, działaniach Butcha.

Ewakuowano okolicę. Specjalne psy wykryły w sypialni Butcha trzy bomby sporządzone z kawałków metalowych rur.

Miał wtedy jedenaście lat.

W artykule cytowano słowa jednej z sąsiadek, która zabroniła swoim dzieciom jakichkolwiek kontaktów z Butchem po tym, jak przyłapała sześciolletnią córkę wychodzącą z domu z zegarkiem. Mała wyjaśniła, że niesie go Butchowi, który chce skonstruować bombę zegarową.

— Ten incydent — wyjaśniła Andrea Vitale — nie zwiększył naszej popularności w okolicy, ale Butch łatwo się z tym pogodził.

— Co było w sądzie dla nieletnich?

—Kazano nam iść na psychoterapię rodzinną, takie spotkania grupowe w Jackson. Po dwóch czy trzech sesjach powiedzieli nam, że możemy więcej nie przychodzić. Od tego czasu wszystko było z Butchem w porządku.

Akurat. Co wieczór wmykał się z domu nie wiadomo po co, pięć miesięcy temu zniknął bez śladu, ale poza tym jest z nim wszystko w porządku. Wizja płonącego samochodu Alexa Aguirre'a nie pozwalała mi traktować zabaw Butcha jedynie jako dziecinnych figli.

Obróciła wzrok ku fotografiom.

—Taka jestem na niego zła, że nie zadzwoni i nie powie, że jest cały i zdrowy. Kiedy wróci, uścisknę go na powitanie, ale zaraz po tym tak nim potrząsnę, aż zadzwonią mu zęby.

—Uważa pani, że nic mu nie jest? Zdarzało mu się już kiedyś uciec z domu?

—Ba! — Zagryzła wargę i wyraźnie zeszywniała. — Tym razem to jednak całkiem coś innego. Zaczynam się bać.

—Co jest inaczej?

—Nie pokłóciliśmy się jak poprzednimi razy, nie było nic, co mogło wyzwolić w nim taką reakcję. W szkole szło mu dobrze, przenieśli go nawet do klasy dla uzdolnionych dzieci, więc się nie nudził. O ile wiem, nie miał żadnych problemów, w nic się nie wkopał. Najbardziej jednak przeraża mnie to... — strzepnęła z mundurka okruchy ciastka — ...nie mam pojęcia, co miałby tak długo robić. Zwykle zniknął na kilka dni, ale nawet wtedy nie mógł się powstrzymać od telefonów, czasem wręcz, kiedy byłam w pracy, zabawiał się ze mną, telefonując za każdym wyjściem z domu. Zawsze dzwonił. Najbardziej zależało mu, żeby się nim interesowano. Nigdy niczego nie dostał od ojca, ja zawsze starałam się, jak mogłam, ale przez to nie miałam dla niego wiele czasu. Za każdym razem kiedy dzwoni telefon, spodziewam się usłyszeć jego głos i pytanie: „Tęsknisz za mną, mamó?”, ale nie dzwoni, i to jest najdziwniejsze. Niektórzy ludzie z sąsiedztwa są zadowoleni, że zniknął, ale nikt nie dopuszcza do siebie myśli, że jego chłopak też może któregoś dnia zniknąć. — Uśmiechnęła się. — Chciałabym, by go pani poznała. Ten chłopak naprawdę ma w sobie wszystko, czego trzeba. Wzięła następne ciastko.

—Jeszcze jedno jest tym razem inaczej. Nie zabrał ani jednej zabawki. Jedyne, co wziął, to szwajcarski nóż oficerski, wie pani, taki z pilnikiem, nożyczkami, otwieraczem do konserw. Dostał go na dwunaste urodziny. Nigdzie w domu go nie ma. Prawdopodobnie zabierał go dla obrony na swoje wieczorne wyprawy. Nie jest agresywny, ale rozsądny, zdaje sobie sprawę z czyhających na ulicy niebezpieczeństw. W tym zakresie nigdy nic przed nim nie ukrywałam.

Popatrzyła na mnie, jakby dziwił ją mój widok. Żuła ciastko.

—Butch nie należy do dzieciaków, które znikają i więcej o nich nie słyhać. — Westchnęła. — Jestem przekonana, że prędzej czy później powinien ściągnąć na siebie czyjąś uwagę, jeśli rozumie pani, co mam na myśli...

Odruchowo sięgnęła po kolejne ciastko.

Wyjazd z Bramblewood okazał się znacznie prostszy niż wjazd. Nawet nie zauważałam „śpiących policjantów”. Kotłowało mi się w głowie, próbowałam skojarzyć poszczególne fakty. Po powrocie do redakcji natychmiast sprawdziłam wiadomości dla mnie. Nie było niczego od matki. Czyżby dołączyła do chłopców w krainie Nigdy Nigdy? Wyobraziłam sobie, jak razem z Butchem krąży po Bramblewood.

Czyżby odgrywała się za to, że nie oddzwaniałam natychmiast, kiedy ona mnie szuka? Zostawiłam jej kolejną wiadomość.

Telefony do pozostałych, mniejszych wydziałów policji nie dały żadnych rezultatów. Pisząc artykuł, zastanawiałam się, czy dział graficzny nie mógłby zrobić mapy z zaznaczeniem miejsc, w których ostatni raz widziano chłopców. Gdyby wyniknął z tego jakiś schemat... Nad moim biurkiem wisi wielka mapa hrabstwa Dade. Zrobiłam próby, wbijając pinezki w miejsca, gdzie znikali chłopcy. Nic nie układało się w logiczną całość. Spróbowałam z żółtymi pinezkami w miejscach zamieszkania i niebieskimi tam, gdzie chodzili do szkoły. *Nada*. Nie było schematu geograficznego, rytmu, sensu. Zaginięcia na jarmarku nastąpiły w czwartek wieczorem, Charles Randolph zniknął w sobotę rano, David Clower w sobotę wieczorem. Lars Sjowall wyszedł do kina we wtorek po południu, Butch Beltran wymknął się po raz ostatni z domu w środę w nocy. Nie odnaleziono ani jednego ciała, ani niczego, co do nich należało, nie zażądano okupu. Rodzice żadnego z chłopców nie byli na tyle majątni, by zapłacić poważniejszą sumę. Jedyнным ogniwem łączącym był wygląd chłopców. Wszystko sprowadzało się do wieku, wyglądu i tego, że zniknęli bez śladu jak odbicia stóp na topniejącym śniegu.

Moi szefowie mieli duże wątpliwości i stawiali opór. Aby artykuł się sprzedawał, musi mieć dobre zdjęcia, a zaginieni chłopcy byli do siebie tak podobni...

Mimo to ich młode twarze pojawiły się na stronach poświęconych wydarzeniom lokalnym w wydaniu niedzielnym — jedno przy drugim, jakby byli braćmi albo kuzynami. GDZIE ONI SĄ? — pytał tytuł. Podtytuł dodawał: BRAK ŚLADU PO ZAGINIONYCH CHŁOPCACH. Tego samego dnia poszła wkładka z dodatkiem o Kubie. Na pierwszej stronie znajdowało się zrobione przez Lottie kolorowe zdjęcie Reyesa na jego jachcie, pod nim pierwsze akapity mojego wywiadu, którego dalszy ciąg znajdował się w środku.

Jak na jeden dzień, niezły wynik.

# Rozdział jedenasty

---

Ranek spędziłam na unikaniu Setha Goldsteina, który przylgnął do mnie jak cień, oraz poszukiwaniu matki, która najwyraźniej postanowiła ukrywać się przede mną. Przynajmniej jej automatyczna sekretarka nagrywała telefony. Jeżeli kiedykolwiek odegra wiadomości, usłyszy szereg moich wezwań — od grzecznych i nieśmiałych, przez obrażone i zaskoczone, aż po wściekłe i żądające, aby oddzwoniła. Potem musiałam zająć się nowym tematem i moje problemy na jakiś czas zniknęły.

Kiedy wściekałam się z powodu braku reakcji matki, pewien człowiek — nazywał się José Caliente — przeżył prawdziwy horror. Gdy kolumna samochodów, utknąwszy w korku, zamarła, jego niewielka furgonetka, którą rozwoził lody, została zablokowana dokładnie na torach linii Florida East Coast Railway. Kiedy zaczęły migotać światła i rozległy się ostrzegawcze sygnały, nacisnął na klakson, ale nikt nawet nie drgnął. Cadillac przed nim stał zakleszczony między innymi samochodami, stojący zderzak w zderzak za nim autobus nie mógł cofnąć się nawet o centymetr. Nadjeżdżający pociąg gwizdał. Kierowca autobusu zawołał: „Skacz! Uciekaj!”, Caliente jednak się wahał, mając może nadzieję, że jakoś zdoła uratować samochód — jedyne źródło dochodu jego żony i ich czworga dzieci. W końcu skoczył, ale zbyt późno. Pociąg pchał go przed sobą dwadzieścia pięć metrów.

Przewrócona furgonetka została zawleczona jeszcze dalej. Natychmiast zaczęli się zbiegać ludzie, ale nie do pomocy. Jedni z tych, którzy otoczyli furgonetkę, zaczęli się bić o kasetkę z pieniędzmi, inni rozkradli lody. Ci z najbardziej wytrzymałymi żołądkami wyciągnęli z tego, co pozostało po José Calientem, portfel, ściągnęli mu zegarek i medalik z Najświętszą Panią, który nosił na srebrnym łańcuszku na szyi.

Miał czterdzieści pięć lat. To, co przydarzyło się jemu, mogło się przydarzyć każdemu z nas, żyjących w miejskiej dżungli. Gdybym nie miała nad głową topora pod postacią zbliżającego się zamknięcia numeru i nie była tak bardzo podniecona oczekiwaniem na reakcję czytelników na artykuł o chłopcach, pewnie wpadłabym w depresję. Zamiast tego gnałam drogą szybkiego ruchu jak taran, łamiąc, gdzie tylko się dało, wszelkie ograniczenia prędkości. Kiedy wpadłam do redakcji, przejęta do głębi, układając już sobie w głowie wstęp, aż mnie zatkało. Moje biurko zalewało morze kwiatów. Różne orchidee — przepyszne, seksowne białe katleje, gałązki żółtych cymbidium i drobnych motylników, unoszących się jak ważki znad kosza pełnego wierzbowych witek i bambusa. Opadła mi szczeka. McDonald.

Skąd on zawsze wie, kiedy najbardziej go potrzebuję? McDonald... Jak bardzo brakowało mi jego kanciastej szczęki i delikatnego dotyku...

—Masz urodziny, Britt? — spytał z ciekawością Ryan.

—Nie. — Uśmiechnęłam się chytrze. — Są jeszcze inne okazje, aby dawać kwiaty.

Wszystkie oczy w hali pełnej specjalistów od wtykania nosa w nie swoje sprawy były skierowane na mnie. Czułam się jak na scenie.

—Britt ma nowego narzeczonego! — wykrzyknęła Howie Janowitz. Wokół biurka zebrał się tłumek.

—Od kogo? — kategorycznym tonem zapytała Barbara DeWitt, zawsze poważna dziennikarka zajmująca się Radą Miejską.

—Cóż... — mruknęła Lottie. — Wystarczy przeczytać liścik. Gretchen i Ron Sadler przebili się jak najbliżej.

Zdjęłam zawieszoną na smukłej gałązce kopertę. Otwierając ją, krążyło mi po głowie, ile na to wydał. Poczulałam w oczach łzy. Nie powinien był tego robić...

Nie zrobił. Tekst na kartce w środku brzmiał: „Okrywa pani chwałą nazwisko Monterò”. Podpisano: Juan Carlos Reyes.

Kompletnie zaskoczona, wsunęłam kartkę do kieszeni. Za późno. Pierwszy wydarł się triumfalnie Ron Sadler.

—Reyes! Przysłał je Juan Carlos Reyes! — Popatrzył na Gretchen z miną, która miała wyrażać: „A nie mówiłem?”

—Nie mogę w to uwierzyć... — wymamrotałam pod nosem, sploniona jak pensjonarka. Nazwisko „Reyes” rozchodziło się po sali jak fala.

—Wygląda na to, że spodobał mu się twój artykuł — stwierdziła Gretchen tonem, który u kogoś innego można by uznać za kpiący.

—Coś w każdym razie na pewno mu się spodobało — dodał ktoś inny. Co miałam powiedzieć? Unikając ich wzroku, odsunęłam kosz na bok, razem ze stertą wiadomości do mnie, które będą jeszcze musiały zaczekać, i ustawiłam krzesło, dając do zrozumienia, że muszę pracować.

—Przepraszam, zaraz mija mój termin. Mogę skończyć artykuł? Ponieważ zignorowałam ciekawskich, zaczęli się rozchodzić. Cmentarny zapach kwiatów pasował do sytuacji — korzystając z notatek zaczęłam kleić artykuł na temat Josego Caliente. Gdyby kwiaty przysłał McDonald, byłabym zachwycona. Gust — tak samo jak ubrania, dom i maniery — Rey-

es miał znakomity. Kompozycja naprawdę zapierała dech w piersiach. Kto przechodził, od gońca po naczelnego, zatrzymywał się.

—Jaka to okazja?

—Urodziny?

—Ktoś naprawdę cię lubi.

Były także bardziej bezpośrednie pytania:

—Kto je przysłał?

Kiedy skończyłam artykuł, spróbowałam wepchnąć kosz pod biurko. Wierni czytelnicy regularnie bombardują mnie zwariowanymi listami, deklaracjami nienawiści, groźbami śmierci, pozwami sądowymi i klątwami santerii. Kwiaty są rzadkością. Gdyby trend miał się utrzymać, dostanę jednoznaczną informację, że osiadłam na mieliźnie.

—A nie mówiłam — zachichotała Lottie. — Ten facet się na ciebie napalił.

—Teraz jeszcze ty... — jęknęłam. — Powinnaś była widzieć Rona i Gretchen.

—Wczoraj wieczór wpadłam na nich w holu... — Miała kpiarską minę. — Mogłabym się założyć, że Ron miał na twarzy róż.

—Wcale bym się nie zdziwiła.

Przycupnęła na skraju mojego biurka. Miała na sobie czarne džinsy, koszulę z żabotem i ręcznie wyszywane kowbojki.

—Masz adoratorów w każdym wieku, stoją do ciebie w kolejce i dyszą. Setha, Reyesa...

—Jasne, jeden w takim wieku, że mógłby być moim ojcem...

—Mógłby być.

—...a drugi obsrany dwunastolatek. Jeszcze nie słyszałaś o facecie z siekierą. — Opowiedziałam jej o Halu.

—Wygląda na fajnego. A propos facetów, Stosh będzie miał wielki proces i pyta, czy nie chciałabyś o nim pisać.

—O nie... Znów się z nim bujasz? Głupkowato się uśmiechnęła.

—Te kwiaty z pogrzebu to była pomyłka, nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Tak mu było przykro, tak przepraszał... Chce mi coś kupić, ale to wielka tajemnica. Prezent niespodzianka.



—Jak sądzisz, co to będzie? — Ciekawe, co jeszcze można ukraść na cmentarzu.

Uśmiechając się, pokręciła głową.

—Nie mam pojęcia.

Lubię, jak Lottie jest szczęśliwa. Może rzeczywiście uda jej się zmienić Polskiego Księcia. Byli bez dwóch zdań znakomitą parą: on wysoki blondyn, ona wysoki rudzielec, uwierzę w to jednak dopiero wtedy, kiedy będzie związany jak cielak i oznakowany.

—Powiedziałaś mu, że najprawdopodobniej nie zechcesz się tym zajmować.

—Dlaczego tak uważasz?

—To proces cywilny. Pisałaś o tym, co się przydarzyło powódce. Pamiętasz LaFontanę Pierre? Tę Haitankę, która zapaliła się w dniu swoich urodzin?

—Chodzi o tę, co przeżyła? — Kiwnęłam głową. Jakże mogłabym zapomnieć? Zajmowałam się w ostatnim roku czterema identycznymi przypadkami. Nie mogłam jednak zrozumieć jednego. — Proces cywilny? Kogo skarży i za co? Przecież zapaliła się przypadkiem podczas ceremonii voodoo.

Lottie wzruszyła ramionami.

—Właściciela domu, w którym mieszka, gazownię, producenta piecyka...

—O co?

—Stosh twierdzi, że o północy chciała zapalić gaz w kuchence, aby podgrzać mleko, z wadliwego palnika wystrzelił dwumetrowy język ognia i podpalił jej szlafrok. Praktycznie go spalił.

—Lottie! Przecież brała „kąpiel szczęścia"! Wszyscy o tym doskonale wiedzą!

„Kąpiel szczęścia" to rytuał oczyszczający, przeprowadzany o północy w dniu urodzin, który ma danej osobie zagwarantować szczęście w nadchodzącym roku. Solenizantka leży w wannie wypełnionej wonnościami i otoczonej palącymi się świecami i powtarza modlitwę z haitańskim *houngan*, czyli duchownym. Płomienie świec, śpiew i aromaty mają zwabić bóstwo i skłonić je do ofiarowania proszącej wygranej na loterii albo sprowadzenia dla niej męża z dobrą pracą.

LaFontana Pierre zrobiła wszystko, jak kazał duchowny. Dokładnie o północy w dwudzieste piąte urodziny siedziała w kręgu zapalonych świec i oblała nagie ciało perfumami.

Kiedy to zrobiła, jej szczęście odeszło. Zanim zdążyła powiedzieć choć jedno magiczne słowo, stanęła w płomieniach. Zrobione na bazie olejków eterycznych perfumy składały się

w osiemdziesięciu procentach z alkoholu i płomienie świec zapaliły opary. Jak zaś wiadomo, alkohol płonie w znacznie wyższej temperaturze niż większość innych związków.

Wybiegła z krzykiem na ulicę. Miała szczęście, że doznała poparzeń jedynie na czterdziestu procentach powierzchni ciała. Pierwsze trzy ofiary zmarły w wyniku odniesionych ran.

Lottie wzruszyła ramionami.

—Ona twierdzi, że to była kuchenka.

—Ależ daj spokój. Zepsuła się akurat o północy? W jej urodziny? A co z woskiem ze świec na podłodze? Boże, Lottie, jak jej się udało tak szybko zamerykanizować? Gdzie się dowiedziała o tym, jak łatwo obchodzić prawo?

Co tu było dziwnego? Polski Książę musiał przylecieć do niej jak ćma do ognia. Teraz będzie próbował zmienić jej passę na lepszą — no, swoją też.

—Kapanie się w dniu urodzin w perfumach jest w każdym razie bardziej cywilizowane od obcinania kurczakom łbów i rozpryskiwania krwi. Może nawet jest skuteczne. Kto wie? Za miesiąc mam urodziny...

—Lottie, ani się waż! Nawet o tym nie myśl!

Udałam, że nie usłyszałam aluzji do ciotki Odalys i zajmowania się santerią, co zdradziłam Lottie po tym, jak zajmowałyśmy się zabójstwem południowoamerykańskiego handlarza narkotyków, którego mieszkanie warownia przypominało kaplicę satanistyczną, obwieszoną *palo mayombe*, ikonami voodoo oraz pojemnikami z krwią i zwierzęcymi wnętrznościami.

—Myślałam, że Stosh zajmuje się jedynie sprawami kryminalnymi.

—Zna rodzinę ofiary, reprezentował jej kuzynów w sprawie o zabójstwo. Chce rozszerzyć swoje horyzonty. Mówi, że jeżeli jest w stanie zajmować się skomplikowanymi sprawami kryminalnymi, powinien spróbować skomplikowanej sprawy cywilnej. W końcu nie ma chyba nic złego w podejmowaniu nowych wyzwań... — Zabrzmiało to obronnie. — Mówi, że to ewidentny przykład uprzedzenia — nikt by nawet nie wspomniał o voodoo, gdyby jego klient pochodził z Utah. Może naprawdę winny był zepsuty palnik...

Lojalność Lottie jest najwyższej próby, ale w przypadku Księcia była źle umiejscowiona. Cóż, miłość czyni ślepym. Prawie zachciało mi się zająć procesem, choćby dla zobaczenia Stosha i obserwowania, jak udaje mu się wciskać kit dwunastu obywatelom Miami.

Coś mnie gnało, by odpowiedzieć na telefony do mnie. Ciekawe, czy była jakaś wiadomość od Charlesa, Davida, Michaela, Williama, Larsa albo Butcha. Byliśmy teraz po imieniu. Na początek jednak orchidee.

Telefon z podziękowaniami do Reyesa da mi możliwość zapytania o dziennik ojca. Kiedy sięgałam po słuchawkę, zawahałam się sekundę. W tym momencie zadzwonił telefon.

— Jest tu ktoś do pani, Britt. — Ochroniarz z holu powiedział to, jakby miał do czynienia z dość niesympatycznym indywiduum.

— O cholera... — powiedziałam niecierpliwie, kiedy przekazał mi nazwisko gościa. — Wie, że jestem na górze? Dobra, proszę go przysłać...

Reyesowi najwyraźniej spodobał się mój artykuł, ale byli tacy, którym się nie spodobał.

Jorge Bravo kuśtykał ku mnie, podpierając się laską. Szedł powoli i z wysiłkiem. Prawe biodro i nogę strząsał mu granat podczas któregoś z rajdów na Kubę. Będąc typowym *macho*, zawsze szydził, że to gówno wart *maricon granat*, ponieważ nie udało mu się go zabić.

Ubrany był w rzeczy tanie, ale czyste i dobrze wyprasowane. Oczy skrywały mu ciemne okulary. Łysiał, ale wąsy miał bujne i był niższy, niż udawało mu się wyglądać na zdjęciach. Mimo nieszczególnej postury i kalectwa, trzymał się jednak z godnością nie pasującą do prostych roboczych spodni i bawełnianej guayabery. Miał wściekłą minę. Wyglądał tak samo jak po nieudanej inwazji w Zatoce Świń.

Wstałam, by się z nim przywitać.

— *Asesina!* — zawył. — Morderczyni!

Zatkało mnie.

— Zabiłaś ich!

Odwróciły się ku nam głowy, opadło kilka szczęk. Znów bawiono się moim kosztem.

— Przepraszam pana, ale...

— Znów ich zabiłaś! *Asesina!* Wszystkich tych odważnych ludzi, którzy zginęli! Zabiłaś ich! — Pomachał w moim kierunku laską. — Jesteś *asesina!*

— Panie Bravo — odparłam chłodno — o czym pan mówi?

— Mordujesz ich pamięć! — Walnął w blat mojego biurka chropowatą dłonią, której brakowało dwóch palców. Na podłogę spadło kilka kartek.

— Proszę przestać krzyczeć. — Musiałam bronić swojego terenu. — Ludzie próbują tu pracować. Jeżeli chce pan coś powiedzieć, pomówmy spokojnie, jak dorośli. Nie pozwolę na siebie krzyczeć.

Jego pocięta zmarszczkami, czerstwa twarz zrobiła się jeszcze bardziej czerwona i wydarł się jeszcze głośniejsze.

— *Muerte!* — Wyciągnął ku mnie palec. — *La complice!* Zaczynałam mieć tego dość. Nie wiedziałam, jak uspokoić tego człowieka.

Biorąc pod uwagę jego przeszłość, mógł być uzbrojony. Odwróciłam się do Ryana, który przyglądał się scenie wytrzeszczonymi oczami i właśnie wykręcał jakiś numer.

—Zadzwoń po ochronę — rzuciłam do niego.

—Reyes to zdrajca! — krzyczał Bravo. — *El es un monstruo!* Bezczęścisz pamięć tych, którzy zostali zdradzeni! Bohaterów. Ty! Córka patrioty! Tony Monterò musi przewracać się w grobie!

Skończyła mi się cierpliwość. Po raz pierwszy w karierze ucieszył mnie widok niezdarnych ochroniarzy, nadbiegających w pędzie.

Bałam się, że Bravo zacznie się z nimi bić, strząsnął jednak z siebie ich dłonie i sam wykuśtykał z sali redakcyjnej, wygłaszając przez ramię dalszy ciąg tyrady.

—Napisz drugi artykuł! Tym razem powiedz prawdę! Jeszcze o mnie usłyszysz! — Wrzaski dudniły, aż wsadzili go do windy.

Cała drżąca usiadłam. Wściekła i zażenowana, próbowałam przekonać siebie samą, że zrobiłam dobrze. Napisanie choć jednego artykułu o polityce kubańskiej jest gorsze od wsadzenia kija w gniazdo dzikich os. Fanatyczni działacze, kopiając i wrzeszcząc, natychmiast wciągają człowieka w swoje kłótnie, schematy myślowe i dziecinne zazdrości. Nie zamierzałam dać się uwieźć w mojej spuściznie i wciągnąć w ich walkę z Fidelem i wszystkim co po drodze.

Sekretarka Reyesa połączyła mnie natychmiast z szefem.

—Britt... — powiedział ciepłym głosem, jakby uradowany, że mnie słyszy.

—Panie Reyes, dziękuję za orchidee. — Mówiłam cicho, by nikt z kolegów mnie nie słyszał. — Są zachwycające, ale to było niepotrzebne.

—Oczywiście, że było potrzebne. Nie znalazłem niczego wystarczająco dobrego, choć wzięłem to, co najlepsze. Jak mam ci dziękować? Po raz pierwszy twoja gazeta opublikowała moje nazwisko bez insynuacji, a moje słowa bez przekłamań. Trafiło się co prawda kilka niezbyt przyjemnych fragmentów, ale jestem przekonany, że nie ponosisz za nie winy. Znam ludzi, dla których pracujesz.

—Znalazł pan dziennik mojego ojca? Westchnął.

—Przypomniałaś o mnie drogiej Catalinie, tak jak prosiłem?

—Próbowałam, ale była zajęta, i jeszcze nie miałam okazji z nią porozmawiać.

Zamilkł na chwilę.

—Szkoda. Rodzina jest tak ważną rzeczą... Aha, czytałem też twój artykuł o chłopcach, którzy puciekali z domu.

—Nie sędzę, by chodziło o ucieczki z domu.

Dlaczego tak mu zależało na nic nie znaczącej paplaninie? Nie usłyszał mojego pytania?

—Byłoby fascynujące, móc przeczytać dziennik ojca.

—Dlaczego tak uważasz?

—Przepraszam, ale nie rozumiem.

—Że nie uciekli z domu? Serca młodych ludzi tętnią życiem, pragną oni przygód, chcą poznać świat.

—O, zdawało mi się, że mówimy o dzienniku mojego ojca.

—Wyglądasz na bardzo przekonaną, że nie uciekli z domu.

—Wkrótce może będę wiedziała więcej. — Zaczęłam przeglądać leżące na biurku wiadomości. — Wygląda na to, że artykuł wywołał spory oddźwięk. Jeszcze nie miałam czasu, aby sprawdzić wszystkie informacje.

—Zpracowana kobieta... Czy masz kiedykolwiek choć trochę czasu dla siebie? Musisz czasem odpoczywać. Czy była jakaś reakcja na artykuł o mnie?

Czy specjalnie mnie torturował odpowiadając bez związku, czy chciał jedynie przedłużyć rozmowę?

—Trzeba przyznać, że ktoś zareagował. Wrogo. Jorge Bravo. Nie wiedziałam, że się kłóćcie.

—Tak to wygląda — łagodząco powiedział Reyes. — Człowieka określają jego wrogowie, więc mi to pochlebia.

—Myślałam, że stoicie po tej samej stronie.

—Wiele lat temu wszyscy byliśmy członkami *la causa*. Rozlewaliśmy krew i traciliśmy lata życia dla Kuby. Wytrzymywaliśmy strajki głodowe, tortury, groźby. Przeciwności losu niektórych hartują, innych niszczą.

—Dziennik...

— Tak, tak, mój asystent szuka, ale niczego jeszcze nie znalazł. Przekażę mu, jak bardzo jesteś niecierpliwa i jakie to pilne.

— Dziękuję... Jeżeli przeleżał w ukryciu trzydzieści lat, nic się nie stanie, gdy poczekam jeszcze kilka dni.

Gloria podała mi notatkę. Na drugiej linii był policjant. Pożegnałam się,

Reyes nie omieszkał wyrazić nadziei, że wkrótce znów się spotkamy. Melodyjnym głosem, szepczącym jak lasy na ciemnych, tajemniczych górach Kuby.

Mając głowę zaprzątniętą tęsknym mistycyzmem Reyesa, zapomniałam spytać Glorię o nazwisko detektywa ani o to, skąd dzwoni.

— Pani Monterò... — zaczął przeciągając słowa. — Chciałbym porozmawiać o pani artykule na temat zaginionych chłopców. Mamy jednego, który pasuje do profilu.

Jeszcze jeden?

— Przepraszam, skąd pan dzwoni? Nie dosłyszałam nazwiska.

— Frank Burgess, biuro szeryfa w hrabstwie Oglethorpe w Georgii. Figuruje w naszych rejestrach chłopak, który zniknął bez słowa półtora roku temu.

Boże drogi, czyżby teraz ślad każdego zaginionego w kraju nastolatka miał prowadzić do moich drzwi? Potrzebowałam rozwiązania, ale nie kolejnych tajemnic.

— Dlaczego uważa pan, że jego zniknięcie może mieć związek z tutejszymi?

— Jechał do Miami.

Po kręgosłupie przeszedł mi zimny dreszcz.

Todd Sutter wyruszył z Sandy Grass w Georgii, celem jego podróży miało być Miami. Zostawił rodzicom kartkę, żeby się nie martwili. Jechał autostopem. Dostali kartkę z Macon, potem jeszcze jedną z motelu leżącego na linii łączącej Georgię z Florydą. Ostatnia nadeszła z Fort Lauderdale. Napisał na niej: „Jestem prawie na miejscu, powiedziałem wam, że mi się uda!” Był wysoki, szczupły, miał blond włosy i błękitne oczy. Trzynaście lat.

Zaginał niemal dwa lata temu.

— Nie wiemy, czy dojechał — zawodził detektyw — ale jego starzy zobaczyli pani artykuł, który przedrukowała jedna z tutejszych gazet. Jest bardzo podobny do pozostałych chłopców, postanowiłem więc zadzwonić, by sprawdzić, czy może zna pani jakieś szczegóły, o których nie napisała pani w artykule.

Nie wiedziałam nic więcej.

Pod koniec dnia dołączyło kolejnych trzech. Robert Donovan z Chicago, Danny Harding z Tallahassee i Watson Kelly z Gary w stanie Indiana.

Nie było dowodu, że którykolwiek zaginął w Miami. No, może z wyjątkiem młodego Kelly'ego. Zadzwoił do rodziców na ich koszt z informacją, że jest w Miami, i poprosił o pieniądze na powrót do domu. Wściekli na niego jak cholera, postanowili zastosować zimny wychów, więc powiedzieli:

—Udało ci się zajechać tak daleko samemu, możesz też wrócić bez naszej pomocy.

Chcieli go jedynie trochę postraszyć i, gdyby zadzwonił jeszcze raz, natychmiast wysłałby pieniądze. Niestety nie zadzwonił ponownie. Było to trzy lata temu.

Porobiłam notatki, porozmawiałam z wszystkimi rodzicami i poprosiłam ich o przysłanie zdjęć.

Doszłam do dziesięciu przypadków, a liczba rosła.

Nie jest niczym niezwykłym, że nastolatek ucieka z domu, dla żartu znika albo wychodzi na ulicę w poszukiwaniu przygód. Niezwykłe jest, jeżeli ginie po nim ślad.

Zaczęłam sprzątać biurko i kolejny raz zadzwoniłam do matki. Miałam nadzieję, że uda mi się cichaczem wynieść orchidee, ale nie było to takie łatwe. Kiedy podniosłam kosz, nic zza niego nie widziałam. Wzięłam torebkę, notatki, kwiaty i ruszyłam do samochodu.

Na parkingu było mroczno, jedynie na zachodzie widać było na niebie pasma czerwieni, rzucane zza horyzontu przez zachodzące słońce. Gdzieś na wschodzie przelatywał odrzutowiec, udoskonalony C-130 z przyrządami meteorologicznymi na pokładzie, przeznaczony do badań huraganów i tropikalnych burz. Dla każdego przechodnia musiałam wyglądać jak poruszający się krzew. Czułam się jak z Makbeta — birnamski wielki las w drodze ku wzgórzu Dunsinane.

Kiedy mijałam jedną z furgonetek, coś mnie przestraszyło. Dźwięk, może cień, który pojawił się nagle za moimi plecami.

Odwróciłam się gwałtownie, próbując coś zobaczyć spomiędzy kiwających się białych i żółtych kwiatów.

—Juan Carlos Reyes to zdrajca! Niewyraźna sylwetka podierała się laską. Bravo.

—*Basta!* Idź stąd! Zostaw mnie! — wyrzuciłam z siebie, wściekła, że jestem nagabywana, kiedy nie mogę się bronić, nie mając zbyt wielkiej ochoty na powtórzenie sceny z redakcji, tyle że teraz bez pomocy i po ciemku. — Proszę zostawić mnie w spokoju albo zawołam policję! Cofną panu zwolnienie za kaucją!

Bravo wzruszył ramionami.

—Jeżeli tak być musi — powiedział dramatycznie i przybrał postawę, jakby miał przed sobą pluton egzekucyjny. — Proszę wołać. Już nieraz byłem w więzieniu.

Nagle coś się w nim zmieniło i wyglądał w mroku już tylko na drobnego, nieszkodliwego starca. Westchnęłam.

—O czym właściwie chce pan ze mną rozmawiać? — spytałam cicho.

—Musisz mnie wysłuchać. — Po raz pierwszy mówił spokojnie. — Musimy porozmawiać.

—Dobrze, niech panu będzie — zgodziłam się, by mieć sprawę jak najprędzej za sobą.

—Chodź — powiedział i kiwnął ręką w kierunku samochodu. — Pójdziemy na *café cubano*.

Chyba żartował. Nie było mowy, bym wsiadła do jego samochodu.

—Spotkajmy się gdzieś niedaleko w publicznym miejscu. — Nie zaproponowałam Klubu 1800, gdyż nie byłam sobie w stanie wyobrazić, by

Bravo miał ochotę popijać kawkę w lokalu odwiedzanym głównie przez dziennikarzy i policjantów.

—La Cafecita?

Potaknęłam na zgodę. To jasno oświetlony i zawsze pełen ludzi lokal.

—Jedź za mną! — rzucił rozkazująco jak generał podkomendnym. Bezwiednie uśmiechnęłam się na jego *machismo*. Z widocznym wysiłkiem

wsiadł do przypominającego kupę złomu samochodu. Jedź za mną... dobrze będzie, jeżeli uda mu się ruszyć. Stareńki oldsmobile tornado miał na tylnym zderzaku naklejkę z napisem: *EN LOS NOVENTA, FIDEL REVIENTA*. „W latach dziewięćdziesiątych Fidel wybuchnie.”

Ciekawe, jak udało mu się wjechać na parking dla pracowników, dostępny jedynie dla posiadaczy specjalnej karty magnetycznej. Pomyślałam jednak, że żaden dowódca partyzantów i bojownik guerilla — nieważne jak kaleki — nie miałby problemów z ominięciem ochrony parkingu „News”.

Jego samochodowi przydałby się nowy tłumik i lakier. Zaparkowałam tuż za nim na Calle Ocho, weszliśmy do środka, usiedliśmy przy niewielkim stoliku w głębi i zamówiliśmy kawę. Popijałam z maleńkiej papierowej filiżanki (nie była to ekskluzywna porcelana, z której piłam kawę u Reyesa) i rozglądałam się po sali.

—Jesteś Kubanką i wiesz, jak bardzo cierpi... — zaczął Bravo.



—Jedynie pół-Kubanką.

—To lepsze niż nic.

—Prawdę mówiąc, Jorge, wiem bardzo niewiele o ojcu i moich kubańskich korzeniach. Miałam zaledwie trzy lata, kiedy umarł.

—On nie umarł. Nigdy nie mów, że umarł! — Huknął pięścią w stół, jego oczy rzucały błyskawice. — Wykonano na nim wyrok! Został zamordowany. Nie wolno ci nigdy o tym zapomnieć!

Rozejrzałam się zażenowana. Nikt nie zwrócił na nas uwagi. Wyglądało na to, że tego typu wybuchy nie są tu rzadkością. Impulsywność Bravo, zapachy, melodia prowadzonych po hiszpańsku rozmów oraz latynoskie rytmy, dochodzące z radia za kontuarem, przywołały uśpione, pochodzące z dzieciństwa wspomnienia wizyt u moich kubańskich krewnych. Byli to pełni ciepła, weseli, żywo okazujący swe uczucia ludzie, uwielbiałam ich. Matka zerwała z nimi kontakty, kiedy byłam dzieckiem. Miała ku temu wiele powodów. Nie lubiła, żebym po powrocie do domu mówiła po hiszpańsku, i to w dodatku o ojcu, ani też o nocnych rytuałach ciotki Odalys i aresztowaniu wuja Hectora.

—...tragedia, którą nazywamy Kuba — mówił właśnie Bravo. — Jestem kimś obcym, wyrzutkiem, wygnańcem. Mój kraj jest jednym z ostatnich miejsc na Ziemi, gdzie ludzie nie są wolni. Wstyd z tego powodu mnie pali. — Przycisnął dłoń do serca, jak to się robi ku czci amerykańskiej flagi. — Zaufaliśmy młodemu adwokatowi, który ucieleśniał to, w co wierzyliśmy, to znaczy wydawało nam się, że je ucieleśnia. Zaufaliśmy, że tak jak my będzie wierny ideałom Joségo Marti, a nie komunizmowi. Ruch Dwudziestego Szóstego Lipca Fidela dał nam nadzieję na wolność i sprawiedliwość. — Jego oczy zasnuły się mgiełką rozmarzenia. — Potem Castro ujawnił swą prawdziwą twarz i Dwudziesty Szósty Lipca stał się kpiną... — mówił coraz głośniejszym głosem — symbolem hipokryzji i oszustwa, i znów musieliśmy rozpocząć walkę o wolność i sprawiedliwość. Byliśmy żołnierzami i ci z nas, którzy jeszcze żyli, dalej byli żołnierzami.

Pomarszczona twarz starego bojownika wyglądała w jaskrawym świetle jak oklapły balon, ale oczy i słowa wyrażały zapał i energię.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu.

—Masz oczy ojca — odezwał się w końcu Bravo.

W tamtych czasach nie było zbyt wielu bojowników o wolność, wcale mnie więc nie zdziwiło, że się znali.

—Jak dobrze go pan znał?

— Jak dobrze go znałem? — Uśmiechnął się i spuścił oczy, jakby miał powiedzieć coś wstydliwego. — Wyszliśmy razem rafinerię cukru i dokonaliśmy sabotażu na moście niedaleko Almendares, czyli na jednej z głównych tras przelotowych. Fidel szalał, przez wiele dni wygłaszał swoje pompatyczne mowy. Dobrze jednak o tym wszystkim wiesz... — Wzruszył ramionami i skierował uwagę na drzwi i ruch na ulicy.

— Nie, nie wiem. Wiem bardzo mało, mam jednak nadzieję, że wkrótce dostanę dziennik ojca i dowiem się więcej.

Bravo odwrócił się do mnie, jakbym powiedziała najdziwniejszą rzecz na świecie.

— Wiesz o *diario* Antonio?

— Wiem. — Jego reakcja bardzo mnie zaskoczyła. — Dowiedziałam się o nim całkiem niedawno, od Juana Carlosa Reyesa. — Miałam nadzieję, że wymienienie tego nazwiska nie wyzwoli kolejnej tyrawy. — Szuka go u siebie. Uważa też, że może go mieć moja matka.

— Na pewno go nie ma. — Mina Bravo wyrażała niewiarę. — Dlaczego miałby być u niej?

— Skąd pan to wie? Widział pan dziennik? Spoważniał.

— Reyes... — wymamrotał cicho — jest gorszy od Castro. Castro przynajmniej nie ukrywa, kim jest. Reyes robi swoją okropną robotę w tajemnicy.

— Co ma pan na myśli? — Pytając, postanowiłam sobie w duchu, by broń Boże nie dać się wciągnąć w ich spory.

— Nie możemy dyskutować na ten temat tutaj. — Bravo rozejrzał się wokół, jakbyśmy byli obserwowani. — Zbyt wiele uszu. Pojedziemy do mnie do domu.

Rzucił na stół kilka monet i skoczył na nogi, a przynajmniej spróbował, balansując ryzykownie laską i łapiąc się dla utrzymania równowagi zdrową ręką za stół.

Ignorując ostrzegawcze sygnały w mojej głowie, poszłam za nim do jego gruchota, zostawiając zapełnionego orchideami t-birda przy krawężniku.

Wnętrze samochodu było w nie lepszym stanie od karoserii. Próbowałam w drodze zapytać o dziennik, przyłożył jednak do ust gruzłowaty palec i bezgłośnie, samym ruchem ust przekazał: FBI. Nie mogłam uwierzyć, by FBI miało jego samochód na podsłuchu. Potem jednak przypominałam sobie stawiane mu zarzuty. Czyżby jednak?

Obserwowałam Bravo. Jechał, zachowując się jak gliniarze, z którymi czasem jeżdżę — sprawdzał raz za razem lusterko, przyglądał się mijanym wystawom sklepowym, był czujny na wszystko, co działo się wokół.

Jego dom stał na kawałku jałowej ziemi w sercu Małej Hawany. Był maleńki, łuszczyła się z niego farba. Na podwórku tuż obok siedzieli przy stolikach mężczyźni i grali w jaskrawym świetle w domino. Kiedy Bravo wysiadł z samochodu, kilku z nich wstało i zasalutowało. Odwzajemnił pozdrowienie, stając na baczność, starając się ukryć kalectwo.

Jego żona, Nerida, podała nam piwo i zniknęła cicho w kuchni. Na obramowaniu kominika stała figurka Najświętszej Marii Panny, za nią wisiała kubańska flaga i mocno powiększone zdjęcie dużo młodszego Bravo, znajdującego się w grupie kilkunastu ubranych po wojskowemu mężczyzn, siedzących w dżipie i stojących wokół. Zdjęcie było najprawdopodobniej zrobione w latach sześćdziesiątych.

—Czy to...? — zapytałam na widok twarzy, która przyciągnęła mój wzrok.

Wyciągnął dłoń zdrowej ręki, jakby nas przedstawiał.

—*Si*. To ja, tu jest Antonio, no i pozostali. Patrzyłam w oczy ojca.

Spoglądał odważnie przed siebie, podbródek wysunął lekko do przodu, jedną stopę postawił na progu dżipa, w zgięciu ręki miał karabin, chyba M14.

—Tylu odeszło... — westchnął Bravo. — Antonio, Rolando, Angel.

—Nigdy przedtem nie widziałam tego zdjęcia — powiedziałam podniecona, niezdolna odwrócić od niego wzroku. — Będę mogła dostać odbitkę?

—*Si, si*. — Opadł ciężko na krzesło i zmarszczył czoło. — Co prawda nie wiem, gdzie jest negatyw, ale...

—Mam przyjaciółkę, fotografkę, mogłabym po nią zadzwonić, to od ręki zrobiłaby kopię. — Coś mi kazało natychmiast wykorzystać okazję.

Wzruszył ramionami.

—Oczywiście...

—Mogę dać jej znać na pager.

Wykręcając numer, zauważyłam, że w rogu pokoju leży przykryta płótnem sterta. Karabiny maszynowe? Granatniki?

Cholera jasna... nielegalna broń. Bravo był na zwolnieniu za kaucją za takie same przewinienia. Przy moim szczęściu można było oczekiwać, że FBI wpadnie tu akurat dziś wieczorem. Zaaresztują wszystkich, włącznie ze mną.

Ciekawe, jak wyjaśnię to moim zwierzchnikom? Oby Lottie szybko odpowiedziała na wezwanie. Było późno, a miała iść na kolację z Księciem. Mogła w ogóle nie zareagować.

—Antonio i ja — wspominał Bravo — byliśmy *plantados*, czyli więźniami politycznymi, którzy nie dawali się złamać. Odmawialiśmy noszenia więziennych mundurów i uczestniczenia w rządowym programie resocjalizacyjnym. W odwet byliśmy traktowani ze szczególną brutalnością, zmuszani do pracy w kamieniołomach na wyspie Pinos. Nigdy nie przestaliśmy walczyć z rządem, z więzienia organizowaliśmy w Hawanie i Cienfuegos tajne grupy oporu. Twój ojciec był patriotą, szlachetnym człowiekiem. Jego odwaga do dziś mnie inspiruje. Tak jak on jestem gotów na wszystko, by dopomóc Kubie odzyskać wolność.

Zadzwoił telefon i zza ściany dobiegł cichy głos Neridy. Po chwili weszła do środka. Tak jest! Lottie!

—Przepraszam, że przerywam ci randkę, ale czy mogłabyś przyjechać zrobić dla mnie zdjęcie?

—Gównu, niczego nie przerywasz. Poczekaj, aż usłyszysz...

—Lottie, natychmiast! — Przekazałam jej adres.

—Nad czym pracujesz?

—To nie artykuł, sprawa prywatna — wymruczałam do słuchawki.

—Jadę z północy miasta, więc może to chwilę potrwać, ale już ruszam. Usiadłam w wyswiechtanym fotelu, starając się nie patrzeć w kierunku podejrzanego serty w rogu.

—Uciekliśmy — mówił dalej Bravo, jakby nie było najmniejszej przerwy — ale Antonio i kilku innych odważnych ludzi zostało zdradzonych i ponownie pojmanych w górach Pinar del Rio. Proces twojego ojca przed Trybunałem Rewolucyjnym trwał dwadzieścia minut. Dwadzieścia minut! Mając dwadzieścia cztery lata, został skazany na śmierć przed plutonem egzekucyjnym. — Odwrócił się w kierunku zdjęcia. — Poświęcił życie w walce z reżimem Castro. Jego śmierć jedynie spowodowała nasilenie naszej walki.

—I pisał dziennik. — Ciekawe, dlaczego w momencie, kiedy zaczynała się rozmowa o dzienniku ojca, nikt nie był w stanie trzymać się wątku?

—Tak jest. — Bravo wstał i oparł się ciężko na lasce. — Musimy go znaleźć, zanim dostanie się w niepowołane ręce i zostanie zniszczony.

Czyżbyśmy rzeczywiście mówili o tym samym?

—Co chce pan przez to powiedzieć? Prawdopodobnie Reyes gdzieś go wetknął i nie może znaleźć.

—O nie! — Bravo zaczął krążyć po pokoju. — Reyes chce go dostać, ale musimy się modlić, żeby mu się to nie udało. — Popatrzył na figurę na kominku i przeżegnał się.

—Chwileczkę. Poproszę jeszcze raz. Dlaczego uważa pan, że Reyes nie ma dziennika?

Bravo stanął tuż przede mną.

—Przez lata dziennik był w posiadaniu rządu Castro, ale ostatnio znalazł się w Miami, przywieziony tu przez *balseo*.

—Człowieka z tratw?

—*Si*, byłego pracownika rządu kubańskiego. Czekaliśmy na niego, mieliśmy go przekazać...

—My?

—Alexowi. Alexowi Aguirre. — Bravo nachylił się i zbliżył swoją twarz do mojej. Mówił niecierpliwie, z pasją. — Nic nie rozumiesz. Twój ojciec dowiedział się, kto zdradził jego i pozostałych. Zapisał jego nazwisko w dzienniku tuż przed egzekucją. Alex twierdził, że będzie to historia jego życia. Miał złożyć oświadczenie. Zamierzał przeczytać na żywo w radiu słowa Antonio. — Wbił pięść zniszczonej ręki w drugą dłoń. — Wtedy go zamordowano! Teraz *balseo*, który miał nam dostarczyć dziennik, ukrył się. Na pewno uważa, że i jego życie jest zagrożone. Ma zresztą rację.

Wbijiał we mnie wzrok i czekał z otwartymi ustami na moją odpowiedź.

„Co za temat... Jeżeli oczywiście to wszystko prawda". Taka była moja pierwsza myśl. Najważniejsze było tu słowo PRAWDA. Opętani różnymi żądzami bojownicy o wolność są znani z rozdymania drobiazgów, spiskowych teorii oraz komplikowania najprostszych spraw. Na każdym dziennikarzu, który dał im się złapać w sidła, ciąży odium nierzetelności.

—Ale dlaczego? Dlaczego Reyes...?

—Ponieważ — niemal wypluł — jest zdrajcą! Zawsze miałem co do tego pewność, ale potrzebowaliśmy dowodu.

Westchnęłam.

—Dlaczego Reyes miałby zdradzić mojego ojca?

—Ponieważ był agentem Fidela.

—Ale przecież nienawidził Fidela, spędził sporo czasu w jego więzieniach... — Czułam irytację. — Czy policja zna pańską teorię na temat śmierci Alexa?

Bravo gwałtownie pokręcił głową.

—Żadnej *policía*, są beużyteczni, skorumpowani. Wielu pracuje dla nich. Oczywiście, policja też bierze udział w spisku. Konspiratorzy są pod

każdym łóżkiem. W tym momencie zadzwonił dzwonek u drzwi. Lottie była ubrana jak na randkę, tyle tylko że na szyi wisiały jej aparaty.

—Nawet nie wiesz, jak spędziłam wieczór — mruknęła w wejściu.

—Byłaś na kolacji?

—O tak... jak się należy.

Wyglądało na to, że jej wieczór nie był usłany różami. Weszła jednak bez wahania do pokoju i z miejsca ujęła Bravo uśmiechem. Odstawiła na bok zdjęcie z kominka, założyła do swojego nikonu obiektyw z krótką ogniskową, zdjęła z aparatu flesz i trzymając go w ręku, ustawiła z boku tak, aby na szkle nie zrobiło się odbicie światła. Pstryknęła, potem sfotografowała mnie przed zdjęciem bojowników, potem kazała stanąć przed kominkiem mnie i Bravo, samemu Bravo, w końcu Bravo i jego żonie. Kubańczyk pozował z uniesionym podbródkiem, ukrywając przed okiem aparatu laskę.

—Musimy odnaleźć *diario* Antonio — mruknął mi na pożegnanie do ucha.

—Zapytam jeszcze raz Reyesa.

—Nie! Nic mu nie mów. Bądź ostrożna. Ten człowiek to potwór.

—O co tu chodzi? — zażądała wyjaśnień Lottie, kiedy wsiadałyśmy do jej samochodu.

—Zwykła intryga. Widziałaś mojego tatę? Nie wyglądał super? Taki młody... Trudno uwierzyć, że był wtedy młodszy niż ja teraz. Naprawdę chętnie przeczytałabym jego dziennik. — Opowiedziałam o dzikich teoriach Bravo. — Podejrzewam też, że facet ma salon pełen nielegalnej broni.

—Mówisz o tej stercie w kącie? Nie chciałam pytać... — Lottie popatrzyła na mnie z niepokojem. — Chyba nie zamierzasz spędzać czasu na grzebaniu się w starych mrocznych sprawkach?

—Obiecuję, że nie, ale pod warunkiem że opowiesz coś o nowych. Co z twoją dzisiejszą randką?

—Stosh zabrał mnie na elegancką kolację do Mark's Place.

—Nieźle. Czterogwiazdkowa restauracja.

—Rewelacja... — powiedziała ponuro. — Było obrzydliwie. W najdalszym kącie. Na przystawkę dostałam małże z chutneyem z zielonego mango.

—Jak były zrobione? — Nie jadłam cały dzień.

—Małże?

—Tak.

—Bite na szpikulce i upieczone na grillu — odpowiedziała. Stałyśmy na czerwonym świetle. — Powinam coś zacząć podejrzewać, kiedy Stosh spojrział pierwszy raz na zegarek. W czasie dania głównego co chwila na niego patrzył. — Spojrzała na mnie z ukosa. — Miałam tuńczyka sauté w sosie z japońskiej czarnej fasoli i *shiitake*.

—Z jakimi dodatkami?

Westchnęła niecierpliwie i ruszyła z piskiem opon.

—Przyprawiony ziołami ryż z zatokowymi krewetkami i krabami *calico*. Jeszcze dwadzieścia minut temu wszystkim, czego chciałam, była wielka bułka z serem.

—Jego pager zapiszczał w czasie deseru.

—Deseru...

—Wracając od telefonu, powiedział, że to nagły przypadek. Jego klient właśnie został aresztowany pod zarzutem morderstwa. Zapytałam kto, i rzucił nazwisko, którego nie znam. Willy Santana. Stwierdził, że musi natychmiast lecieć do aresztu, ponieważ gliniarze chcą zatrzymać jego klienta niezgodnie / . prawem.

—Brzmi jak na razie logicznie, ale Santana mnie też nic nie mówi. Wymienił nazwisko ofiary?

Pokręciła głową.

—Cmoknął mnie w policzek i rzucił: „Możesz pojechać do domu taksówką, skarbeczku? Nic ci nie będzie?” Rany, Britt, jestem tolerancyjną kobietą, prawda?

—Bez dwóch zdań.

—Dał mi kartę kredytową, żebym zapłaciła rachunek, i zabrał dupę w troki.

—To nieprzyjemne, ale...

—Nie przejęłam się — przerwała mi. W jej głosie słychać było napięcie. — Coś takiego mi nie przeszkadza, w końcu same najlepiej wiemy, z ilu randek rezygnowałyśmy, bo wyskakiwały jakieś wydarzenia, które trzeba było opisać i obfotografować. Trudno, w końcu taką ma pracę. Rozumiem to i nie czepiam się, ale to jeszcze nie koniec. Dokończyłam deser czekoladowy, dopiłam kawę i poprosiłam kelnera, żeby zamówił mi taksówkę. Przyniósł rachunek, więc rzuciłam mu na srebrną tackę kartę kredytową Stosha.

Zawiesiła głos dla lepszego efektu.

—I wtedy stało się.

Natychmiast przeszło mi przez głowę: „przekroczony limit”. Zaczynałam mieć wrażenie, że bardzo dobrze znam Stosha i im lepiej go poznawałam, tym mniej mi się podobał.

—Kelner powiedział: „Przepraszam panią, ale nie jesteśmy Searsem”.

—Searsem?

—Zostawił mi swoją zasraną kartę do zakupów u Searsa!

—I co zrobiłaś?

—Dałam mu moją kartę American Express. — Wcisnęła wściekle gaz.

—Może po prostu pomylił karty, w końcu się spieszył, było przyciemnione światło... — Sama nie wierzyłam w to, co mówię. Nie byłam w stanie udzielić Polskiemu Księciu dalszego kredytu zaufania. — Choć przy tym paśmie nieszczęść z jego strony...

—Poszedł do toalety zaraz po sałatce. Z ekologicznie hodowanej sałaty z serem gorgonzola.

—Uważasz, że wtedy zlecił, by go zawiadomiono?

—Jest tylko jeden sposób, by się dowiedzieć...

—Dobrze, sprawdzę w areszcie, czy rzeczywiście przymknięto kogoś o tym nazwisku. Jak się nazywał? Santana? Teraz opowiedz o deserze czekoladowym.

Światło latarni rozświetlało parną noc zielonkawym światłem, w powietrzu czuć było drobne wyładowania elektryczne. Mrowienie w kościach mówiło mi, że gdzieś w mroku odbywają się najdziwniejsze dramaty. Czułam to niemal przez skórę.

—Jesteś zmęczona? — spytała Lottie wysadzając mnie przy moim samochodzie pod La Cafecita.

—Nie.

—Ja też nie. Jedźmy do redakcji. Wywołam film i zrobię ci odbitki. W tym czasie będziesz mogła zadzwonić do aresztu i sprawdzić, kogo dziś

zapuszkowali. Będziesz też mogła wziąć z automatu frytki i jeszcze inne pyszne rzeczy...

—Podoba mi się. Ile kosztowała kolacja ze Stoshem?

—Facet jest mi winien sto siedemdziesiąt pięć dolarów. Dałam dobry napiwek.



Zaparkowałyśmy tuż obok siebie na prawie pustym parkingu „News”. Właśnie minęła północ. Miałam klucz, więc weszłyśmy do budynku tylnym wejściem. Jedyna działająca o tej porze winda stała otworem czekając na nas. Nie było widać nikogo z ochrony. Weszłyśmy do jasno oświetlonej i chłodnej sali redakcyjnej. Na czarnych monitorach migotały jedynie kursory, telewizory z wyłączonym głosem pokazywały obrazy pustej sali. Lubię redakcję o tej porze, bo nie dzwonią telefony, nad głową nie kręcą się wścibscy naczelnicy. Właśnie położyłam torebkę na biurko, a Lottie odwróciła się, by ruszyć w kierunku ciemni, kiedy usłyszałyśmy dźwięk. Stłumiony jęk.

Wymieniłyśmy się spojrzeniami i jak najciszej ruszyłyśmy w kierunku oszklonego biura zastępcy naczelnego. Żaluzje były jak zwykle opuszczone. Wstrzymując oddech, wyteżyłam słuch. Znowu. Westchnienia. Stłumiony jęk.

Po nagich ramionach przebiegł mi zimny dreszcz, zaswędziały mnie włosy na karku. Drzwi, w nocy zawsze zamknięte na klucz, były uchylone. Rozległy się kolejne dźwięki. Jakby ktoś się krztusił. Kaszlący, gardłowy dźwięk.

Lottie czubkiem buta pchnęła drzwi. Na podłodze rozlewała się czerwień. Krew? Tuż obok plamy leżała goła stopa.

Nabrałam powietrza w płuca i wskoczyłam do środka, równocześnie Lottie przekreśliła kontakt.

—Hops! — Zawirowałam wokół własnej osi, wpadając na Lottie. Chcąc zejść sobie z drogi, o mało nawzajem się nie przewróciłyśmy.

—A niech mnie sto tysięcy kartaczy... — Lottie odsunęła mnie na bok i przyłożyła do oka okular aparatu. Błysk flesza rozjaśnił splecione nagie kończyny i splecione ciała. Kolejny błysk rozjaśnił goły tyłek Rona Sadlera, gorączkowo sięgającego po spuszczone spodnie. Gretchen, z rozszerzonymi oczami i otwartymi ustami, zakrywała dłońmi nagie piersi.

—Przepraszamy... — rzuciłam głupekowato, kiedy Lottie znów błysnęła fleszem.

—Każ jej przestać! — wrzasnęła Gretchen. Złapała leżące na podłodze czerwone jedwabne majteczki i wciągnęła je sobie na głowę.

Ron skakał na jednej nodze, próbował wciągnąć spodnie i mamrotał coś niezrozumiałego.

—Juchchuuu! — zawyła Lottie i wycofałyśmy się z gabinetu w ostatnim błysku światła.

Drzwi zatrzęsnęły się za nami i zaczęłyśmy zwijać się ze śmiechu.

— Teraz... wiadomo... co się stało... z... Ronem — powiedziałam, z trudem łapiąc powietrze. — Pamiętasz... obie zauważyliśmy, że się zmienił.

— Niech mnie gęś kopnie! Myślałam, że telewizja uderzyła mu do głowy, a to Gretchen. Słyszałaś te jęki? Jak świnia, która utknęła między sztachetami. Myślisz, że jego żona o tym wie?

Z gabinetu właśnie dochodziły niewyraźne odgłosy zażartej kłótni.

— Ale jaja! Nie mogę uwierzyć, że robili to w takim miejscu! Jeżeli stary się dowie... — Starłam łzy i pociągnęłam nosem. — Nie do wiary, że masz zdjęcia!

— Nie mam — szepnęła Lottie. — W aparacie nie było filmu. Ale co tam... — uśmiechnęła się od ucha do ucha. — Nie wiedzą o tym. Chodźmy stąd.

Uciekłyśmy z powrotem w noc.

TLR

# Rozdział dwunasty

---

Do aresztu zadzwoniłam w nocy z domu. Nie przymknięto wczoraj żadnego Santany, a sprawdzili wszystkich: od źle prowadzących się po morderców. Postanowiłam poczekać z przekazaniem Lottie złej wiadomości do rana. Zadzwoniłam także do Wydziału Zabójstw w sprawie Alexa Aguirre'a. Detektyw z nocnej zmiany powiedział mi, że sprawdzają właśnie informację, jakoby niedługo przed śmiercią widziano Alexa ze znanym handlarzem narkotyków. Jak na razie wyglądało to niewinnie, obaj byli dawnymi kumplami szkolnymi, grali na uniwersytecie w jednej drużynie w baseball i najwyraźniej nie widzieli się od lat. Po przypadkowym spotkaniu w barze wypili po drinku i pogadali o dawnych czasach. W poszukiwaniu motywu policja sprawdzała wydatki Alexa, jego sytuację małżeńską, a także ewentualność, że wzięto go za kogoś innego.

Ostatnia możliwość była mało prawdopodobna, pozostałe jak na razie nie ujawniły niczego ciekawego.

— Czy są jakieś powiązania z polityką kubańską, ze starymi sporami bojowników o wolność?

— Tak, Aguirre od urodzenia mieszkał w Miami, więc któż to może wiedzieć, ale od lat nie mieliśmy wśród naszych kubańskich braci do czynienia z prawdziwym zabójstwem politycznym.

Był taki moment, kiedy wydawało się, że każdy zabity w Miami uchodźca był człowiekiem Brygady 2506. Gdyby wskaźnik umieralności utrzymywał się nadal na tym samym poziomie, weteranów desantu w Zatoce Świń byłoby tak mało jak żółto brzuchych dzieciaków. Koledzy mordowanych zawsze obarczali winą agentów Castro, polityków i międzynarodowe spiski, większość jednak ginęła wskutek nadużywania alkoholu, narkotyków albo wplątania się w miłosne trójkąty, co na ogół było powodem wielu morderstw. Wielu ludzi, którym zależało na wyzwoleniu Kuby, zajmowało się, aby zdobyć fundusze na walkę, handlem narkotykami; nowe zajęcie tak szybko ich wciągało, że zapominali, dlaczego się za nie zabrali i albo szybko się bogacili, albo ginęli. Kiedy zabójstwo miało naprawdę tło polityczne, zawsze dotyczyło spraw wewnątrzfrakcyjnych — ekipa A walczyła z ekipą B w sprawie zdobywania funduszy oraz określania celów, na jakie należy je wydawać.

W nocy niewiele spałam. Moje myśli gnały dziwacznymi autostradami grubo ponad sto na godzinę. Z samego rana zadzwoniłam do Lottie.

—Przewalka — powiedziałam obojętnie. — Nie aresztowano żadnego Santany.

W ciszy, która zapadła, słychać było, jak łapie gwałtownie powietrze.

—W takim razie to by było na tyle — stwierdziła krótko.

Ron, Gretchen i ich podejrzane nocne zabawy były weselszym tematem. Kiedy kilka lat temu zastępca naczelnego odkrył, że w nocy w redakcji gra się o wysokie stawki w pokera, potoczyły się głowy. W każdej redakcji zawsze znajdzie się ktoś, kto zechce zakapować kolegę — naszym zadaniem jest przecież rozpowszechnianie wiadomości. Tamten skandal kosztował pracę naczelnego wydania nocnego. Ciekawe, jak by stary zareagował na wieść o ćwiczeniach na jego osobistej kanapie?

—Gretchen jest taka ambitna, robi błyskawiczną karierę... — dziwiłam się na głos. — Dlaczego tyle ryzykowała? Przecież w mieście nie brak hoteli.

—To wszystko się ze sobą łączy — odparła obojętnie Lottie. — Seks, władza, namiętność. Jak sądzisz, dlaczego kochali się akurat na tej samej kanapie, na której siedział prezydent Stanów Zjednoczonych, kiedy przyszedł podlizywać się środkom masowego przekazu? Jestem wręcz zaskoczona, że nie robili tego na biurku starego. Przypuszczam, że lada chwila by się tam przenieśli.

—Ale to takie idiotyczne...

—Popatrz na polityków. Jak sądzisz, dlaczego tak wielu z nich ma kłopoty związane z seksem? Polityka i seks to tylko różne sposoby dążenia do władzy. Popatrz na Gary'ego Harta, Kennedych, Packwooda.

—Ron i Gretchen muszą się dziś nieźle pocić.

—Bez dwóch zdań.

—Prawdopodobnie spodziewają się, że zdjęcia ich gołych tyłków będą wisieć na każdej tablicy informacyjnej w budynku.

—Albo zostaną rozesłane na kraj linią Associated Press.

—Nie sądzę, by się łudzili, że nie zniżymy się do ich poziomu.

—A nie zniżymy się?

—Tylko jeżeli zostaniemy sprowokowane.

Jeżeli chodzi o moją działkę, dzień zaczął się dość spokojnie, jedyną ciekawostką był drób przed Pałacem Sprawiedliwości. Coraz więcej sądzonych tam ludzi stara się wpłynąć na przebieg rozprawy „czarami”, co spowodowało konieczność powołania do życia „Bryga-

dy voodoo", czyli specjalnych woźnych. Ich praca polega na usuwaniu każdego ranka ze schodów prowadzących do budynku, kurczaków z obciętymi łbami, kogutów i gęsi.

Wiele lat temu geniusze reklamy nazwali Miami „Magicznym miastem”, ale musieli mieć przy tym coś innego na myśli.

Z jednej strony nowoczesny system sądowniczy w budynku wyposażony w najnowocześniejsze urządzenia techniczne, takie jak wewnętrzny system telewizyjny, detektory metalu w drzwiach i sieć komputerowa, a z drugiej rozsypany w pustych salach sądowych czarny pieprz i biały proszek voodoo, spalone kartki papieru z nazwiskami sędziów, adwokatów, oskarżonych i świadków, pomieszane z białym proszkiem i rozrzucone wokół ławy przysięgłych, aby przechylić szalę na korzyść oskarżonego. Wyznawcy voodoo uważają, że czarny pieprz pomaga zatrzymać oskarżonego w więzieniu, a związane szpagatem krowie języki oraz zdechłe jaszczurki z zasznurowanymi pyszczkami zamkną usta kapusiom. Rozbite jajka mają spowodować załamanie się linii oskarżenia.

W niektóre poranki wąska uliczka zwana Voodoo Central, między gmachem sądu a aresztem, wygląda jak podwórze wiejskiego gospodarstwa, na które rzucono granat. Dziś, po tygodniu pełni księżyca, czyli najpracowitszym tygodniu dla „Brygady voodoo”, jej członkowie rozpoczęli strajk, żądając podwyżki płac i dodatków za niebezpieczeństwo, wynikające ze stałego kontaktu z czarami i czarną magią. Choć był to dopiero pierwszy dzień, pracownicy sądu już narzekali na smród. Stojące zawsze przed Pałacem budy z hot dogami musiało przenieść dalej, tam gdzie dochodziło świeże powietrze.

W redakcji natychmiast dało się zauważyć pewne napięcie między kochankami. W ogóle na siebie nie patrzyli. Kiedy większość ludzi poszła na lunch i redakcyjny gwar przycichł, przy moim biurku zjawiała się Gretchen. Była jak zwykle modnie ubrana — w sukienkę przypominającą krojem wojskowy płaszcz — ale nie miała tak wysoko jak zawsze uniesionego nosa. Wręcz przeciwnie, sprawiała wrażenie udręczonej. Ciekawe, czy i dziś włożyła czerwone majtki? Z uśmiechem podniosłam ku niej głowę.

Depesza w jej dłoni delikatnie drżała, ale głos miała pewny.

—Britt... — zaczęła cicho, tak by nikt nas nie mógł usłyszeć. — Mam nadzieję, że zamierzacie być z Lottie dyskretne.

Prawie zrobiło mi się jej szkoda, przeszło mi nawet przez głowę sławne i jakże mądre powiedzenie „jak łatwo, bez pomocy Boga, i mnie mogło to osiągnąć”, zaraz jednak przypomniały mi się wszystkie razy, kiedy...

—Co ma pani na myśli, Gretchen?

—Britt, spróbuj postawić się na moim miejscu... — syknęła.

—Naprawdę, Gretchen, nie jestem w stanie — odparłam, patrząc w kierunku biurka Rona. W momencie, kiedy sięgałam po słuchawkę telefonu, który nagle zadzwonił, odeszła.

Na linii był policjant z Metro-Dade. Poinformowano go o dwóch kolejnych przypadkach zaginionych chłopców, których rysopisy odpowiadały poprzednim. A więc już dwunastu... Na ilu się skończy? Dopisałam do listy uciekiniera z Teksasu i podróżnika z Bostonu.

Po południu wymknęłam się z redakcji i pojechałam do Małej Hawany. Gałęzie drzewa karamboli, wznoszącego się nad niedużym dobrze utrzymanym domkiem, aż się uginały od słodkich owoców. Ziemię pokrywała cienka warstwa blad różowych opadłych kwiatów surmii, meksykański wrzos i niecierpki wyglądały na wyblakłe i wyraźnie domagały się pielęgnacji. Kiedy zadzwoniłam, drzwi otworzyła przyjaciółka ciotki, Berta. Widząc mnie, odwróciła się przez ramię i krzyknęła:

—Odalys, przyszła! — Zwracając się do mnie, dodała z szerokim uśmiechem na ustach: — Powiedziała, że lada chwila się zjawisz.

—Nie byłyśmy umówione... — powiedziałam, wchodząc do środka. Moja ciotka Odalys zawsze robi mi podobne numery.

Zza drzwi patrzyła na mnie dość prymitywna gliniana podobizna Eleggui, boga przeznaczenia i życiowych ścieżek. Jako stróż bram, jest gońcem bogów i pośredniczy w przekazywaniu wiadomości między kapłanami santerii a *orisha*.

—Ale wiedziała, że przyjdiesz.

Przymknęła powieki, aby oczy szybciej się przystosowały do mroku. Zamiast zwykłych zapachów aromatycznej kubańskiej kuchni, w powietrzu unosiła się ciężka woń kadzidła i jeszcze czegoś, czego nie byłam w stanie zidentyfikować. Miałam nadzieję, że nie dolatywała z *nganga*, wielkiego żelaznego kotła, stojącego w rogu przytulnego salonu.

—Gdzie ona jest?

—W sypialni. — Berta wytarła dłonie w szkarłatną chustkę, którą potem pieczołowicie złożyła i schowała do kieszeni. — Teraz wyjdę, niedługo wrócę z *palos z botanica*.

*Palos...* gałęzie... Ojoj, czyżby ciotka była chora?

—Chyba nie jest chora?

Berta podprowadziła mnie do sypialni i bez mrugnięcia okiem odeszła.

Ciotka leżała na kozetce, jak zwykle ubrana całkiem na biało. Śniada cera, wysokie kości policzkowe i zielone oczy nadawały jej koci wygląd. Jak zawsze, wyglądała pięknie, ale była

nienaturalnie spokojna. Na nocnym stolczku, w chmurze kadzidła, stała ubrana w morski lazur figurka Yemayi, Najświętszej Paniienki z Regla.

—Co się stało? — spytałam.

Moja dłoń automatycznie wyciągnęła się do czoła ciotki. Było suche i chłodne. Ciotka sprawiała wrażenie niezdolnej do poruszania się.

—To przejdzie, *mi hijita* — odezwała się uspokajająco. — To pierwszy paraliż od roku, w którym wielki sztorm zniszczył Melena del Sur.

—Paraliż? — Po raz pierwszy się o tym dowiadywałam. — Wtedy byłaś sparaliżowana? Był u ciebie lekarz?

—Wtedy czy teraz?

—I wtedy, i teraz. — Przysunęłam do łóżka krzesło. Uśmiechnęła się słabo.

—Nic się tu nie da zrobić. Przejdzie samo. Bogowie są rozgniewani, Britt. Zbliża się wielkie niebezpieczeństwo.

—Cóż, takie już jest Miami. — Uśmiechnęłam się i poprawiłam jej poduszki.

Jej oczy rozszerzyły się.

—*El Mai!* Diabeł! Skąd je masz? Czyha w nich zło...

—Słucham?

Z wielkim wysiłkiem podniosła szczupłą rękę i długim, pięknie wymanikiurowanym i pomalowanym na złoto paznokciem lekko dotknęła kolczyka, który nosiłam stale od czasu rozmowy z Reyesem.

—Zło? Ależ skąd. Złoto jest dobre. — Pogłaskałam ciotkę po błyszczących ciemnych włosach, odsunęłam je do tyłu, odsłaniając drobne, wpięte w jej uszy, złote kuleczki. — Diamenty byłyby lepsze, ale złoto też jest dobre.

Nie chciała się zgodzić, ze smutkiem pokręciła głową.

—Dała mi je matka na osiemnaste urodziny. — Z pewnością siebie pomacałam własne kolczyki. — Prawie wcale ich nie nosiłam, ale są one związane z czymś, o czym chciałabym z tobą porozmawiać. Dlaczego uważasz, że czyha w nich zło?

—Zapytaj matki...

Westchnęłam, wzięłam ciotkę za rękę i opowiedziałam jej o wszystkim: o dziwnym zachowaniu matki, o Reyesie i Bravo, dzienniku ojca i o tym, jak chciałabym uzyskać odpowiedź na wiele moich pytań.

—Twoja matka... — powiedziała ciotka grobowym głosem — ...wiele lat temu zażądała, bym nigdy nie powiedziała ci słowa o ojcu. Złamało mi to serce, ale obiecałam jej.

—Dlaczego?

—Musisz o to ją zapytać, *mi corazoncito*. Antonio był bohaterem, męczennikiem. W dzieciństwie byliśmy nierozłączni. — Na wspomnienie tego słodko się uśmiechnęła. — Bawiliśmy się w lazurowym przyboju. Nauczył mnie pływać i jeździć konno. Ach, *muy guapo*... Mój ulubiony brat. — Przerwała i popatrzyła na mnie. — Niebezpieczeństwo... — szepnęła. — *Orisha* nie dają się ułagodzić...

—Zawiozę cię do lekarza — powiedziałam z irytacją. Patrząc na zegarek, zaczęłam jej mierzyć puls. Kiedy pokręciła energicznie głową, ostrzegłam: — Jeżeli nie poprawi ci się do jutra, nie ma dyskusji. Wiesz o tym, że podobno dziennik ojca jest w Miami?

Odwróciła głowę do Najświętszej Pani i uśmiechnęła się do niej.

—Przyniosły go do nas wiatr i fale. Zawsze pisał. Spisywał wszystko. Zawsze. Wiedziałaś, że pisał wiersze?

Poeta z karabinkiem szturmowym... Nic dziwnego, że jestem taka pokręcona.

—Nie, nie wiedziałam. Dlaczego nigdy mi ich nie pokazałaś? Czy masz u siebie cokolwiek, co napisał?

—Zapytaj matki. — Tym razem jej uśmiech był bardzo smutny. — Przysięgła, że jeżeli powiem ci coś o Antonio, nigdy cię więcej nie zobaczę.

—Boże drogi, wtedy byłam dzieckiem! Teraz już dawno skończyłam trzydzieści lat i mogę się widywać, z kim zechcę!

Zaparzyłam ciotce herbatę i kiedy woda zaczęła się gotować, zaczęło się także gotować we mnie. Moja praca opiera się na wzajemnym porozumiewaniu się. Dlaczego nie chce nawiązać ze mną kontaktu bliska mi osoba?

Po wyjściu od ciotki zamierzałam jechać od razu do redakcji, ale nie zrobiłam tego. T-bird ma czasami własne zdanie i jego pedał gazu dziwnie się wtedy zachowuje. „Rany!” — przeleciało mi przez myśl, kiedy wpadałam na dużej prędkości na parking. Kabriolet matki stał na stałym miejscu, zaparkowałam tuż obok.

Kiedy nie zareagowała na dzwonek u drzwi, zaczęłam łomotać kołatką. Moją niecierpliwość potęgowały złość i poczucie, że to zakrawa na ironię. Dzień w dzień piszę o ludzkich sprawach i co się dzieje, kiedy chcę się zająć sprawami własnej rodziny? Dlaczego przeszłość jest taka pogrążona w mroku?

—Kto tam?



—Ja! — Czuję, że jestem uważnie oglądana przez Judasza. — To ja, mamó.

Czyżby podejrzewała, że jakieś podejrzané indywiduum mogłoby się przebrać za jej córkę? Chyba nie będę potrzebowała pomocy oddziału antyterrorystycznego?

Zachrobotą łańcuch i drzwi się otworzyły.

—Britt, co na litość... — Miała mokre włosy, na ramiona zarzuciła ręcznik. Zawiażywała pasek szlafroka. — Co to za łomoty?! Myślałam, że to straż pożarna ewakuuje budynek. — Skrajem ręcznika wytarła sobie czoło. — Właśnie wychodziłam spod prysznic... — Wyglądała na podenerwowaną, głos miała lekko zachrypnięty. — Ten łomot brzmiał, jakby Armia Czerwona chciała wyważyć moje drzwi. Co się stało?

—Nic. — Minęłam ją i weszłam do utrzymanego w pastelowych kolorach salonu.

—Popatrz na siebie... — Teraz zmieniła ton na przypochebiający. — Ledwo dyszysz, masz rozwiane włosy, twarz ci płonie... — Cofnęła się i popatrzyła na mnie. — Naprawdę powinnaś nieco skrócić spódnice, Britt. Pokazywanie nóg jest w modzie. A twoje są piękne.

Odwróciłam się ku niej, zaplotłam ramiona na piersi. Zaciskałam usta, musiałam wyglądać jak sroga matrona. Matka nie bardzo wiedziała, o co chodzi. Gdybyśmy były aktorkami w teatrze, pasowałaby do niej rola przestraszonego dziecka, zwłaszcza że była w dalszym ciągu bosa.

—Dlaczego mi nie powiedziałaś, że go znasz? Jej błękitne oczy rozszerzyły się. Niewińtka.

—Kogo, Britt?

—Dobrze wiesz kogo. Na dodatek jeszcze ten cyrk przy lunchu. Co to miało znaczyć?

—To bardzo miłe, że wpadłaś do mnie z wizytą, ale nie mam pojęcia, o czym mówisz — stwierdziła lodowato. Odwróciła się, poszła do sypialni, skąd po chwili wróciła w pasujących do szlafroka, ozdobionych koronką kapciach.

Patrzyłam na matkę, jakbym widziała ją po raz pierwszy. Nieskazitelna skóra błyszcziała, wspaniałe włosy pachniały mydłem i wodą różaną. Miała pięćdziesiąt trzy lata, ale wyglądała super. Ciekawe, jak wyglądała, mając dwadzieścia...

—Juan Carlos Reyes przesyła pozdrowienia. Przybrała minę, jakby wszyscy ją chcieli zadreńczyć.

—Miałam nadzieję, że już nigdy nie usłyszę tego nazwiska.

—Masz dziennik ojca?

—Ojca... co?

—Dziennik. Podobno go prowadził.

—Britt, to było trzydzieści lat temu. Gdyby nawet coś takiego istniało, na pewno bym dawno zapomniała.

—Gdzie są rzeczy ojca?

Nieliczne zdjęcia, które miałam, pochodziły od mojej kubańskiej babci i ciotki Odalys.

—Bez względu na to, gdzie były, dawno ich już nie ma.

—Dlaczego?! — zawołałam z oburzeniem. — Nie pomyślałaś o mnie, o tym, że zechcę kiedyś...

—Nie myślałam o niczym poza tobą. — Zaczerwieniły jej się policzki. — To on o tobie nie myślał! O tobie, o mnie. Obie nas zostawił. Co go obchodziłyśmy? — Popatrzyła na stojący na kominku zegar. — Przykro mi, ale jestem teraz zajęta. Nie spodziewałam się twojej wizyty, powinnaś była przedtem zadzwonić, Britt. — Usiłowała wypchnąć mnie do wyjścia, lecz wbiłam stopy w dywan i zaparłam się.

—Próbowałam, ale nie odpowiadałaś na zostawiane wiadomości. Nie wyjdę stąd, nie otrzymawszy kilku odpowiedzi.

Patrzyłyśmy sobie w oczy jak rzuceni na arenę gladiatorzy.

—Wpadasz do mojego mieszkania, rzucasz się, wykrzykując o zdarzeniach z prehistorii, o której nie masz zielonego pojęcia, i szukasz kłótni... — Zabrakło jej słów. Rozdymała nozdrza jak zmęczony biegiem koń, kotłowała się w niej wściekłość. Przez chwilę myślałam, że spróbuje wyrzucić mnie siłą, ale zamiast tego opadła z wdziękiem umierającego łabędzia w wiklinowy fotel z wachlarzowatym oparciem. Opierała się na nim, przyjąwszy dramatyczną pozę, otulona efektownie udrapowanym szlafrokiem. Sięgnęła do stojącego na stoliku pudełeczka po papierosa. Dotychczas traktowałam ją jedynie jak matkę — czy jeszcze kiedyś będę miała taki do niej stosunek?

—Bądź ostrożna, Britt — powiedziała z ironią — bo możesz dostać dokładnie to, czego chcesz, a wcale ci się nie spodoba. — Znów była opanowana. Zapaliła długiego brązowego papierosa i popatrzyła na mnie. — Naprawdę muszę iść do pracy. Koordynuję plany wiosennych pokazów.

—Nienawidzę niespodzianek — odparłam dobitnie. — Jak sądzisz, jak się czułam, rozmawiając z kimś takim jak Reyes, nie mając pojęcia, że znał ojca oraz ciebie? Było mi tak głupio... W pracy w ciągu dwudziestu minut wyciągam więcej od obcych ludzi, niż wiem o własnych rodzicach. Nie wyjdę stąd, dopóki o tym nie porozmawiamy. — Opadłam na kanapę w kwiaty. Wstała, podeszła do okna i wbiła wzrok w ciemność, która właśnie zapadła.

—To wszystko było tak dawno temu... — zaczęła tak cicho, że musiałam się mocno wsłuchiwać. — Chciałam o tym zapomnieć. To było całkiem inne życie, inny czas, inne Miami. Nic z tego nie ma związku z tobą.

Zaczęła chodzić między oknem a kanapą, na której siedziałam. Za każdym razem, kiedy podchodziła do okna, wyglądała w ciemność, jakby czegoś w niej szukała.

—Musiałam zostawić to wszystko za sobą. Dlaczego żądasz rozdrapywania starych ran? Dlaczego tak obchodzi cię ojciec? My go nie obchodziłyśmy. Miał zarówno mnie, jak i ciebie głęboko w nosie.

—Opowiedz mi o tym.

—Co chcesz wiedzieć?

—Co zrobiłaś z jego rzeczami?

—Nie było ich wiele. Większość wyrzuciłam, resztę rozdałam. — Wzruszyła ramionami. — Listy spaliłam.

—Dlaczego?

—Britt, ten skurwysyn zostawił mnie bez słowa z trzyletnią córeczką. Bez wiadomości, bez słowa pożegnania. Przez długi czas wyglądało na to, że zabrał ze sobą i moje życie.

—Dlaczego? Co się między wami wydarzyło?

—Ciągle o tym myślałam, póki nie przestałam go nienawidzić. Był przysłowiowym mężem, który wychodzi po zapalki i znika na zawsze. Bez śladu. Nie miałam pojęcia, gdzie jest, nie wiedziałam, czy zamierza wrócić do domu ani za co mam płacić rachunki, jeżeli nie wróci.

—Może zamierzał wrócić?

—Na pewno... Zgłosiłam jego zaginięcie, ale kiedy policja usłyszała, kim jest i z kim się zadaje, wyśmiali mnie.

—A z kim się zadawał?

—Z twoim przyjacielem Reyesem, z Jorge Bravo... — zaciągnęła się — ...i niejakim Winslowem, który w tamtym okresie wszędzie się kręcił. W naszym życiu pełno było wtedy tajemniczych, skradających się cichcem ludzi. Pilot nazwiskiem Fiorini. Kiedyś podsłuchiłam niechcący rozmowę o tym, jak latać, aby nie zostać odkrytym, tuż nad radarem albo pod radarem, nie pamiętam. — Wzruszyła niecierpliwie ramionami. — O zrzucaniu lekarstw, ulotek, broni. Raz wypłynęli łodzią. Powiedział, że wróci w nocy, ale nie pokazał się przez trzy dni i o mało nie oszalałam ze strachu. Kiedy wrócił, zaczęli szeptać między sobą o tym,

jak uciec przed Strażą Wybrzeża i że podczas misji będą musieli schować się na Wyspach Bahama. Twój ojciec na pewno uważał, że Kuba wkrótce będzie wolna, a nasze życie się unormuje — powiedziała ze smutkiem — ale pewnego dnia wyszedł i więcej nie wrócił. Następną rzeczą, jaką się o nim dowiedziałam, to że siedzi w kubańskim więzieniu. Zawsze powtarzał, że jeżeli cokolwiek mu się przytrafi albo będę miała jakiegokolwiek problemy, mam dzwonić do Winslowa, okazało się jednak, że numer, który mi podał, został zlikwidowany. Nigdzie nie mogłam znaleźć Reyesa ani Bravo. Prosiłam o pomoc kogo się tylko dało, ale nikt się nie zjawił. Potem dowiedziałam się, że został rozstrzelany. Mówiono o tym w radiu, pisano w gazetach. Bravo przyszedł kilka miesięcy później złożyć kondolencje, ale zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem.

—A Reyes?

Znów odwróciła się do okna i zapatrzyła w ciemność.

—O, on też się odnalazł. Wytworny, uprzejmy, pełen tajemnic. Awanturnicy! Takich jak oni nie obchodzi, kogo krzywdzą. Ich życie nigdy nie jest normalne, są skazani na kłopoty. Niebezpieczeństwo jest jak narkotyk. Uwielbiają je. Tak jakby na świecie było mało bólu i problemów. Robi mi się niedobrze od ich uwielbienia intryg i egoistycznego marzenia, że pokażą różnicę między dobrem a złem. — Zdusiła papierosa, zapaliła następnego i spojrzała na mnie przez chmurę dymu.

Kiedy chcę uzasadnić, dlaczego robię to, co robię, często wspominam o pokazywaniu różnicy między dobrem a złem. Teraz wiedziałam, dlaczego moja matka się wtedy pieni.

—Różnica między dobrem a złem była w moim życiu oczywiście bardzo ważna — powiedziała sarkastycznie. — Musisz pamiętać, że kiedy się poznaliśmy, miałam osiemnaście lat i byłam zaręczona z chłopakiem, którego moja rodzina uwielbiała. Nasi rodzice byli najlepszymi przyjaciółmi. Jak na ironię, w Tonym najbardziej pociągała mnie jego spokojna siła i poczucie obowiązku. Skąd mogłam wiedzieć, że to, co uważałam za spokój, to zamiłowanie do tajemniczości, a poczucie obowiązku to obsesja, w dodatku nie dotycząca mnie? Kiedy rzuciłam wszystko, aby wyjść za Tony'ego, moja rodzina szalała. Mieli rację. Zostawił mnie, zdradził, nie obchodziło go, że jestem załamana ani że mam dziecko. Nigdy nie pozwolili mi o tym zapomnieć. Nigdy więcej nie zaufałam innemu mężczyźnie. Jak sądzisz, dlaczego jestem przez tyle lat samotna? — Jej błękitne oczy były twarde jak stal. — Poza tym kto by zechciał dziewczynę z dzieckiem?

Tak więc to ja byłam winna, że żyła w samotności. Bolało mnie to, ale nie odzywałam się. Ważne, że nareszcie zaczęła mówić. Za nic bym jej teraz nie przerwała.

—Tak więc żyłam jako wdowa, zbyt uparta, aby poprosić o pomoc rodzinę, od której się oddaliłam. Nigdy nie dostałam przywileju ostatecznego pożegnania się i uczestniczenia w pogrzebie. Zdajesz sobie w ogóle sprawę, Britt, jakie to ważne? Większość wracała z wię-

zień, z Kuby, wylaziła z nie wiadomo jakich kryjówek. Strumień obcych nie ustawał, co chwila skądś pojawiali się przerażający mężczyźni. Nosili przydomki w stylu Przybysz Numer Jeden albo El Tigre. Do tego jeszcze ci agenci FBI... Nie mieli co robić całymi bożymi dniami ani co wpisywać do swoich protokołów, chcieli więc uzasadnić sens swojego istnienia snuciem się godzinami po domu, siedzeniem w kuchni i zadawaniem mi tysiąca pytań, choć doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że nic nie wiem. Wszystko powtarzało się tak samo dzień za dniem, aż dostałam załamania nerwowego. Rzygać mi się chciało na samą myśl o tym wszystkim i nie miałam ochoty mieć nic wspólnego ani z jedną, ani z drugą stroną. W dalszym ciągu nie mam na to ochoty. — Przerwała i zamyśliła się.

—Te kolczyki, które mi dałaś... — Wzięłam jeden z nich w dwa palce. — Skąd pochodzą?

Zwęziły jej się oczy i wbiła we mnie wzrok.

—Miałaś je u Reyesa? — wyszeptała. Kiwnęłam głową.

—Powinnam była wiedzieć, że nie wolno mi ich ci dać. Chcę je mieć z powrotem! — Podniosła głos. — Natychmiast! Oddaj mi je!

Czuając, jak zaczyna mi drzeć dolna warga, zdjęłam kolczyki i włożyłam je w jej otwartą dłoń. Drżała mi ręka. Jej nie. Na ułamek sekundy w złocie zamigotało światło żyrandola. Bez wahania wrzuciła je sobie do kieszeni.

Podeszła do biurka i zaczęła nerwowo wertować plansze z projektami ubrań.

—Jedynym sposobem, aby zachować rozum, było o tym wszystkim zapomnieć. — Odwróciła głowę i patrzyła na mnie przez ramię. W jej oczach migotał dziwny wyraz. — Udałoby mi się to, gdyby nie ty. Jesteś jedynym dowodem, że to wszystko przydarzyło się naprawdę.

Patrzyłam na nią, jej słowa smagnęły mnie jak biczem. Nie odeszłam, tak jak odeszli przerażający ludzie i torturujący ją leniwi agenci FBI. Wstałam, otępiła i odrętwiała.

—Muszę napisać artykuł — wydukałam.

Kiedy wychodziłam i cicho zamykałam za sobą drzwi, nie zawołała za mną.

# Rozdział trzynasty

---

Wróciłam do redakcji jak automat. Czułam się porzucona i samotna, jaką taką równowagę psychiczną pozwolił mi odzyskać jedynie znajomy strumień trzasków dalekich policyjnych komunikatów z radia. Musiałam zająć się pracą, która zawsze była dla mnie najlepszym środkiem uspokajającym. Kiedy usiadłam za biurkiem, zaczęłam dzwonić do ludzi, którzy zostawili dla mnie wiadomości. Rodziny chłopców połączyły siły i ustaliły na piątek wieczorem wspólne spotkanie. Obiecałam przyjechać.

Lottie odebrała telefon w ciemni i zażądała wyjaśnień, gdzie zniknęłam na całe popołudnie.

—Nie pytaj. Pojechałam spotkać się z ciotką i matką. Oczywiście osobno. Niech Bóg chroni, by kiedykolwiek znalazły się razem w jednym pomieszczeniu. Okazało się, że matka ma w sypialni słońca i udaje, że nic takiego nie istnieje. Potyka się o niego i pyta: „Co? Jaki słoń? O czym ty mówisz?” Zahacz o słońca ciotkę, odpowiada: „Zapytaj matkę”.

—Nie możesz być z ich rodziny — stwierdziła Lottie. — Musieli cię zamienić przy porodzie. No, przynajmniej nie masz tylu dziwaczkich kuzynów co ja. Powinnaś spróbować przeżyć któryś z moich zjazdów rodzinnych. To dobry horror. Niektórzy ludzie nie są szczęśliwi, póki nie wiedzie im się źle.

Opowiedziałam o spotkaniu z Gretchen.

—Lottie, czy jesteśmy jedynymi dwiema kobietami na świecie, które nie prowadzą życia seksualnego?

—Jak to „my”?

—Lottie, nie mów... Chyba nie pozwoliłaś mu wrócić...

—Odpowiedz mi na jedno pytanie, Britt. Tylko na jedno. Czy to możliwe, że nie znalazłaś nazwiska Santany w spisie osób przyjętych do aresztu, ponieważ trzyma się go w ukryciu, bo zgodził się współpracować z policją i ma być skierowany do programu ochrony świadków?

—Niemożliwe. Skąd! Tak ci powiedział? Brzmi to dla ciebie logicznie, ale wszystkie jego opowieści brzmią logicznie. Przecież to adwokat. Zawsze wymyśli coś, co sprawi wrażenie prawdy.

—I to jak cholera, ale to jego ostatnia szansa. Przysięga, że stał się innym człowiekiem.

—Zaczął się ubierać w damskie ciuchy?

Zapadła na chwilę cisza. Pomyślałam z poczuciem winy, że niepotrzebnie ściągam ją za sobą w depresję.

—Cholera, cóż, to z Santaną jest możliwe. Wszystko jest możliwe, ale naprawdę zasługujesz na kogoś lepszego. Odzyskałaś sto siedemdziesiąt pięć dolarów?

—Nie miał przy sobie gotówki, zostawił portfel w biurze. W aktówce.

—Żeby teczuszka sobie odpoczęła.

—Może powinnam go była przeszukać, ale chce mi wszystko wynagrodzić. Widzimy się dziś wieczór, a w przyszłym tygodniu jedziemy na całodzienną wycieczkę na *Gettaway* do Freeport. Wyruszamy o świcie,

żarcie super, kasyno, zabawa, tańce, pływalnia na pokładzie, opalanie, w drodze powrotnej kolacja i show w klubie. Żadnych telefonów, faksów, pagerów. Już się nie mogę doczekać.

Co miałam na to powiedzieć? Tryskała szczęściem.

Potem zadzwoniłam do Hala. Właściwie nie oczekiwałam, że podniesie, ale odebrał po drugim dzwonku.

Wszczęto postępowanie procesowe w sprawie śmierci Ricky'ego Mum-pera, włamywacza, którego zabił w swoim domu.

—Będziesz w sądzie? Pisałaś na ten temat, miałem więc nadzieję, że przyjdiesz na rozprawę.

—Nie jestem reporterką sądową, ale postaram się być. Siedzisz na huśtawce, co?

—Jeszcze jak, ale to nie problem. Twój głos nie brzmi wesoło. Co się stało?

Naprawdę słyhać było, że jestem tak osowiała?

—Sprawy rodzinne, z matką. — Zabrzmiało to tak pospolicie. Co za porównanie z jego problemami. Czekają go oskarżenia o spowodowanie śmierci i sąd mógł go uznać za zabójcę.

—Miałabyś wieczorem ochotę na drinka?

—Nie, muszę pracować... — Nagle zachciało mi się płakać. Praca jest moją tarczą, kryjówką przed walkami dnia codziennego. Czyżbym aż tak osłabła, by jedno dobre słowo od

obcego człowieka miało mnie rozbroić i doprowadzić do łez? A więc w końcu jej się udało. Lata pracy odniosły efekt. Mojej matce nareszcie udało się zrobić ze mnie wariatkę.

— Nie możesz bez przerwy pracować. Może przyda ci się ktoś do pogadania?

Zabrzmiało to zachęcająco, ale nie byłam usposobiona towarzysko. Przypomniały mi się loczki na jego piersi, płaski brzuch... i zakrwawiony salon. Czyżbym naprawdę zamierzała umawiać się z wymachującym siekierą zabójcą? Co by sobie pomyślała moja matka? Zaraz — kogo, do cholery, obchodzi, co sobie myśli moja matka? Albo moi szefowie? Jednym z moich szefów jest Gretchen. Czy potrzebuję jej akceptacji? Chyba nie.

— Gdzie byśmy się spotkali?

Umówiliśmy się w Klubie 1800, za godzinę.

Wysmarkałam nos, poszłam do toalety i wyciągnęłam ze swojej szafki kosmetyki. Zrobiłam sobie rzęsy, nałożyłam trochę różu, pomalowałam usta czerwienią, zwaną Torrid, i uczesałam się.

Czekał niedaleko wejścia, przy otulonym mrokiem barze.

— Już zaczynałem się obawiać, że nie przyjedziesz. — Ujął mnie za ramię i poprowadził do stolika w głębi. Obecność mężczyzny miała w sobie coś pokrzepiającego. — Ze zatrzymała cię jakaś sprawa.

Tym razem nie tylko był całkiem obudzony i ubrany, ale przystojniejszy niż go pamiętałam, wyższy i znacznie bardziej zadbany. Poza tym nie porąbał dopiero co nieznanego.

— A teraz — powiedział, kładąc dłoń na mojej, kiedy usiedliśmy przy niewielkim stoliku w przyciemnionym pokoju, a Sting zaczął „Fields of Gold” — opowiadaj o wszystkim. — Uśmiech miał zachęcający, oczy poważne. — Mama chce się do ciebie wprowadzić? Ustanowiła godzinę policyjną? Zamknęła cię na klucz? Hej, śmiejesz się, czyli nie może być aż tak źle... Chcesz, żebym napisał jej kartkę, jak dobrą, piękną i utalentowaną ma córkę?

— Nie mówmy o mojej matce. Opowiedz mi o sobie.

Pracował w rozgłośni radiowej, nadającej przyjemną i łatwą muzykę. Opowiedział o nowym producencie, który pierwszego dnia pracy wylał na konsolę w pomieszczeniu emisyjnym flaszkę wódki, o tym, jakie to spowodowało koszta i wywołało przerażająco długą przerwę w pracy stacji. Luźna, niekonkretna rozmowa nie była z Halem możliwa.

Lokal był niemal pusty. Tańczyliśmy i bez trudu dopasowałam się do jego ramion. Opieranie się o jego silne, ciepłe ciało i poruszanie się niemal bez wysiłku do „Because the Ni-



ght" w wykonaniu 10 000 Maniacs było jak spokojne kołysanie. Nikt nie milkł znacząco na nasz widok, choć może byłam jedynie zbyt otępiała, by to zauważyć.

Proza życia prędzej czy później musi jednak dopaść człowieka. Nic miłego nie trwa wiecznie.

—Muszę iść do domu wyprowadzić psa — stwierdziłam w końcu.

—Sama? O tej porze?

—Zawsze to robię.

Było dość oczywiste, co na to powie.

—Zrobimy to razem. Jestem specjalistą od wyprowadzania psów. Kiedy miałem jedenaście lat, zajmowałem się psami zawodowo. Cesałem je, kapałem, wyprowadzałem sąsiadom całe stado. Nie spotkałem psa, którego bym nie polubił. No, z wyjątkiem jednego, czarnego chow-chow o imieniu Mao. — Pokręcił głową i jęknął. — Chow-chow Mao. Za każdym razem, kiedy odwróciłem się do niego plecami, próbował coś mi wygryźć. Boże, jak ja nienawidziłem tego psa...

To, co powiedział, przypomniało mi innego przedsiębiorczego ucznia — Charlesa Randolpha i jego biznes z czyszczeniem łodzi.

Odrzuciłam myśl o nim, przynajmniej na dziś wieczór.

—Skąd wiedziałeś, że mój pies to czarny chow-chow? — zażartowałam. Kiedy wsiadałam do samochodu, patrzył na mnie opiekuńczo. Potem

wsiadł do swojego luksusowego niebieskiego nissana maxima i przyjechał za mną do Beach.

Moi gospodarze i sąsiedzi już spali. Coś się musiało stać ze świecącymi całą noc latarniami bezpieczeństwa, bo dwa szeregi otoczonych ogrodami apartamentów były skryte w atramentowej ciemności. Szeptaliśmy. Hal zaczekał na zewnątrz, ja weszłam szybko do środka, rzuciłam rzeczy, wzięłam Bitsy na smycz i wyszłam. Podwórce było ciemne jak dno studni. Kiedy szliśmy do oświetlonej ulicy, jedną ręką trzymałam smycz, drugą wzięłam za rękę Hala. Nagle coś wyskoczyło na nas z cienia za bananowcem.

—Co to do... — wyrzucił z siebie Hal. Wciągnęłam gwałtownie powietrze, załomotało mi serce. Bitsy gwałtownie zamachała ogonem.

—Cześć, Britt. Nad czym tak długo pracowałaś?

—Seth! Przestraszyłeś mnie. Co tu robisz?

— Czytałem i usłyszałem, jak podjeżdżasz. — Z zaciekawieniem popatrzył na Hala. W ciemności Seth nie wyglądał na swoje dwanaście lat. — Co robisz?

— Wyprowadzam Bitsy — odparłam, przytykając palec do ust, żeby przestał gadać.

— Świetnie, pójdę z tobą — oznajmił, dostosowując się do naszego kroku. Wymieniliśmy się z Halem spojrzeniami. Seth był czujny jak łasica, głodny towarzystwa i wieści z gazety, tryskał młodzieńczą energią, w sumie nie wyglądało na to, byśmy mogli się go pozbyć.

— Nie, nie pójdziesz — szepnęłam do niego. — Nie chcę, żeby twoi dziadkowie się obudzili i stwierdzili, że łóżko jest puste. — Nie powiedziałam wprost o zaginionych chłopcach, ale to myśl o nich skłoniła mnie do powiedzenia czegoś podobnego.

Kiedy ich sobie przedstawiłam, Seth od razu przypomniał sobie imię i nazwisko.

— Hej, to pan porąbał tego włamywacza! Huknął mu pan prosto z mostu, co o nim sądzi, nie?! Ha ha ha!

— Dość! — syknęłam wściekle na Seta. — Wracaj do domu!

Z oporami, ale zawrócił, my zaś poszliśmy cichymi ulicami South Beach, oświetlanymi srebrną tarczą księżyca.

— Nigdy bym nie pomyślał, że należysz do tych, którzy lubią miniaturowe pudle — cicho powiedział Hal.

— Dostałam suczkę po wypadku. Tak naprawdę to pies policyjny. — Opowiedziałam, jak odziedziczyłam Bitsy po przyjaciółce, policjantce zabitej w czasie rozruchów przez snajpera.

— Jesteś zawsze na pierwszej linii frontu... — stwierdził z zadumą. — Może dlatego czuję się z tobą tak bezpiecznie. Często znajdujesz się w strefie walki i wiesz, jak tam jest.

Było w jego głosie coś dziwnego. Przyjrzałam mu się uważnie w słabym świetle ulicznych latarni.

— Hal, jak ty się naprawdę czujesz?

— Nie jest to mój najszcześniejszy okres w życiu. — Patrzył na przejeżdżający samochód, starał się mówić z obojętnością. — Kiedy włamywacz jest jedynie niebezpiecznym obcym w ciemnościach, który chce wtargnąć na twój teren, wszystko jest inaczej. Myśli się jedynie, jak przeżyć. Liczy się tylko przetrwanie i zwyczajna wściekłość. Zaraz potem człowiek czuje się, jakby był na haju, doznaje ulgi, że przeżył i załatwił łobuza. Potem okazuje się, że ten łobuz miał dwadzieścia siedem lat, nazwisko, przeszłość i rodzinę.

Szliśmy dalej. Ścisnęłam go za rękę.

—Ryzykował z nieprzymuszonej woli — powiedziałam. — Dokonał wyboru i spróbował. Zaskoczył cię we własnym łóżku. Samego. — Uśmiechnęłam się. — Obroniłeś siebie i nie wiadomo ile jeszcze potencjalnych jego ofiar przed bólem, rozpaczą, a może nawet czymś gorszym.

—Nie wiem, czy to prawda, co mówisz, ale mimo to dziękuje. Kiedy wróciliśmy pod moje drzwi i wyciągnęłam klucz z kieszeni, zdawało mi się, że nie bardzo chce odchodzić.

—Chcesz wejść na chwilę? — szepnęłam.

—Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

Rozejrzałam się wokół, szukając, czy gdzieś w cieniu nie czyha Seth, wciągnęłam Hala do środka i cicho zamknęłam drzwi.

Idąc w głąb mieszkania, zapalałam po kolei światła. Poszedł za mną do kuchni, stanął w drzwiach i zasmuconymi oczami patrzył, jak karmię zwierzęta. Billy Boots, póki nie miał pełnej miski, wpatrywał się w obcego spod krzesła.

Wzięłam butelkę wina i dwa kieliszki.

—Dzień w dzień oglądasz, co ludzie sobie robią. Jak z tym żyjesz? Zamarłam na chwilę w bezruchu i popatrzyłam na jego poważną twarz.

—Nie wiem... — mruknęłam.

Kiedy to powiedziałam, dotarło do mnie, że rzeczywiście tego nie wiem. Wzięliśmy kieliszki, poszliśmy do salonu i usiedliśmy na kanapie.

—Kiedy gliniarze opróżniali mu kieszenie — zaczął po chwili Hal — znaleźli w jego portfelu listę zakupów, jakie miał zrobić, i kartkę z terminem wizyty u dentysty. Wiem, brzmi to głupio, ale zastanawiałem się, czy ktoś zadzwoni odwołać wizytę. Może ja powinienem był to zrobić... — Pokręcił głową, jakby dziwiły go własne myśli.

—Jego akta dowodziły, że napada od wielu lat. Całe życie nie robił nigdy nic innego. Co by było, gdyby zamiast ciebie stanęła naprzeciw niego młoda kobieta? Jak sądzisz, co by się z nią stało?

Przeciągnął delikatnie palcem po linii mojego podbródka, dotknął go opuszką i pocałował mnie. Objęłam go za szyję i przycisnęłam mocniej jego usta, aby przedłużyć ten moment — jakbym była wędrowcem po Saharze, który nareszcie może zaspokoić pragnienie.

Nie chciałam, aby przestawał. Oparłam się o jego ramię, obejmował mnie i rozmawialiśmy.

—Moi rodzice są zażenowani tym, że moje nazwisko pojawiło się w gazetach. Nie spodziewałem się tego. — Wypił łyk wina. — Wielu rzeczy się nie spodziewałem. Od tego... incydentu koledzy w pracy mówią na mnie Zabójca albo Egzekutor. Uważają, że to śmieszne. Ludzie, których praktycznie nie znam, klepią mnie po plecach i gratulują mi, choć nie wiem czego. To przecież tragedia. — Popatrzył na mnie. — Dziewczyna, z którą się spotykałem, tak straciła do mnie serce, że nie chce się do mnie odzywać. Inną kobietę — spotkałem ją na komisariacie — tak podnieciło to, co zrobiłem, że byłaby gotowa natychmiast iść ze mną do domu i kochać się dokładnie w tym miejscu, gdzie go zarabiałem. Tak powiedziała. — Przeciągnął palcami przez włosy. — Boże, nie chciałem, by coś takiego się stało. Kiedyś potrafiłem samochodem królika, więc się zatrzymałem, podniosłem go z jezdni i zawiozłem czym prędzej do weterynarza. Nie jestem urodzonym zabójcą. Jak mam z tym żyć?

Odwrócił się, zdążyłam jednak zobaczyć, że oczy błyszczą mu od łez. Ten biedak był bardziej zmalretowany ode mnie.

—Staraleś się, jak mogłeś — szepnęłam, wyciągając do niego rękę. — Gdybyś nie był z gruntu dobry, nie przeżywałbyś tego tak ciężko. Zrobiłeś, co musiałeś. A jeżeli chodzi o rodziców, nie powinniśmy im pozwalać, by nas ranili.

Aby go pocieszyć, poszukałam jego ust. Może to siebie chciałam pocieszyć? Odwzajemnił pocałunek i nasz ból przemienił się w namiętność. Nasze ciała płonęły, aby pocieszyć się nawzajem. Jego pocałunki stopiły resztkę oporów, jakie miałam, i przemieniły je w płynny, rozżarzony strumień pożądania. Rosnące podniecenie zepchnęło nas z kanapy na dywan. Moje włosy zasłoniły mu twarz, on zaś otoczył mnie jeszcze ciaśniej ramionami i mrucał do ucha dźwięki bez słów. Zapadałam się w otchłań. To, co zaczęło się powoli, przeszło w żarliwe szarpanie, rozpinanie, otwieranie zatrząsków i rozpinanie suwaków. Nasze ciała walczyły o wolność i kiedy nagie dotknęły się po raz pierwszy, miałam nadzieję, że poczuje dreszcz. Nie rozczarowałam się.

—Nie! — rzuciłam w którymś momencie, unosząc się na łokciu. Hal zamarł. — Nie ty... — wymamrotałam, gorączkowo go przyciągając. — Odejdź! — kazałam Bitsy, która właśnie lizała mnie w oko.

Hal z ulgą się roześmiał i kontynuował czułe dotyki moich najtajniejszych miejsc. Jakie to było przyjemne... Żądza i wino znieczuliły ból spowodowany cierpieniem rodziców zaginionych chłopców, śmiercią Alexa, haitańskiej ofiary wypadku — Josego Caliente oraz wszystkich innych, którzy umierają o wiele za wcześnie.

Podróż przez życie jest krótka i samotna... Przychodzimy na świat w samotności i tak samo go opuszczamy. Czasami, choć to rzadkie chwile, udaje nam się osiągnąć stan jedności z innym podróżnym. Teraz był jeden z takich momentów.

—Sypialnia... — wymamrotałam. Ciężko oddychając, skinął głową.

Jak rozbitkowie, którzy przeżyli tajfun, przez chwilę rozkoszowaliśmy się spokojem łóżka i własnymi ciałami. Jego prężna, błyszcząca skóra i zapach jego muskularnego ciała zapierał mi dech.

Potrafił umiejętnie używać dłoni i ust. Nie spieszyliśmy się, daliśmy sobie tyle czasu, ile każdemu było potrzeba, potem delectowaliśmy się ciepłem, które nadeszło. Seks po śmierci to coś wspaniałego.

—Chcesz, żebym sobie poszedł? — spytał, obejmując mnie.

—Spróbuj, to zarekwiruję ci kluczyki od samochodu — odparłam, delikatnie go całując.

—To dobrze. — Westchnął i rozparł się na łóżku, jakby tu było jego miejsce. W tej chwili rzeczywiście do niego należało.

Zbyt wyczerpani, aby zasnąć, zaczęliśmy rozmawiać o człowieku, którego zabił, o życiu i śmierci. Nietypowa rozmowa do poduszki, ale dla nas jak znalazł.

—Gdyby go tylko przedterminowo nie zwolnili. Gdyby go lepiej zresocjalizowali albo nauczyli jakiejś pracy...

—Nie gdybaj. Zapomnij o sprawiedliwości, teraz liczymy się tylko my dwoje. Popełniał coraz poważniejsze przestępstwa. Uratowałeś komuś życie.

Opowiedziałam o odrzuceniu mnie przez matkę, potem o ojcu i jego dzienniku.

—Ciekawe, czy jestem taką córką, jaką chciałby mieć... — spytałam sennie, wsłuchana w rytm serca Hala tuż przy moim uchu. — Myślę jak on? Chodzę jak on? Mówię jak on?

—Gdyby żył, prawdopodobnie by mnie zabił — z namysłem powiedział Hal — ale masz rację. Wszystko, co napisał, należy się tobie. Powinnaś to odnaleźć, tak jak adoptowane dzieci odnajdują swoich biologicznych rodziców. W ten sposób może dowiesz się, dlaczego stałaś się taka wspaniała. — Pocałował mnie w lewe oko, dokładnie w to samo miejsce, gdzie lizała Bitsy.

Zasnęliśmy spleceni ramionami, jak zabici. Raz się obudził — zdezorientowany, usiadł prosto, zacisnął pięści. Było wpół do czwartej rano.

—Wszystko w porządku. Jesteś ze mną — powiedziała sennie i wyciągnęłam do niego ramiona.

—Boże... — westchnął. — Odkąd to się stało, jest tak co noc. Zaczęłam gryźć pieszczotliwie jego biceps, przesuwałam się w górę, do szyi.

—Jeśli już oboje się obudziliśmy... — szepnęłam. Zaczęłam go głaskać, pokazał zęby w uśmiechu i ponownie się w sobie zagubiliśmy.

## Rozdział czternasty

---

Kiedy Hal brał prysznic, zjrzałam do spiżarni. Widok nie był zachęcający. Kuchnię rozświetlało poranne słońce, ptaki śpiewały w rosnącej za oknem roślinie malajskiej ylang-ylang i wszystko było w najlepszym porządku — byłoby, gdybym miała na śniadanie coś poza starym chlebem.

W drzwiach zamajaczyła sylwetka Hala. Miał wokół talii jeden z moich jaskrawych ręczników, zawiązany tak, że kilka centymetrów pod pępkiem widać było paseczek nie opalonej skóry; i czesał mokre włosy.

— Jak ci się podoba śniadanie w News Cafe? — spytał. Wyglądało na to, że poza innymi licznymi talentami, jakie posiadał, umiał czytać w myślach.

— Bardzo. Jeżeli masz w samochodzie odpowiednie ubranie, moglibyśmy przedtem przebiec się promenadą. — Serce aż mi się rwało do biegu pod kopułą nieba Miami, brzegiem oceanu.

— Zdawało mi się, że już mamy maksymalnie przyspieszone tętno. — Miał lekko zachrypnięty głos. Przyciągnął mnie do siebie i wetknął nos w moje włosy. — Od dawna nie spało mi się tak cudownie — mruknął mi do ucha.

Spotkaliśmy się, kiedy było nam to najbardziej potrzebne, nasze ścieżki przecięły się w idealnym momencie. Synchronizm, przypadek, prezent od łaskawego Boga?

Kiedy brałam prysznic, pił kawę i czytał gazetę.

— Jest tylko jeden problem — stwierdziłam, ubrawszy się i uczesawszy. — Seth to ranny ptaszek.

— Zazdrośnik, co? Mam wyjść przez okno w łazience i poczołgać się do samochodu przez krzaki?

— To nie byłby taki zły pomysł. Może mieć aparat fotograficzny — ostrzegłam, wyglądając przez żaluzje.

Wzięłam Bitsy na rekonesans i kiedy droga okazała się wolna, zaryzykowaliśmy.

Wybraliśmy stolik na dworze. Naprzeciwko News Cafe, po drugiej stronie Ocean Drive, znajduje się piaszczysta plaża, za którą widać pryskający przybój. Wokół jest pełno obojęt-

nych na wszystko wspaniałych modelek, turystów w szortach, stałych bywalców z psami, yuppies na motocyklach, studiujących „Wall Street Journal” bogatych emerytów i innych pięknoduchów, starających się spotkać jak najwięcej pokrewnych dusz. Europejczycy o zaszpanych oczach wdychają unoszący się znad filiżanki aromat kawy razem z papierosowym dymem. Hollywoodzcy gwiazdorzy ze swoimi wymanikiurowanymi, polakierowanymi paznokciami wyglądają jak porcelanowe laleczki, a pozujące na artystów i twórców typki, faceci nie mający wiele wspólnego z kamerą siedzą grupkami, przycupnięci przy stolikach, nawet nie pamiętając o tym, by odsunąć z oczu zbyt długie włosy. Kelnerzy i kelnerki — głównie głodujący aktorzy — są ubrani w szorty i bawełniane podkoszulki. Wokół śmigają mewy i wrotkarze, ulicą szedł stanowiący lokalną ciekawostkę facet w przypominającym tort kapeluszu z palącymi się prawdziwymi świecami i namawiał ludzi do kupienia jakiegoś produktu. Jeszcze kilka godzin temu byłam niekochaną sierotą, teraz śmiałam się, pochłaniając olbrzymie śniadanie, składające się z olbrzymiego kubka jogurtu i granoli z orzeszkami laskowymi, truskawkami, ananasem, arbuzem i melasą. Hał wypił świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy, potem energicznie zaatakował jajecznicę i bułki.

Kiedy popijaliśmy kawę z mlekiem, a słońce wspinało się coraz wyżej, rozgrzewając słone powietrze, zapiszczał mój pager. Miałam natychmiast zadzwonić do redakcji.

— To mój wolny dzień — oznajmiłam, kręcąc głową.

— Nie sądzisz, że powinnaś sprawdzić, o co chodzi?

— Wiem, że będę tego żałować — stwierdziłam z niechęcią i poszłam do budki.

Jak zwykle, była kolejka. Kiedy stałam i czekałam, tuż za moimi plecami rozległ się potężny bas.

— *...i słońce stało się czarne jak włosieny wór, a cały księżyc stał się jak krew.*

Wysoki, obdarty uliczny kaznodzieja, ten sam, którego widziałam, będąc z Lottie w South Pointe, pomstował na jedzących i przechodniów.

— Britt?

— Tak, Gretchen, co się stało? Mam dziś wolny dzień.

— *...podobnie jak drzewo figowe wstrząsane silnym wiatrem...*

— Kto to, do cholery?

— Jestem w South Beach — odparłam zirytowana. Oślepiało mnie słońce, pot spływał z czoła.

— *...zrzuca na ziemię swe niedojrzałe owoce.*

— Wygląda na to, że Jorge Bravo poprowadził wczoraj akcję, wylądowali na Kubie i FBI go szuka. Mamy za mało ludzi. Mogłabyś przyjechać i się tym zająć?

— Co za popieprzony skurwiel! — Przypomniałam sobie pękata, przykrytą płótnem ster-tę. Ale przy takim kalectwie, jak mógł...

— *Niebo zostało usunięte...*

Odwrociłam się do brodatego kaznodziei i marszcząc czoło, wbiłam w niego wzrok. Zamierzałam go przegonić, ale w jego oczach było tyle szaleństwa i ponurości, że szybko się odwróciłam.

— Czy to pewne, że to on?

— Tego musimy się dowiedzieć. Aha, jeszcze Lottie chce z tobą rozmawiać. Jest w ciemni. Dzięki, Britt. Przełączę cię. Kiedy będziesz?

— Nie chcę się mieszać do kubańskiej polityki... — Westchnęłam. — Za godzinę. — Zadziwiająco, jak grzeczna zrobiła się Gretchen.

— *...jak księga, która się zwija...*

Lottie natychmiast zażądała informacji, gdzie jestem.

— W South Beach, jem śniadanie ze wspaniałym mężczyzną.

— *...a każda góra i wyspa z miejsc swych poruszone*<sup>\*1</sup>.

— To on przemawia?

— Nie, to uliczny kaznodzieja. Kiedyś widziałyśmy go razem.

— Nie pamiętam.

— Oczywiście, że go widziałaś. O co chodzi?

— Twój kumpel, Jorge Bra...

— Już wiem. Znow ścigają go federalni. Ściszyła głos.

— Wiesz, że chce się z tobą skontaktować?

— Co?

---

<sup>1</sup> Apokalipsa św. Jana 6, 12-15 (przyp. tłum.)



Odwróciłam się, nagle bowiem zrobiło się cicho za moimi plecami. Kaznodzieja zniknął, słychać było jedynie odgłosy rozmów i śmiechów dobiegające z kawiarni oraz szum oceanu, zalewającego potężnymi, słonymi falami plażę. Rozejrzałam się na boki, ale kaznodzieja zniknął.

— Ponieważ nie mógł cię złapać, zadzwonił do mnie. Powiedział, że musi natychmiast z tobą porozmawiać.

— Jezu drogi... — Na pewno chce opowiedzieć mi swoją wersję, zanim go zapuszkują. — A więc wrócił z... no, stamtąd, gdzie był w nocy. Jeżeli znów zadzwoni, daj mu numer mojego pagera. Poza tym wszystko w porządku? — Szukając nie istniejącego cienia, cofnęłam się trzy kroczki, na tyle, na ile pozwalał sznur telefonu. Przez cienkie podeszwy czułam, jak parzy beton.

— Mogłoby być lepiej. Pójdę kupić stroje na wycieczkę później, oczywiście jeżeli będę miała przerwę.

— To tylko jeden dzień. Boże, Lottie...

— Wiem, ale mam nastrój do kupowania! — zawołała radośnie. Lottie zwykle nienawidzi robić zakupów i używa w tym celu katalogu.

— Jestem bardzo przejęta — stwierdziłam. Niezwykle, co może z człowieka zrobić miłość.

— Widziałeś, dokąd poszedł ten uliczny kaznodzieja? — spytałam Hala po powrocie do stolika.

— Kto?

— Facet z brodą, wyrzucający z siebie przepowiednie zagłady. Zmarszczył czoło.

— Nie zauważyłem nikogo takiego. Obserwowałem ciebie.

— Zadzwonię — powiedział, kiedy odwiózł mnie do domu. — Ale musisz mi dać domowy numer.

— Nigdy go nie daję bohaterom artykułów — odparłam szorstko. — To się nie sprawdza.

Na widok jego miny musiałam się uśmiechnąć.

— Ale ty jesteś wyjątkiem. Mam dla ciebie dobrą i złą wiadomość — dodałam zapisując na wizytówce numer. — Pamiętasz, dlaczego zadzwoniłeś do mnie wczoraj wieczorem?

Zamrugał oczami. Obfite śniadanie, może pracowita noc, znacznie spowolniły jego procesy myślowe.

—Rozprawa wstępna. Chciałeś, żebym zajęła się rozprawą wstępną. Do jego oczu powrócił cień i zrobiło mi się żal, że wspomniałam o tym

w tak piękny, bezchmurny poranek.

—Zła wiadomość jest taka, że nie mogę pisać o twoim procesie, ponieważ łączy nas teraz... osobisty związek, ale dobra jest taka, że jeżeli będziesz potrzebował mojego moralnego wsparcia, możesz na mnie liczyć. Chcę też przyprowadzić przyjaciółkę, Lottie. Moglibyśmy wtedy iść we trójkę na drinka czy coś w tym stylu.

—Zgoda.

Nasz pożegnalny pocałunek trwał bardzo długo.

W biurze czekał na mnie „komunikat wojenny”, wydany przez Jorgego Bravo i jego organizację, Brygadę Wolnej Kuby. Zagranicznych turystów proszono o opuszczenie wyspy i ostrzegano, że decyzję podróżowania na Kubę podejmują na własne ryzyko. Oświadczenie zostało przefaksowane do sali agencyjnej o drugiej nad ranem na adres gazety i opatrzone parafką, że należy je przekazać do mojej wiadomości. Dołączony komunikat dla prasy oznajmiał, że dwadzieścia cztery godziny przedtem BWK przeprowadziła atak na „cel wojskowy” na Kubie. Radio Hawana potwierdziło napad na należący do Hiszpanów hotel w Varadero, znajdujący się mniej więcej sto kilometrów na wschód od Hawany, na północnym wybrzeżu. Było to najwyraźniej kubańskie centrum turystyczne w prowincji Matanzas.

Chcąc odzyskać dochody stracone w wyniku rozpadu Związku Sowieckiego, Castro skoncentrował wysiłki na odbudowie kwitnącego kiedyś przemysłu turystycznego. Hiszpańscy przedsiębiorcy zainwestowali miliony dolarów w kubańskie hotele.

Napastnicy w dziesięciometrowej łodzi podpłynęli do brzegu, ostrzelali z karabinów maszynowych i granatników skierowany ku oceanowi front hotelu Vista del Mar i natychmiast odpłynęli. Nikt nie zginął, rannych zostało kilku ochroniarzy, policjant i siedzący przy barze na wolnym powietrzu chłopak z obsługi hotelowego autobusu.

Dręczyła mnie niepewność, co też leżało pod plandeką w salonie Jorgego Bravo. Łączyła aż kipiały od depezy protestacyjnych z Hawany oraz oświadczeń Departamentu Stanu. Zapisał mój pager. Numer, który się na nim pojawił z prośbą o oddzwonienie, nie był mi znany. Głęboko odetchnęłam i wybrałam go.

—*Hola!*

—Jorge?

—*Si, Monterò?*

—Tak. Gdzie pan jest? Przez chwilę milczał.

—Mała Hawana.

—Gdzie?

—Mała Hawana jest wszędzie tam, gdzie zbierze się przynajmniej dwóch Kubańczyków walczących o wolność.

Westchnęłam.

—Jorge! Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że FBI...

—Nie mogę rozmawiać z tego *telefono*. To zbyt niebezpieczne. Mówiłaś komukolwiek?

—Nie, Jorge, ale sądzę, że FBI chce z panem porozmawiać.

—Nie mam im nic do powiedzenia. Muszę porozmawiać z tobą.

—Porozmawiać?

—W cztery oczy.

Ciekawe, skąd wiedziałam, że to powie?

—Gdzie?

—Przy Pochodni Przyjaźni.

—W parku nad zatoką? Czy w tych okolicznościach nie jest to zbyt publiczne miejsce?

—Muszę kończyć. Ten *telefono*... — Jego głos zaczął się oddalać. W tle nasilił się szum ulicznego ruchu.

Miejscowi gliniarze prawdopodobnie nie byliby w stanie wykryć miejsca, skąd ktoś dzwoni, bez namierzania go przez pół roku, ale nie byłam tego taka pewna w przypadku FBI. Musieli być w tym lepsi.

—Przyjadę. Kiedy?

—Natychmiast.

W co ja się pakowałam? Dokładnie w to, w co sobie przysięgłam nigdy się nie mieszać: w mroczne labirynty kubańskich emigracyjnych szwindli.

Znalazłam miejsce do parkowania na Bulwarze i przeszłam piechotą do Pochodni, zbudowanej w 1960 roku, a w 1964 przemianowanej ku czci prezydenta Kennedy'ego. Wieczny płomień nie palił się. Prawie sześciometrowy symbol solidarności i dobrej woli narodów północnej półkuli został dziesięć dni temu staranowany przez ogromną ciężarówkę.

Kierowca wielkiego, wyposażonego we wzmacniane zderzaki tira, sześćdziesięcioletni, owinięty w kubańską flagę uchodźca wjechał z pełną prędkością na chodnik, przeciął rabaty i żywo płót z oliwek i huknął w pochodnię z brązu. Dostarczające gaz przewody popękały, symbol jedności przechylił się na bok i świadkowie zaczęli uciekać w obawie przed eksplozją gazu.

Kierowca najwyraźniej nie przejmował się, że jego następnym przystankiem będzie więzienie. Kiedy na miejscu zjawili się gliniarze, zarówno sprawca, jak kilku współników malowało na pamiątkowym murze za pomnikiem napis KUBA BĘDZIE WOLNA i robiło zdjęcia. Pochodnia zostanie odrestaurowana, kiedy rada miejska wpadnie na pomysł, skąd wziąć pieniądze.

Nigdzie nie było widać Jorgego. Przez chwilę stałam niezdecydowana, słońce grzało mi twarz i spalało końce włosów na popiół. Pot przebijał sobie lepką ścieżkę w dół moich pleców. Przydałby mi się kapelusz, przydałby mi się krem ochronny, najbardziej przydałby mi się wolny dzień.

Wokół nie było nikogo poza paroma bezdomnymi, którzy przejęli park we władanie. Popatrzyłam na zegarek. Podeszła do mnie nastolatka w obciętych nad kolanami džinsach i czarnym kusym topie. Uśmiechała się, choć odwracałam głowę. Jej obecność niecierpliwiła mnie i oburzała. Czyżby chciała zebrać?

—Britt Monterò?

—Znam cię?

Była szczupła, na nogach miała sandały z rafii, na ustach szminkę w kolorze mango. Oczy skrywały ciemne okulary. Nie miała więcej niż szesnaście lat.

—Luisa, *especialista* BWK. *Comandante* prosi, abyś przyszła.

—Jesteś członkiem grupy?

—*Si* — odparła z dumą. — Od urodzenia.

Poszłyśmy spacerkiem w kierunku Bulwaru i wkrótce dotarło do mnie, że górne piętro podupadającego hotelu po drugiej stronie ulicy jest znakomitym punktem obserwacyjnym, z którego można stwierdzić, czy przyjechałam sama, czy w towarzystwie falangi agentów. Kiedy zaczęłyśmy przechodzić przez ulicę, zrozumiałam, że zaraz wejdziemy do hotelu i

wsiądziemy do windy, która zawiezie nas do pokoiku z widokiem na park. Stanęliśmy, kiedy do krawężnika podjechał stary, pordzewiały lincoln.

Dziewczyna popchnęła mnie w kierunku samochodu.

—Tam jest *comandante*.

Otworzyły się tylne drzwi i w środku ujrzałam Jorgego Bravo. Miał na sobie mundur polowy, kryjący białą guayabereę, i spieczoną słońcem twarz.

Takie twarze mają wyciągnięci z wody uciekinierzy z Kuby, którzy przyplwają na własnoręcznie skleconych tratwach. Za kierownicą siedział mężczyzna po czterdziestce z wypomadowanymi na czarno włosami i w okularach przeciwsłonecznych. Okazując daleko posuniętą niechęć, wsiadłam do samochodu.

—*Estàs loco?* — powiedziałam na przywitanie.

—Jesteśmy w stanie wojny — oznajmił dramatycznie i samochód ruszył, zostawiając Luisę na chodniku.

—Nie może pan prowadzić wojny z turystami, Jorge.

—To był obiekt wojskowy — powiedział, zaciskając szczękę.

—To był hotel, na Boga! Zabić kilku turystów i zobaczyć, co z tego wynika, tak? Chce pan wywołać międzynarodowy zatarg? Jeżeli federalni udowodnią, że pan tam był, już nigdy nie ujrzy pan światła dziennego!

—Musimy ich zastraszyć, żeby przestali jeździć na Kubę, wydawać tam dolary, wzmacniać Castro i pomagać mu w utrzymaniu się przy władzy. — Mówił to, jakby stwierdzał oczywisty fakt albo wyjaśniał coś dziecku.

—Wiem, co chce pan powiedzieć, ale zabijanie niewinnych turystów tylko wzmacnia pozycję Castro! A co z pana praworządnością? Na przykład w zakresie ustawy o neutralności?

Ponieważ ustawa ta zabrania prowadzenia ekspedycji wojskowych z terenu USA, udający się ze swoją misją bojownicy o wolność zatrzymują się na przykład na Wyspach Bahama, by móc twierdzić, że ich działania wzięły początek właśnie tam, ale nikogo w ten sposób nie oszukają.

—Ten kraj nie może zakazać ciemieżonym prowadzenia walki z tyranią — upierał się Bravo.

—Przecież gdyby pana złapali, Kubańcy natychmiast by pana rozstrzelali. Może byłoby to nawet lepsze, bo w sprawę włączył się Departament Sprawiedliwości. Wie pan, co robi Janet Reno. Ona się długo nie pieprzy.

—Najpierw ci sami: CIA, FBI, dawali nam pieniądze na walkę z Castro, a teraz mówią, że to przestępstwo. Przed laty to nie było przestępstwo! Nie obchodzi mnie, co mówią teraz! Jestem patriotą! — Potrząsnął zaciśniętymi pięściami. — Prowadzimy wojnę i nie skończymy jej tylko dlatego, że ktoś trafi pod sąd. Nie walczę ze Stanami Zjednoczonymi, walczę z Fidelem.

—To przecież jest jakiś obłąd... — jęknęłam, wyglądając za okno, by sprawdzić, gdzie jesteście. Chciałam jak najprędzej znaleźć się we własnym samochodzie. Cóż za beznadzieja...

—Pewnego dnia, Monterò, zrozumiesz to, o czym był przekonany twój ojciec, że wolność oznacza coś więcej niż brak krat wokół człowieka. *Si*, to jest obłąd. Gdyby Antonio żył, byłby z nami.

Jego ton świadczył, że naprawdę w to wierzy. Czyżby miał rację? Czyżby mój ojciec rzeczywiście był aż tak obłąkany?

—Zamierza pan rozmawiać z FBI?

—Nie ma mowy. Jestem w podziemiu. Nie znajdą mnie.

Może powinnam była wyskoczyć w biegu. Zamiast tego rozglądałam się w poszukiwaniu nie oznakowanych samochodów policyjnych.

—Nie może pan biegać po mieście i zachowywać się jak jakiś zwariowany terrorysta.

—Dlaczego nie?

—Po pierwsze, jest pan zbyt stary na uciekanie. Uśmiechnął się ironicznie.

—Jestem zbyt stary, żeby nie uciekać. Poświęciłem całe życie walce o Kubę. Ta iskra nigdy nie gaśnie. Tak umrę. Chcę zostać pochowany za wolną Kubę.

Położył swoją kalekę i zrogowaciałą dłoń na mojej.

—Naszym celem jest wywołanie wśród Kubańczyków rewolty. Decydującą iskrawą mogą być słowa zawarte w *diario* Antonio. Musimy znaleźć dziennik przed Reyesem. Jeżeli ogłosimy publicznie, co tam jest napisane...

—Dziennik ojca?

—*Si*. Znajduje się w posiadaniu człowieka o nazwisku Armando Gutierrez. Reyes wysłał swoich *criminales*, by go znaleźli.

— Reyes jest biznesmenem na międzynarodową skalę, z licznymi koneksjami politycznymi, dlatego więc miałby...

Posępne spojrzenie Bravo spowodowało, że zamilkłam. Przypomnił mi się natychmiast prorokujący zniszczenie i zagładę uliczny kaznodzieja o oczach pełnych szaleństwa.

Bravo skłonił się ku mnie.

— Jeżeli Gutierrez się z tobą skontaktuje, musisz mnie natychmiast zawiadomić. Luisa jest moim oficerem łącznikowym. Tu masz numer do niej. — Podał mi kawałek papieru, który wsunęłam automatycznie do torebki.

— Ile ona ma lat? Czy nie powinna być w szkole? Bravo zignorował pytanie. Głośno myślał.

— Jeżeli *diario* zaginął, może podłożymy bombę w latarni morskiej Morro. *Sí*, zgasimy płonące od czterystu lat światło. Może to będzie iskra, która obudzi lud Kuby.

— *Sí, comandante!* — entuzjastycznie zawołał kierowca. — *Explota el faro del Morro!*

Wzniosłam oczy do nieba.

— Kiedy ludzie wyjdą na ulice, będziemy gotowi. Nasza misja jest dwojaka — kategorycznie oświadczył Bravo. — Doprowadzić do końca Fidela i zapobiec, by nowym dyktatorem Kuby został Reyes.

To szaleństwo nigdy się nie skończy... Kiedy uznałam, że dzisiejszy dzień już nie może być gorszy, stało się.

— *Comandante.*<sup>1</sup>

Byliśmy w Coconut Grove, na międzystanowej numer jeden i właśnie przejechaliśmy skrzyżowanie na żółtym świetle, kiedy jadący za nami dość nowy ford crown vie z dwoma pasażerami przeskoczył je na czerwonym i szybko się do nas zbliżał.

— *Eloy, es el FBI?* — spytał Bravo.

— *No sé* — odparł kierowca.

A niech to cholera... Jak wyjaśnię FBI i swoim szefom, skąd się tu wzięłam? Gretchen powiedziała, że idę na lunch. Będę musiała pokazać legitymację prasową i wyjaśnić detektywom, że jestem dziennikarzem i robię wywiad. Będę musiała poprosić o pomoc Marka Seybolda, prawnika „News”. Powinnam była z góry wiedzieć, jak wielki popełniam błąd.

Zamiast się zatrzymać, Eloy wdepnął gaz. Stary lincoln skoczył do przodu.

— Zaczekaj! — wrzasnęłam. — Zatrzymaj się!

—*Rapido! Rapido!* Duś go, Eloy! — krzyknął Bravo.

—*Si, comandante!* — Zakręcił kierownicą i zawrócił rajdowo wokół zatłoczonego autobusu. Spojrzałam przerażona przez ramię.

—Nie może pan uciekać przed FBI!

—A jeżeli to nie FBI?

—Jak to?

—Na przykład agenci Castro albo Reyesa.

—To niedorzeczne! — zawylałam, szukając pasa i stwierdzając, że nie ma w tym samochodzie takich luksusów. Pomyślałam, że teraz nie może już być gorzej, ale znów się myliłam. Bravo wyjął spod guayabery automatyczną czterdziestkępiątkę. Eloy wyciągnął strzelbę z obciętą lufą i, nie przejmując się tym, że właśnie wyprzedza powolny szkolny autobus, patrzył za siebie.

Czy mojej matce będzie przykro, kiedy zginę? Prawdopodobnie nie. Żałować będzie pewnie Hal, może także McDonald. Gretchen na pewno nie. Lottie tak.

—Uważaj! Autobus szkolny!

Eloy wyminął autobus, musiał przy tym wjechać dwoma kołami na krawężnik.

—Starczy! Zatrzymaj samochód! Wsiadam!

Zarówno Bravo, jak i kierowca zignorowali moje wrzaski. Gadali z prędkością karabinów maszynowych po hiszpańsku, rozumiałam więc jedynie strzępy. Jedno było jasne — nie zamierzali się zatrzymać.

Eloy puścił obiema rękami kierownicę i wsunął do komory obrzyna nabój. Bravo zdrową ręką zrobił to samo z czterdziestkąpiątką.

—Nie możecie strzelać do FBI! — Moja złość i oburzenie ustąpiły miejsca przerażeniu. Jedyne, na co mogłam mieć jeszcze nadzieję, to że nie wyląduję skuta kajdankami twarzą na chodniku, z wcisniętą w potylicę lufą policyjnego SIG-Sauera P-226.

Gnaliśmy międzystanową numer jeden na południe. Rozglądałam się gorączkowo za radiowozem. Przecinaliśmy skrzyżowania na czerwonych światłach, zajeżdżaliśmy zaskoczonym kierowcom, którzy robili, co mogli, aby zjechać z drogi, gwałtownie hamowali i wciskali wściekle klaksony. W biały dzień. Gdzie byli gliniarze? Wbijałam wściekle spojrzenia w Bravo i Eloya, zgrzytałam zębami i starałam się trzymać. Te same błazny zabiły mojego ojca, teraz przyszła kolej na mnie.



—Nie przejmuj się — odezwał się Bravo. — Ze mną jesteś bezpieczna. Otworzył stojącą pod nogami zniszczoną torbę, wyjął pudełko naboju i rzucił je na przednie siedzenie.

Przed nami był korek, Eloy wjechał więc na środkowy pas zieleni. Ciężki samochód pędził, kosząc krzewy i młode drzewka. Liście zaczęły oblepiać przednią szybę. Modliłam się, by jakaś ostra część systemu podlewania trawnika przebiła nam przednią oponę, niestety moje prośby nie zostały wysłuchane. Crown vie w dalszym ciągu jechał za nami, kontynuując pogoń. Przyspieszył, objechał kolumnę samochodów i zrównał się z nami. Obaj siedzący na przednim siedzeniu mężczyźni mieli ciemne okulary.

Elektrycznie sterowane okno w naszym samochodzie po stronie pasażera zjechało w dół i Eloy uniósł obrzyna.

—Nie! Nie! Nie! — zawylałam, równocześnie zakrywając dłońmi uszy. Powietrzem wstrząsnął ogłuszający huk i kątem oka ujrzałam, jak w zwolnionym tempie rozpada się na kawałki wielka frontowa szyba salonu samochodowego, który właśnie mineliśmy. Zarzuciło samochodem na całą szerokość jezdni. Eloy tracił nad nim kontrolę. Zastanawiałam się, dlaczego ani Bravo, ani Eloyowi nie leci krew z uszu, ale prawdopodobnie po latach zabaw z bronią w Everglades mieli już dawno poniszczone bębenki. Crown vie został o całą długość w tyle, ale w dalszym ciągu się nas trzymał.

O nie... przed nami zamajaczyła nieruchoma ściana samochodów. Eloy skręcił na parking Coral Gables High School.

—O nie, tylko nie szkoła! — wrzasnęłam.

Ledwie się słyszałam, mój głos brzmiał, jakbym mówiła spod wody. Objechaliśmy budynek i znaleźliśmy się na wielkim podwórzu. Właśnie trwała lekcja jazdy — na ustawionych szeregami składanych krzeselkach na swoją kolej czekało przynajmniej czterdziestu nastolatków. Siedem czy osiem samochodów, w każdym po dwoje nastolatków, powoli pokonywało wyznaczoną przez instruktorów, ustawioną z pomarańczowych gumowych słupków trasę. — Uważaj! — zawylałam, ledwie się słysząc. Crown vie zawirował za nami na kawałku trawy, zaraz jednak się cofnął i ruszył z wyjąłym silnikiem. — Uważaj!

Pędziliśmy prosto na ćwiczące dzieciaki. Zapiszczały hamulce i dwa samochody do nauki zderzyły się. Instruktor, kilku stojących nastolatków oraz prawie wszyscy siedzący na krzeselkach uznali, że to ćwiczenia samoobrony i instynktownie rzucili się na ziemię. Leżeli płasko na betonie, nikt nie podnosił głowy, nikt nie biegł szukać kryjówki — tak jak zostali nauczeni.

Wyprysnęliśmy na ulicę. Kiedy się odwróciłam, ujrzałam odbijające się od maski crown vica składane krzeselko. Ścigający nas woleli wycofać się, niż lawirować między rozrzuconymi po całym placu dzieciakami.

Eloy wjechał w jedną z cichych willowych uliczek Gables, kilka razy ostro skręcił i zwolnił do normalnego tempa. Opadłam na podłogę. Cała się trzęsłam, musiałam objąć dłońmi twarz.

— Stań przy najbliższym rogu i wypuść mnie.

— *Que?* — Bravo przyłożył do ucha zwiniętą dłoń.

Czy ktokolwiek z nas będzie jeszcze kiedyś normalnie słyszeć?

Upierali się, żeby wysadzić mnie przy moim samochodzie, który stał przed parkiem nad zatoką. Wolałam pojechać tam autobusem, taksówką, autostopem, iść na piechotę. Z radością bym się poczołgała. Zanim jednak przedyskutowaliśmy problem, byliśmy blisko Pochodni. Rozglądałam się za radiowozami. Musiały już być ogłoszone poszukiwania naszej trójki. Spodziewałam się blokad, helikopterów, samochodów policyjnych, ale niczego nie było. Może mieliśmy szczęście, może był to wynik nieporozumień między Miami a Gables co do stref kompetencji.

Prawie głucha, ledwo mogąc utrzymać się na nogach, wysiadłam z lincolna na rozsłoneczniony Bulwar Biscayne. Miałam ochotę ukłęknać i ucałować z wdzięczności asfalt. Choć zdawało mi się, że odjechaliśmy stąd wieki temu, zegarek wskazywał, że minęło zaledwie dwadzieścia pięć minut.

Zanim zatrzasnął drzwi, Bravo coś powiedział i rozejrzał się w poszukiwaniu policji albo FBI. Nie usłyszałam, co powiedział, ale nie było to istotne. Nawet gdybym odpowiedziała, nie usłyszałby mnie.

Wracając ostrożnie do redakcji, zachowywałam się w stu procentach zgodnie z przepisami. A miałam ochotę nie reagować na pisk pagera... byłoby to najlepsze wyjście. W windzie chyba trochę mi wrócił słuch.

Gretchen już na mnie czekała.

— Jak lunch? — spytała ze słodkim uśmiechem.

Jeszcze trochę, a ją polubię. Teraz przynajmniej wiedziałam, na czym stoi.

— Dzwoniło do ciebie FBI — powiedziała przyglądając mi się uważnie. — Coś nie tak, Britt? Zjadłaś coś nieświeżego?

## Rozdział piętnasty

---

Wiedzieli. Widzieli. Byłam trupem. A niech to cholera! Z gliniarzami i świrami można dyskutować, ale FBI mnie przeraża. Wiadomość pochodziła od Dona Farmera, rzecznika lokalnego biura FBI, który często dzwonił z oficjalnymi oświadczeniami dla prasy. Zastanawiałam się przez chwilę, czy od razu dzwonić do Marka Seybolda, czy lepiej dokładnie się dowiedzieć, czego chce FBI. Adwokaci nienawidzą niespodzianek, zwłaszcza niemiłych, zadzwoniłam więc do Marka. Nie było go u siebie.

Potem zadzwoniłam do Jerry'ego, redakcyjnego kolegi, który w mogącej wywołać klaustrofobię, maleńkiej salce obok pomieszczenia agencyjnego odsłuchuje nastawione na policyjne pasma radiostacje. Kiedy podniósł słuchawkę, w tle rozległa się kakofonia nieustająco przeszukujących pasma skanerów. Kazał mi zaczekać, by skończyć rozmowę z rzecznikiem Straży Wybrzeża na temat poszukiwań księgowego, który zadzwonił z telefonu komórkowego do żony, informując, że znajduje się trzy mile od brzegu, krótkofalówka zdechła, a jacht nabiera wody.

—Co słyhać, Jerry?

—Niewiele. Jest nawet dość spokojnie. Kilku zaginionych na morzu chojraków, bójka w korku ulicznym i jakąś godzinę temu ścigające się na międzystanowej numer jeden samochody. Oddano kilka strzałów i kiedy wyglądało na to, że rozwinie się coś ciekawego, przejechali przez grupę ćwiczących jazdę samochodem uczniów szkoły Gables High i zniknęli.

—Ktoś został ranny?

—Nie. Wygląda na porachunki gangów.

Odłożyłam słuchawkę aż słaba z ulgi. Nikt nie został ranny. Żadnych podziękowań dla Jorgego Bravo. Zadzwoniłam do Dona Farmera.

—Mam coś dla ciebie, Britt.

—Co? — spytałam ostrożnie, nakazując sobie maksymalny spokój i trzymanie gęby na kłódkę.

—Znasz Jorgego Bravo, bossa BWK?

Zacisnęłam oczy i przycisnęłam język do podniebienia. Żołądek skręcił mi się w kulkę.

—Trochę.

—Na pewno widziałaś oświadczenie dla prasy, które złożył w związku z wycieczką wzdłuż wybrzeży Kuby.

—Chodzi o ostrzelanie Vista del Mar?

—Zgadza się. Zamierzamy dokonać rewizji jego domu. Pomyślałem, że może cię to zainteresuje.

—Dlaczego?

—Hm... — zdawało go to zaskakiwać — mówi się, że pracujesz nad tym.

—No tak... — Zaczęła mi drgać powieka. Na szczęście nie zdecydowałam się na przepięczone życie. Nigdy bym nie umiała zrobić dobrze skoku.

—Pomyślałem sobie, że może zechcesz o tym wiedzieć. Prowadzącemu sprawę agentowi podobał się twój artykuł o bandycie, który po napadzie na bank został rozpoznany przez dzieci na podstawie opublikowanego w waszej gazecie zdjęcia, zrobionego przez kamerę wideo w banku.

—Dzięki, Don. Fajnie, że o mnie pomyślałeś. — Nawet dla mnie mój entuzjazm brzmiał słabo i sztucznie.

—Dobra, zapisz adres. — Odczytał mi adres Bravo, który pieczołowicie zapisałam. — Sędzia federalny właśnie podpisał nakaz, mniej więcej za godzinę zjawi się oddział antyterrorystyczny.

—Aresztujecie go?

—Nie. Jeżeli jest w domu, zostanie jedynie zabrany w celu złożenia oświadczenia, jeszcze nie ma nakazu aresztowania. Możliwe, że najpierw cofnie mu się zwolnienie za kaucją. Agenci będą szukać broni, dowodów nielegalnych działań i prowadzenia przemytu. Jeżeli zjawisz się na miejscu z fotografem, zachowuj się, jakby zadzwonił do ciebie z informacją ktoś z sąsiadów.

—Jasne. Dzięki, Don.

—FBI chce, żebyśmy robili zdjęcia, kiedy będą szturmować dom Bravo — przedstawiłam sprawę dyżurnemu w dziale miejskim Bobby'emu Tubbsowi. — Prawdopodobnie po to, aby zniechęcić inne grupy, które Bravo mógłby zainspirować do wystąpienia przeciwko Castro.

A może federalni chcą mnie wyciągnąć z redakcji i odciąć od kontaktu z prawnikiem? Na szczęście Lottie była wolna, więc pojechałyśmy razem.

—Nie daj po sobie poznać, że znamy to miejsce — ostrzegłam ją. — Jeżeli pojawi się Bravo, lotnik kryj się! — Szybko przekazałam jej, co mi się przydarzyło.

—Opanuj się trochę — mruknęła, tylko na chwilę odwracając głowę od jezdni. — Może napij się wody, nim się przegrzejesz. Jeżeli to prawda, że to, co nie zabija, wzmacnia, powinnaś być największym twardzielem w mieście. — Teraz opowiedz mi o randce przy śniadaniu. Wyszłaś z nim na śniadanie czy spotkałaś go przy śniadaniu? — Znow przeszyła mnie wzrokiem.

Opowiedziałam wszystko. Prawie. Znacznie bardziej interesowało ją moje romantyczne interludium niż bliskie spotkanie ze śmiercią albo aresztowaniem. Groźne dla życia przygody to dla Lottie rutyna, w Peru jeździła po dżungli z guerillas ze Świetlanego Szlaku, znajdowała się w środku walk w Salwadorze i umykała przed kulami w zbombardowanym Bejrucie.

—Kłękajcie narody, Britt. Chcesz powiedzieć, że obie mamy w tym samym czasie prywatne życie? Szkoda, że ty i Hal nie możecie jutro jechać z nami *Gettawayem*. — Zauważywszy moja minę, dodała: — Naprawdę polubiłabyś Stosha, gdybyś go poznała.

—Mogłoby być wesoło. Uwielbiam pływać statkiem.

—Lubisz też tańce, hazard i występy.

—Ale nic z tego. Hal pracuje, ja mam jutro wieczorem spotkanie z rodzicami chłopców.

—W takim razie proszę cię tylko o jedną przysługę. Jesteś rannym ptaszkiem, może mogłabyś zawieźć mnie rano do portu. Mam się spotkać ze Stoshem na miejscu.

—Nie jedziecie razem?

—Dziś wieczorem musi do późna pracować, przygotowuje jakąś sprawę. Nie lubi wczesnie wstawać. Zawsze ma kłopoty z jednym z sędziów w związku ze spóźnieniami. Statek odpływa o świcie. On mieszka na południu, ja na północy, port jest w środku. Wyobraź sobie, jak na koniec rejsu, o pierwszej w nocy, statek wpływa do Government Cut, w górze świecą gwiazdy, w przodzie migoczą światła miasta, kończy się romantyczna podróż i trzeba jechać do domu, każdy swoim samochodem. Proszę cię, Britt, należy mi się od ciebie przysługa. Tak bardzo chcę, żeby wszystko wypadło idealnie. Jest taki wspaniały, taki napalony, taki...

—Dobrze, dobrze, dobrze. O której mam po ciebie przyjechać?

—O piątej.

—Rano?

—Oczywiście.

—O Boże... Niech będzie, ale jeden warunek. Hal denerwuje się śledztwem. Powinnyśmy dać mu moralne wsparcie i się z nim spotkać. Polubisz go.

Na poboczu ulicy, przy której stał dom Bravo, oraz sąsiedniej parkował jeden radiowóz i kilka nie oznakowanych wozów FBI, głównie białych dodge'ów aries i chevroletów caprice. Ku mojej wielkiej uldze nie było ani beżowego crown vica, ani starego lincolna. Do domu podchodziło sześciu agentów z oddziału antyterrorystycznego: czterech mężczyzn i dwie kobiety. Mieli na sobie dżinsy albo drelichowe spodnie, sportowe buty, granatowe baseballowe czapki i kurtki z wielkimi żółtymi literami FBI. Dwoje podeszło do tylnych drzwi. Wszyscy mieli na sobie nowego typu kamizelki kuloodporne, zapinane z boków, z poręcznymi kieszeniami na naboje. Kiedy im się przyglądałam, przypomniały mi się słowa Bravo. Jaka to ironia, że agenci federalni ścigają emigrantów dokładnie za to samo, do robienia czego ich dawniej szkolili, wyposażali i zachęcali.

Agent prowadzący nie wyglądał na zaskoczony naszym widokiem, nie miał nic przeciwko temu, kiedy Lottie zaczęła robić zdjęcia. Przeczytał nakaz Neridzie, która, ubrana w prosty domowy szlafrok, stała biernie na maleńkiej werandzie. Spokojna, pełna rezygnacji, wzruszyła ramionami, jakby chcąc dać do zrozumienia, że nie ma pojęcia, gdzie jest *comandante*. Sytuacja nie była dla niej pierwszą. Z domów wyszło kilku sąsiadów i zaczęło się beczynnie przyglądać.

Kiedy agenci ją minęli, podeszłyśmy do Neridy.

—*No está* w domu.

—To dobrze — stwierdziłam. Jej oczy potaknęły.

Weszła z powrotem do domu, by przyjrzeć się agentom, my za nią. Otwierali szafy, podnosili panele podwieszanego sufitu. Natychmiast spojrzałyśmy w kierunku przykrytej płótnem sterty w kącie. Była dokładnie tam, gdzie przedtem. Jeden z agentów podszedł i podniósł płótno. Kiedy je ściągnął, by zobaczyć, co kryje się pod spodem, wstrzymałam oddech. Lottie pstryknęła zdjęcie.

Były tam odkurzacze. Od najprostszego modelu po elegancką luksusową wersję upiększająca dywanów z automatycznym zwijaniem sznura i innymi bajerami. Obudowy, stojaki do pionowego ustawiania, łączniki dysz, rury ssące, zestawy filtrów i toreb na śmieci.

—*Mi esposo es vendedor* odkurzaczy — wyjaśniła Nerida. Przypomniałam sobie, co mówił Reyes. Bravo był prezenterem i sprzedawcą odkurzaczy.

Jeden z agentów uważnie oglądał dziwnie ukształtowany kawałek aluminiowej rurki.

—Zatyka się na końcu tamtej rury i wciąga tym kurz — odpowiedziała Lottie.

—Muszę poprosić panie o opuszczenie mieszkania...

Szukali czterdzieści pięć minut. Bravo nie trzymał arsenału w mieszkaniu. Jeden z agentów wpełzł nawet pod dom. Nie znaleźli broni, wynieśli jedynie trochę papierów w kartonowym pudle. Zostawili Neridzie, która nie miała nic przeciwko przeszukiwaniu, kopię nakazu rewizji i spis tego, co zabrali: kilka starych map Kuby, rachunki i spisy numerów, pod które telefonowano, notatnik z numerami telefonów oraz „fotografię w ramce, formatu dwadzieścia osiem na trzydzieści sześć, przedstawiającą szereg uzbrojonych mężczyzn”. Zdjęcie mojego ojca.

Grono sąsiadów przed domem wyraźnie się powiększało.

— *Cuba sí, Castro no! Viva Bravo!* — krzyčili.

Odjeżdżając, agenci nie byli zbyt uszczęśliwieni. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę wymaganą procedurę do uzyskania nakazu rewizji. Najpierw musieli złożyć dokładny opis miejsca przeszukania oraz wymienić, czego szukają, następnie przedstawić to w biurze prokuratora federalnego i złożyć wnioski o zaprzysiężenie ich oświadczenia. Podpisujący wniosek agent prowadzący zaniósł to oświadczenie do sędziego federalnego, który wydał nakaz rewizji. Agenci obfotografowali teren akcji i okolice, ustalając między innymi takie czynniki, jak obecność dzieci oraz złych psów. Ustalili numery telefonów, typ drzwi i okien, i naskicowali plan. Potem odbyła się przed czarną tablicą odprawa, w czasie której przedstawiono rysunki domu, podwórza oraz okolicznych ulic. Każdy agent dokładnie przeczytał treść nakazu. Ustalono częstotliwości porozumiewania się oraz drogę do najbliższego szpitala — na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Porozumiano się z policją i poproszono ją o przysłanie radiowozu. Odpowiedzialny oficer został wprowadzony w sprawę tuż przed akcją.

Dokonano wiele czynności i włożono w nie wiele wysiłku. FBI prawdopodobnie nie spodoba się zdjęcie ich elitarniej jednostki antyterrorystycznej, która w kamizelkach kuloodpornych i z bronią w ręku odkrywa odkurzacze.

Nieco później zadzwoniłam z redakcji do ciotki Odalys, podejmując decyzję zawiezienia jej do lekarza, jeżeli stan jej zdrowia się nie poprawi. Słuchawkę podniosła Berta i stwierdziła, że nie ma o czym mówić.

— Doktor niepotrzebny. Zaczekaj, ona chce z tobą mówić.

— *Mi hijita.* — Głos ciotki był słaby. — Duchy w kotle lamentują. Powiedziały, że to, czego szukasz, zginęło na zawsze.

— Co to ma znaczyć?

—Tylko ty możesz wiedzieć, *mi hijita*.

—Dziennik ojca? Chłopcy? Miłość? Nadzieja na podwyżkę, normalną rodzinę? A może samochód na parkingu? — Zaczynałam histeryzować.

—Wkrótce się dowiesz, *mi hijita*.

„Wybaw mnie” — poprosiłam w myśli. Jedno było pewne — bez względu na to, co to będzie, na pewno mi się nie spodoba. „Zginąć na zawsze” nie brzmi przyjemnie. Przemęczona i zestresowana wydarzeniami dnia i bez tego miałam depresję. Hal nie dzwonił. Czyżbym została uwiedziona i porzucona? Cholera jasna... Choć to raczej ja uwodziłam, co było przyczyną mojego niewyspania. Jeżeli miałam być u Lottie o piątej rano, musiałam trochę odpocząć.

Skończyłam artykuł i pojechałam do domu, drząc z oczekiwania na wiadomość od Hala, zdecydowana zjeść coś lekkiego i pójść wcześniej spać. Kiedy otworzyłam drzwi, jak młotem uderzył mnie upał. Klimatyzacja znowu wyzionęła ducha. Goldsteinów nie było, przypomniałam sobie, że zamierzali zabrać Seta do kuzyna na Big Pine Key. Na sekretarce nie było wiadomości od Hala.

W lodówce leżał samotny zamrożony sernik. Stałam przed otwartymi drzwiami i przyciskałam do nich rozpalone czoło, kiedy zadzwonił telefon. Szybko złapałam słuchawkę, z nadzieją że usłyszę głos Hala.

—Britt, jesteś w domu!

Wciągnęłam głęboko powietrze. Nie spodziewałam się usłyszeć matki.

—Miałam nadzieję, że cię złapię.

—Naprawdę? — Do oczu napłynęły mi łzy i opadłam słabo na fotel. A więc nie zostałam osierocona. Z wielkim oczekiwaniem przycisnęłam słuchawkę do ucha, nawet nie przeszkadzało mi, że ciastko na moich kolanach powoli się rozpuszcza.

—Pierwsza rzecz, jaką musisz zrobić rano, to iść do Neimana. Dżinsy Glorii Vanderbilt przeceniono o połowę, a wiadomość o tym nie dotrze do prasy przed środą. To idealny krój dla twoich długich nóg i wąskich bioder. Musisz być wcześniej, nim skończy się twój rozmiar. Przy tej cenie oplaca się wziąć od razu dwie albo trzy pary. Można je komponować z ładną koszulą i żakietem.

—Dziękuję. — Powiedziałam to tonem, jakbym rozmawiała z kimś kompletnie obcym.  
—Dzięki za informację.

—Mają też ładne pastelowe bawełniane bluzy. Też przecenione.



—Za gorąco teraz, aby nawet myśleć o bluzach. — Zimna wilgoć ciastka nasączała spódnicę i chłodziła mi uda.

—Kiedy jest chłodniej, sprzedaje się je po pełnej cenie. Chciałam ci tylko dać dobrą radę.

Odrętwiała, jeszcze raz podziękowałam.

—Muszę teraz lecieć, skarbie — zaświergotała na koniec i odłożyła słuchawkę, jakby wszystko między nami było w najlepszym porządku.

Siedziałam długo bez ruchu, z dłonią na odłożonej słuchawce telefonu. Sernik coraz bardziej się roztopiał, ale nie zwracałam uwagi ani na niego, ani na prognozę pogody w telewizji. Pokazywano obrazy radarowe, dokumentujące szalejący daleko na oceanie sztorm.

TLR

# Rozdział szesnasty

---

— Coś mi jesteś winna... — wyskrzeczalam. Do świtu została ponad godzina, na wschodzie nie było nawet iskierki dziennego światła. Lottie promieniała oczekiwaniem wspaniałego przeżycia. Była ubrana w morską zieleń, co znakomicie kontrastowało z jej ognistorudymi włosami. Dawno nie widziałam jej tak szczęśliwej.

Wjechałyśmy wznoszącym się łukowato mostem w ciemność portu. Z prawej niczym latarnia morska świeciła wielka neonowa gitara nad wejściem do Hard Rock Cafe, z lewej stały ogromne statki dla turystów. Znalazłam odpowiedni terminal — pasażerów witała rozpięta stalowa taśma.

— Jest tam! — zawołała Lottie na widok parkującego błyszczącego czarnego jaguara Stosha.

Wysoki i gibki, miał na sobie nieco wygniecioną, luźną sportową marynarkę z wszywką znanego kreatora mody w kieszonce na piersi, do tego jedwabny podkoszulek i lekkie moka-syny. Starał się zachować pewność siebie, kiedy jednak rozglądał się w tłumie w poszukiwaniu Lottie, sprawiał wrażenie napiętego, jakby niewiele spał. Trochę jak przysłowiowe cielę, co dwie matki ssie. Wydawało się, że cały czas coś kombinuje, co w połączeniu z jego walarami zewnętrznymi, dość długimi blond włosami i żywymi jasnoblękitnymi oczami, w których za każdym razem, kiedy rozmawiał z kobietą, malowało się pożądanie, dodawało mu swoistego uroku. Zwróciła jednak natychmiast moją uwagę jego słabo zarysowana szczęka. Pasowała do jego charakteru.

Pomachałyśmy w jego kierunku, podszedł długimi krokami. Jego rozbiegane oczy robiły przegląd towarzyszy podróży. Pocałował Lottie w policzek i, obejmując ją, pomachał do mnie nad jej ramieniem.

— Kawy... kawy... — wymamrotał. — Zaprowadź mnie gdzieś, gdzie jest kawa.

— Zaraz po tym, jak wejdziemy na pokład, podadzą nam ogromne śniadanie — powiedziała Lottie i zapatrzyła się w niego, jakby był jedynym mężczyzną na świecie.

— Miłej podróży — życzyłam im. — Bawcie się dobrze, prognoza pogody zapowiada wspaniały dzień na morzu.

Sztorm szalał ponad dwa tysiące siedemset kilometrów stąd na południowym wschodzie. Mieszkańcy wschodniego krańca Antyli — Barbadosu i Martyniki postanowili, ot na wszelki wypadek, stosować się do instrukcji i zaczęli montować osłony na okna.

Pasażerowie wchodzili na pokład przez umieszczoną na samym dole trapu łukowatą bramę zrobioną z podskakujących czerwonych, niebieskich i zielonych balonów. Pokładowy fotograf pstrykał zdjęcie za zdjęciem na sprzedaż w czasie podróży. Szczęśliwa para została skapana w jaskrawym świetle i flesz uwiecznił ich na zawsze. Ciekawe, czy kiedyś w przyszłości ich wnuki będą traktować fotografię jak cenną pamiątkę. Cholera, ale miałam głupie myśli. To musiał być wynik braku snu. Pojechałam wysokim mostem na zachód, prosto ku Wieży Wolności. Pojawiły się pierwsze promienie światła. Czyżbym robiła się tak romantyczna jak Lottie?

Zamiast jechać do domu, aby godzinę się przespać, zatrzymałam się przy plaży i pobiegłam na południe w kierunku Government Cut, kanału łączącego port z ciemnoniebieskim strumieniem Golfsztromu i otwartym oceanem. Horyzont obramowywały niskie, białe, puszyste letnie chmury, gładka powierzchnia oceanu migotała, jakby rozrzucono na niej worki diamentów.

Kiedy dobiegłam do South Pointę, stanęłam zdyszana i spocona. Przyglądałam się wypływającemu na wschód, w kierunku Afryki, wielkiemu, pełnemu turystów statkowi. Oczywiście kiedy dojedzie do Freeport na Wyspach Bahama, zawróci, by późnym wieczorem znaleźć się z powrotem w Miami. Zmrużyłam oczy, by lepiej dojrzeć stłoczonych przy relingu na górnym pokładzie ludzi wielkości mrówek. Mając lornetkę, na pewno dostrzegłabym Lottie i Stosha. Wyróżniali się w każdym tłumie.

Na wszelki wypadek pomachałam, wróciłam do samochodu i pojechałam do domu. Pani Goldstein obiecała wyrzucić mój stary klimatyzator i zamontować nowiutki, tak by już działał, kiedy wrócę z pracy.

Wypiłam szklanekę soku pomarańczowego, wzięłam prysznic, ubrałam się i przed wyjściem przez chwilę popatrzyłam na zdjęcie ojca z towarzyszami broni. Zrobiona przez Lottie kopia była oprawiona w prostą ramkę i wisiała w moim salonie. Stwierdziłam, że jeżeli pisanie mi jest przeczytanie jego dziennika, muszę odnaleźć go sama. Bravo twierdził, że znajduje się w posiadaniu jakiegoś niedawno przybyłego z Kuby „człowieka z tratw”, mógł on jednak tak samo dobrze nie istnieć. Reyes twierdził, że tkwi wśród jego zakurzonych relikwów przeszłości. Dokładnie tak samo jak w przypadku wszystkich innych konkurencyjnych emigracyjnych działaczy wolnościowych, obaj zarzucali sobie kłamstwo. Kto w rzeczywistości kłamał i dlaczego? Jeżeli Reyes nie miał dziennika, dlaczego o nim wspomniał?

Po wczorajszej wariackiej jeździe przez miasto było niezbyt prawdopodobne, bym w najbliższej przyszłości miała szansę na tête-à-tête z Jorgem Bravo. Jeżeli on w ogóle miał przed sobą jakąś przyszłość.

Na szczęście w sprawach policyjnych niewiele się działo. Jediną wartą zachodu historią były kłopoty stukilowej kobiety. Po nocy spędzonej na picu alkoholu i kłótniach ze swym pięćdziesięciopięciokilowym narzeczonym, straciła przytomność i upadła na niego. Kiedy doszła do siebie, stwierdziła, że zgmiotła go swoim ciężarem. Policji powiedziała, że to był wypadek. Kiedy aresztowano ją za zabójstwo, dostała ataku rozpaczony i znów zemdląła, przyduszając do ściany policjanta, który chciał założyć jej kajdanki. Zaczął się drzeć „Zabierzcie ją! Zabierzcie ją!” i trzeba było aż czterech kolegów, by go uwolnić.

Wróciłam do redakcji, szybko napisałam notatkę i zadzwoniłam do Reyesa. Gilda, jego sekretarka, poinformowała mnie, że wyszedł z biura i nie będzie go cały dzień. Kiedy zastanawiałam się, czy to prawda, dodała, że udał się do hotelu Intercontinental, gdzie miał przemawiać na lunchu dla kubańskich biznesmenów, a potem wybierał się do znajdującego się niedaleko lotniska hotelu Sofitel na spotkanie komisji handlu, w którym mieli uczestniczyć współpracujący z komisją oficjele spoza miasta. Zajęty był aż do ósmej wieczorem, kiedy to miał udzielić wywiadu Telemundo, hiszpańskojęzycznej stacji telewizyjnej.

— Jeżeli zależy pani na tym, by go złapać — odkryła sekret — najlepszą okazją będzie lunch, tuż przed przemówieniem albo zaraz po nim. Znajdzie pani dyrektora w dużej sali balowej.

— Nie będzie się na mnie złościł?

— Na panią, pani Monterò?

Intercontinental stoi nad zatoką jak wartownik, przy Chopin Plaża, gdzie kiedyś znajdowała się muszla koncertowa. Szukając miejsca do parkowania, kręciłam się między wysokimi masztami, z których w upalnym, dusznym powietrzu zwisały flagi najrozmaitszych krajów. Nienawidzę, kiedy mój samochód odprowadza służba hotelowa, więc chciałam sama zaparkować przy parkometrze, choć tutejsze zachowują się tak dziwnie, że większość kierowców, wrzucających ćwierć dolara za marne piętnaście minut parkowania, po powrocie znajduje za wycieraczką mandat na osiemnaście dolarów.

Dodajmy do tego korki samochodowe, gwar uliczny i upał, a naprawdę można zacząć się dziwić, dlaczego tak niewielu ludzi kupuje szybkostrzelne karabiny i barykaduje się na wyższych piętrach wieżowców.

Wrzuciłam do parkometru kilka monet i weszłam do wielkiego, przestronnego holu, pełnego zieleni oraz podniecających dzieł artystów Florydy. Patrząc na obrazy, pomyślałam o Vanessie Clower, choć żaden z nich nie przypominał jej prac. Jedna ściana wysokiej, wielkiej sali balowej była całkowicie przeszklona. Widać było przez nią panoramę zatoki i portu.

Zanim jeszcze ujrzałam Juana Carlosa Reyesa, usłyszałam jego miódopłynny głos. Stał na podium, mając przed sobą szereg mikrofonów, i przemawiał do siedzącego na metalowych krzeselkach tłumu. W tym czasie kelnerzy rozstawiali w sąsiedniej sali koszyki z chlebem, serwetki i szklanki na wodę.

Stałam przy wejściu i zaczęłam słuchać. Reyes wzrokiem omiatał salę, dodając słowom wagi. Zanim zdążyłam złapać wątek, a mówił coś na temat lekcji, jakie wyniósł w młodości z kubańskiej szkoły wojskowej, zatrzymał się na tej części sali, gdzie stałam, krótkim, szybkim ruchem cofnął głowę i utkwił we mnie swoje ciemne oczy. Białe zęby błysnęły w uśmiechu tak przyjacielskim, że kilku słuchaczy spojrzało na mnie z ciekawością.

— *Mis amigos*, muszę przerwać przygotowaną przemowę, mamy bowiem wśród nas nieoczekiwanego i szacownego gościa.

Popatrzyłam za siebie. Nikt za mną nie stał. Zaczerwieniłam się i musiałam powstrzymać nagłą chęć wybiegnięcia z sali. Wyglądałam na pewno jak przestraszony królik, nagle złapany w krąg światła samochodowych reflektorów. Popatrzyliśmy sobie w oczy. Mówił o mnie. Do mnie.

— Nasz brat Antonio Monterò, który walczył z tyranią Fidela Castro oraz komunizmu i zginął za Kubę, do dziś jest duchem z nami. Rozstrzelany przez pluton egzekucyjny Fidela, żyje dalej w innym ciele. — Kiedy Reyes wyciągał w moim kierunku rękę, jego głęboki, zapalczywy głos spotężniał i buchnął ogniem. — *Esta es la hija de Tony Monterò*. Z winy Castro dorastała bez ojca. Byłby jednak z niej dumny, tak samo jak powinniśmy być z niej dumni i my. Teraz jest naszą córką! — zawołał z wyciągniętymi ramionami. — *Ella es nuestra hija ahora*.

Kiedy zaczęto klaskać i wznosić okrzyki, wstrzymałam oddech. Robiło się coraz głośniejsze, ludzie wstawali, jedni salutowali, inni kładli dłonie na sercu.

Przekraczało to wszelkie oczekiwania. Poczułam w oczach łzy. Nikt nie wznosi okrzyków na cześć policyjnych reporterów. Znacznie bardziej jestem przyzwyczajona do uciekania przed mającymi zamiar mnie zabić dobrymi obywatelami Miami, rzucającymi we mnie kamieniami i butelkami, oraz do kłótni z policjantami, którzy chcą mnie aresztować od razu na miejscu zbrodni.

Aplauz zdawał się nie kończyć. Wpatrywałam się w podłogę. Potem, nieświadomie naśladując postawę ojca ze zdjęcia, podniosłam głowę i popatrzyłam Reyesowi prosto w oczy. Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, ale głos nawet mu nie drgnął.

— Jego córka — wyszeptał elektronicznie wzmacniany głos — jest teraz naszą córką...

Żałowałam, że nie ma tu matki i nie słyszy tego. Nagle poczułam się głupio, skromnie ubrana w mokasyny, prostą spódnicę i stary żakiet w marynarskim stylu. Poszłam do toalety

wyczyścić nos i obetrzeć oczy. Kiedy wróciłam, wszyscy zdążyli zasiąść do lunchu. Podeszłam do stolika Reyesa, a za mną sunęła fala oklasków. Siedział, otoczony przez lokalnych polityków i wpływowych biznesmenów. Podziękowałam mu w imieniu ojca, na co ciepło się uśmiechnął i poprosił, bym się przysiadła.

—Muszę wracać do pracy — odparłam, odmawiając. — Miałam tylko nadzieję dostać od pana coś godnego zacytowania w związku z atakiem BWK na kubańskie wybrzeże.

—Cóż za nieszczęśliwy incydent — powiedział ponuro. — Koniec Castro jest bliski i w naszej emigracyjnej społeczności narastają emocje. Nasze działania muszą być jednak przemyślane i zgodne z prawem kraju, który nas gości.

Wszyscy wokół zdawali się go popierać.

—I jeszcze jedno... — dodałam cicho, kiedy wszyscy usiedli. — Jestem ciekawa, czy pański asystent ustalił miejsce, gdzie może się znajdować dziennik ojca. Bravo twierdzi, że został niedawno przywieziony do Miami przez człowieka z tratw.

Reyes uniósł brew i ze smutkiem pokręcił głową.

—Majaczenie szaleńca. Widziałaś efekty jego działalności. Jego motywy są całkiem pozbawione logiki. Na szczęście mam dobre wieści. Wilfredo zostawił mi dziś rano wiadomość. Przejrzał spisy magazynowe i uważa, że poszukiwane przez nas akta oraz pudła z dokumentami są w pewnym magazynie. Korzystaliśmy z niego w czasie przeprowadzki do większego biura. — Popatrzył na zegarek. — Zamierza udać się tam osobiście dziś po południu.

Załomotało mi serce

—Dziękuję! — rzuciłam gwałtownie. — To naprawdę bardzo wiele dla mnie znaczy.

Pocałował mnie w dłoń, a jego oczy się we mnie wwierały.

Przez całą drogę do redakcji byłam jak na haju. Czekala na mnie wiadomość od Hala, postanowiłam jednak zadzwonić do niego wieczorem, po zebraniu rodziców zaginionych chłopców. Wtedy będę miała nieco więcej czasu na rozmowę. Nagle głodna, przyniosłam sobie z redakcyjnej kafejki kanapkę z tuńczykiem i zjadłam ją przy biurku, pisząc dalszy ciąg historii wyprawy Bravo na kubańskie wody.

Odpisałam na kilka listów, jeszcze raz przeczytałam artykuł o chłopcach i swoje notatki, potem pojechałam do domu Randolphów. Ulice aż migotały od unoszącego się z asfaltu parnego powietrza. Zazdrościłam Lottie i Stoshowi, krążącym sobie po spokojnym morzu i oglądającym błękitne niebo i pierzaste chmurki.

Randolphowie mieszkali w Miami Shores, w skromnym domu z płaskim dachem, dobrze utrzymanym trawnikiem, zielonymi okiennicami i wiatą na samochody, zarośniętą pnącym się winem. Z jednej strony domu znajdowało się wielkie, mające kształt litery L pomieszczenie, umeblowane elegancko białymi wiklinowymi meblami, zbyt jednak gorące jak na tę porę roku.

Spotkanie odbyło się w salonie, przy stole w części jadalnej. Cassie przygotowała dużo mrożonej herbaty, obok postawiła wielki dzban kawy, podejrzenie przypominający ten, który stał w poczekalni kierowanego przez jej męża SMAR-EXPRESSu.

—Jest pani głodna? — spytała na powitanie. — Mam ciasto, pączki, Andrea Vitale przyniesie ciasteczka własnej roboty. — Mogłabym się założyć, że wiem jakie.

Pies Charlesa, Duke, który gdzieś w rodzinie musiał mieć golden retrievera albo setera irlandzkiego, przy każdym dzwonku do drzwi czekał i stukając pazurami o terakotę tarasu, podchodził do drzwi. Obwąchiwał każdego nowego przybysza i szedł na swe posłanie przy kuchni, patrząc na nas z nieszczęśliwą miną, świadczącą, że bez względu na to, ile osób się zebrało, najważniejszej jeszcze nie ma. Ciekawe, jak długo psy pamiętają. Bitsy na pewno w dalszym ciągu rozpaczała za Francie.

Policja Metro-Dade przysłała swojego przedstawiciela — eleganckiego, młodego detektywa o nazwisku Simmons. Vanessa Clower włożyła obcisły, biały bawełniany kombinezon, a na szyję kilka sznurów różnokolorowych paciorków. Jej były mąż, Edwin, przyjechał pięć minut po niej i usiadł obok na pokrytej kwiecistą bawełną kanapie. Miał na sobie garnitur, krawat i przybrał pełną oczekiwania minę. Jedną z rodzin spoza miasta, rodziców Watsona Kelly'ego z Gary w Indianie, reprezentował kuzyn męża, pracownik poczty w Holiday, na przedmieściach Tamy. Przyjechał na spotkanie przez cały stan.

—Chwytają się każdej isierki nadziei — powiedział, mając na myśli rodziców chłopca. — Prosimy, by przekazać, że jeśli mogliby choć trochę w tej sprawie pomóc, mam ich zawiadomić, a oni natychmiast przyjadą.

Syn dzwonił do nich ostatni raz z budynku w centrum, gdzie kiedyś znajdował się teatr, przerobiony obecnie na pasaż handlowy, głównie z artykułami elektronicznymi, zdrową żywnością i pamiątkami oraz barami szybkiej obsługi.

Emily i Michael Kearnsowie siedzieli osobno, rzadko wymieniali się spojrzeniami i mało odzywali do siebie. Robili to jedynie po to, aby zamienić słowo z kimś z pozostałych uczestników spotkania. On sprawiał wrażenie zdenerwowanego i napiętego, ona była w dość nie-naturalny sposób ożywiona i wesoła. Podejrzywałam, że nie miał wcale ochoty przyjeżdżać i zrobił to jedynie na jej prośbę.

Konsul szwedzki przysłał asystenta, by reprezentował zarówno jego, jak i rodzinę zaginionego ucznia, Larsa Sjowalla.

Andrea Vitale przyjechała ostatnia, piętnaście minut po wyznaczonym czasie spotkania. Może miała kłopoty z wyjazdem z Bramblewood? Zamierzała prosto z zebrania jechać do pracy. Choć wyglądała bardzo sztywno w stroju pielęgniarki, miałam wrażenie, że utyla od naszego spotkania. Przyniosła wielką tacę ciasteczek z rodzynkami.

Po wzajemnych prezentacjach Cassie Randolph nalala mrożonej herbaty.

Spodziewałam się, że na początku atmosfera będzie drętwa, ponura albo przesycona ukrytą złością, na szczęście jednak wszyscy natychmiast poczuli jakąś bliskość. Wyszunęli pierwsze pomysły, jakie działania należy podjąć, i ogarnął ich optymistyczny nastrój. Możliwość podzielenia się brzemieniem z innymi zawsze pomaga. Po tak długim oczekiwaniu musiało być dla nich podniecające, że coś zaczęło się dziać. Ich wiarę w szczęśliwe zakończenie poszukiwań wzmacniało zainteresowanie prasy i policji.

Były chwile, kiedy jedni mówili przez drugich, porównywali własne notatki, daty, zdjęcia. Zapanowało ogólne podniecenie. Emily Kearns, była sekretarka, która zajmowała się teraz papierkową stroną rodzinnego interesu, notowała przebieg spotkania. Protokół miał zostać rozdany wszystkim — w pierwszym rzędzie tym, którzy nie mogli być obecni. Edwin Clower zaoferował do nieodpłatnego użytku swój faks, kserokopiarkę oraz telefon. Vanessa obiecała zaprojektować plakat ze zdjęciami wszystkich chłopców i zrobić zestawienie ofert nagród.

— Wiadomość o jednym może doprowadzić do odnalezienia wszystkich — stwierdziła.

Detektyw Simmons, gładko ogolony, ostrzyżony najeża i mimo dwunastoletniej praktyki w zawodzie bardzo chłopczy z wyglądu, oświadczył, że wydział policji traktuje śledztwo naprawdę poważnie i tworzy Oddział do spraw Zaginionych Chłopców, który zajmie się także ostatnio odkrytymi przypadkami, choć nie do końca jest pewne, czy wiążą się one z dawniejszymi sprawami. W skład oddziału ma wejść policjant z każdego komisariatu, w którym zgłoszono zaginięcie. Wywołało to burzę oklasków. Spotkanie nabierało charakteru towarzyskiego przyjęcia. Cassie podała pączki, ciasto czekoladowe i ciasteczka Andrei Vitale. Nawet Michael Kearns się rozchmurzył.

Siedząc z notesem na kolanach i długopisem w dłoni, zaczęłam rozglądać się po twarzach obecnych i jak grom z jasnego nieba dotarła do mnie prawda. Poczułam mdłości i najchętniej bym zwymiotowała. Mrożona herbata w żołądku przemieniła się w żrący kwas. Jedyną osobą, na którą byłam w stanie patrzeć, był Simmons, siedzący spokojnie przy stole. Widziałam w jego oczach, że myśli o tym samym co i ja. Nieraz widziałam u policjantów identyczny wyraz.

Chciało mi się krzyczeć. Oni wszyscy nie żyją! Żaden nigdy nie wróci. Boże... oni wszyscy nie żyją...



Zajęta kubańskimi sprawami, matką, ojcem, prywatnym życiem, przestałam logicznie myśleć. Najprawdopodobniej każdy z nich zginął w tym samym dniu, w którym zniknął. Za wszystko odpowiedzialna jest jedna i ta sama osoba. Seryjni mordercy to zwykle samotnicy, a ten w dalszym ciągu krąży po stanie...

Przypadki nie istnieją. Powiedział mi to kiedyś najlepszy gliniarz, jakiego znałam. Ni komu nie udałoby się przetrzymywać tylu chłopaków naraz. Zawsze, kiedy znikła duża liczba osób charakterystycznych dla danego typu, okazywało się potem, że nie żyją. Nie chciałam dopuścić do siebie prawdy, którą od początku ujawniały mi podświadomość i intuicja, już w momencie kiedy próbowałam namówić Freda Douglasa do zainteresowania się sprawą.

Paplanina, śmiechy i optymizm w pokoju otaczały mnie tak gęstą falą, aż zaczęłam się bać, że utonę. Ilu z obecnych tak samo jak ja zamykało oczy na prawdę?

Chyba lepiej było powiedzieć im wprost: wasi synowie nie wrócą. Pogódźcie się z tym. Rozpacz jest lepsza niż niewiedza, lepsza od ciągłego wstrzymywania oddechu przy każdym dzwonku do drzwi, od nieustającego lustrowania twarzy w tłumie. Nadzieja szybko się starzeje. Najgorsza prawda jest lepsza od podsycania emocji i prób zatrzymywania życia w martwym punkcie. Lepiej jakiś czas pocierpieć, by potem móc zamknąć księgę i kroczyć dalej przed siebie.

Głęboko zaczerpnęłam tchu, żeby uspokoić żołądek. Światło raziło mnie i w głowie zaczęło mi pulsować.

—Co się stało, Britt? — spytała z troską Angela Vitale. — Jesteś taka blada.

Pomyślałam, że jej syn został zabity jako jeden z ostatnich. Zaginął pięć miesięcy temu. Wszystkie oczy zwróciły się ku mnie.

—Nie spróbujesz ciasta? — spytała Cassie.

Jej syn przyszedł na świat po czterech poronieniach. Chłopiec, który nigdy nie wyszedł z domu, nie dając matce buziaka. Boże, oni wszyscy nie żyją...

—Muszę iść — powiedziałam i wstałam tak gwałtownie, że mój notes poleciał na podłogę. — Mam dziś wcześniej zamknięcie numeru.

Simmons odprowadził mnie do samochodu, prawdopodobnie po to, by upewnić się, że nie zapomnę wspomnieć o głębokiej trosce, jaką wydział otoczy tych rodziców i ich dzieci.

—Komu ten oddział specjalny będzie składał raporty? — spytałam.

—Murphy'emu.

—Szefowi Wydziału Zabójstw. Skinął głową.

—Ale to nie znaczy, że... — powiedział niedbale.

Kiwnęłam mu na pożegnanie głową, wsiadłam do samochodu i popatrzyłam na jego chłopięcą twarz. Oboje wiedzieliśmy.

Jachałam z powrotem ze ściśniętym gardłem. Ilu? Odkąd to trwa?

Jak tylko weszłam do redakcji, zadzwoniłam do biblioteki do Onnie, żeby wyszukała mi wszystko na temat pedofilów.

—Boże drogi — westchnęła. — Co się stało?

—Tylko coś sprawdzam. Chcę zrozumieć, co się tu dzieje.

—Masz dziwny głos, Britt.

—Nie czuję się najlepiej.

Hal zostawił następną wiadomość. Nie miałam nastroju do flirtów i miłych rozmówek. Jak rozmawiać o czymś takim ze zwykłym człowiekiem? Zrozumieć to może jedynie ktoś z branży. Zateśniłam za Kendalllem McDonaldem i jego ramionami. Mógłby mnie mocno trzymać, moglibyśmy wymienić się pomysłami. Mogłabym wykorzystać jego inteligencję i równocześnie znaleźć przy nim ciepło i spokój. Zateśniłam za Danem Floodem, spryciarzem, informatorem i przyjacielem, ale niestety nie żył.

Mogłabym porozmawiać z Lottie, była jednak na oceanie, zakochana do nieprzytomności. Spędzała miłe godziny z Polskim Księciem, wtulona w leżak, stojący na oświetlonym gwiazdami pokładzie. Poczułam się taka samotna...

Napisałam o zebraniu. Najciekawszą wiadomością było oczywiście utworzenie Oddziału do spraw Zaginionych Chłopców — sprytne politycznie posunięcie. Zanim rodzice zdążyli się zorganizować i publicznie oskarżyć policję o brak zainteresowania i niestaranność, wybił to im argument z rąk. Choć policja dopiero teraz się obudziła, nie miało już sensu pytać, co robiła dotychczas. Miałam nadzieję, że Oddział nie pozostanie tworem tylko na papierze. Należało odnaleźć ciała. Potem rodzice chłopców będą mogli dołączyć do organizacji Rodziców Zamordowanych Dzieci, zacząć się leczyć i skoncentrować na tworzeniu lobby ofiar przestępstw, walce o zaostrzenie prawa i odpowiednie karanie sprawców. Wyznaczenie do sprawy Simmonsa było dobrym znakiem — to sumienny, skrupulatny i drobiazgowy glina. Wydział Zabójstw musiał przeprowadzić, tę akcję jak należy. Tym razem nie mogli pozwolić sobie na fuszerkę.

Posłałam bezbarwną relację ze spotkania rodziców do produkcji i zagłębiłam się w przyniesione przez Onnie materiały. Może dlatego, że sama jest matką dwóch chłopców, starannie ułożyła wydruki i wycinki na moim biurku, sprawiając wrażenie, że spieszy jej się iść do łazienki umyć ręce.

Im dłużej czytałam, tym bardziej bolała mnie głowa. Pięć lat temu w krótkim okresie znaleziono w kanałach Miami wielu czarnych chłopców, głównie spędzających czas na ulicy, gdzie przebywały dzieciaki z biednych domów. Pierwszy z nich został poszarpany przez aligatora — brakowało mu nóg i głowy. Chociaż najbliższy kanał był oddalony wiele kilometrów od domu ośmiolatka, policja i anatomopatolodzy uznali, że został zaatakowany przez drapieżnika, kiedy bawił się na brzegu kanału. Drugi był nagi, ale tak pokawałkowany, że nie dało się ustalić przyczyny śmierci. Detektywi snuli teorię, że mógł się utopić w czasie nurkowania. Dwóch następnych znaleziono dość wcześnie. Ciała nie były jeszcze w stanie rozkładu — jedno znalazł rybak, drugie łowca żmij, w odstępie dziesięciu dni. Chłopcy zostali wykorzystani seksualnie i pobici na śmierć. Nigdy nie odnaleziono zabójcy. Rozpłynął się w powietrzu mimo hałasu, jaki podniosła opinia publiczna, i szeroko zakrojonej akcji poszukiwawczej. Zmarł, przeprowadził się, zaczął się leczyć albo został aresztowany za coś innego. Nie pojawiły się kolejne przypadki.

Za zniknięcia, którymi się zajmowałam, odpowiadać musiał ktoś inny. Zmienił się wiek ofiar i ich cechy. Seryjni mordercy zwykle wybierają ofiary własnej rasy, „moi” chłopcy zaś zostali ukryci, a nie po prostu wrzuceni do kanału, kiedy morderca z nimi skończył. Charles Randolph i pozostali, wszyscy jak na swój wiek. wysocy, zdrowi i energiczni, nie mogli wszyscy zostać porwani na ulicy. Musieli pójść z mordercą z własnej woli.

Z ostatnich badań wynikały przerażające liczby. Wiedziałam, że Stany Zjednoczone prowadzą w światowym rankingu seryjnych zabójców, jednak jeszcze dwadzieścia lat temu uważano, że po kraju grasuje ich naraz nie więcej niż dwudziestu. Socjologowie szacowali, że obecnie w Ameryce jest około pięciuset zwyrodnialców, polujących na ludzi jak na zwierzęta. Albo dokładniejsze stały się metody ich wykrywania, albo nasze społeczeństwo kreuje coraz więcej potworów.

Wyrwał mnie z zadumy dzwonek telefonu. Sala redakcyjna już opustoszała, tylko w jednym z biur naczelnych pracownik firmy sprzątajacej czyścił dywan. Minęła pierwsza w nocy. Podniosłam słuchawkę, spodziewając się policjanta albo strażaka, który chciał przekazać jakąś ciekawą informację.

— Co ty tu jeszcze robisz?

— Lottie? Gdzie jesteś?

— W porcie. Możesz po mnie przyjechać?

— Jasne. — Z redakcji jest pięć minut drogi. — Gdzie Stosh?

— Przyjedź po mnie, wszystko ci opowiem. Inni już sobie poszli, jest ciemno jak w piekle, a mam kupę forsy.

— Zaraz będę.

Co to miało znaczyć? Zostawiłam biurko nie sprzątnięte, wzięłam kluczyki i wyszłam. Nie musiałam czekać na windę — ona czekała na mnie. Lubię budynek redakcji, kiedy jest pusty, i uwielbiam lekki zawrót głowy po pierwszym haŹucie gorącego, wilgotnego powietrza na dworze, kiedy wychodzi się z przeklimatyzowanego, nienaturalnie chłodnego wieżowca. Wsiadłam do samochodu lekko oszołomiona i ruszyłam przed siebie z otwartymi oknami, aż moje kości się rozgrzały i zaczęłam się pocić.

Port był całkiem opustoszały. Lottie stała sama — wysoka sylwetka w ciemności pod szafirowym niebem. Ani śladu czarnego jaguara.

—Dzięki, Britt. — Usiadła obok mnie i spojrzała za siebie. — Dzięki Bogu, że ta kobieta sobie poszła.

—Jaka kobieta? Gdzie Stosh? Co tu się dzieje? — zapytałam i zawróciłam. — Wraca z Freeport wpław?

—Nie popłynął — powiedziała spokojnie. Nie sprawiała wrażenia zrozpaczonej.

Jechałyśmy przez most Dodge Island, łączący port z centrum miasta.

—Jak to nie popłynął? Widziałam was oboje na pokładzie.

—Tak, ale choć od uczestników tej wycieczki nie wymagają paszportu, to jednak trzeba pokazać dwa dokumenty. Prawo jazdy, metrykę urodzenia, kartę do głosowania. Kiedy nas o nie poproszono, Stosh wyrzucił puste kieszenie. Ojej, stwierdził, portfel został w samochodzie i musi po niego wrócić. Zszedł na ląd i nie wrócił, a *Gettaway* odpłynął bez niego. Najpierw pomyślałam, że musi być gdzieś na pokładzie, na przykład wyklóca się z płatnikiem.

—Nie do wiary! Co się mogło...

—Kiedy odpływa się kawałek, z górnego pokładu widać parking. Jego jaguar zniknął. Właśnie wyjeżdżał, jakby goniła go mająca zamiar dokonania samosądu banda.

—To obrzydliwe! Jak mógł... pokłóciliście się?

—Nie. — Zastanowiła się chwilę. — Właściwie to nie. Kiedy kapitan nas witał, dla żartu spytałam, czy daje na morzu śluby. Tylko się roześmiał.

—Ale uciekł już po tym? Kiwnęła głową.

— Niedługo po tym. Dziwię się, że nie wyprzedził cię jak kierowca formuły pierwszej.

—Uważasz, że mógł się przestraszyć tym, co powiedziałaś?

—Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Jest mi to zupełnie obojętne.

—To musiało być straszne. Co zrobiłaś?

—Pół biedy, Britt. W końcu to nie podróż przez Atlantyck. Najadłam się, aż o mało nie pękłam. Pograłam z grupą studentów w bilard i zwiedziłam Freeport z miłą rodziną z Austin. Kupiłam perfumy i butelkę bezcłowego rumu. W drodze powrotnej zagrałam w kasynie w ruletkę i wygrałam dwadzieścia dolarów. Potem zaczęłam obserwować ludzi przy automatach. Nigdy nie gram, ale lubię obserwować. Baba z Chicago grała przy jednym od samego rana. Nawet nie zeszła na brzeg. Osiem godzin napychała maszynę i nic.

—To jak z parkometrami przy Chopin Plaża.

—Dokładnie. W końcu zrobiła przerwę i poszła do toalety. Nie myśląc, wrzuciłam pięćdziesiąt centów i zaczęła się sypać forsa! Światła migwały i syreny wyły jak przy pościgu radiowozem.

—Wygrałaś!

—Pięć... pa... to... li... — powiedziała powoli, podkreślając każdą sylabę.

—Pięć tysięcy dolarów? Wspaniale! Super, Lottie! Dałyśmy sobie po piątce.

—Baba z Chicago wróciła, plując ogniem. Morda jak rynsztok, mogłaby nabić na rogi samego diabła. Wyjąc jak zarzynana świnia, zaczęła się wydierać, że zabrałam jej automat. Leciała za mną jeszcze, kiedy cumowaliśmy, wrzeszcząc: „Moje pieniądze! To moje pieniądze!” Szkoda, że jej nie słyszałaś.

—Dałaś jej coś?

—Skądże. Wobec takiego zachowania? Zawsze kończę grać, kiedy jestem do przodu. Koniec z hazardem i Stoshem Górskim.

—Dobry pomysł.

—Już dawno powinnam była to zrobić, ale wtedy bym nie wygrała. Gdyby został na pokładzie, też bym nie wygrała. Nawet bym nie zagrała. Powinnam mu podziękować, ale tego nie zrobię. Tak więc romans nie skończył się najgorzej. Ten chłystek nigdy nie był uczciwy, zawsze kręcił, tak naprawdę od początku zdawałam sobie z tego sprawę. — Oparła się i westchnęła. — Zielone w dżinsach powinny załagodzić ból rozstania...

—Co z nimi zrobisz, oczywiście po tym, jak postawisz mi śniadanie?

—Zastanawiałam się, czy nie pojechać na spływ pontonem po górskim strumieniu, kupić obraz tego Haitancyka, który wystawia przy rzece, może kilka nowych aparatów...

Powiedziałam jej, co sędzę o zaginionych chłopcach.

—Jezu, Britt, przypuszczałam, że wcześniej na to wpadniesz. Przecież w całym stanie nie ma ukrytego chłopięcego obozu. Malcy mogli pójść na sprzedaż dla jastrzębi, być prze-

rzucani przez południową granicę, ale nie ma możliwości przez tyle czasu trzymać w ukryciu starszych.

Jechałyśmy Bulwarem, pustym o tej porze, oczywiście z wyjątkiem stojących na ciemnych rogach prostytutek, wypatrujących pustym wzrokiem zbliżających się samochodów.

— Jak to jest, że umiesz tak dobrze oceniać ludzi zawodowo, a nie umiesz tego robić w prywatnym życiu?

— Czy nie jest tak z każdym z nas?

Miała rację. Zastanawiałam się, jak było w przypadku Hala i Kendalla McDonalda.

— Mężczyźni ofiarowują miłość, ponieważ chcą seksu — stwierdziła Lottie. — Kobiety godzą się na seks, ponieważ chcą miłości. Na tym polega różnica między kobietami a mężczyznami. Zauważ, że kiedy rozmawiamy o naszym życiu uczuciowym, rozmawiamy o mężczyźnie. Jednym. To, czego najbardziej chcemy, to dobry mężczyzna. Mężczyźni rozmawiają o kobietach. W liczbie mnogiej. Chcą mieć ich tyle, ile tylko zdołają.

— Naprawdę go kochasz?

— Chyba bardzo spodobał mi się pomysł, że mogłabym się zakochać. Westchnęłam.

— Cały dzień zazdrościłam wam, że jesteście na morzu.

— Nigdy nie traktuj niczego w życiu za pewnik. — Położyła głowę na oparciu i zamknęła oczy. — W tym życiu nic nie jest takie, na jakie wygląda...

# Rozdział siedemnasty

---

Z samego rana zadzwoniłam do doktor Rose Schlatter. Jest to pani tuż po pięćdziesiątce, ma dość wydatny biust, lubuje się w wielkich długich wisiorach w uszach, bluzkach z głębokim dekoltem i niemodnym makijażu. Na rzęsy nakłada grubą warstwę niebieskiego tuszu, usta smaruje jaskrawą i łatwo się rozmazującą szminką. Przypomina starzejącą się barmankę albo kelnerkę, jest jednak psychiatrą i niegdyś prowadziła w szpitalu stanowym wychwalany program terapeutyczny dla skazanych za przestępstwa seksualne więźniów.

Program stracił dofinansowanie i został zawieszony wkrótce po niefortunnym incydencie z zakładnikami, uciezkami i zabójstwem. Obecnie doktor Schlatter jest rzeczoznawcą w sprawach kryminalnych, prowadzi praktykę prywatną i niestrudzenie walczy o reanimację zlikwidowanego programu.

Wyglądała na zadowoloną, że dzwonię.

— Oczywiście, że mam czas, Britt, oczywiście jeżeli nie przeszkodzi ci, że w czasie rozmowy będę jadła. Przyniosę sobie tylko pączka i kawę.

— Jakiego pączka? — Jeszcze nie miałam okazji nawet pomyśleć o śniadaniu.

— Z galaretką porzeczkową. Żałuję, że nie mogę cię poczęstować.

— Ja też.

— Mam o dziesiątej badanie. Chodzi o tego przystojnego kulturystę z Grove, który w zeszłym roku porąbał narzeczoną na kawałki, ponieważ uważał, że jest wcieleniem zła. Właśnie wrócił z Chattahoochee. Twierdzą, że jest teraz poczytalny. Zobaczymy.

Jej głos mógł należeć do kogoś znacznie młodszego, było w nim coś zadyszanego, dziewczęcego, co mają naśladowczyni Marilyn Monroe. Zaczekałam, aż ściszy telewizor i przyniesie do telefonu śniadanie. Zapoznawszy się wcześniej z moimi artykułami, wysłuchiwała uważnie teorii, że za zniknięcie chłopców może być odpowiedzialny seryjny zabójca seksualny.

— Sama o tym pomyślałam — stwierdziła w końcu. — Najprawdopodobniej ktoś zrany narcystycznie w dzieciństwie, obecnie obsesyjno-kompulsywny. Ponieważ tak długo udaje mu się, potrafi niewątpliwie panować nad sobą, nie ujawniając nasilających się zaburzeń osobowości.

—Rozmawiałaś z tyłoma sprawcami przestępstw seksualnych... — zaczęłam ostrożnie — i jestem ciekawa, czy pamiętasz kogoś, kto miałby obsesję na punkcie pasujących do tego rysopisu chłopców?

Roześmiała się wesoło.

—Dobry strzał, Britt, wiesz jednak, że nawet gdyby tak było, nie mogłabym ci nic ujawnić. Tajemnica lekarska.

Obowiązuje nawet, gdyby jej złamanie mogło uratować komuś życie? Nie było sensu się na ten temat spierać.

—Uważasz, że zabójca czuje podniecie seksualną ciągle do tego samego typu chłopców?

Wypiła łyk kawy. Przypomniało mi się, że kiedy piłyśmy ostatni raz kawę w sądzie, na jej filiżance zostawały grube różowe placki.

—Może dążyć do czegoś, co dałoby się określić mianem władzy. — Odchrząknęła i cmoknęła. — Poczucie władzy może być dla niego nawet ważniejsze od realizacji potrzeb seksualnych. Morderstwo to wyraz krańcowej władzy nad drugim człowiekiem. Powiedziałaś, ile ofiar? Przynajmniej dwanaście? Chciałabym spotkać tego człowieka. — Powiedziała to jak nastolatka marząca o poznaniu gwiazdora rocka. — Oczywiście musielibyśmy go kompleksowo przebadać. Neurologicznie, EEG, chromosomalnie, sprawdzić, czy nie ma urazu mózgu... — Przerwała, by zająć się przez chwilę pączkiem.

—Opierając się na tych nielicznych danych, jakie mamy, co mogłabyś o nim powiedzieć? — Moje pytanie zabrzmiało, jakbym miała przed sobą astrologa albo wróżkę z kryształową kulą. Miałam nadzieję, że odpowiedź będzie nieco konkretniej sza.

—Musi czuć wielką potrzebę miłości i akceptacji, choć na pierwszy rzut oka umie sprawiać czarujące wrażenie. Boże... — wzięła kęs pączka i zaczęła żuć, jakby ta myśl dopiero do niej dotarła — ...oni wszyscy są czarujący.— Przełknęła. — Gdyby nie byli, nie udawaloby im się robić swego na tyle długo, by stać się seryjnymi zabójcami. Pod czarującą powłoką jest jednak nigdy nie odmarzająca lodówka. Żadnego poczucia winy, żadnej skruchy. Zawsze umieją uzasadnić swoje zachowanie. Jedyne prawdziwy żal, jaki kiedykolwiek ujawniali, to żal, że zostali złapani. Ten, kto zabił tych zaginionych, musi umieć panować nad swoim środowiskiem i manipulować nim. Jeżeli jest żonaty, najprawdopodobniej bije żonę.

Żonaty. Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

—Jeżeli jest żonaty, sądzisz, że jego żona wie, co on wyprawia?

—Najprawdopodobniej wie, że jest agresywny i niezrównoważony — odparła żując — ale nie orientuje się co do rzeczywistego stopnia jego nienormalnego zachowania. Można



zakładać, że po tym, jak zabije, życie na krótko staje się dla niej przyjemniejsze. Nieco jej popuszcza. Zachowanie seryjnych zabójców przebiega w cyklach, trochę jak miesiączka. Jeszcze jedno, Britt. Najprawdopodobniej zbiera pamiątki. Może to być wszystko: od biżuterii ofiary, po jej zęby albo części ciała. Może robić zdjęcia, nagrywać kasety, zwłaszcza z prośbami o litość, by je potem oglądać i się przy tym onanizować.

Na te słowa poczułam skurcz żołądka, ona zaś dalej żuła z upodobaniem, najwyraźniej pochłaniając ostatniego pączka.

— Ostatnia ofiara zniknęła pięć, sześć miesięcy temu. Czy jest możliwe, że przestał?

— O nie, przestanie dopiero, kiedy ktoś go powstrzyma siłą. — Zabrzmiało to wesoło. — Na pewno czyta gazety i na pewno się nie ucieszył utworzeniem specjalnego oddziału, o którym pisałaś w dzisiejszej gazecie, ale to go nie powstrzyma. Możliwość zmierzenia się z policją może go nawet bawić. Teraz cię jednak przepraszam, ale muszę lecieć, choć pan Buff, Kulturysta, na pewno nigdzie nie ucieknie, przynajmniej na razie. Wiesz, jacy oni są, kiedy każe im się czekać. Tacy niecierpliwi, niezdolni do kontrolowania swoich impulsów. To w końcu część ich problemu. Potrzebujesz jeszcze czegoś, Britt?

— Nazwisko mordercy i aktualne miejsce jego pobytu bardzo by mi pomogło.

Roześmiała się.

— Dzwon, kiedy tylko zechcesz, Britt, pamiętaj tylko, by za każdym razem, kiedy się da, wspomnieć o programie i o tym, że go stworzyłam i prowadziłam. W dalszym ciągu staram się odzyskać dofinansowanie. Wiesz, jak bardzo ten program był potrzebny.

Pamiętałam doskonale pielęgniarkę, trzymaną jako zakładniczkę przez pacjentów, których „rehabilitowała” doktor Schlatter, matkę, którą porwali wraz z siedmioletnią córką, oraz falę strachu, jaką wyzwolili w sąsiedztwie szpitala, ale trzymałam paszczę na kłódkę.

— Aha, Britt, gdyby znaleziono osobę odpowiedzialną za te przypadki, natychmiast dzwoni. W dzień i w nocy. Masz mój numer domowy i numer pagera. Z przyjemnością poznam jegomościa.

Dlaczego uważałam, że doktor Schlatter trochę za bardzo lubi swoją pracę?

Telefon zadzwonił w tym samym momencie, kiedy odłożyłam słuchawkę. Spodziewałam się, że doktor Schlatter chce mi przekazać jakąś światłą radę, która właśnie przyszła jej do głowy, albo poczęstować jakimś soczystym smakołykiem, o którym zapomniała wspomnieć.

— Britt, to ty? Gdzie byłaś?

— Cześć, ogierze... — mruknęłam, udając wyuzdanie, tak naprawdę jednak zażenowana, że nie odpowiadałam na telefony Hala.

— Myślałem, że olałaś mnie.

— Żartujesz? Jestem tylko strasznie zapracowana. Opowiem ci wszystko, kiedy się zobaczymy.

— Co robisz?

— Teraz? Właśnie rozmawiałam z... z informatorem.

— Nie zapomniałaś chyba o jutrzejszym przesłuchaniu.

— Nie, nie. O drugiej, prawda? Będziemy tam z fanfarami, na pewno. Z Lottie. Spotkamy się przed salą sądową.

— To dobrze. — Ściszył głos. — Tęskniłem za tobą.

— To tak jak ja. — W słuchawce rozległ się cichy trzask, co oznaczało, że czeka kolejny rozmówca. — Nie martw się. Do jutra. — Wcisnęłam przycisk.

— Monterò?

— Jorge?

— *Si*. Mamy go! *Diano* Antonio.

— Co? — Załomotało mi serce.

— Przynajmniej znamy miejsce, gdzie jest. Miejsce, gdzie przebywa Armando Gutierrez. Spotkajmy się w parku Josego Marti i pójdziemy tam razem.

Na pewno... Zmarszczyłam czoło, zastanawiając się, co to za numer tym razem się szykuje.

— Za kwadrans! — rzucił nerwowo.

— Niech pan zaczeka, Jorge, nie rozłącza się. — A jeżeli Reyes się mylił? — Pod żadnym pozorem nie wsiądę z panem znów do samochodu. — Byłam zdecydowana prędzej wyskoczyć bez spadochronu z samolotu. — Nigdy.

— Jeżeli przyjdiesz, *balse*ro się nie przestraszy i przekonasz się, że mówiłem prawdę, a kłamcą jest Juan Carlos Reyes.

— Dlaczego nie możemy się spotkać na miejscu?

— Przekazanie miejsca jego pobytu przez *telefono* może grozić mu śmiercią.

— Niech pan wymieni skrzyżowanie... — westchnęłam — skąd można dojść na piechotę.

Odbył szybką naradę po hiszpańsku ze stojącą obok osobą.

—Dobrze. Spotkajmy się na rogu Północnozachodniej Siedemnastej i Drugiej Alei. Zaraz!

Westchnęłam. Dlaczego czułam się jak kamikadze?

—Muszę na chwilę wyjść — poinformowałam Gretchen, mijając biurko redaktora dyżurnego.

—Ale, Britt, o drugiej jest kolegium redakcyjne i mamy dyskutować o huraganach...

Sztorm zatrzymał się nad oceanem i nabierał rozmachu, wciągając w siebie masy ciepła unoszące się znad wody. Został już oficjalnie uznany za huragan i lekko zbaczał na północ oraz zawijał na zachód tak jak wiele poprzednich, które sunęły szerokim korytarzem, idącym przez Antyle ku Zatoce Meksykańskiej. Półwysep Floryda wbija się w ten korytarz niczym bolący paluch i w ten sposób w ciągu ostatnich stu lat w nasz stan dzikim wichrem i potężnymi falami uderzyło ponad sześćdziesiąt huraganów, w czasie których zginęło ponad trzy tysiące pięćset osób. Choć nasze szanse obrony przed nimi coraz bardziej rosną, to jednak ten temat zawsze podnieca wydawców gazet i meteorologów.

—Wrócę do drugiej — rzuciłam, nie zwalniając kroku. Zaparkowałam niedaleko wyznaczonego skrzyżowania i zaczęłam się rozglądać za *especialista* Luisa albo kimś w tym stylu. Zaczęłam nerwowo chodzić po rozpalonym chodniku, potem spocona stanęłam. Czułam się jak głupek. Jeżeli nie zdążę na spotkanie dotyczące huraganów, skończę z jakimś kretyńskim zleceniem, którego nie będzie chciał wziąć nikt inny. Kiedy huragan wypadnie z Karoliny Północnej albo znad Antyli, będę siedzieć w jakimś urządzonym przez Czerwony Krzyż punkcie sanitarnym, sama z dziesięcioma tysiącami kanapek z pieczenia wołową.

Gdyby była to nieco lepsza okolica, ochłodziłabym sobie stopy w strumieniu chłodnego powietrza, wypływającego z klimatyzowanego sklepu, tutejsze budynki były jednak stare i albo nieklimatyzowane, albo porzucone. Wiele tutejszych domów zostało zakwalifikowanych do rozbiórki, zabitych deskami, a potem przejętych przez bezdomnych. Niedaleko był sklep żelazny, zapraszający do zakupu drutu kolczastego i stalowych krat, kilka pensjonatów, parę niewielkich hoteli ze starymi klimatyzatorami i pokojami na godziny.

Sprawdziłam zegarek, postanowiłam dać Bravo jeszcze pięć minut. Kiedy jednak podniosłam głowę, ujrzałam go, wysiadającego ze stojącego po drugiej stronie ulicy dodge'a, rupiecia, który podjechał kilka minut temu. Samochód odjechał z klekotem; nie zauważyłam, czy prowadził Eloy. Nieważne. Nie miałam ochoty oglądać żadnego z nich. Czy mój ojciec, współpracując z tą bandą, też miał te same opory?

Kiedy przechodziłam przez ulicę, Bravo niecierpliwie na mnie kiwał.

—*Apurate!* — Kiedy podeszłam, dźgnął laską asfalt i rzucił: — Chodź za mną!

Weszliśmy do hotelu Bradley. Wydawało się to niemożliwe, ale w holu było jeszcze bardziej gorąco i duszno niż na dworze. Z sufitu zwisał bez ruchu wentylator z oderwaną łopatką. Metalowe nogi nielicznych krytych skajem krzesełek były skorodowane z powodu panującej tu wilgoci. Kilku apatycznych gości hotelowych oglądało telewizję. Kabel podłączeniowy starego telewizora nosił ślady szczurzych zębów. Obraz był niewyraźny, ale głos dudnił jak cholera. Szedł właśnie jakiś kiepski talk-show, w czasie którego mieszkający w miasteczku przyczep ludzie wyjawiali sekrety swego dziwaczного życia seksualnego. W porównaniu z niektórymi egzemplarzami, jakie spotkałam w ostatnim czasie, wydawali się całkiem normalni.

W recepcji siedział człowiek wielkości średniej góry i dyszał z gorąca jak mops. Jego brudna koszula z krótkimi rękawami była rozpięta i ukazywała szczeciniaste kudły oraz długą czerwoną szramę na piersi, która mogła zarówno pochodzić od operacji serca, jak i ciosu nożem w czasie bójki. To, że zauważyła naszą obecność, można było stwierdzić jedynie po lekkim uniesieniu brwi. Może sądził, że chcemy wynająć apartament dla nowożeńców.

— Szukamy Armando Gutierrez — odezwał się Bravo. — Jaki jest numer jego pokoju?

— Czeka na was?

— Jesteśmy przyjaciółmi.

— Może zadzwońmy na górę — *r* zaproponowałam.

— Jedyne telefon jest w holu.

— Możemy też iść od razu na górę — zgodziłam się. Im mniej okazji, by widziano mnie w towarzystwie Bravo, tym lepiej.

— Dobrze, z tym że nie mogę wam pozwolić iść samym. Zbyt wiele się ostatnio wydarza. Wiecie, o co chodzi.

Obserwował nas w dalszym ciągu, tyle tylko że zaczął zamykać szuflady. Chciał ochronić swojego gościa przed nami czy nas przed gościem?

— Nie przyszliśmy rabować pańskich gości ani niszczyć lokalu — rzuciłam krótko. W myśli dodałam, że gdybyśmy mieli na to ochotę, wybralibyśmy lepsze miejsce. Kto by zauważył, że to miejsce zostało zniszczone?

Wymamrotał coś o odpowiedzialności, wrzucił do kieszeni klucz i majestatycznie wstał. Aż dygotałam ze zdenerwowania.

Pognałam w kierunku windy, Bravo za mną, kierownik prysnął jednak ku schodom. Za każdym krokiem rozchodziła się wokół niego chmura stęchłego piwa.

— Które piętro?

—Drugie. Winda nie działa.

—O nie... — jęknęłam. Mnie trochę sportu nie zaszkodzi, ale Bravo wspierał się ciężko na lasce, a kierownik też nie wyglądał jak kandydat na zwycięzcę biegów ulicznych.

Przy tym tempie nie było szans, bym wróciła do redakcji w ciągu godziny.

—Na pewno nie działa?

—Myślisz, że jakby chodziła, łąziłbym po schodach?

Zaczęliśmy się wspinać. Kierownik prowadził, Bravo szedł drugi, ja zamykałam pochód. Mogłabym się założyć, że wejście na Mount Everest trwa krócej.

—Pokój trzy piętnaście — wysapał kierownik, który już w połowie pierwszego piętra le-dwo dyszał.

Wolne posuwanie się w upale zawsze daje mi w kość. Wyprzedziłam obydwóch i przejęłam prowadzenie. Mroczny korytarz na drugim piętrze pachniał stęchlizną. Nieliczne oprawki żarówek były albo puste, albo tkwiły w nich przepalone żarówki. Automat telefoniczny znajdował się niedaleko schodów, pod nim zwisał łańcuch — ktoś ukradł książkę telefoniczną.

Kierownik, czerwony na twarzy, właśnie dochodził do szczytu schodów, Bravo szedł tuż za nim. Podeszłam do drzwi z numerem trzysta piętnaście. Nikogo nie było widać, ale z różnych pokoi dobiegały dźwięki zarówno hiszpańsko-, jak i angielskojęzycznych stacji. Kiedy kierownik ruszył korytarzem ku mnie, zapukałam.

—*Señor Gutierrez!*

Żadnej reakcji. Boże, tylko nie to po tylu wysiłkach... Zapukałam mocniej, potem jeszcze raz.

—*Señor Gutiérrez!*

Kierownik i Bravo sapali za moimi plecami.

—Nie ma go — mruknęłam.

—Nie widziałem, żeby wychodził — powiedział kierownik. — Nawet nie poszedł jeść.

Nie spodobało mi się to, co mignęło w jego oczach.

Bravo nie odzywał się, stał oparty o framugę i łapał oddech.

—W tych okolicznościach — stwierdziłam — powinien pan otworzyć drzwi i sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Kierownik wyjął z kieszeni klucze.

—Kiedy widział go pan ostatni raz? — spytałam.

Szukał odpowiedniego klucza, jego mina wyrażała zarówno przerażenie, jak i determinację.

—Jakaś godzinę temu. Posłał po jedzenie do chińskiej restauracji. Tuż zanim mu je przyniesiono, zszedł do holu.

Pizzerie i restauracje szybkiej obsługi nie dostarczają jedzenia do pokoi hotelowych. Roznosiciele wchodzą jedynie do holu i szybko uciekają. Przy wchodzeniu na górę okradano by ich przy wejściu z jedzenia, a przy wyjściu z pieniędzy. A policjanci uważają, że mają niebezpieczną pracę...

Spodziewałam się zastać pusty pokój, oczekiwałam, że Gutiérrez wyszedł albo się wyknął.

Kierownik wsunął klucz w drzwi i przekręcił go.

Na podłodze leżały dwa kartony, ich zawartość wsiąkała w dywan. Tak samo wsiąkała w dywan krew Gutierrezza.

—Boże... o Boże... — wyjęczał kierownik. Bravo zaklął, przeszukał wzrokiem pokój.

—Zabili go! — Sprawdził szafę i zajrzał pod łóżko. — Reyes go zabił! *Diario* Antonio zniknął!

Poduszka leżała na podłodze — bez poszewki. W pokoju tych rozmiarów co ten nie ma wielu schowków. Jeżeli cokolwiek zostało ukryte w poszewce poduszki, zabrano to. Albo użyto poszewki jako worka, by coś wynieść.

—Nie dotykać niczego! — kazałam.

Kierownik stał bez ruchu w otwartych drzwiach i dyszał. Bravo nie trzeba było ostrzeżać. Minął kierownika, o mało nie zwałając go z nóg, i wypadł na korytarz niczym koń z maszyny startowej.

Jak na człowieka o lasce, poruszał się całkiem szybko. Zanim wypadłam na korytarz, już zbiegał schodami.

—Gdzie pan biegnie?! — wrzasnęłam. — Nie może mnie pan tak zostawić! Stój!

Nawet się nie obejrzał.

—*No policía!* — krzyknął przez ramię i zbiegał dalej. Bez trudu zakwalifikowałby się na olimpiadę. Zwalczyłam chęć dołączenia do niego i odwróciłam się ku zwłokom w pokoju.

Jedną z rzeczy, jakiej człowiek się uczy, pracując jako reporter policyjny, to że nie wolno uciekać, zostawiając trupa. Gliniarze tego nienawidzą. Szybko wyciągają wnioski i robią człowiekowi z życia piekło.

—Idę dzwonić po policję! — wyrzucił z siebie kierownik i ruszył do telefonu na korytarzu.

Przyjadą za kilka minut, a kiedy to nastąpi, pokój zostanie zamknięty dla osób postronnych. Wszłam do środka. Mężczyzna na podłodze został zastrzelony, najprawdopodobniej kilkoma pociskami, które trafiły w podstawę czaszki. Krew we włosach utrudniała ocenę. Możliwe, że nawet nie widział tego, kto go zabił. Najprawdopodobniej został zaskoczony od tyłu, kiedy wrócił do pokoju z chińskim jedzeniem w ręku. Zgięły mu się kolana i upadł do przodu. Za uszami miał siniaki, zapewne pochodzące od krwawień wewnętrznych. Wciągnęłam powietrze do płuc i uklękłam obok, by popatrzeć mu w twarz. Uderzył twarzą o podłogę. Ze złamanego i spłaszczonego nosa i z ust wyciekła krew, ale nie widziałam ran wylotowych. Oczy miał szeroko otwarte, tępy wyraz twarzy. Mimo że działała klimatyzacja, krew jeszcze nie zakrzepła, a ręka była ciepła w dotyku.

—Co się, do cholery, stało? — szepnęłam, ale mi nie odpowiedział. Czując mdłości, wstałam. Zamieszanie ściągnęło uwagę kilku sąsiadów.

W drzwiach stała przerażona młoda kobieta w szortach i maleńkim topie. Strąki włosów spadały jej na twarz, zasłoniła dłonią usta. Łuszczył jej się lakier na paznokciach.

—Słyszała coś pani? Widziała pani kogoś? — zapytałam. Pokręciła głową i ruszyła ku schodom. Idący za nią starannie ubrany

mężczyzna w średnim wieku po drodze zapinał koszulę. Postanowiłam, że kiedy kierownik skończy, natychmiast muszę zadzwonić do redakcji i Marka Seybolda.

Nie stał przy automacie i od razu było jasne dlaczego. Sznur telefoniczny został przecięty. Aby zadzwonić, musiał zejść na dół, chyba że tak samo jak wszyscy pozostali uczestnicy zajścia postanowił zwać.

Wróciłam do pokoju. W łazience stała w plastikowej szklaneczce szczotka do zębów, ale bez pasty. Ręczniki i kabina były mokre, jakby niedawno brał prysznic. Nie znalazłam wielu osobistych rzeczy: w szafie znoszony bawełniany podkoszulek i szorty, na regale długopis i nie dokończony list.

Nie dotykając, zaczęłam czytać. Był napisany po hiszpańsku. Autor informował mieszkającą na Kubie matkę, że jest bezpieczny w Miami. Po opuszczeniu Higuero, miejscowości położonej niedaleko wschodniego krańca wyspy, i przeżyciu pięciu piekielnych dni na prymitywnej tratwie, dotarł na miejsce. Trzeciego dnia tratwa przewróciła się na wysokiej fali, jego towarzysz utonął, a on stracił zapasy żywności i wody. Pisał, że jednak Bóg był z nim.

Dziesięć mil morskich na południowy wschód od Sombrero Light w łańcuchu wysp Keys wyłowili go rybacy. Nakarmili, zawieźli go na brzeg i dostarczyli do Miami. Ponieważ sami byli amerykańskimi Kubańczykami, dali mu trochę pieniędzy i zaoferowali pomoc w znalezieniu pracy. Najpierw jednak — pisał — miał do spełnienia misję, ale nastąpiły pewne komplikacje. Na tym list się kończył.

Bezpieczny w Miami... Popatrzyłam na Armando Gutierrez, któremu w tanim hotelu rozwalono łeb. Na Kubie nie był szczęśliwy, ale przynajmniej żył. Kiedy na schodach załotały ciężkie kroki, wyszłam z pokoju.

— Jak się tu pani, do cholery, tak szybko znalazła? Britt Monterò z „News”, prawda? — spytał agresywnie wyglądający, nalany na twarzy policjant.

— Przyszła tu. Chciała się z nim widzieć. — Kierownik wskazywał na mnie grubym paluchem.

— To o niej pan mówił? — Gliniarz uważnie mi się przypatrzył. — Była pani tutaj, kiedy znaleziono ciało?

— To ona chciała, żebym otworzył drzwi — skrzeczał kierownik. Trzęsła mu się głowa i wyciągał palec jak skarżypyta.

Tak jakby nic się nie stało, gdyby nie otworzył drzwi. Powinien się cieszyć, że znaleźliśmy Gutierrez teraz, a nie na przykład za trzy dni. Bravo... Przeklinałam go. Przed rozmową z gliniarzami musiałam porozmawiać z Markiem Seyboldem.

Ponieważ kierownik w dalszym ciągu wskazywał na mnie palcem, postanowiłam nie pozostać dłużna.

— Które to u was w tym roku morderstwo? — zapytałam, biorąc do ręki notes i długopis.

Kilka mogłabym wymienić z pamięci. Księgowy, który udusił kochankę w czasie seksu w przerwie obiadowej, jak twierdził „przypadkowo, podczas ostrego seksu”. prostytutka, wsunięta pod łóżko, odkryta przez następnego gościa, który zajrzał pod łóżko, by sprawdzić, co to za smród.

Gliniarz wtrącił się, zanim kierownik raczył odpowiedzieć. Może jeszcze nie zdążył policzyć?

Przysięgam, że niczego nie dotykałam. Policjant wszedł na chwilę do pokoju, zaraz jednak wrócił na korytarz.

— Rozwalony strzałem prosto w tył głowy — nadał przez walkie-talkie komunikat dla Wydziału Zabójstw.



Szkoda, że Kendall McDonald wyjechał daleko. Jak chętnie bym się z nim zobaczyła, choć z drugiej strony wystarczyłoby mu jedno spojrzenie na mnie i wiedziałby wszystko o Halu.

—Proszę zaczekać na dole — kazał mi policjant — i nigdzie nie wychodzić. Wydział Zabójstw chce z panią porozmawiać.

Zgodziłam się natychmiast, spieszyło mi się do telefonu.

—Co?! — zawołał Mark Seybold. Powtórzyłam całą historię, także to, że Bravo zwiął.

—Sądziś, że ma z tym coś wspólnego?

—Nie wiem. Nie sądzę. Może. Prawdopodobnie. Twierdzi, że to robota Reyesa.

—Juana Carlosa Reyesa? Britt, Boże drogi...

—Czy muszę powiedzieć glinom, że byłam z Bravo?

Lokalna policja i FBI nie są ze sobą w najlepszych stosunkach i rzadko dzielą się posiadanymi informacjami, Biuro na pewno jednak prędzej czy później się o tym dowie, a nie chciałam stracić u nich kredytu zaufania ani układów.

—Jak poznałaś Bravo? Poszłaś do niego, żeby uzyskać informacje do artykułu?

Opowiedziałam o dzienniku.

—Wygląda to na sprawę osobistą. W tym przypadku nie można go traktować jak informatora, więc nie jesteś zobowiązana go chronić. Żądając swoich dziennikarskich praw i zachowując dla siebie informację, miałabyś ciężki orzech do zgryzienia, zwłaszcza w śledztwie tego kalibru. Mówisz, że zamordowany to nielegalny imigrant?

Do hotelu weszło dwóch detektywów z Wydziału Zabójstw.

—Mark, zrób mi jeszcze przysługę — powiedziałam szybko. — Zawiadam redaktora dyżurnego, że jakiś czas mnie nie będzie. Gliniarze będą chcieli zabrać mnie na komisariat, by porozmawiać.

—Zaczekaj, Britt. Chcę być przy tym, nawet jeżeli, formalnie biorąc, to nie będzie przesłuchanie.

—Dobrze. — Byłam mu wdzięczna, choć bardziej interesowała go ochrona interesów gazety niż moich. Doświadczenie nauczyło mnie, że każdą oficjalną rozmowę z policjantami z Wydziału Zabójstw należy prowadzić w obecności adwokata. Gdybym to wiedziała za pierwszym razem, kiedy miałam z nimi problemy, oszczędziłabym sobie sporo zmartwień.

Detektywi poprosili mnie, bym zaczekała, i poszli na górę rzucić okiem na zabitego. Sie-  
działam na tanim, obitym skajem krzeselku i dumałam nad tym, co tu się, do cholery, dzieje.  
Czy Gutierrez rzeczywiście miał dziennik? A może Bravo wszystko zaaranżował z sobie tyl-  
ko znanego powodu?

Kilku gości, obojętnych na zamieszanie na drugim piętrze, wpatrywało się w migoczący  
telewizor. Z trudem opierałam się chęci pójścia na górę, by zorientować się, jak wygląda sy-  
tuacja. Na kanapie leżał rozwalony starszy pijaczek, nie wiadomo czy spał, czy zapadł w  
śpiączkę. Przyszło kilku techników od zabezpieczania śladów, jeszcze więcej gliniarzy i  
wszyscy od razu ruszyli ku schodom. Przeszła mi przez głowę myśl, że pracownicy zajmują-  
cy się przenoszeniem zwłok z miejsca zbrodni do wydziału patologii wcale nie będą za-  
chwyceni, że winda nie działa.

Kiedy objęłam poręcz krzesła, dłoń zacisnęła mi się na czymś nieprzyjemnym. Była to  
miękką i lepka, przyklejona pod spodem guma do żucia. Przynajmniej miałam taką nadzieję.  
Spróbowałam oderwać masę od palców. Pijaczek na kanapie uniósł tułów do pionu i zaczął  
się krztusić. Próbując zetrzeć lepka masę z dłoni, o mało nie zaczęłam mu wtórować. Czy na  
Kubie może być gorzej niż tutaj? Armando Gutierrez leżał dwa piętra wyżej we własnej  
krwi, a jego matka nigdy nie przeczyta jego ostatniego listu.

To nie było miejsce, gdzie należy umierać. Nie byłeś bezpieczny w Miami, Armando.

Łzy paliły mi oczy.

# Rozdział osiemnasty

---

Opowiedziałam gliniarzom o wszystkim. Nie tylko dlatego, że jestem z natury uczciwa, ale ten zabójca musiał zostać ujęty. Jedynym szczegółem, jaki zatrzymałam dla siebie, była jazda międzystanową numer jeden z panem Bravo, ale nie miało to związku z morderstwem. Cholera, nie musieli mi tłumaczyć, że ma broń i jest gotów jej użyć!

Obaj detektywi — szczupły, siwowłosy weteran o nazwisku Hanks oraz Billy Wogan, młody, pulchny, niedawno przeniesiony z rabunków, słuchali bez komentarza. Powiedzieli, że sprawdzą powiązania z Bravo, ale sprawiali wrażenie, że traktują zabójstwo Gutierrezza jako efekt próby rabunku.

—Dlaczego ktoś miałby go rabować? — zaprotestowałam. Przecież niczego nie posiadał.

—Wiesz, jak to jest, Britt — stwierdził Hanks. — Widziałaś sama ludzi zabitych za dwadzieścia pięć centów, za puszkę coli albo nawet mniej. To się zdarza dzień w dzień. Kiedy Chinol przyniósł mu żarcie, musiał wyciągnąć portfel, ktoś w holu to zauważył, wykorzystał chwilę i poszedł za nim na górę.

—Ale dlaczego go zabił? Detektyw wzruszył ramionami.

—Musiał to być ktoś, kogo by rozpoznał. Ktoś, kto nie chciał zostawić świadka.

—Dlaczego nikt nie słyszał strzałów?

Anatomopatolog, który oglądał zwłoki, stwierdził, że Gutierrez dostał przynajmniej dwie kule.

Detektyw machnął na moje pytanie ręką.

—Widziałaś, co to za miejsce. Byliśmy tam już Bóg wie ile razy. Jeszcze nie rozmawialiśmy z mieszkańcami, ale na pewno mieli rozkręcone na pełen regulator radia i telewizory, byli czymś zajęci albo kłamią, bo nie chcą być w nic wplątani. Bardzo prawdopodobne, że zabójca mieszka na miejscu i boją się go.

Brzmiało to logicznie, nawet dla Marka Seybolda.

Za każdym razem, kiedy mówiłam o dzienniku i intrygach sprzed trzydziestu lat, ich oczy robiły się szkliste i sięgali po albumy ze zdjęciami ludzi znanych z dokonywania napadów z bronią w rękę.

Kiedy wychodziłam, kierownik przewracał grubymi paluchami kartkę za kartką. Musiało mu to przypominać przeglądanie albumu szkolnego. Sądząc po minie, znał większość twarzy.

Ostatnie słowa detektywa Hanksa brzmiały:

— Nie próbuj robić z tego czegoś niezwykłego i bardziej skomplikowanego, niż jest naprawdę, Britt. To twoja specjalność.

To samo zawsze twierdzą o kubańskich emigrantach: że uwielbiają intrygi, wszędzie widzą spiski, lubią przesadzać. Powiedział to, ponieważ jestem kobietą, czy dlatego że mam kubańskie nazwisko? Czyżby tę uwagę spowodowało moje pochodzenie? Chyba nie zamierzał mnie dyskryminować? Otworzyłam usta, aby zaprotestować, ale Hanks rozmawiał właśnie z jakimś gliniarzem o powrocie do domu, aby przywiązać łoż i założyć na okna osłony przeciwsztormowe, dodając, że chciał pożyczyć od niego wiertarkę do ich zamocowania. Tak jakby leżący na plastikowych noszach w kostnicy Armando Gutierrez nigdy nie istniał.

Może mieli rację i rzeczywiście był to przypadkowy rabunek. Jeżeli dziennik ojca w ogóle istniał, mało prawdopodobne, by kiedykolwiek znalazł się w rękach Gutierrezza. Wątpliwe, aby pilnował dziennika dawno nieżyjącego człowieka, a nie zajął się ratowaniem jedzenia, kiedy fala wywróciła mu tratwę. Jeżeli za jego śmierć był odpowiedzialny Bravo, należał mu się proces i wyrok. Może byłam przewrażliwiona, choć sama krytykuję za to przedstawicieli mniejszości. Mark Seybold wyprowadził mnie na zewnątrz.

Po powrocie do redakcji spodziewałam się, że będę musiała wszystko jeszcze raz powtórzyć szefom i odpowiedzieć na ich pytania, a miałam trochę roboty. Ku memu zaskoczeniu nic takiego jednak nie nastąpiło. Naczelnicy byli zajęci, każdy siedział na jakimś spotkaniu, na którym omawiano strategię działania albo robiono plany na wypadek ogłoszenia stanu zagrożenia huraganem. Na każdej tablicy informacyjnej wisiały mapy pogodowe, co trzy godziny, po każdym nowym komunikacie, aktualizowane przez pracowników technicznych.

Huragan, obecnie już zabójczy sztorm, uderzył w Gwadelupę na Wyspach Podwietrznych. Pędzący z prędkością dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę wicher zabił na mającej kształt księżycy wyspie jedenaście osób, zerwał niezliczoną ilość kiepskich dachów, zniszczył wieżę kontroli lotów na międzynarodowym lotnisku Pointe-a-Pitre, zerwał linie elektryczne i pozbawił tysiące ludzi domów. Zniszczenia, śmierć i chaos to norma, kiedy sztorm uderza w biedną wyspę z lichymi zabudowaniami. Gwadelupa jest bardzo często nawiedzana przez sztormy, ponieważ znajduje się na skraju basenu Morza Karaibskiego. W Portoryko i na Wyspach Dziewiczych trwała właśnie ewakuacja tysięcy mieszkańców pasa nadmorskiego.

Wzięłam książkę telefoniczną, zadzwoniłam w kilka miejsc, na końcu do Dona Farmera z FBI.

—Potrzebuję przysługi — zaczęłam. — Może będziesz mógł mi pomóc. Chcę znaleźć jednego z waszych byłych ludzi. Agenta CIA, który jakieś trzydzieści lat temu działał w Miami. Nazywa się Winslow, Frank Winslow. Nie znam jego daty urodzenia, ale powinien mieć teraz jakieś sześćdziesiąt lat. Najprawdopodobniej jest na emeryturze. Chcę się z nim skontaktować.

—Z jakiego powodu, Britt? Nad czym pracujesz?

—Chodzi o Bravo. Wtedy się znali. — Nie było to ewidentne kłamstwo, ale zacisnęłam kciuki na szczęście.

—Na kiedy chcesz to mieć?

—Jak najszybciej. — Zanim Biuro się dowie, że widziałam się dziś z Bravo.

—Taak... — Nie sprawiał wrażenia przekonanego. — Wszystko, co mogę zrobić, to znaleźć go i spytać, czy chce z tobą rozmawiać. Jeżeli wyrazi zgodę, dam mu twój numer.

—Oczywiście. Jak najbardziej. A niech cię. Dzięki, Don. Będzie ci się ode mnie coś należało.

—Najpierw zobaczę, czy da się go w ogóle odnaleźć. Masz inicjał drugiego imienia?

—Nie, ale w książce telefonicznej Miami jest tylko ośmiu Winslowów. Żaden nie ma z nim nic wspólnego, już do nich dzwoniłam.

—Zobaczę, co się da zrobić.

Wszyscy w redakcji byli w szale huraganowym, kolejny raz przeżuwano stare kawałki: jak przygotować dom, łądz, ogród, okna i zwierzaki domowe na przybycie Wielkiego Bum. Te same bzdury co zawsze. „Wnieś do domu meble ogrodowe i zerwij z palm kokosy, aby przy prędkości wiatru ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę nie zmieniły się w kule armatnie. Wylej wodę z basenu, nalej wody do wanny, zrób zapas baterii, konserw, zapalek i świec". Co roku to samo. Zrób zapas, załóż okiennice, pozamykaj wszystko i bierz nogi za pas.

Zadzwoiłam do ośrodka patologii, aby zapytać o Armando Gutierrez. Doktor Sandra Lowe już skończyła sekcję.

—Czy był przed śmiercią w dobrym stanie zdrowia?

Odpowiedź na to proste pytanie jest czasami zaskakująca. W tym przypadku nie była.

—Niecو niedożywiony, stare złamanie ręki.

Pomyślałam o lunchu, którego nie zdążył zjeść. Armando Gutierrez odszedł z tego świata głodny. Sam w obcym kraju, gdzie chciano go zabić i dokonano tego.

Doktor Lowe wiedziała, co to jest ironia.

—Szkoda, że tyle ryzykował, a tak skończył — powiedziała. — Jego skóra była typowa dla „ludzi z tratw”. Stwardniała, z łuszczącymi się płatami oparzeń słonecznych.

Niektórzy, tak zwani *balseros*, są podstawiani przez Castro, wyrzuca się ich wraz z tratwami kilka mil od brzegu ze statków przemytniczych, w takim miejscu, aby mieli kontakt wzrokowy z lądem. Jeżeli twierdzą, że znajdują się na oceanie od tygodnia, a są w znakomitej kondycji, przyzwoicie ostrzyżeni, ładnie ubrani i nie noszą śladów poparzeń słonecznych ani mocnej opalenizny, jest to od razu podejrzane.

—Co z ranami postrzałowymi?

—Britt, wiesz przecież, że dopóki trwa śledztwo, musisz o takie rzeczy pytać detektywów z Wydziału Zabójstw.

—Ale tu sprawa przedstawia się inaczej. Byłam na miejscu, kiedy odnaleziono ciało, i widziałam rany na głowie. Poza tym właśnie wracam z Wydziału.

—Tylko nie wpakuj mnie w kłopoty, Britt.

—Nie ma strachu.

—Co chcesz wiedzieć? Cóż to ja chciałam wiedzieć?

—Czy został trafiony dwiema kulami?

—Tak, ale na pewno nie pozwolą ci o tym napisać w gazecie. Tylko zabójca zna ten szczegół.

Oczywiście, gdybyśmy to opublikowali, nie byłoby to dla niego żadnym ostrzeżeniem. Nie zamierzałam jednak w tym zakresie dyskutować.

—Oczywiście — odparłam. — Czy został przedtem pobity? Miał za uszami sińce.

—Kule spowodowały złamanie podstawy czaszki. Sinogranatowe zabarwienie okolicy za uszami może świadczyć o ranie wewnątrz tylnej części czaszki. Pociski przeszły przez mózdzek oraz śródmózgowie i utknęły w przedniej części czaszki.

—Długo żył po strzałach?

—Rany wywołały natychmiastową śmierć, nie żył już padając na twarz na podłogę. Przy upadku został zgnieciony nos.

—Tak więc może nawet nie zdawał sobie sprawy, że umiera?

—Zgadza się.

—Kiedy to mogło nastąpić?

—Od momentu śmierci do odnalezienia denata nie upłynęło wiele czasu. Mniej niż godzina, co potwierdza oświadczenie dostawcy z restauracji, który przyniósł mu jedzenie. Jak wiesz, oświadczenia osób, które ostatnie widziały zabitych, pozwalają dokładniej ustalić czas śmierci niż pomiary ciepłoty ciała. Zwłaszcza że leżał kilka metrów od klimatyzatora, a chłodne powietrze zawsze opada na ziemię. Nie było sinicy pośmiertnej. Przyczyną śmierci jest wielokrotna rana postrzałowa głowy, i to wszystko, co mogę na ten temat powiedzieć.

Mimo to spróbowałam.

—Ciekawe, jakiego użyto tłumika.

—Lepiej spytaj o to detektywów, Britt.

Aha, a więc był tłumik. Przypomniała mi się torba Bravo. Widziałam kilka rzeczy, jakie z niej wyciągnął, pistolet, pudełko naboji. Prawdopodobnie miał w środku pełen asortyment śmiertelnych przyrządów, w tym jeden lub dwa tłumiki.

—Coś jeszcze? — spytałam. — Miał coś ciekawego w kieszeniach?

—Porozmawiaj o tym z prowadzącym sprawę. — Robiła się oporna, może obawiała się, że powiedziała już zbyt wiele.

—Powiadomiono jego rodzinę?

—Wygląda na to, że ma kuzynów w Miami, mają zawiadomić jego matkę w Santiago de Cuba.

—Czy wiadomo, jaki miał zawód, z czego się utrzymywał?

—Podobno był urzędnikiem państwowym niższego szczebla. Więcej nie wiem.

Obaj detektywi byli na mieście i nie odpowiadali na telefony. Zdążyłam napisać krótką notatkę o morderstwie i natychmiast zostałam zaangażowana do pracy nad artykułem o huraganie, jakimś idiotyzmem o punktach ewakuacyjnych i ogólnostanowej akcji ewakuacyjnej. Po krótkiej rozmowie z Czerwonym Krzyżem i Biurem do spraw Kryzysu hrabstwa raz-dwa wystukałam co trzeba.

Coś drażyło moją podświadomość. Jakiś drobiazg, na który nie zwróciłam w odpowiednim momencie uwagi i którego nie mogłam sobie teraz przypomnieć. Zamówiłam w bibliotece wszystkie wycinki dotyczące Bravo, wyjęłam z biurka potężną teczkę zawierającą materiały zebrane w czasie pracy nad sylwetką Reyesa i zaczęłam czytać. Po kilkunastu minutach zadzwoniła Andrea Vitale. Zapłakana.

— Co się stało? Dowiedziałaś się czegoś?

— Nie — westchnęła i wzięła się w garść. — To tylko ten huragan. Kiedy nadejdzie, będę musiała pracować w szpitalu na ostrym dyżurze. Butch będzie sam nie wiadomo gdzie, w środku szalejących żywiołów...

Wyrzłałam przez panoramiczne redakcyjne okno na czyste błękitne niebo i niewinne pie-rzaste chmurki.

— Andrea, posłuchaj mnie. Po pierwsze, sztorm najprawdopodobniej do nas nie dotrze. Jak dotąd są to jedynie przewidywania. Jest jeszcze ponad dwa tysiące kilometrów od nas. Dzieli nas wielki ocean. Czy nie przeżywany tego samego co rok? Kiedy mieliśmy ostatni raz Wielkie Bum? Kilkadziesiąt lat temu. Pogoda się zmienia. Pamiętasz panikę w siedemdziesiątym dziewiątym? Wtedy sztorm szedł podobno prosto na Miami, ale minął o dziesięć kilometrów wybrzeże i nawet nas nie tknął. Wszystko skończyło się na trzech dniach deszczu. Jedynymi ofiarami byli ludzie, którzy pospadali z drabin, mocując okiennice przeciwbur-zowe, i zostali porażeni prądem przy zdejmowaniu anten telewizyjnych. Wszystko było niepotrzebne. Nie panikuj.

Wydmuchwała nos.

— Masz rację, Britt. Myślę, że to szok. Po spotkaniu i tak dalej. Przestraszyłam się, że on już nigdy nie wróci. Niektórzy z tych chłopców zginęli wiele lat temu. Butch jest inny niż tamci — jest sprytny, umie przeżyć w ciężkich warunkach, radzić sobie na ulicy. To dlatego, że byliśmy jak... jak Dwóch Muszkieterów. Pokonywaliśmy wszystkie przeszkody razem.

— Andrea, Butch jest sprytny i, jeżeli nic mu nie jest, przejdzie i przez to bez względu na to, gdzie się teraz znajduje. Kiedy wróci do domu, pomyśl, o ilu przygodach będzie miał ci do opowiedzenia.

— A jeżeli nie wróci?

— Zbyt wcześnie na popadanie w panikę i takie myśli — skłamałam. — Może masz rację. Może nie należy go łączyć z pozostałymi przypadkami.

— Zbyt wcześnie na popadanie w panikę... zbyt wcześnie na popadanie w panikę... — Powtarzała to jak mantrę.

Co miałam innego powiedzieć?

Wokół biurka dyżurnego redaktora wydania zaczynało się robić coraz goręcej, krystalizowały się plany utworzenia specjalnej sekcji do spraw huraganu. Uciekłam i pojechałam do domu.



W budynku sądowym imienia Richarda E. Gersteina wirowały i falowały skłębione ludzkie strumienie. Na zewnątrz ekipa z trudem zakładała metalowe osłony na wielkie okna holu. W środku wszystko było przemieszane: przestępcy i policjanci, adwokaci i ofiary, sędziowie i oskarżeni, białe i czarne charaktery. Korytarze pulsowały rozpaczą i napięciem, które promieniowało ze zdeprawowanych oraz poszkodowanych. Przemęczeni prokuratorzy, wycieńczeni obrońcy z urzędu, notoryczni przestępcy, oszołomieni cywile, zszokowani ludzie, którym udało się przeżyć, oraz ofiary, które miały znów stać się ofiarami, wszyscy ocierali się łokciami o bogatych adwokatów, obrzydliwych speców od składania kaucji, o płatnych informatorów i specjalnie chronionych świadków. Szekspir byłby zachwycony.

Hal czekał zdenerwowany przed salą sądową, przystojny i poważny w granatowym garniturze i stonowanym krawacie. Serce zabiło mi mocniej. Wiem, jak się czuł. Musiał tak jak i ja wiedzieć, że prawo nas nie chroni i nie robi tego również system sądowniczy.

—To ten od siekiery? — spojrzała na niego Lottie i zagwizdała. — Możesz go w każdej chwili spławić i przysłać do mojego namiotu.

—Lottie!

—No dobrze, nie spławiaj, tylko przysyłaj.

Hal pocałował mnie w policzek i przedstawiłam ich sobie.

W czasie przesłuchania, które jest znacznie mniej formalne od właściwej rozprawy, sędzia ustala przyczynę śmierci i rodzaj postępowania sądowego. Siedziałyśmy w ławach dla widzów i słuchałyśmy policjanta wyjaśniającego okoliczności zdarzenia. Anatomopatolog przedstawił opis obrażeń zabitego. Kiedy to robił, Hal był blady jak ściana.

Nie tylko na nim robiło to wrażenie. Siwa kobieta z mocno skręconą trwałą, która siedziała w trzecim rzędzie, raz za razem wciągała głęboko powietrze i przyciskała do oczu kwiecistą chustkę. Oho, pewnie matka. Miałam nadzieję, że nie dojdzie do historycznych wybuchów, strumieni łez ani żądań typu „oko za oko”.

Stan Floryda zezwala właścicielom domów na użycie siły w obronie życia i własności w uzasadnionym wymiarze. Decydujące jest tu pojęcie „uzasadniony wymiar”. Obawiałam się, by nie wyszło na jaw, że Hal uderzył więcej niż jeden raz, co wskazywałoby na świadomą agresję. Jeżeli w ogóle obudzony nagle człowiek, wyrwany z głębokiego snu, pogrążony w ciemnościach, jest w stanie uświadamiać sobie swoje intencje. Wiele zależało od tego, ile zrozumienia dla sprawcy wykaże prokurator.

Hal nie miał obowiązku zeznawać, ale postanowił to zrobić. Prokurator poprosił go, aby opowiedział sądowi, co się wydarzyło.

—Spałem — zaczął. — Sam. W którymś momencie obudziłem się, ale zdawało mi się, że dalej śnię, ponieważ w pokoju obok rozległ się jakiś hałas. Złapałem słuchawkę, ale nie było sygnału.

—Do kogo chciał pan dzwonić?

—Na policję. W ciągu minionego pół roku trzy razy mnie okradano, zawsze kiedy nie było mnie w domu. Pomyślałem, że znów przyszli włamywacze.

—Co pan zrobił potem?

—Po ostatnim włamaniu wziąłem ze sprzętu kempingowego siekierę i włożyłem ją pod łóżko. Tej nocy po nią sięgnąłem. Była tam, gdzie ją położyłem. Potem podszedłem do drzwi sypialni. Nic nie widziałem. Potem usłyszałem hałas, tak jakby otwierano szafę w jadalni, i zawołałem: „Kto tam?” Coś powiedział, nie rozumiałem co, i rzucił się na mnie. Wpadłem plecami na ścianę i zaczęliśmy się szamotać. Odepchnąłem go i zamachnąłem się siekierą.

—Ile razy pan uderzył?

—Trzy, może cztery. Potem usłyszałem, jak zatraskują się drzwi i wybiegłem na zewnątrz, by zatrzymać drugiego. Wskoczył do samochodu. Krzyczałem za nim, aby się zatrzymał. Samochód ruszył i uderzyłem siekierą w okno. Szkło popękało i samochód odjechał. Wróciłem do domu i zapaliłem światło. Zobaczyłem... pana Mumpera na podłodze. Stwierdziłem, że zdjęli w kuchni słuchawkę z widełek. Zadzwoiłem pod dziewięćset jedenaście po policję i karetkę.

—Czy pan Mumper jeszcze żył?

—Nie ruszał się ani nic nie mówił.

—Próbował mu pan pomóc? Udzielić pierwszej pomocy? Hal pokręcił głową.

—Byłem w szoku. Siedziałem bez ruchu i czekałem na policję. Miałem wrażenie, że to trwa wieczność, ale potem powiedziano mi, że zjawili się już po czterech minutach.

Odegrano policyjną taśmę. Mówił Hal, ciężko dysząc.

—W moim salonie jest włamywacz! Chyba nie żyje.

W czasie zeznania Hala siwa kobieta zakryła twarz dłońmi. Prokurator kazał zaprotokółować, ile wyroków otrzymał Mumper i datę ostatniego przedterminowego zwolnienia z więzienia. Sędzia zapytał, czy Hal czy ma na swoim koncie jakieś akty przemocy.

—Przesłuchiwany nie miał konfliktów z prawem, Wysoki Sądzie — odparł prokurator. — Ani z użyciem przemocy, ani żadnych innych.

—To wszystko? — spytał sędzia rozglądając się po sali. — Czy jest na sali ktoś, kto chciałby coś dodać w sprawie?

Kobieta w trzecim rzędzie podniosła rękę i, drżąc, wstała. Stawiałam na najgorsze.

—Jestem matką, Wysoki Sądzie. Ricky Mumper był moim synem. Chciałam, aby wszyscy wiedzieli, jak mi przykro. Robiłam wszystko, co mogłam, ale nie stał się taki, na jakiego chciałam go wychować. Teraz znajduje się w rękach Boga. Nie czuję nienawiści do nikogo.

Usiadła ciężko z powrotem.

Niemal żałowałam, że nie krzyczała, nie szalała i nie groziła, że zaskarży kogo się da, a zamiast tego jedynie pokazała, jak złamane ma serce, przez co złamała nasze.

Hal wyjął chusteczkę i otarł oczy. Wzięłam go za rękę.

—W opinii tego sądu śmierć Ricky'ego Mumpера nastąpiła w wyniku uzasadnionej samoobrony w czasie popełniania przestępstwa i nie wymaga prowadzenia procesu karnego.

Kiedy wyszliśmy z sali, pani Mumper objęła Hala.

—Tak mi przykro... — powiedziała z płaczem. — Zrobił pan to, co musiał. Naprawdę? Mógł wybiec z mieszkania albo uciec przez okno. Mógł się

zabarykadować w sypialni i poczekać, aż Ricky zabierze wszystko, na co ma ochotę. Wiedziałam, że Hal myśli o tym samym. Gdzie jest granica, po której przekroczeniu staje się uzasadnione powiedzenie „stop” i konfrontacja?

—Muszę zadzwonić do rodziców — powiedział Hal, odkaszlnął i odwrócił się, żebym nie widziała, jak drżą mu usta. Zaczął grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu ćwierćdolárówki.

Kiedy otworzyłam torebkę, by znaleźć drobne, z sali w głębi korytarza dobiegł przeraźliwy wrzask i wszystkie głowy odwróciły się w tamtą stronę. Pomyślałam, że to pewnie jakiś niegodziwiec nie może się pogodzić z surowym wyrokiem, jaki otrzymał. W tym budynku krzyki nie są niczym niezwykłym, ale takie odgłosy nie zdarzały się codziennie. Błyskawicznie oddane jeden po drugim dwa wystrzały nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Zaczęło się pandemonium. Z sali 4-2 zaczęli uciekać przerażeni ludzie. Adwokaci, świadkowie i woźni sądowi pędzili, potykając się i spychając nawzajem z drogi. Zatłoczony korytarz zaczął po chwili przypominać spanikowane stado. Ktoś na ruchomych schodach przewrócił się i popchnął na ziemię wiele osób. Kilku skutych oskarżonych wyczuło okazję i zaczęło uciekać. Policjanci wyciągnęli broń. Ludzie szukali kryjówek, rozpryskiwali się we wszystkich możliwych kierunkach.

—Strzeliła do niego! — wyła reporterka sądowa z kucykiem, która właśnie wybiegła z sali. — Postrzeliła go!

Moją pierwszą myślą było, że postrzelono sędziego. Złapałam ją za rękę i potrząsnęłam.

—Kogo? Kto został postrzelony?

—Stosh Górski, adwokat. Postrzelony!

Wyrwała mi się i pobiegła do ruchomych schodów. Jej wrzaski odbijały się po korytarzu.

Polski Książę. Wymieniłyśmy się z Lottie spojrzeniami.

—O mój Boże... —jęknęłam. Pobiegłyśmy na miejsce zdarzenia.

—Czekaj! Ktoś ma tam broń! — zawołał Hal. — Nie wchodź! — Wyciągnął ku mnie rękę, ale się spóźnił.

Kiedy wpadłyśmy do środka, Lottie miała skupioną, poważną minę. O nie... Biedna Lottie.

W środku panował chaos. Sędzia chował się za swoją ławą. Kilku gliniarzy i strażników sądowych szarpało się z kobietą, którą przycisnęli do podłogi. Jeszcze trzymała w dłoni broń, ale, choć walczyła i wrzeszczała, zaraz jej wyrwali. Na podłodze, w kałuży krwi, leżał Polski Książę, jęcząc i szarpiąc się jak ranne zwierzę.

—Postrzeliła mnie! — zawodził.

Przód drogich spodni miał zalany krwią. Trzymał się za udo i zwijał z bólu. Podniósł głowę i rozejrzał wokół szalonym wzrokiem.

—Lottie! —jęknął boleściwie.

Podbiegła do niego i zaczęła go ze wszystkich stron obfotografowywać.

Rana nie wyglądała na groźną dla życia. Sprawczynią, rozbrojoną już i zakutą w kajdanki, okazała się jego klientka, LaFontana Pierre, ofiara poparzeń w czasie „kąpieli szczęścia”. Podczas gdy sanitariusze zajmowali się Polskim Księciem, rozcinając mu kosztowne spodnie, by odsłonić ranę, on jęczał, powtarzając: „a obiecała mi...”

Sędzia wylazł na czworakach zza ławy.

— Jak, do cholery, udało jej się wnieść broń mimo tych wszystkich detektorów metalu? — zapytał.

Nikt nie zginął, mimo to sensacja była duża. Okazało się, że drogi, nowoczesny i superskomplikowany system zabezpieczenia sądu nie jest w stanie powstrzymać osoby zdecydowanej wnieść do środka broń.

—Wspaniale... — stwierdził redaktor odpowiedzialny za materiał fotograficzny na widok zdjęć Lottie.

—I to jeszcze jak — przyznała.

Dzięki Bogu za drobne przysługi. Chyba naprawdę się od niego uwolniła. Na widok zdjęć pokazujących, jak sanitariusze pracują nad Stoshem, Ryan aż jęknął.

—Czyżby przed zdjęciami go obrzezano?

Lottie nie odezwała się. Jedynie uniosła wzrok ku górze.

TLR

# Rozdział dziewiętnasty

---

Hal zrozumiał, że pisanie o strzelaninie, wraz z aluzjami odnoszącymi się do systemu bezpieczeństwa w sądzie, wymaga rezygnacji z naszej randki. Pocałował mnie na do widzenia i pojechał pomóc rodzicom, którzy wpadli w popłoch z powodu zapowiedzi sztormu i ścigali łódź w górę rzeki Miami do bezpiecznego portu.

— Chcą to zrobić, zanim ustawi się szereg łodzi i trzeba będzie nie wiadomo ile czekać na podniesienie mostu, a na lądzie rozpocznie się szaleństwo ewakuacji — stwierdził, wruszając ramionami.

Niektórzy mieszkańcy Miami przygotowują się do sztormu w prosty sposób — pakują wszystko, co mają najcenniejszego, do samochodu i pędzą na północ, w głąb kraju albo na zachód stanu. Problem polega jednak na tym, że nie da się uciec przed Matką Naturą. Nie ma miejsca, gdzie można by się schować. Huragany są tak kapryśne i nieprzewidywalne, że nawet naukowcy, śledzący je od zarodka, nie są w stanie dokładnie stwierdzić, kiedy i gdzie uderzą.

Ten, znajdujący się daleko na południu, nad Antylami, jeszcze nie stanowił zagrożenia dla południowej Florydy. Tak jak jednak napisał Jose Marti: „Człowiek musi cierpieć. Jeżeli nie ma naturalnych powodów ku temu, tworzy je sobie”.

Nie czytałam Martiego od czasów szkolnych, teraz jednak przypominałam sobie jego słowa. Może jestem bardziej kubańska, niż mi się wydaje? Bardziej jednak prawdopodobne, że spowodowało to myślenie o ojcu i fakt, że nadchodzący sztorm mógł niedługo uderzyć w Kubę.

Napisałam artykuł o strzelaninie w sądzie. Stosh podobno ściągnął na siebie złość La-Fontany Pierre zarówno z powodów zawodowych, jak i prywatnych. W którymś momencie kiedy wydawało jej się, że są zaręczeni, przyłapała go z inną kobietą. Przestał odpowiadać na jej telefony, ale wiedziała, gdzie go znaleźć; na sali sądowej bronił któregoś z jej kuzynów, oskarżonego o napad rabunkowy. Kiedy wyciągnęła broń, kuzyn skoczył na nogi, przekonany, że przyszła go odbić z rąk władzy. Ku jego wielkiemu niezadowoleniu zamiast tego postrzeliła jego adwokata.

Kiedy wróciłam do domu, do mojego luksusowego, wspaniale działającego nowego klimatyzatora, pan Goldstein i Seth instalowali właśnie osłony przeciwsztormowe. Były to

aluminiowe panele, ponumerowane, aby pasowały do każdego okna i odpowiednich drzwi. Młody człowiek był już trzy albo cztery centymetry wyższy od dziadka i nieco bardziej barczysty od niego.

—Cześć, Britt, będziemy mieli huraganową prywatkę? — Najwyraźniej pomysł go zachwycał.

Według ostatnich prognoz, potężny sztorm właśnie zawadził o południowy koniec znajdującego się w Dominikanie Półwyspu Barahoma. Prasa donosiła o falach, zlewających fermy na zboczach wzgórz, o zniszczonych zbiorach i kutrach rybackich oraz o zamknięciu lotnisk. Siłę huraganu określa się w skali pięciostopniowej; pięć to stopień najwyższy. Ten miał trzy stopnie. Niesiony nim wiatr wiał z prędkością od stu osiemdziesięciu do dwustu dziesięciu kilometrów na godzinę, nad otwartym morzem na południe od Jamajki nabierał jednak jeszcze większej prędkości i skręcał na północny wschód, ku Kubie.

—Przykro mi to powtarzać, ale słyszałam ostatnio, że sztorm może uderzyć w Kubę. Powinno to go wyhamować i wtedy, jak zwykle, zdechnie w zatoce.

Ta perspektywa zdawała się przygnębiać Seta.

—Nigdy za mało ostrożności, Britt — stwierdził pan Goldstein, ze śrubokrętem w dłoni. — Najlepiej być na wszystko przygotowanym. — Starł pot z czoła wielką chustką. Potem dodał z troską: — Już się zastanawialiśmy, czy nie powinniśmy odesłać Seta wcześniej do domu.

—Nie ma mowy! — zawył jego wnuk. — Jeszcze nigdy nie widziałem huraganu. Chcę napisać dla „Gazette” reportaż z pozycji naocznego świadka. Będę pierwszym członkiem naszego zespołu redakcyjnego, który zobaczył na własne oczy sztorm niosący zagładę!

Zostawiłam ich zaciekle się spierających i poszłam po Bitsy, by wyprowadzić ją na spacer.

Rano sztorm doszedł do czwartego stopnia. Wiał z siłą od dwustu dziesięciu do dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i walił właśnie w znajdującą się u południowo-zachodnich wybrzeży Kuby wyspę Pinos, gdzie znajdowało się więzienie, z któregoś kiedyś uciekł mój ojciec. Huragan uderzył w wąski cypel największej wyspy w prowincji La Habana i gwał z rykiem na północ, ku Hawanie, zostawiając za sobą rozległy pas zniszczeń.

Dochodzące z Kuby wiadomości były skąpe, ale wszystko wskazywało na to, że zniszczenia są poważne, a liczba ofiar wysoka. Hawana, gdzie przeważnie są stare, w kiepskim stanie budynki, ulegnie w dużym stopniu zniszczeniu. Góry na wschodzie Kuby rozbiją huragan, ale do tego było jeszcze daleko.

Na ekranie mojego monitora pojawiła się notatka, bym przysłała do biura kierownika działu miejskiego.

—Siadaj — zaczął Fred Douglas z ponurą miną.

Oho, czyżby dowiedział się o wycieczce z Bravo po międzystanowej numer jeden?

Uśmiechnęłam się i, choć kotłowało mi się w głowie, udawałam niewiniątko.

—Britt... chodzi o bardzo delikatną sprawę. — Wstał, wyszedł z gabinetu, po cichu zamienił kilka słów z sekretarką, wrócił i zamknął za sobą drzwi. Kolejny zły znak. — Normalnie nie pytałbym cię o coś takiego — powiedział siadając — ale mieliśmy skargę...

Żołądek zwinął mi się w kłębuszek.

—Na mrtie?

—Nie. — Zrobił minę, jakby dziwił się, skąd taki pomysł. — Małżonka jednego z naszych współpracowników, która ma podobno pewne kłopoty małżeńskie, zarzuciła nam, że... — przerwał, wyraźnie zażenowany — doszło w naszej redakcji do nieprzyjemnej sytuacji...

—Trójkąt miłosny? Kiwnął głową.

—Podobno ty możesz coś na ten temat wiedzieć.

—Ja? Dlaczego ja? — Przez głowę zaczęły mi przemykać różne możliwości. Czyżby Lottie sypnęła?

—Skrzywdzona małżonka podejrzewała w minioną środę, jakoby w późnych godzinach wieczornych miało dojść w tym budynku do spotkania, obserwowała więc redakcję, czekając gdzieś na zewnątrz. Twierdzi, że widziała, jak wychodzą razem, tuż jednak przedtem zjawiła się z Lottie Dane i szybko obie wyszłyście. Obie osoby, których sprawa dotyczy, negują zarzuty i twierdzą, że pracowały do późna niezależnie od siebie. Należy dodać, że małżeństwo, którego ta sprawa dotyczy, skierowało się w celu naprawy ich związku do profesjonalnego terapeuty, małżonka oczekuje jednak od nas czegoś w rodzaju działań dyscyplinarnych. Obie osoby, których dotyczą zarzuty, są jednak wartościowymi pracownikami i mogłoby to mieć wpływ na ich przyszłość, a nawet złamać im karierę. — Popatrzył na mnie z oczekiwaniami.

Odwzajemniałam spojrzenie, choć rozmowa mierzyła mnie. Chyba błędnie odczytał moją minę.

—To, co robią dorośli, powinno być jedynie ich sprawą — dodał — i w normalnym przypadku tak jest, ale wiesz, jaki jest stary. Zawsze walczy o wysokie standardy moralne i zależy mu na tym, byśmy i my się do nich stosowali. W końcu dzień w dzień obserwujemy i



piszemy o zachowaniu oraz etyce ludzi, a dodam, że strona, której dotyczy problem, dzwoniła już do niego kilka razy z żądaniem podjęcia działań.

—Rozmawiałeś z tą dwójką? Skinął głową.

—To wartościowi pracownicy i nie wierzysz im?

—Chcemy wszystko sprawdzić. Czy w środę wieczorem zauważyłaś w redakcji coś niezwykłego?

—Mogliby stracić pracę? — Opadłam plecami na oparcie, skrzyżowałam nogi i na tę myśl złośliwie się uśmiechnęłam.

—Britt, wiem, że z jedną z zamieszanych w sprawę osób miałaś w przeszłości określone trudności, ale oczekuję pełnej szczerości z twojej strony.

Westchnęłam.

—No dobrze. Byłam tu w środę wieczór. Z Lottie. Przyszłam sprawdzić, czy pewna osoba została aresztowana, a Lottie miała film do wywołania.

—Widziałaś kogoś?

—Tak.

—I?

—Nie zauważyłam niczego, co mogłoby się wydawać dziwne. „Zamieszane w sprawę osoby” były debilami, że zdecydowały się na

miłość w redakcji, ale w końcu nie było to aż tak rzadkim wydarzeniem. Znam parkę gli-niarzy, która twierdzi, że kochała się po zapadnięciu zmroku na środku boiska na Orange Bowl, Lottie przyznała mi się kiedyś do namiętnej randki w koszu balonu. Choć moje sekskapady wypadają w porównaniu z tym blado, uważałam, że to skandal, by Fred w imie-niu naczelnego prowadził śledztwo dotyczące życia erotycznego swoich pracowników. Ciekawe, czy w odwrotnym przypadku, to znaczy, gdyby jeden z naczelnych, mężczyzna, prze-spał się z reporterką, też wywołałoby to wścibskie zainteresowanie? Wątpię. Najpierw jed-nak trzeba było ostrzec Lottie. Jakby czytał mi w myślach, Fred powiedział:

—Oto i ona.

Rozejrzałam się i ujrzałam zbliżającą się Lottie, najwidoczniej wezwaną z ciemni.

—Dziękuję, Britt — powiedział Fred i, kiedy wychodziłam, dał jej znak, by weszła.

Kiedy wymieniłyśmy się w przejściu spojrzeniami, spróbowałam dyskretnie dać jej znak. Nie byłoby wesoło, gdyby nasze wersje się nie zgadzały.

Nigdzie nie zauważyłam Rona, przy biurku redaktora dyżurnego siedziała jednak Gretchen, obserwując jak wracam do swojego miejsca pracy. Musiała czuć pismo nosem. Najpierw ja jestem wzywana na rozmowę, potem Lottie. Jak na Kremlu. Wyglądała na ledwo żywą. Mogłabym w zasadzie dodać jej otuchy uśmiechem, ale aż taka miła nie jestem.

Przez szyby oszklonego biura Freda widać było profil Lottie. Miała lekko otwarte usta, rozszerzone oczy wyrażały znakomicie udawane zdziwienie. Po kilku minutach była na zewnątrz. Przechodząc obok, spytała wesoło:

—Kawy?

—Jasne.

Nie odezwałyśmy się, dopóki nie zamknęły się za nami drzwi windy. Wcisnęłam trójkę.

—Widziałaś cokolwiek? — spytała, opierając się leniwie o ścianę.

—Nic niecodziennego.

—To tak jak ja.

—Dobrze... — westchnęłam z ulgą. — Miałam nadzieję, że tak powiesz.

—Widziałam to perskie oko, które mi puściłaś, wychodząc od Freda. Czy to nie wstrętne, że grzebią ludziom w ich prywatnych sprawach?

—Widziałaś minę Gretchen? — spytałam, kiedy wysiadałyśmy. — Jest bardzo zaniepokojona.

—Świetnie. — Lottie szatańsko się uśmiechnęła i wzięła tacę. Nalałam sobie filiżankę kawy, ona zalała wodą torebkę z herbatą.

—Szkoda, że nie udało mi się dokończyć w domu montażu tych sprawdzonych na Bahamach żaluzji — stwierdziła, kiedy siadałyśmy. — Są takie drogie, że dokupuję tylko po dwie na rok i zostały mi jeszcze cztery okna. Mam nadzieję, że huragan nie idzie na nas, bo jeśli tak, to całe pieniądze z wygranej pójdą na remont.

—Przecież od wieków udaje nam się uchylić przed atakiem — powiedziałam ufnie. — Teraz jest nad zachodnim krańcem Kuby.

—Byłoby miło, gdyby przy okazji wywiało pana Castro. — Wypiła łyk herbaty. — Czyż delikatna równowaga przyrody nie jest zadziwiająca? Gdzieś w Australii mały motylek machnie skrzydełkami, drobnutki ruch powietrza wywołuje większy, ten zawiruje i zrobi kilka salt, a trzy tygodnie później nad Antylami kipi huragan.

Wizja była pełna fantazji.

—Nie sędę, by meteorologowie tak to widzieli. Choć muszę przyznać, że brzmi to dla mnie sensowniej od ich używanego w prognozach żargonu.

Spróbowałam zadzwonić do detektywów zajmujących się sprawą Armando Gutierrez, kiedy jednak ktoś podniósł słuchawkę, okazało się, że właśnie wyszli. Farmera z FBI też nie było u siebie. Co się działo? Setki kilometrów od nas przeciąga niewielka burza i od razu wszyscy znikają.

Głos ciotki Odalys nie brzmiał zbyt pewnie, ale twierdziła z uporem, że czuje się dobrze.

—Britt, *mi hijita*. Wysłuchaj mnie... — wymruczała ledwo ledwo. — Duchy zawsze są z tobą. Pamiętaj jednak, że nigdy się nie ucieknie przed *la mala hora*.

Przed swą złą godziną.

—Świetnie — zaszcebiotałam wesoło. — Chciałam się tylko upewnić, że u ciebie wszystko w porządku i że na wypadek, gdyby huragan do nas dotarł, jest przy tobie ktoś do pomocy.

—*Si* — szepnęła. — Strzeż się *la mala hora*. Wesoło nastrojona, zadzwoniłam do matki.

—Britt! Masz jeszcze ten mały londyński trencz, który załatwiłam ci z przeceny? Będzie znakomity, kiedy dotrze do nas sztorm. Przyjedziesz wtedy do mnie?

Uśmiechnęłam się. Ostatni prawdziwy huragan zwałił się na południową Florydę, kiedy byłam dzieckiem. Pamiętałam, jak siedziałyśmy we dwie, skulone w kącie maleńkiego mieszkania, a za oknami hulał wicher. Przez tydzień nie było wtedy prądu.

—Będę pracować, mamó. Jeżeli sztorm do nas dotrze, będę o nim pisać. Muszę cię o coś zapytać.

—Tak?

— Winslow, ten facet z czasów ojca, pamiętasz go? Był z CIA. Czy nie przypominasz sobie, czy kiedyś nie mówił, skąd pochodzi albo gdzie zamierza zamieszkać, gdy przejdzie na emeryturę? — Uniosłam ołówek nad pustą kartką. — Nie wiesz przypadkiem, ile ma lat?

Odwiesiła słuchawkę.

Chwilęostałam zadumana i kiedy sięgałam po kluczyki do samochodu, Ryan, który siedział przy telefonie i dzwonił gdzieś w sprawie sztormu, zawył w kierunku redaktora dyżurnego:

—Hej, może się u nas zjawić! Narozrabiał jak cholera na Kubie, teraz stoi nad cieśniną, nie ruszył się od trzech godzin, ale może skierować się na północny zachód w kierunku Keys.

Znajdujące się na zachodzie hrabstwa Dade Narodowe Centrum do spraw Huraganów, wielka, zbudowana niczym Fort Knox szara ceglana bryła (dwudziestopięciocentymetrowe ściany, anteny satelitarne na dachu, urządzenia pomiarowe siły wiatru, wnętrza zapchane po sufit sprzętem radarowym i obserwacyjnym) ogłosiło dla swoich pracowników czerwony alarm.

A niech to jasna cholera... Kipiąc ze złości, wyszłam z redakcji. Wiedziałam, jak zostaną przyjęta, ale niewiele mnie to obchodziło. Wybiegłam na parking. Wszystko ma swoje granice. Jak śmiała odłożyć słuchawkę? Odkąd pamiętam, wysłuchuję cierpliwie jej bełkotu na temat mody i pokazów, znoszę jej żenujące próby wyswatania mnie, jej nastroje, złe humory, palenie papierosów, tajemniczość i wykręty, ale jeszcze nigdy nie rzuciłam w czasie rozmowy słuchawką.

Zapukałam raz i natychmiast otworzyła drzwi. Przez ramię miała przerzuconą płócienną torbę, na podłodze leżała walizka. Przez chwilę zabrakło jej słów.

—Ojej, myślałam, że to portier.

—Dokąd się wybierasz?

—Emma, koleżanka z pracy, zaprosiła mnie do siebie. Mieszka wysoko, w Grove. Wolę ewakuować się na czas.

—Mamo, ten budynek jest stuprocentowo bezpieczny. Jak dotąd nie ma alarmu. — Uciekała przed nadchodzącym sztormem czy przede mną? — Nie zamierzałaś mnie nawet zawiadomić, gdzie będziesz?

—Chciałam zadzwonić.

Było widać, że kłamie. Zamknęłam drzwi i oparłam się o nie plecami.

—Mamo, nie mogę uwierzyć, że odłożyłaś słuchawkę. Przyglądała mi się ostrożnie.

—Musisz mi pomóc. Nie widzisz, że im bardziej się wykręcasz, tym bardziej chcę się dowiedzieć czegoś o ojcu?

—Powiedziałam ci już wszystko — stwierdziła z oburzeniem. — Kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem.

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Portier.

— Muszę teraz iść — oznajmiła obcesowo. — Zadzwoń do ciebie, skarbie.

— Nie. — Otworzyłam drzwi i uśmiechnęłam się do umundurowanego pana w średnim wieku. — Przepraszam, ale mama już pana nie potrzebuje. Pomogę jej zejść na dół.

Zamknęłam drzwi, nim któreś z nich zdążyło zaprotestować.

— Ponieważ odmówiłaś mi pomocy i w dalszym ciągu ze mnie drwisz — zaczęłam, a dawno już nie byłam tak wściekła — omal nie straciłam słuchu, o mało nie zostałam aresztowana albo zastrzelona, jeździłam po mieście z Jorgem Bravo, snułam się za Juanem Carlosem Reyesem, znalazłam trupa, zostałam upokorzona przed policjantami, z którymi mam na co dzień do czynienia, a nawet padłam w ramiona facetowi, którego ledwie znam. Wszystko przez ciebie!

Jej wzrok złagodniał.

— Jest w twoim życiu nowy mężczyzna?

— Nie o to chodzi. — Drżał mi głos. — Jeżeli chcesz mnie jeszcze kiedyś zobaczyć, lepiej będzie, abys odpowiedziała na kilka pytań!

— Pytaj ! — W jej oczach migotała złość.

— Jak wyglądały twoje kontakty z Reyesem?

— Jak śmiesz wtrącać się w moje prywatne życie!

— O co chodzi z tymi kolczykami?! Poderwała do góry brodę w geście protestu.

— To prezent.

— Tego się już domyśliłam. Od kogo?

— Nie wiem. — Zaczęła rozglądać się po pokoju, jakby szukała drogi ucieczki. — Dostałam je od Reyesa, który twierdził, że są od twojego ojca. Podobno Tony dał mu kolczyki na Kubie z prośbą, by mi je przekazał, jeżeli nie uda mu się stamtąd wydostać. Nie wierzyłam w tę wersję ani przez sekundę.

— Dlaczego?

Uniosła równusieńko umalowane brwi.

— Po pierwsze, były to kolczyki, a nie klipsy. Tony wiedział, że nie mam przekłutych uszu... a poza tym to nie jest mój styl. Nigdy bym ich nie założyła. — Lekko skrzywiła klasyczny nosek.

Oto cała moja mamusia...

—Uznałam, że Reyesowi albo zrobiło się żal samotnej wdowy z dzieckiem i chciał zrobić miły gest, albo chciał się przymilić z innego powodu, na przykład zamierzał mnie uwoździć. Wiesz, jak mężczyźni starają się „pomóc” kobietom, którym coś złego się przytrafiło. Poza tym dlaczego Tony Monterò miałby cokolwiek przysyłać kobiecie, którą porzucił?

—Może dlatego, że zamierzał wrócić.

—Rzygać mi się chce od tak naiwnych uwag! Dlaczego uparłaś się psuć mi nastrój grzebaniem w nieszczęśliwej przeszłości?! — wybuchnęła. — Wychodzę. — Zrzuciła na ramię torbę.

—Miałaś z Reyesem romans? Wbiła we mnie zdumiony wzrok.

—Kilka razy jedliśmy razem kolację. Tańczyliśmy. Byłam młoda. Samotna. Nie.

—Czy mój ojciec pracował dla CIA?

Jeszcze bardziej ją to zdziwiło. Wzruszyła ramionami.

—Nic o tym nie wiem, ale w końcu zawsze dowiadywałam się o wszystkim ostatnia.

—Winslow był agentem CIA. Kiedy widziałaś go po raz ostatni?

—Jakieś trzydzieści lat temu. Naprawdę muszę już iść. — Z tymi słowami zrobiła krok w kierunku drzwi, które w dalszym ciągu blokowała.

—Czy widziałaś się z nim albo słyszałaś o nim po śmierci ojca? Chwilę się zastanawiała, potem — jakby wzburzyło ją coś, co sobie przypomniała — wybuchnęła.

—Nie, chyba nie, ale i tak mnie to nic nie obchodzi! Mam w nosie wszystko, co się wiąże z tamtymi sprawami! Twój ojciec był łobuzem i wielka szkoda, że się w niego wrodziłaś. Wychodzę! Jeśli masz ochotę, zostań! Kiedy będziesz wychodzić, nie zapomnij zatrzaskać drzwi.

Podeszła, jakby zamierzała mnie odsunąć na bok. Była czerwona jak burak. Nawet nie próbowałam jej zatrzymać. Nie zamierzałam tak samo pomagać jej w znoszeniu bagażu. Złapała walizkę i, ciągnąc za sobą torbę, wypadła na korytarz.

Nawet nie powiedziała „do widzenia”.

Kiedy było już pewne, że sobie poszła, zasunęłam zasuwę, sprawdziłam jej notes z adresami i przerzuciłam zawartość biurka. Potem sprawdziłam szafy w sypialni. Nie znalazłam w nich nic, co wiązałoby się z przeszłością. Kolczyki wrzuciła do tandetnego blaszanego pudełka na stoliku w garderobie. Schowałam je do kieszeni. Należały do mnie. Dostałam je w prezencie na osiemnaste urodziny. Najchętniej zadzwoniłabym do Hala albo McDonalda,

albo kogoś innego, kto poprawiłby mi nastrój dobrym słowem. Zamiast tego wróciłam do redakcji.

Jak na tę porę dnia panował w niej niezły kocioł. Według ostatnich komunikatów, sztorm pokonywał cieśninę i coraz bardziej potężniał, kumulując w sobie energię wypromieniowywaną przez ciepłą wodę. Choć osiągnął już piąty stopień, jeszcze się wzmagał. Właśnie minął wyspy Keys, obdarowując je wysoką falą, ulewami i tornadowymi wichurami o prędkości dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, i sunął na północ wzdłuż wybrzeża. Najważniejszą wiadomość stanowiło, że ośrodek sztormowy przesuwa się z prędkością niemal trzydziestu kilometrów na godzinę, czyli dwukrotną dla takiej wielkości sztormu, i że prędkość ta ciągle rośnie.

„Pogotowie huraganowe” zostało szybko zmienione na „ostrzeżenie przed huraganem”, co oznaczało, że jest on spodziewany w ciągu dwudziestu czterech godzin.

— Jeżeli musicie, jedźcie do domów, aby je zabezpieczyć i w bezpiecznym miejscu umieścić rodziny, ale wracajcie jak najszybciej — oznajmił Fred na pospiesznie zorganizowanym zebraniu. — Wzywamy z domu każdego, kto ma wolne. Ten huragan może dojść do nas wcześniej, niż ktokolwiek się spodziewa.

Nie było dla mnie wiadomości od Farmera ani detektywów. Zadzwoiłam do biura FBI. Farmer był u siebie.

— Cześć, dowiedziałeś się czegoś?

Miał zmęczony głos i sprawiał wrażenie, jakby się bardzo spieszył.

— Mam dobre wieści i złe wieści. Dobra jest taka, że znalazłem Winslowa.

Zabiło mi serce. Będzie musiał ze mną porozmawiać.

— Zła wieść jest taka, że nie żyje.

— Co się stało?

— Przeszedł wcześniej na emeryturę, najwyraźniej z powodu problemu alkoholowego, nad którym nie był w stanie zapanować. Pięć lat temu wychodził z baru w Aleksandrii w stanie Wirginia i został zastrzelony. Wyglądało to na napad, ale sprawa nie została nigdy ostatecznie rozwikłana. Jego córka mieszka tam do dziś.

— Jak się nazywa?

Gdzieś obok niego rozległy się hałasy i głosy. Rozmawiał ze mną, jakby nie mógł się skoncentrować.

—Potrzebujesz tego?

Powiedziałam, że tak i zapytałam, co się u nich dzieje.

—Nadchodzi sztorm — odparł z irytacją. — Próbujemy zabezpieczyć budynek i przenosimy wszystkie akta na wyższe piętra.

—Jak nazywa się córka?

—No dobrze, tylko nie mów jej, skąd o niej wiesz. Meredith Jessup, mieszka w... eee... przepraszam, gdzieś zgubiłem kartkę. Jest w książce telefonicznej pod nazwiskiem męża. Simon. Adres gdzieś na Worthington Avenue.

Ponownie spróbowałam zadzwonić do detektywów, ale w dalszym ciągu nie miałam szczęścia.

—Jeszcze tu jesteś? — spytał Fred, podchodząc do mojego biurka. Spojrzał nerwowo na zegarek.

Jazda do domu zajęła mi zamiast zwykłych dziesięciu minut czterdzieści. Mosty popodnoszono, aby przepuścić wysokomasztowe jachty. Ulice zmieniały się w koszmar, a był to dopiero początek.

Od lat nie uzupełniałam zapasów „huraganowych”. Miałam kilka butelek wody i przeterminowanych puszek tuńczyka. Co prawda nie brakowało mi karmy dla kotów, ale musiałam dokupić świece, baterie, chleb i lód. Parking przy centrum Publix był co prawda pełen, ale udało mi się zauważyć wyjeżdżający samochód i wjechać na jego miejsce.

Kiedy weszłam do supermarketu, zamarłam.

Większość półek świeciła pustkami. Nie było chleba, butelkowanej wody ani baterii. Tak samo skończył się lód. Po sklepie biegali z obłędem w oku rozgorączkowani ludzie, pchając przed sobą wózki wypełnione wszystkim, co tylko udało się do nich zapakować. Kilku walczyło o ostatnie puszkę napojów. Chciałam wziąć kilka pięciokilowych opakowań piasku dla kotów, aby na wszelki wypadek założyć workami drzwi wejściowe do domu, ale w sklepie panował zbyt wielki chaos. Nigdy bym się stąd nie wydostała.

Odwróciłam się i wyszłam z pustymi rękami. Na parkingu odbywał się koncert na klaksony, wybuchały emocje, w dwóch miejscach doszło nawet do stłuczek. Kiedy wyjeżdżałam, kilku kierowców zaczęło walczyć o moje miejsce. Nie zamierzałam zostawać i rozstrzygać sporu między nimi.

Pan Goldstein i Seth zamocowali osłony już na niemal wszystkich oknach. Seta aż rozsadzało z podniecenia.



—Britt, on naprawdę nadchodzi!

—Niekoniecznie. Ciągłe jeszcze może skreślić i nas ominąć. Ewakuujecie się? — spytałam jego dziadka.

Miami Beach, wąska wysepka, nie ma murów przeciwsztormowych od strony oceanu. Jego mieszkańcy powinni na wypadek huraganu udać się na stały ląd i czekać na decyzję władz administracyjnych o powrocie do domów. Jeżeli sztorm do nas dotrze, może to potrwać kilka dni.

Skinał głową.

—Jeżeli z następnej prognozy nie wyniknie, że coś się drastycznie zmieniło, wyjeżdżamy. Żona już się pakuje. Co zamierzasz zrobić z Bitsy i Billym Bootsem?

Punkty ewakuacyjne nie przyjmują zwierząt.

—Nie wiem. — W razie kryzysu najchętniej miałabym zwierzęta przy sobie.

—Nie jedziemy do punktu ewakuacyjnego. Mamy kuzynkę przy Country Walk, na południowym zachodzie miasta. To dość daleko położone w głębi lądu stosunkowo nowe osiedle. Powinno być bezpiecznie. Możemy zabrać zwierzęta ze sobą.

Niechętnie je oddam, ale, jak mówił pan Goldstein, nie zaszkodzi być przygotowanym na wszystko.

—Postawię przy drzwiach klatki i jedzenie dla nich — powiedziałam z wdzięcznością.

Zrobiłam to, dodając nową zabawkę dla Billy'ego i kość dla Bitsy. W dalszym ciągu wierzyłam, że nie dojdzie do kataklizmu, traktowałam więc to, co się dzieje, jak coroczne ćwiczenia. Kiedy zostanie ogłoszony następny komunikat pogodowy, południowa Floryda odechnie z ulgą i życie potoczy się dalej swoim rytmem, tyle tylko że handlarze butelkowanej wody i baterii będą nieco bogatsi.

Nalałam wody do wanny i dzbanków, zamrażarkę i lodówkę nastawiłam na maksimum i wyłączyłam z kontaktu pozostałe urządzenia elektryczne. Do torby wrzuciłam latarkę, przenośne radio, wszystkie baterie, jakie udało mi się znaleźć, szczoteczkę do zębów, pastę, mydło, dezodorant, zmianę bielizny, parę dzinsów, podkoszulki, skarpetki i baton owocowy. Strażackie buty i zapasowe reeboki leżały już w bagażniku samochodu. Bitsy stała przygnębiona pod krzesłem i przyglądała się, co robię, Billy Boots jednak nerwowo chodził po pokoju i pomiaukiwał.

Jakie to wszystko irytujące! Nie mogło być gorszej koordynacji w czasie. Po głowie chodziły mi myśli o Winslowie, jedynym człowieku, który mógł wypełnić luki, powiedzieć mi to, czego chciałam się dowiedzieć. Cholera jasna, dlaczego musiał być alkoholikiem?

Ucałowałam na pożegnanie Goldsteinów, zrzuciłam z siebie Seta, który zebrał, żebym zabrała go ze sobą, i wrzuciłam do samochodu przygotowaną torbę. To, co się działo, nie mogło być realne. W drodze do redakcji skręcałam ku South Beach, aby rzucić okiem na ocean, jakby mógł mi powiedzieć, co planuje Matka Natura. Powierzchnia wody była idealnie spokojna i cicha, piękna jak zawsze. Ludzie bawili się na plaży w rzucanie latającym talerzem, brodaty kaznodzieja, wyciągając w górę ręce, wygłaszał na rogu ulicy kolejną tyradę. Widok jak co dzień, nic tajemniczego, ale mimo to coś było nie tak. Czegoś brakowało. Stałam przy samochodzie i wpatrywałam się zza zmrużonych powiek w słońce. Co było nie tak z tym pocztówkowym widokiem? Fale jak zwykle po południu uderzały z hukiem o plażę, wschodni horyzont obrzeżała linia ciemnoszarych chmur. Po chwili dotarło do mnie, czego brakuje. Ptaków. Nie było ani jednego ptaka. Wszystkie uciekły.

A więc ten cholerny huragan jednak do nas dotrze. A niech to jasna cholera!

Wróciłam gwałtownie do rzeczywistości. Uruchomiłam samochód, zawróciłam i włączyłam radiostację na kanał pogodowy. Szstorm w drodze na północ przyspieszył i jeszcze się nasilił. Ściągnięty ośrodkiem niskiego ciśnienia, skręcił na północny zachód i w tej chwili bezlitośnie pruć ku Miami. W dalszym ciągu miał najwyższy stopień — piąty, znajdował się około trzystu kilometrów od wybrzeża, wiejący w nim wiatr dął z prędkością ponad dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, w porywach do trzystu dwudziestu.

O nie, tylko nie teraz... A niech to cholera. Nie byłam przygotowana. Lada chwila zostaną opuszczone wszystkie mosty. Kobiety w ostatnich trzech miesiącach ciąży poprosi się o udanie się do szpitala, ponieważ bardzo niskie ciśnienie przyspiesza akcję porodową. Niestety nie będą mogli im towarzyszyć członkowie rodzin, ponieważ szpitale już były przepełnione przez sercowców i cukrzyków. Meteorologowie wyrażali niepokój co do losów mieszkańców strefy przybrzeżnej, bowiem dziewięćdziesiąt procent z nich jeszcze nigdy nie przeżyło na własnej skórze huraganu. Ostatni zanotowano w naszej okolicy w 1965 roku. Czekałiśmy już za długo na Wielkie Bum. Dokładnie jak określiła to Lottie. Cholera jasna!

Miałam spędzić okres huraganu w ośrodku anatomii patologicznej hrabstwa Dade, by przekazywać do redakcji wiadomości o dokładnej liczbie ofiar śmiertelnych. Dostałam służbowy telefon komórkowy i miałam informować o każdym nowo przywiezionym przypadku. Robota nie zapowiadała się na najgorszą. Budynek jest solidny, ma własne awaryjne generatory prądu, sąsiaduje ze szpitalem hrabstwa, po drugiej stronie ulicy znajduje się centrum traumatologii i. Kostnica może pomieścić trzysta pięćdziesiąt ciał i jest ostatnim miejscem w mieście, któremu oficjele Miami pozwoliliby funkcjonować bez prądu. Przed wyjściem z redakcji zadzwoniłam do Aleksandrii w stanie Wirginia.

Odebrała Meredith Jessup.

—Nie zna mnie pani — zaczęłam i przedstawiłam się. — Dzwonię w sprawie pani ojca.

—Wie pani, że nie żyje?

—Tak, dlatego dzwonię do pani.

—Nareszcie. Dowiedziała się pani czegoś?

—Nie... — odparłam zaskoczona. — Chciałam zapytać o to, co robił w Miami, razem z kubańskimi emigrantami. Trzydzieści lat temu.

—O... — Była wyraźnie rozczarowana. — Tak dobrze go nie znałam. Kiedy byłam małą, prawie nigdy nie siedział w domu, ciągle miał jakieś zadania do spełnienia. Floryda, Haiti, Ameryka Centralna, Menda w Meksyku. W końcu rozwiódł się z matką. — Westchnęła. — Zaczynałam go poznawać właśnie wtedy, kiedy został zamordowany. Myślałam, że dzwoni pani w tej sprawie. Jest pani dziennikarką, pomyślałam więc, że...

—Że co?

—Nigdy nie uwierzyłam w wersję z napadem. Pomyślałam, że może coś pani odkryła.

Cóż za pokrewny duch... I ona nie umiała rozwikłać historii życia i śmierci ojca.

—Jak to się stało?

—Kiedy przeszedł na emeryturę, przeprowadził się do naszego rodzinnego domu. Kiedy matka zmarła, a ja chciałam wyjść za mąż, poprosiłam go, by pozwolił mi odejść i prowadzić samodzielne życie. Zgodził się i zaczęliśmy się znakomicie dogadywać. Miał problem z pić, ale zapanował nad nim. Zaczął organizować sobie życie. Miał mnóstwo żalu do siebie, wie pani, z powodu pracy... nie pisze pani o żadnej z akcji, w których brał udział?

—Nie, próbuję dowiedzieć się o tym, co się stało z moim własnym ojcem. Został zabity, kiedy miałam trzy lata.

Na chwilę zapadła cisza.

—Tak, przeszłość nigdy człowieka nie opuszcza... — powiedziała w końcu z zadumą.

—Nie można w żaden sposób jej z siebie strząsnąć.

—Musiał żyć z widmem swoich przeżyć. Jestem pewna, że nie znam nawet połowy z tego, co kazano mu robić. To, do czego go zmuszano, dręczyło go przez lata. Jestem pewna, że między innymi dlatego pił.

—Co pani wie o jego działalności w Miami?

—Wiem, że pracował tam przez kilka lat. Kiedy byłam w pierwszej i drugiej klasie, przysyłał mi stamtąd dość często pocztówki.

—To wszystko?

—Miał żal do Miami. Nigdy nie pojechałby tam na wakacje. Nie chciał mieć z Miami nic wspólnego.

—Zostały po nim jakieś akta, nagrania, pamiętnik?

—Nie. W rzeczach po nim nic takiego nie znalazłam. Można by sądzić, że był człowiekiem bez przeszłości.

Pomyślałam, że być może znał moją matkę, zaraz jednak uświadomiłam sobie, że co do tego nie było żadnej wątpliwości.

—Choć muszę przyznać, jest jedna dziwna sprawa. Tuż przed śmiercią wspomniał o czymś, całkiem mimochodem. Przyszedł wtedy do mnie na lunch... jak on się cieszył, że ma wnuka... i wspomniał, że spotkał kogoś z dawnych lat, kogo od wieków nie widział. Odniosłam wrażenie, że chodziło o kogoś z Miami.

—O przyjaciela?

—Nie. Mówiąc o tym, nie wyglądał na zdenerwowanego, bardziej na przygnębionego.

—Co było potem?

—Dwa dni później został zastrzelony, kiedy wychodził z baru. Bardzo mnie to zaskoczyło, ponieważ, jeżeli się nie myliłam, od pół roku nie pił niczego mocniejszego od mrożonej herbaty. Policja uznała, że chodzi najprawdopodobniej o napad rabunkowy, ale kiedy oddali mi jego portfel, okazało się, że w środku jest dwieście dolarów. Nie zabrano mu także zegarka. Policja uznała, że napastnik musiał zostać spłoszony i uciekł, ale ja nigdy nie kupiłam tej wersji. Uważam, że musiało dotyczyć to jego przeszłości. Detektywi rozmawiali z kimś z Agencji dopiero na moje wyraźne żądanie, nigdy jednak nie zajęli się sprawą poważnie.

—Jak do niego strzelano?

—Kiedy wsiadał do samochodu, który stał przy krawężniku, dostał dwie kule tuż pod uchem. Mały kaliber. Chyba dwudziestkadwójka. Powiedzieli mi, że nawet nie poczuł, co się dzieje.

Po ramionach przebiegł mi chłodny dreszcz.

—Byli świadkowie? Ktoś, kto słyszał strzały, widział zabójcę?

—Nie. Zanim go znaleziono, już jakiś czas nie żył. Zobaczył go przejeżdżający taksówkarz i zawiadomił policję.

—Kiedy to się stało?

—Pięć lat temu. Dwudziestego siódmego maja. Naprawdę bardzo mi było żal, że tak się stało. W dzieciństwie praktycznie nie miałam z nim kontaktu i kiedy nareszcie zaczynałam poznawać ojca, straciłam go. Tym razem na zawsze.

—Przynajmniej przez chwilę go pani miała. Niektórzy nie mają nawet tyle szczęścia.

—Taak... — powiedziała ze smutkiem. Ze słuchawki dobiegały odgłosy dziecięcej zabawy. — Jak zginął pani ojciec?

—Został na nim wykonany wyrok śmierci na Kubie. Pluton egzekucyjny. Wygląda na to, że uczestniczył w wojskowej misji przeciwko Castro.

—Przynajmniej zginął za coś i wie pani dlaczego. Życzę szczęścia w poszukiwaniach. Proszę dzwonić, kiedy pani zechce. Czy to prawda, że macie u siebie na południu huragan? Chyba widziałam coś na ten temat w telewizji.

—Jeszcze tu nie dotarł.

Wokół tablicy ogłoszeń zebrał się tłumek. Czytano ostatni komunikat, wydany przez Narodowe Centrum do spraw Huraganów. Wiszące nad głowami monitory przedstawiały zrobione w podczerwieni satelitarne zdjęcia sztormu: w środku gigantycznych zwijających się spiral wścieklej czerwieni, niczym serce żywej istoty, pulsowało jądro.

Właśnie wychodziła Lottie w żółtym sztormiaku. Będzie krążyć blisko samego oka cyklonu i robić zdjęcia. Żałowałam, że nie mogę pójść razem z nią, znaleźć się w centrum wydarzeń.

Zatrzymała się na chwilę przy mnie.

—Niech to dunder świśnie! Wygląda na to, że mamy wielkie BA-BUM!

—Uważaj na siebie. Mam nadzieję, że do koncertu Very Vereli będzie po wszystkim.

Koncert dla zaginionych chłopców miał się odbyć za dwa dni.

Zadzwoiłam do detektywów z Wydziału Zabójstw, ale w dalszym ciągu ich nie było. Cóż, zadzwonię ponownie z ośrodka medycyny sądowej. Kiedy zbierałam rzeczy, zadzwonił telefon.

—Monterò?

—*Hola, Jorge.*

—Musisz uciekać stamtąd, gdzie jesteś. Zbliża się huragan, a wkrótce nastąpi kolejny — jeszcze większy.

—Co?

— Ten sam wicher, który przeleciał w poprzek Kuby, przyniósł prawdę. *Diario Antonio*. Mamy go!

— Proszszszszęę...

— Kiedy zobaczył, co Antonio w nim napisał, z własnej woli przyszedł do nas wynajęty przez Reyesa *criminal*. Reyes był agentem Castro. Zdradził nas wszystkich.

— Muszę przerwać pański rutynowy występ, ale wie pan, że Frank Winslow nie żyje? Został zamordowany.

— *Muerto. Dios mio*. Nie wiedziałem.

— Nie wiedział pan, że został zlikwidowany w Wirginii, w bardzo podobny sposób jak Armando Gutierrez?

— Nie. Słowo. Kto go zabił?

— Sądziłam, że to pan może wiedzieć.

— Reyes! Winslow znał prawdę, tak więc Reyes kazał go zabić.

— Oczywiście, tak samo jak zastrzelił Kennedy'ego, nafaszerował cyjankiem partię środków przeciwbólowych, o czym niedawno było głośno, i wysadził budynek rządowy w Oklahoma City.

— *Que?*

— Nie mogę teraz rozmawiać, Jorge. Jestem zajęta.

— *Si*— odparł spokojnie i odłożył słuchawkę.

Kiedy jechałam do znajdującego się przy Bob Hope Road numer jeden ośrodka anatomopatologii, pojawiły się pierwsze porywy wiatru.

Jak podawało radio, stolica Kuby została zdewastowana. Zginęły setki osób, zniszczonych zostało wiele budynków, praktycznie całe miasto było w ruinie. W porównaniu z tym, czego dokonała Matka Natura, zniszczenia dokonane przez Bravo za pomocą granatników i broni maszynowej okazały się kroplą w morzu.

Kuba — kraj tak bliski, a równocześnie tak daleki. Przypomniały mi się słowa ciotki Odalys, że Kuba jest wszędzie: w tym, co jemy, w naszych modlitwach, sercach, marzeniach. Dlaczego ta wyspa, nie większa od Pensylwanii, od niepamiętnych czasów opętała tak rozległą i skomplikowaną sieć emigrantów i zwalczających się stronnictw?

Zaparkowałam, wysiadłam i z torbą oraz nareczem notesów poszłam w kierunku wejścia. Nim doszłam do schodów, nie wiadomo który raz z przyjemnością popatrzyłam na zabytkową, piętnastowieczną hiszpańską armatę.

Umeblowany w tonacji malinowej hol, wyłożony dywanem w delikatną kratkę, świecił pustkami. Nie było dyrektora; w budynku znajdował się jedynie „szkielet załogi”, włączając w to Miriam, osobę o macierzyńskim wyglądzie, która stała na czele grupy śledczej. Właśnie wychodziła z biura częstując mnie jednym ze swoich makabrycznych dowcipów. Posadziła mnie w niewielkiej sali konferencyjnej niedaleko kostnicy.

— Jest już ktoś poszkodowany przez nadchodzący sztorm?

— Jeden trup i dwoje rannych w wyniku rodzinnej kłótni czy się ewakuować, czy nie, jedno porażenie prądem. — Odliczała pozycje na palcach jak gospodyni domowa, sprawdzająca, które zakupy z listy już są załatwione. — Właściciel domu chciał strącić ze stojącej pod domem palmy orzechy kokosowe i metalowym drągiem, którym zamierzał to robić, dotknął przewodu.

Oj... Sztorm jeszcze nie nadszedł, a już ginęli ludzie. Czasami mam wrażenie, że mieszkańcy Miami nie umieją zrobić nic bez spowodowania własnej śmierci albo paru osób ze swego otoczenia.

— Właśnie słyszę, że jadą do nas dwa wypadki drogowe. Proszę bardzo... — rozpromieniła się — oto panowie detektywi od porażenia prądem...

W drzwiach zjawili się Hanks i Wogan. Na mój widok popatrzyli po sobie ze zdziwieniem. Mieli wysokie kalosze, zmierzwiłone przez wichur fryzury.

— Cześć, chłopcy! Marzę, by z wami pogadać! — zawołałam na powitanie. Popatrzyli z ukosa.

— Nie dostaliście ode mnie wiadomości?

— *Mucho* wiadomości, Britt. Nigdy się nie poddajesz? — spytał Hanks.

— Nigdy.

— Tak myślałem.

— Chciałam zapytać o kilka szczegółów dotyczących Armando Gutierrez. Jakiego użyto tłumika?

Detektywi znów popatrzyli po sobie i Billy usiadł przy stole, aby pisać raport o porażeniu prądem.

— Z kim rozmawiałaś? — spytał Hanks.

—Z nikim. Został zastrzelony w stylu, w jakim dokonuje się w niektórych krajach egzekucji, w biały dzień, dwiema kulami tuż za uchem. Nikt nic nie słyszał. Nie trzeba być geniuszem, żeby domyślić się, iż to profesjonalna robota, w dodatku przy użyciu tłumika.

—Ale nie opublikujesz tego.

—Dopóki nie dostanę od was zielonego światła.

Kiedy go oglądałam, wokół trupa Gutierrezza nie leżały kawałki ziemniaka, w ten sposób odpadał więc najtańszy i najprostszy model tłumika. Strzał przez ziemniak nie jest najczystszy, ale skuteczny. Może i są niewygodne do noszenia, ale mają też swoje plusy. Posiadanie ziemniaka nie jest zakazane przez prawo federalne. Jeszcze nie.

—No dobrze, strzelano przez tłumik, ale nie chcę przeczytać o tym w gazecie.

—Skąd ta pewność?

—Ma ranę kontaktową. We włosach miał tyle krwi, że nie dało się tego zauważyć na miejscu, po oczyszczeniu rany patolog stwierdził jednak, że znak po lufie jest większy, niż powinien być przy użytym kalibrze. Musiał to być tłumik, prawdopodobnie wzięty z kosiarki i przerobiony przez dodanie kilku przegród. Ścisza dźwięk strzału na tyle, że sprawia on wrażenie zatraskiwanych w samochodzie drzwi. Typowy huk znika.

—Czy to była dwudziestkadwójka?

—Posłuchaj, Britt. — Hanks usiadł i zaczął odrywać brzeg plastikowego kubka, który trzymał w dłoni. — Nie możesz tego opublikować.

—Już raz coś na ten temat mówiłam.

—Tak, dwudziestkadwójka. Przy mniejszym kalibrze łatwiej tłumić huk wystrzału, łatwiej też gwintować lufę do nakręcania tłumika.

Billy spojrział znad tego, co robił.

—Masz nazwisko tego kuzyna, najbliższego członka rodziny?

—Wujka. — Hanks odstawił kawę, otworzył notes i przeliterował nazwisko.

—Co Gutierrez miał w kieszeniach?

—Niewiele — odparł zamykając notes.

—Co?

—Jedno mogłoby cię zainteresować. Nas zainteresowało — powiedział Billy szczerząc zęby w uśmiechu.



—Co? — Patrzyłam to na jednego, to na drugiego. — Mówcie, nie wygłupiajcie się. Dam wam w zamian za to informację, której na pewno nie macie. No, mówcie!

—Najpierw ty. — Teraz i Hanks się szeroko uśmiechał. Opowiedziałam im o Franku Winslowie. Kiedy skończyłam, ich miny nawet nie drgnęły.

—No i co z tego? — powiedział Hanks.

—Ten sam sposób, ten sam krąg ludzi.

—Ale w zakichanej Wirginii, i to pięć lat temu. — Hanks był sceptyczny.

—To nie aż tak niezwykły sposób zabijania, Britt — dodał Billy.

—Nie zaszkodzi sprawdzić.

—Fachowiec nie trzymałby tak długo tej samej broni. Wzruszyłam ramionami.

—Myślałam, że to ciekawe.

—Może i warto zadzwonić w dwa, trzy miejsca i spytać — przyznał Hanks.

—No to teraz wy.

—Nie wiem, Bill. Sądzisz, że jej informacja była warta naszej?

—Zrób dziewczynie przyjemność...

—Obiecaliście, że...

—No dobrze, niech ci będzie.

—W kieszonce koszuli na piersi, na samym sercu — zaczął powoli Hanks, sącząc każde słowo — nieszczęśliwie zmarły pan Armando Gutierrez miał wizytówkę nieszczęśliwie zmarłego pana Alexa Aguirre'a, z dopisanym ręcznie telefonem domowym i numerem page-ra.

Wbiłam w nich wzrok. Zakotłowało mi się w głowie. Czyżby Bravo mówił prawdę? Niemożliwe. A jeśli?

—Uważacie, że coś ich łączyło?

—To jest czymś naprawdę wartym sprawdzenia. — Wyciągnął ku mnie palec wskazujący. — Będzie to pierwsza rzecz, jaką zrobimy, kiedy minie ten popieprzony sztorm. — Odsunął krzesło. — Chodź, Billy, musimy iść.

—Czy wizytówka była nowa, tak jakby dostał ją po przybynięciu do Miami, czy raczej wyglądała, jakby przywiózł ją z Kuby?

—Była brudna, pozaginana na rogach, zmoczona i potem wysuszona. — Hanks popatrzył na Billy'ego, który kiwnął mu potakująco głową. Wyszli.

Jak porozumieć się z Bravo? Zadzwoiłam do Reyesa. Odebrał osobiście.

—Panie Reyes...

—Juan Carlos — poprawił. — Próbowałem się z tobą porozumieć, Britt. Po pierwsze, jestem bardzo zaniepokojony, usłyszałem bowiem w stacji WQBA, że byłeś razem z Jorgem Bravo w hotelu, w którym dokonano morderstwa...

Pięknie, teraz FBI powiąże wątki. Chyba że tak byli zajęci zasłanianiem okien, że nie mieli czasu na słuchanie hiszpańskojęzycznych rozgłośni.

—Nie jestem w stanie wyrazić słowami, jak bardzo się niepokoję o twoje bezpieczeństwo i reputację — mówił Reyes. — Bravo to szaleniec. Niebezpieczny szaleniec. Nic go nie powstrzyma. Podejrzewam coraz bardziej, że jest agentem Castro.

Boże, czy każdy w Miami jest agentem Castro?

—Dlaczego tak pan sądzi?

— Z wielu powodów. Jednym z nich są jego nieustające starania, aby mi zaszkodzić oraz zniesławić moją organizację. Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że im bardziej podupada gospodarka Fidela, a jego władza słabnie, tym większym staję się dla niego zagrożeniem. Fidel doskonale o tym wie. Nie muszę chyba więcej na ten temat tłumaczyć, sama doskonale to rozumiesz. Drugim powodem, dla którego chciałem się z tobą skontaktować, było to, że tak jak obiecałem, mój asystent Wilfredo znalazł dziennik twojego ojca.

—Ma go pan? Jorge Bravo też twierdzi, że go ma.

—Sama widzisz, że to wariat. W tej chwili dziennik leży przede mną. Tutaj, na biurku. Trzymam go w ręku. Jest zakurzony, trzeba się bardzo delikatnie z nim obchodzić, ale jest cały i kompletny. Zaraz będę musiał wyjeżdżać, jak wiesz, ewakuowane są domy na wyspach. Kiedy jednak huragan minie, dostarczę osobiście dziennik tobie i Catalinie.

Ale byłaby scena...

—Nie, przyjadę po niego. Od razu, Już wsiadam w samochód.

—To niemożliwe. Policja nie pozwoli ci na wjazd na wyspę. Nie ma mowy. Skontaktuję się z tobą po huraganie.

Połączenie zostało przerwane.

Wysypałam zawartość torby na polerowany blat i zaczęłam nerwowo wszystko przeglądać. Znalazłam. Numer kontaktowy do Bravo. *Especialista* Luisa.

Nic poza tym się nie liczyło. Przez całe życie zajmowałam się cudzymi sprawami. Badałam, sprawdzałam, ale nigdy nie zrobiłam dla siebie tego, co zrobiłam dla tylu obcych ludzi. Teraz nadszedł czas dla mnie. Tym razem przeprowadzę badanie do końca. Dla ojca, dla siebie samej. Huragan był przy tym nieistotnym szczegółem. Przez całe życie znajdowałam się w oku cyklonu. Nic mnie teraz nie powstrzyma.

Złapałam torbę i, biegnąc w górę schodów do holu, wystukiwałam na telefonie komórkowym cyfry.

—Britt? — spytała na mój widok Miriam. — Chyba nie zamierzasz wychodzić?

—Zaraz wracam. Muszę tylko coś szybko załatwić.

Pobiegłam, wystukując równocześnie numer na komórkowcu. — Odpowiadaj, podnoś... — mruczałam do słuchawki. Drzwi frontowe otworzyły się nie bez trudu, kiedy wyszłam na zewnątrz, pchnął mnie nieoczekiwanie silny wiatr. O mało nie upadłam. Opuściłam nisko głowę i zaczęłam przeć ku samochodowi.

—*Hola.*

Podniesiono słuchawkę w momencie, kiedy zatrzasnęłam drzwi.

—Luisa? To ty?

—*Si?*

Przedstawiłam się i przekręciłam kluczyk w stacyjce.

—Muszę porozmawiać z Jorgem Bravo. Natychmiast.

—*El comandante?*

—*Si.* To nagła sytuacja.

—*Emergencia?* — Coś powiedziała do stojącej obok osoby. — Daj mi swój numer. — Podałam jej numer. — Zadzwoń.

—Natychmiast! Jak najszybciej.

Zadzwoił bardzo szybko, ledwie zdążyłam wyjechać na Dziesiątą Aleję.

—Nie wiem, co się dzieje, Jorge, ale przed chwilą rozmawiałam z Reyesem i powiedział, że ma dziennik przed sobą na biurku. Jadę teraz do jego domu, by przekonać się na miejscu.

—Zaczekaj! To nieprawda! On kłamie! To niebezpieczne. Mogę ci udowodnić, że...

—Nie wiem, komu i czemu wierzyć. Historia jest tak zagmatwana i dziwna, ale zamierzam dowiedzieć się prawdy.

—Huragan...

—Pierdołę huragan!

—Spotkajmy się.

—Nie, już to przerabialiśmy. Nic to nie dało.

Przedemną unosiły się sterty śmieci unoszone przez wicher nad jezdnią. Za nimi toczył się aluminiowy śmietnik i musiałam go ominąć. Z pozasłanianymi oknami i wymarłymi chodnikami Miami wyglądało jak miasto duchów.

—Błagam, Monterò, nie ryzykuj! Czy tak samo mówił do ojca?

—A co z Alexem Aguirre? Naprawdę przygotowywał audycję?

—To, co ci powiedziałem, to prawda. Armando Gutierrez miał przywieźć *diario*...

W słuchawce rozległ się skrzek elektromagnetycznego wyładowania i straciliśmy kontakt.

Kiedy dojeżdżałam do alei, po ulicach bogatej dzielnicy sunął powoli samotny radiowóz. Kierowca miał włączony megafon na dachu.

—Należy się ewakuować! Tak każe prawo! Zarządzono ewakuację. Jeżeli ktoś nie posiada własnego środka transportu, pomożemy naszym samochodem.

Stara śpiewka. JESTEŚMY PRZEDSTAWICIELAMI RZĄDU I PRZYBYLIŚMY WAM POMÓC. Kiedy słyszy się coś takiego, to ostateczny dowód, że wpadło się po uszy w szambo.

Boże drogi, ale niebo... Chmury kotłowały się w górze. Oby Reyes był jeszcze w domu... Może zdążę wziąć od niego dziennik i wrócić do kostnicy.

# Rozdział dwudziesty

---

W budce strażnika nikt nie siedział. Co prawda szlaban przy wjeździe został opuszczony, ale wyjazd był otwarty. Kiedy t-bird podskakiwał i kołysał się na boki, jadąc po smaganym wiatrem mostku, w radiu rozległ się najnowszy komunikat. Od strony oceanu miały uderzyć fale o wysokości do sześciu metrów, które przewalą się przez Miami Beach i wpadną do zatoki. Kto dotychczas się nie ewakuował, już nie zdąży; pozostanie mu jedynie zjechać z dróg i kryć się w najbliższym osłoniętym miejscu. Czy matka, Goldsteinowie i moje zwierzęta były w bezpiecznym miejscu? Czy ja byłam w bezpiecznym miejscu?

Ciemne chmury zasłoniły słońce i niebo rozświetliło się upiorną brązową czerwienią. Palmy gięły się na wietrze, giętkie liście łopotały w podmuchach niczym ostrzegawcze porce. Kiedy podjechałam do domu Reyesa, okazało się, że elektronicznie sterowana brama jest szeroko otwarta. *Libertad* skakał na czarnych falach jak piłeczka pingpongowa, choć przywiązano go do przystani kilkunastoma linami. Range rover Reyesa stał na podjeździe. Sam Reyes właśnie zamykał bramę do garażu.

Stałam za jego samochodem. Widząc mnie, zmarszczył czoło.

— Nie powinnaś była przyjeżdżać! — zawołał, przekrzykując wicher. — Czas uciekać!

— Oddaj mi dziennik!

Kiedy wbiegł do domu, pomknęłam za nim. Potężny hol wyglądał niesamowicie z zamkniętymi okiennicami.

— Schowałem go do bagażnika! — odparł niecierpliwie. — Musimy jechać!

— Nie, chcę go zobaczyć!

— Czy nie rozumiesz, co się dzieje? Nie słyszałaś komunikatów? Lada chwila będzie tu sztorm!

— Mam tego dość! — wrzasnęłam z uporem. — Chcę mieć dziennik.

— Oszalałaś? — Zmiotł do wielkiej walizy stertę papierów z biurka. — Podaj mi to! — powiedział niecierpliwie, wskazując gestem na stojące na półce za biurkiem oprawione w srebrne ramki zdjęcia. Wzięłam jedno z nich do ręki — na kucyku siedział mniej więcej dziesięcioletni chłopiec, obok stał drugi chłopiec — o oczach Reyesa — i trzymał wodze.

— To pan? — Nie widziałam tego zdjęcia poprzednim razem.

— Ja. — Przez chwilę popatrzył na zdjęcie. — Dzieciństwo w Camagüey.

— Kim jest ten drugi chłopiec?

— Mój amerykański kuzyn. Był u nas z wizytą.

— Nie wiedziałam, że ma pan w Ameryce rodzinę.

— Czy istnieje choć jeden Kubańczyk, który nie ma tu rodziny? — Sięgnął po swoje zdjęcie z prezydentem.

Kiedy to robił, zauważyłam, że ma pod pachą kaburę z bronią. Albo widok pistoletu, albo coś, co powiedział, przypomniało mi, że od dłuższego czasu błąka mi się po głowie jakiś nieuświadomiany szczegół. O co chodziło? Wiatr otworzył frontowe drzwi i do środka zaczął dać wichur.

— Musimy iść — powiedział niecierpliwie Reyes.

— Chcę się stąd wydostać, tak samo jak i pan. Proszę dać mi dziennik ojca i już mnie nie ma.

W tym momencie dotarło do mnie, że to nie wiatr łomocze w holu od frontu. Reyes usłyszał dźwięk równocześnie ze mną. Stukot laski.

Przerywając w pół ruchu to co robił, obrócił się do drzwi. Stał w nich Bravo. Jedną ręką opierał się na lasce, w drugiej trzymał broń.

— Co pan tu robi?! — zawołałam.

— Ty! — wykrzyknął Reyes.

— Daj jej *diario* Antonio — powiedział Bravo, uśmiechając się. Nie było w tym wesołości. O okiennice załomotał deszcz.

Reyes wbijał w niego wzrok.

— Wynoś się z mojego domu!

— Zadzwon po policję — odparł wesoło Bravo. Reyes nie odwracał od niego oczu.

— Daj jej *diario*. — Bravo odwrócił się do mnie z lekkim ukłonem. — Nie może. Dlaczego? Bo mam go tutaj. — Odsłonił w szerokim uśmiechu białe zęby. Lufą pistoletu uniósł brzeg guayabery, ukazując zatkniętą za pasek spodni książeczkę w zniszczonej okładce.

— Powiedziałem ci, Monterò, ale nie chciałaś mnie słuchać. Tak jak twój ojciec. Jemu nie mogłem uratować życia, ale ciebie uratuję przed tym tyranem. Zabiłby cię.

— Jesteś w jednej drużynie z Castro — stwierdził Reyes, a twarz wykrzywiła mu wściekłość.

— Może to i Castro wysłał do Miami słowa Antonio, żeby cię powstrzymać... — Bravo wzruszył ramionami. — Niech będzie. Jeśli to prawda, po raz pierwszy w życiu zrobił coś dobrego dla Kubańczyków. *Asesino*, którego wysłałeś, żeby zabił Armando Gutierrez i ukradł *diario*, przeczytał słowa Antonio i postanowił nie dostarczyć ci zamówionego towaru. Jest w pierwszym rzędzie Kubańczykiem, czego nie byłeś w stanie zrozumieć. — Zwrócił się do mnie. — Kiedy opublikujesz słowa ojca, świat dowie się prawdy, a Reyes będzie skończony. Zapytaj go, co się stało z młodym *rubio*, chłopcem, który dołączył do nas w Camagüey. Powiedział jego rodzicom, że zmarł w więzieniu. — Bravo powoli pokręcił głową. — Zboczeniec! — Ostatnie słowo niemal wypluł.

W tym momencie dotarło do mnie. O mój Boże...

— Watson Kelly, jeden z zaginionych chłopców, zadzwonił do rodziców z pasażu handlowego, który należy do pana!

Reyes przymknął oczy i, choć nic nie mówił, poruszał ustami.

— Charles Randolph był widziany ostatni raz, kiedy szedł pracować u pana. Dobrze pan wie, co się z nimi stało, prawda?

Przypomniały mi się jego niby niewinne pytania dotyczące śledztwa w sprawie chłopców. Jego postawa wyraźnie się zmieniła, kiedy powołano do życia oddział specjalny.

— To zboczeniec! — wyrzucił z siebie Bravo.

— Gdzie oni są?

Reyes zignorował moje pytanie. Jego oczy były dwiema głębokimi studniami.

— Jesteście oboje szaleni — stwierdził, patrząc na spuszczone okiennice, o które bębnił deszcz. — Proponuję, byśmy schowali się przed sztormem i kontynuowali dyskusję, kiedy minie.

Zamigotały światła i wszystkie lampy zgasły. Koniec z prądem.

— Widzicie! — zawołał ze złością Reyes, ledwie widoczny w półmroku. Jedyne światło wpadało do pokoju przez grube szyby dwóch dekoracyjnych okien, umieszczonych tuż pod sufitem. Bravo wsunął pistolet do kabury przy pasku, wyjął ze spodni książkę i podał mi ją.

— Dla ciebie, Monterò. Oto prawda. Dziedzictwo po twoim ojcu. Wzięłam notes do ręki. Nareszcie. Chciałam zacisnąć na nim dłonie

i uciec, ale dokąd? Wicher wyrwałby mi go z ręki. Ruszyłam do samochodu po torebkę i latarkę, ale kiedy uchyliłam drzwi, wszyscy troje musieliśmy wyteńczyć siły, by wichura natchmiast ich nie wyrwała z zawiasów. Byliśmy w pułapce. Most na pewno był nieprzejezdny.

—Potrzebujemy świec i latarni — powiedziałam, ściskając dziennik. Reyes poprowadził nas przez wielką kuchnię do spiżarni. Znalazł kilka świec i potężną, wodoszczelną latarkę. Potem wróciliśmy do jego gabinetu, gdzie postawił ją tak, że świeciła pionowo do góry, rozświetlając pokój łagodną poświatą.

Dom bombardowały kamienie, żwir i gałęzie. Kotłowało mi się w głowie, przemykały przez nią tysiące pytań. Reyes sprawiał wrażenie dziwnie spokojnego, niemal przymilnego. Zaproponował nam po drinku, a kiedy odmówiliśmy, nalał sobie szklaneczkę szkockiej. Siedziałam na oparciu fotela i przyciskałam do ciała książeczkę o spękanej okładce. Bravo usiadł w fotelu obok.

—Jesteśmy na siebie skazani do końca sztormu — stwierdził Reyes, unosząc szklanę. — Tak jak polityka, huragan też łączy. Może spróbujemy zachowywać się jak w towarzystwie.

Dom drgał od uderzeń wyjącego wichru. Ściany trzęsły się i wibrowały.

—Nie ma obaw — stwierdził uspokajająco Reyes. — Ten dom wytrzyma wszystko.

Włączył radjko na baterię. Faktycznie — znajdowaliśmy się w środku sztormu. Na dom spadały hałdy śmieci. Siedzieliśmy w półmroku. Po jakimś czasie ciszę przerwał głos lektora w radiu.

—*Wszystkie służby ratownicze, policja i straż pożarna, zostały wezwane do ukrycia się dla własnego bezpieczeństwa. Nie będą przyjmowane wezwania pomocy. Powtarzam: nie będą przyjmowane wezwania pomocy.* — Po chwili dodał: — *Miami jest pozostawione samo sobie.*

Głos władzy właśnie nas poinformował, że nie ma władzy. Słowa te napełniły moje serce przerażeniem. Co z wypadkami? Z nagłymi zachorowaniami, zawałami serca, krwawiącymi na ulicy rannymi? Byliśmy sami. Reyes dokończył drinka.

—Britt — powiedział spokojnie. — Daj mi dziennik.

—Co? Należy do mnie. Czekałam tyle lat! Bravo wstał.

—To on zdradził twojego ojca!



Dom się zachybotał. Pamiętałam huragan z dzieciństwa, który w swym apogeum był piskliwym jękiem tysiąca kobiet. Ten dudnił niskim basem jak pociąg towarowy. Być może każdy sztorm ma swój własny dźwięk.

— *Jeżeli obawiacie się, że wasz dom przestał być bezpieczny* — odezwał się przejęty głos z radia — *schowajcie się z rodziną w szafie albo w łazience. Osłońcie się materacami.*

Modliłam się, by ci, których kocham, znajdowali się w bezpiecznym miejscu.

Reyes gwałtownym ruchem złapał latarkę. Myślałam, że chce wyjść z gabinetu, ale zamiast tego szybko do mnie podszedł i zaświecił mi prosto w oczy. Oślepiłam. Czyżby tak przesłuchiwało się w więzieniach?

— Nigdy nie przeczytasz tej książeczki — powiedział. Cofnęłam się o krok. — Byłaś głupia, przychodząc tutaj, głupia i naiwna jak twój ojciec. Twój ojciec był zerem.

— Ufałam panu.

— Tak jak twój ojciec. Tylko głupcy ufają innym ludziom.

Coś upadło ciężko na piętrze i dom zaczął się chybotać, jakby chciał go zburzyć potężny buldożer. Kiedy Reyes odruchowo skierował latarkę ku schodom, Jorge wyszedł dwa kroki do przodu. W dłoni trzymał broń.

— Nie pozwolę na to. Historia nie musi się powtórzyć. Nie mogę pozwolić, aby to samo przydarzyło się ponownie. Stań za mną, Monterò.

Reyes zaklął i zgasił latarkę, pograżając wszystko w ciemności. Dom bujał się i jęczał. Nagle ciemność rozświetlił błysk wystrzałów. Choć było ich cztery czy pięć, odgłos niemal zniknął w przypominającym kanonadę z karabinu maszynowego łomocie spadających kawałków cegieł i dachówek, które zbombardowały zewnętrzny mur. Padłam na podłogę. Zabrzęczało tłuczone szkło, rozległ się głęboki jęk Jorgego i stary bojownik przewrócił się. Wlatując w zrobione przez kule otwory w metalowych okiennicach, wiatr wył i diabelsko chichotał.

Jorge musiał leżeć niedaleko. Wyciągnęłam rękę, aby go odnaleźć, i poczułam na jego koszuli ciepłą wilgoć krwi.

— Nie... — szepnął. — Nie... Chcę umrzeć na Kubie...

Światło reflektora oślepiło mnie, zanim zdążyłam pomyśleć o sięgnięciu po pistolet Jorgego. Reyes kopnął go na bok i stanął nad nami. Ciężko oddychał, ale nie był ranny.

— Stary głupiec! — wyrzucił z siebie.

— Monterò... — wyszeptał Bravo.

—Jestem...

—Antonio...

—Niech pan dzwoni po karetkę! — zawołałam do Reyesa.

—Nie ma karettek, policji, lekarzy. Jesteśmy tylko my. Zapomniałaś? Tylko my.

—Jak mógł pan to zrobić?

—Przecież widziałaś — odpowiedział niecierpliwie. — Chciał mnie zabić!

Ciało Jorgego drżało, ciężko chwytał powietrze. Chwyciłam go za strzaskaną rękę, potem znalazłam drugą i ścisnęłam go za obie.

—Niech pan poświęci — poprosiłam Reyesa. — Muszę spróbować zatrzymać krwawienie.

—Już za późno — odparł zimno. — Stary głupiec nie żyje. Miał rację.

W porównaniu z Reyesem Jorge Bravo był biedakiem. Tak jak mój ojciec, poświęcił Kubie całą energię, zdrowie, i w końcu życie. Szybka śmierć w wykonaniu plutonu egzekucyjnego była jednak z pewnością łatwiejsza do zniesienia niż trzydzieści lat frustracji i niepowodzeń. Bravo nie miał ambicji politycznych, nie przerabiał patriotyzmu na pieniądze i nie gadał o wolności, lecz o nią walczył, i to nie w Miami, ale na Kubie. Robił, co umiał.

Na zewnątrz błysnęła zielona błyskawica, rzucając do środka cień stojących na zewnątrz drzew. Gałęzie zginały się i skręcały, któryś z pni został wyrwany z ziemi. Po sekundzie dom zadrżał w posadach i rozległ się trzask rozłupywanego, pękającego drewna.

Pognałam do frontowych drzwi. Reyes podążył za mną z latarką. Między górnym brzegiem drzwi a framugą przesączała się woda.

—Nie otwieraj ich! — wrzasnął.

Wiatr pchał drzwi, aż się spaczyły. Przysunęliśmy do nich ciężki regał z książkami, ale wyjące poddmuchy były tak silne, że co chwila regał był wpychany kolejne dwa, trzy centymetry do środka domu.

Wróciłam biegiem do Bravo. Z powodu ciemności potknęłam się o jego ciało, zaraz jednak wstałam, chwyciłam go pod ramiona i próbowałam doprowadzić go pozycji siedzącej. Miałam nadzieję, że może nawet uda mi się go wciągnąć na kanapę. Nie chciałam, aby zamoczył go deszcz, potraktował jak miotane wichurą przedmioty. Niestety, był zbyt ciężki i nie ruszyłam go o centymetr, jedynie cała pobrudziłam się krwią.

Pękło jedno z okienek w górze. Spadające szkło, za nim krople deszczu załomotały o podłogę jak grad ołowianych kul. Zaczynały się odrywać metalowe osłony okien.

—Łazienka! — odezwał się zza moich pleców Reyes. Złapałam radio i podążyłam za promieniem światła do znajdującej się w centrum budynku łazienki bez okien.

—Materace! — krzyknęłam. — Potrzebujemy materacy! Pobiegl dokądś, po kilku chwilach wrócił z podwójnym materacem.

—Pomóż mi ! — wykrzyczał.

Poszłam za nim do niewielkiej sypialni na tyłach domu. Światło musnęło sufit, który lada chwila mógł się zawalić. Kiedy ściągaliśmy materace z łóżek, Reyes kłął jak szewc. Ledwie udało nam się je wypchnąć na zewnątrz, sufit pękł jak dojrzały owoc. Zaciągnęliśmy materace do łazienki i zatrzasnęliśmy za sobą drzwi.

Polerowane złoto urządzonej z przepychem łazienki błyszczało w świetle latarki. Zza drzwi dobiegał piekielny hałas zrywanych osłon na okna przez wściekłą, drapiącą, wyjąca bestię.

Od naporu wiatru pękały mi bębenki.

—*Dios mio!* To nie do wiary... niemożliwe... — Reyes z przerażenia szybko i gwałtownie oddychał, z trudem łapiąc powietrze.

—Musimy trzymać drzwi zamknięte — wyjęczałam.

Wiatr hulał swobodnie po domu jak spuszczone z łańcucha dzikie zwierzę. Tłukł, rozbił i rozrywał. Reyes przyciskał barkiem drzwi, ja leżałam na podłodze, plecy opierałam o podstawę umywalki i zapierałam się o drzwi nogami. Wiatr pchał i myśmy pchali. Wsłuchiwałam się w odgłosy, gotowa w każdej chwili, kiedy zacznie się walić sufit, wskoczyć do wanny i przykryć się materacem.

—Możemy tego nie przeżyć! — zawylałam. — Co z chłopcami? Gdzie oni są? Zdradził pan mojego ojca? Proszę powiedzieć mi prawdę o nim!

Charknął jak ranny wieprz, obrócił się i zaparł o drzwi drugim ramieniem.

—Prawdę? Twój ojciec też chciał tylko prawdy. Nie patrzył na nic z szerszej perspektywy, nie rozumiał co to polityka, naród, rząd, wymogi przetrwania. Jesteś do niego podobna, też nic nie rozumiesz w szerszym kontekście. — Roześmiał się. Był to ohydny dźwięk i w połączeniu z odgłosami sztormu brzmiał wręcz upiornie. — Gadasz o jakiejś prawdzie, kiedy wokół nas szaleje sztorm stulecia i najważniejsze jest, aby przeżyć. On nie przeżył. Ale ja tak! Udaje mi się to w każdych warunkach. Zawsze! — wygłosił z emfazą. — Nie zginąłem w Zatoce Świń, przeżyłem zimną wojnę, utrzymałem swoją pozycję w biznesie i polityce. Przeżyłem wszystkich. Mam czyste konto w Tajnej Służbie! Kiedy prezydent był po raz ostatni w Miami, stałem z nim na podium! Zaprosił mnie do Białego Domu!

—Jak chce pan wyjaśnić śmierć Bravo?

Ściszył głos tak, że musiałam się wysilić, by go usłyszeć.

—W takim huraganie jak ten ludzie znikają bez śladu. Nigdy ich się nie odnajduje. To idealny moment, aby zniknąć.

Mimo panującej w łazience gorącej duchoty, przeszedł mnie zimny dreszcz. Czyżby kanonada na zewnątrz słabła? Dudniący wicher i łomot nie były w tej chwili tak głośne jak jeszcze przed chwilą. Musieliśmy wchodzić w oko sztormu. Była to moja jedyna szansa na ucieczkę. Może uda mi się dotrzeć do samochodu i przejechać przez most, zanim uderzy w nas następna nawałnica. Może uda mi się znaleźć bezpieczne miejsce i przetrzymać tę drugą fazę huraganu?

Uklękałam. Reyes rozprostował nogi i odsunął się od drzwi.

Bardziej ze strachu przed nim niż przed huraganem gwałtownie otworzyłam drzwi i wybiegłam z łazienki. Na zewnątrz panowała kruczoczarna ciemność, woda na podłodze sięgała najpierw kostek, potem kolan. Zaczął mnie gonić.

—Stój ! — krzyknął.

Kiedy rozległ się głuchy, tępy-łomot, wiedziałam, że wałnął pięścią w ścianę. Szłam po omacku. Osłony okien zniknęły, okien również nie było, wiatr swobodnie hulał po domu. Znów — tym razem w oddali — zamigotały zielone błyskawice. Dach został zerwany i brakowało jednej ściany. Do środka wlewały się strugi deszczu.

—Stój, zaczekaj! — darł się Reyes, wyciągając ku mnie łapska. Czuć było obrzydliwy fetor. Poziom wody na podłodze podnosił się.

Biegając przed siebie, czując niemal na plecach światło latarki, pomyślałam, że musiały popękać rury kanalizacyjne. Znów zamigotały błyskawice i ujrzałam przed sobą twarz. Szcherzącą zęby czaszkę ludzką. Skoczyłam z wrzaskiem do tyłu.

Reyes potknął się o oderwaną skądś belkę i upuścił latarkę do wody. W podskakującym snopie światła, poruszonym wiatrem i prądem wody, ukazał się obraz niczym z gabinetu horroru. Czyżbym miała halucynacje? A może już umarłam? Kości, czaszki, ciała w najróżniejszych stadiach rozkładu i mumifikacji. Kiedy z przerażeniem podniosłam głowę do góry, ujrzałam, że z miejsca, skąd oderwał się dach, zwisają korpusy, ręce i nogi.

O Boże. Żyłam, a to co widziałam, nie było wytworem fantazji.

On też to dostrzegł. Krzycząc z wściekłości i rozpacz, złapał mnie za prawą rękę i wyrwał mi zza paska dziennik ojca. Zaczęłam się z nim mocować, jednak niemal natychmiast straciłam równowagę i wpadłam do śmierdzącej wody. Bujające się w wodzie światło ciągle ukazywało przerażający widok.

Uderzył mnie prosto w twarz, tak mocno, że przed oczami eksplodowało mi słońce i opadłam ciężko na nasączony wodą fotel. Choć oszołomiona, usłyszałam, jak krzyczy od frontowych drzwi:

— O nie! Coś ty narobiła?!

Chlipiąc i krztusząc się, stanęłam na nogi i po krótkich poszukiwaniach złapałam leżącą w wodzie latarkę, podniosłam ją i ruszyłam do wyjścia. Rozległ się dźwięk silnika range rovera. Był obsypany gałęziami, które zaczęły z niego spadać, kiedy samochód nabierał prędkości, wytaczając się z podjazdu. Musiałam go zatrzymać. Czując, jak drżą mi kolana, zaczęłam się rozglądać za swoim samochodem, ale nigdzie go nie było widać. Wszędzie leżały sterty gałęzi, rozmaite śmiecie i poprzewracane drzewa.

Głęboko zaczerpnęłam tchu, zapanowałam nad drżeniem ręki, by światło latarki przestało się chybotać, i ruszyłam przez głęboką do pół łydki wodę do miejsca, gdzie powinien stać mój t-bird. Tam, gdzie go zaparkowałam, było kłębowisko zieleni — wysoka na dwa piętra góra gałęzi i liści. Mój samochód znajdował się pod fikusem, który stał kiedyś samotnie w środku podwórza, spłaszczony teraz jak blaszana zabawka.

Range rover odjechał. Dzięki napędowi na cztery koła Reyesowi jakoś udało się objechać przeszkody, przewrócone drzewa, pokonać rwące strumienie i ominąć sterty nie wiadomo czego. Wiatr ścichł do szeptu, niebo rozświetlały niezliczone plejady gwiazd, nigdy ich tyłu nie widziałam, ale musiało to być złudzenie, wywołane tym, że teraz nie niknęły w sztucznym świetle. Nagle usłyszałam jękliwe wycie. Przerazenie ścisnęło mi gardło. Sztorm wracał. Dopiero po kilku sekundach zrozumiałam, że były to sygnały wyjących alarmów przeciwwłamaniowych znajdujących się na wyspie.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że huragan powróci.

Zaczęłam rozgarniać gałęzie, by wyjąć z samochodu telefon komórkowy i, na wypadek gdyby Reyes wrócił — broń. Kiedy po kilku minutach, poraniona i posiniaczona na rękach, wyciągnęłam torbę, okazało się, że w telefonie słychać jedynie szum. Po chwili dotarło do mnie, że przecież, gdyby nawet działał, nikt nie przyszedłby mi na pomoc. Rozciąłam sobie rękę kawałkiem pękniętego szkła, ale wyciągnęłam przez rozbitą szybę tranzystor. Nie miałam żadnej szansy, aby dosięgnąć broni w schowku.

Rozgwieżdżona noc była teraz absolutnie spokojna i nienaturalnie piękna. Ścisnęłam w dłoni radio — mój jedyny pomost do świata. Brodząc po pełnej gruzu i gałęzi wodzie, pomyślałam, że będę musiała oszczędzać baterie. Wokół wyły alarmy, byłam chyba jedyną żywą duszą na wyspie.

*Libertad* zmienił się w poszarpany wrak, zniszczony przez wichurę i deszcz. Wszystkie słupy doprowadzające prąd były poprzewracane, wszędzie leżały dachówki.

Sama myśl o ponownym wejściu do domu Reyesa napawała mnie przerażeniem, radio ostrzegało jednak, że zaraz zaatakuje następna faza huraganu, a będzie podobnie groźna jak pierwsza. Niebo zaczęło się ponownie zasnuwać. Zrobiło się ciemniej, gwiazdy znikwały, wiatr zawodził złowieszczo.

Dokąd uciekać? Z powrotem do łazienki? Wolałabym umrzeć. Wzdrygnęłam się, jakbym miała konwulsje. Musiałam jednak przeżyć, by powiedzieć światu, co zrobił Reyes.

Dom po drugiej stronie ulicy stał nieco dalej od wody, na niewielkim wzniesieniu. Miał zniszczone patio, ale poza tym wyglądał, jakby był nienaruszony! Najpierw zapukałam, potem nacisnęłam dzwonek. Nie było nikogo, drzwi zamknięto, okiennice zaryglowano. Sprawdziłam pod wycieraczką, czy nie leży tam klucz, ale nic nie było. Kiedy wiatr zaczął się nasilać, coś zaczęło łomotać za węglem.

Podbiegłam tam. Woda w zatoce zaczęła kipieć i znowu się podnosić. Łomot nie ustawał, skierowałam w tę stronę światło latarki. Coś się poruszyło. Pies, popiskujący golden retriever, to wybiegał przez psie drzwiczki, to wbiegał do środka. Właściciele musieli go zostawić, ewakuując się. Zawołałam na niego, mając nadzieję, że nie jest agresywny.

Szczeknął i podbiegł do mnie, machając ogonem. Chyba tak samo cieszył się z mojego widoku jak ja z jego. Pomyślałam, że jeżeli uda mi się wejść do środka z psem, będę bezpieczna. Wpełzłam na kolanach i łokciach, on wszedł za mną, a wtedy zaryglowałam drzwiczki.

Miał czerwoną obrozę z plaketką informującą, że nazywa się Waldo. Usiedliśmy na podłodze w kuchni i oboje pojękiwaliśmy z ulgi. Czując mdłości, pomyślałam o Charlesie Randolphie, Butchu i pozostałych. Odsuwając od siebie potworne wizje z domu Reyesa, zmusiłam się do wstania.

Na stole leżały zapalki i świece. Zapaliłam jedną z nich i ustawiłam ją ostrożnie na porcelanowym talerzyku. Nie można było ryzykować z ogniem, w razie czego nie miałabym bowiem dokąd uciekać ani nie mogłabym wezwać straży pożarnej. W szafce znalazłam butelkę koniaku i łyknęłam porządnie prosto z butelki. Kiedy pomyślałam o Jorgem Bravo, musiałam wziąć jeszcze jeden łyk. Znalazłam puszkę z psim jedzeniem, ale nigdzie nie było otwieracza. Lodówkę i tak czekało rozmrożenie, nakarmiłam więc Waldo indykiem i plasterkami mięsa. Potem napiłam się jeszcze trochę koniaku. Sztorm wył i szalał wokół nas, razem z Waldo weszliśmy więc pod wielki stół w jadalni i poszliśmy spać.

O świetle sztorm przeszedł, a alarmy zamilkły, pozostawiając po sobie upiorną ciszę.

Wyszłam na dwór, aby ujrzeć miasto, które już nigdy nie miało być takie jak przedtem.

# Rozdział dwudziesty pierwszy

---

Obraz zniszczeń miał w sobie coś mistycznego. Bez dachu nad głową pozostało ponad sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Setki zginęły albo zaginęły. W jakimś piętrowym budynku wicher zerwał ścianę, ukazując mieszkania niczym w domku dla lalek z otwieraną ścianką. Mieszkająca na szóstym piętrze niewidoma kobieta przeżyła bezpiecznie sztorm we własnym mieszkaniu i zginęła, kiedy już po wszystkim poszła zamknąć okno w nieistniejącej ścianie.

Reyes musiał jechać aleją, kiedy uderzył następny huragan. Jego całkowicie zniszczony range rover leżał na dachu, częściowo zalany wodą. Nie odnaleziono ciała, dziennik zniknął razem z nim.

Przerażająca historia jego zbrodniczej działalności, która normalnie nie schodziłaby z pierwszych stron przez kilka tygodni, musiała ustąpić miejsca opisom sztormu i tragedii miasta.

Wielkie osiedla zostały zmiecione z powierzchni ziemi niczym przy wybuchu bomby atomowej. County Walk, gdzie szukali schronienia Gold-steinowie, zostało niemal kompletnie zrujnowane. Zarówno oni, jak i Seth ledwie uszli z życiem. Udało im się uratować Bitsy i Billy'ego Bootsa, którym oszczędzony został okropny los tysięcy domowych zwierząt, zagubionych w sztormie albo porzuconych przez ludzi, którzy nie wrócili do swoich domów, bo już ich nie było.

Tysiącom ludzi, którzy uciekali z pokoju do pokoju, podczas gdy ich domy znikły po kawałku, pozostały jedynie przemoczone ubrania, które mieli na sobie. Inni, zablokowani w domach przez przewracające się drzewa, musieli wycinać sobie tunele, aby wyjść na wolność. Parkingi dla przyczep mieszkalnych zamieniły się w hektary pokrytego poszarpanym metalem terenu.

Mieszkańcy Miami nie mieli prądu, lodu ani jedzenia, ognia ani pomocy medycznej. Woda w kranach została zakażona i obawiano się w każdej chwili wybuchu epidemii.

W ostatniej chwili huragan, który pędził prosto na Miami Beach i centrum Miami, nieznacznie zmienił kierunek i najpierw natarł na wybrzeże piętnaście kilometrów na południe. Gdyby nie to, zniszczenia i straty byłyby znacznie poważniejsze.

Odpowiednio zabezpieczony dom, w którym ma apartament moja matka, niemal nie został drażnięty. Niestety u jej koleżanki, do której pojechała dla bezpieczeństwa, wichur wybijają okna i zdmuchnął garaż. Kiedy wyleciały wejściowe drzwi i deszcz zaczął zalewać salon i sypialnię, musiały schronić się przed nawałnicą do szafy, zawinięte w kołdry.

Z mnóstwem rozbitych szyb sklepowych i rozsypanym wszędzie szkłem Miami wyglądało jak Bejrut. Na ulice i drogi szybkiego ruchu pospadały olbrzymie tablice informacyjne, zniszczone zostały tysiące świateł na skrzyżowaniach. Ekipy elektrycy pracowały do upadłego, władze miasta ogłosiły jednak, że przywrócenie normalnego zaopatrzenia Miami Beach w prąd zajmie przynajmniej trzy tygodnie, a najbardziej dotknięte kataklizmem rejony nie będą go mieć pół roku.

Mieszkańcy potracili domy, ale nie ducha. Dobrzy i przyzwoici ludzie nigdy się nie zmieniają, podobnie zresztą jak ci, którzy nimi nie są.

Dzięki Bogu wielu mieszkańców miasta jest uzbrojonych. Gdyby było inaczej, zabrano by im i te resztki, które pozostawiła wichura. Energiczni posiadacze broni walczyli z szabrownikami. Na ścianach pojawiły się napisy zrobione sprayem na spękanych ścianach:

KTO SZABRUJE, W TEGO CELUJĘ.

SZABROWNICY MILE WIDZIANI — ĆWICZYMY CELNOŚĆ.

Rząd nie był w stanie nikogo chronić. Policjanci i strażacy robili co mogli, ale wielu z nich też straciło dach nad głową.

Niektórzy szabrownicy brali ze zniszczonych sklepów i supermarketów tylko rzeczy niezbędne do życia, inni opróżniali do czysta całe centra handlowe. Zorganizowane bandy weszły nawet na teren lotniska Tamiami, kradnąc ze zniszczonych samolotów najdroższy sprzęt elektroniczny.

Aby zaprowadzić porządek, wezwano dwadzieścia tysięcy członków Florydzkiej Gwardii Narodowej. Niestety, jedna z lokalnych stacji radiowych ujawniła, że nie tylko nie dano im prawa dokonywania aresztowań, ale nie wyposażono w amunicję. W ciągu godziny zorganizowane bandy odebrały strażnikom nie załadowaną broń, wskutek czego M16 dostały się w niepowołane ręce.

System pomocy dla ofiar kataklizmu okazał się kompletnym niewypałem. Plany działania w podobnych sytuacjach dotyczyły ewakuacji i organizowania schronisk dla mieszkańców, a nie tego, co należy robić po nastąpieniu huraganu. Biurokracja kwitła i większość zagrożonych śmiercią ludzi nie uratowały organizacje rządowe ani Czerwony Krzyż, lecz zrzeszające prywatnych biznesmenów kluby Jaycee, Kiwanis i Lion. To biznesmeni oraz zwykli bohaterscy ludzie zmobilizowali się pierwsi i ruszyli na południe z ciężarówkami wypełnionymi jedzeniem i wodą.



Nawet najprostsze rzeczy wydawały się niemożliwe do wykonania. W potwornym upale tworzyły się monstrualne kolejki przed rozrzuconymi co kilka kilometrów telefonami. Zalał się system roznoszenia listów — skrzynki pocztowe, domy, całe dzielnice zniknęły.

Jorge Bravo nie został pochowany na rodzinnej wyspie, lecz o czterysta kilometrów dalej, w Miami. Choć jego ziemskie resztki po wsze czasy pozostaną na wygnaniu, na pewno jego serce wróciło do domu.

Owinięta w kubańską flagę trumnę niosła maleńka grupka jego towarzyszy. Spoczął na cmentarzu pełnym powyrywanych z ziemi drzew i poprzewracanych nagrobków. Widok mógł być alegorią pod tytułem „Stracone obietnice”. Eloy i *especialista* Luisa po raz ostatni zaszalowali swemu *el comandante*. Jego żona zapłakała, tak samo i ja. Za Jorgego i za Kubę.

Ciotka Odalys prowadziła lokalną akcję pomocy poszkodowanym. Przed huraganem sparaliżowana, niemal niezdolna do życia, teraz tryskała zdrowiem i energią, pomagała starszym sąsiadom, gotowała wodę i rozdawała świece. Jej dom nie został nawet naruszony, piecyk gazowy działał i, Bóg wie skąd, ale miała nieskończony zapas świec.

— Jak się cieszę, że nic ci nie jest! — zawołałam, obejmując ją.

— *Si, mi hijita*. Tak samo było po sztormie w Melena del Sur.

— Miałaś rację, jeśli chodzi o *mala hora*.

Wzięła moją twarz w dłonie i z powagą zajrzała mi w oczy.

— To jeszcze nie koniec — szepnęła. — Najtrudniejsza godzina jeszcze przed tobą...

W domu Lottie w El Portal, na północy, ucierpiała jedynie otaczająca go roślinność. Pulitzer, jej uratowany przed śmiercią greyhound, był nerwowy i podniecony, ale zawsze taki jest. W czasie sztormu i tuż po jego ustaniu Lottie zrobiła mnóstwo niezapomnianych zdjęć.

Mury budynków, które przetrwały, były poplamione na zielono od chlorofilu ze zmielonych liści, uderzających z potężną siłą i prędkością. Drzewa, które nie zostały przewrócone, potraciły liście. Cieniste przedtem okolice stały się nagie, nagle wystawione na bezlitosne późnolipniowe słońce.

Ponieważ nie było lodówek, zamrażarek ani klimatyzacji, lód stał się cennym towarem. Sprytni „przedsiębiorcy” sprzedawali go po pięć i dziesięć dolarów za blok. Ludzie czekali godzinami w kolejkach i wielu odchodziło z kwitkiem, kiedy zapas się kończył.

W momencie kiedy sztorm zaatakował i zabrakło prądu. Andrea Vitale była w wielkiej sali szpitala Coral Reef wraz z dwustu pięćdziesięcioma ciężarnymi. Kiedy odbierała samodzielnie poród czworaczek — trzech chłopców i dziewczynkę — zniszczone zostało całe Bramblewood, zniknął jej dom i wszystkie zdjęcia oraz pamiątki po jedynym synu. Kearnsowie stracili dom i szkółkę. Vanessa Clower została dosłownie wymyta ze swojego domu w Surfside. Przedsiębiorstwo jej byłego męża zostało poważnie uszkodzone. Randolphowie stracili największy pokój i wiatę na samochody, reszta domu

i SMAR-EXPRESS nie ucierpiały jednak wiele. W ich przypadku spowodowane przez huragan zniszczenia były niczym wobec rozpacz i przerażającej prawdy. Sztorm, który przeżyli, oddał im synów, tyle że w plastikowych workach, przyniesionych przez gliniarzy.

Byli wszyscy. Charles Randolph, bracia Kearnsowie, David Clower, Butch Beltran, Watson Kelly, Lars Sjowall, a także wielu innych, którzy chyba nigdy nie zostaną zidentyfikowani. Razem dwadzieścia jeden ciał w różnych stadiach rozkładu.

Po zamordowaniu zostali poumieszczani na poddaszu, w przestrzeni między sufitem parteru a podłogą strychu, w ścianach. Sztorm zastąpił gliniarzy w odsłonięciu prywatnego cmentarza Reyesa.

Detektywi zbadali ruiny domu centymetr po centymetrze. Mimo panującego chaosu, policjanci i anatomopatolodzy działali metodycznie jak archeolodzy. W specjalnych maskach na twarzy, wpełzali na kolanach w każdą szczelinę, odkrywając okropne tajemnice na strychu i pod budynkiem, w przewodach wentylacyjnych oraz długich wykopach, pokrytych spękaną warstwą wyschłego wapna. Temperatura i hałas na miejscu poszukiwań były przerażające. Z powodu podniesienia się poziomu wody gruntowej trzeba było ją odpompowywać za pomocą generatorów prądotwórczych. Niemal każdy ruch łopaty odkrywał nowe klatki piersiowe i kręgosłupy, kości kolanowe i piszczele. Świeże wykopy śmierdziały jak otwarte przewody kanalizacyjne i przypominały sceny z horroru, zwłaszcza że wokół unosiły się chmary much i komarów, w ziemi kłębiły się mięsożerne larwy, a w każdej kałuży wiły się tysiące maleńkich robaków.

Reyes starał się dobrze ukryć każde ciało, dla zlikwidowania odoru używał dużych ilości wapna i kwasu. Zwłoki pod domem zostały zasypane czterdziestocentymetrową warstwą ziemi. Usunięte zostały niemal wszystkie osobiste przedmioty ofiar, znaleziono jedynie pierścionek Charlesa Randolpha i szwajcarski scyzoryk oficerski Butcha Beltrana. Doktor Schlatter miała rację — morderca zbierał pamiątki.

Detektywi zabezpieczyli także książki i filmy porno związane z pedofilią, kajdanki oraz odznakę policyjną. Możliwe, że Reyes udawał policjanta, aby nakłaniać chłopców do pójścia z nim.

Charles Randolph był pierwszą bez żadnych wątpliwości zidentyfikowaną ofiarą — na podstawie danych dentystycznych. Wiedząc o tym, że Charles zaginał, jego stomatolog zachował model, według którego sporządził chłopcu porcelanową koronkę.

Najbardziej sensacyjna sprawa w mojej karierze została jednak odsunięta w cień przez zjawiska, które pojawiły się w kilwaterze sztormu — szaber, przestępczość, bezprawie, nędzę.

Zaczęła wychodzić „News”. Prasy drukarskie ruszyły, napędzane przez generatory awaryjne. Drukarze ani dziennikarze nie mieli klimatyzacji, niejeden z nas stracił dom, w tym Fred Douglas. Przeniósł rodzinę do przyjaciół i, jak wszyscy pozostali, nie opuścił nawet jednego dnia pracy.

Dla wielu mieszkańców Miami pojawienie się ich gazety oznaczało, że być może któregoś dnia życie wróci do normy. Wydawcy, kolporterzy, nawet dziennikarze wyruszyli na ulice zatarasowane drzewami i gruzem, aby rozdać pierwsze egzemplarze tam, gdzie w innych warunkach nigdy by nogą nie stąpnęli.

Okazało się, że byli tam bardzo mile widziani. Wiele osób powitało ich płaczem radości.

Dom, w którym mieszkam, doznał jedynie drobnych uszkodzeń dachu. Mój bank otwarto po trzech dniach, ze względu jednak na niedostatek gotówki można było pobierać jedynie dwieście dolarów.

Nie kończył się strumień śmierci, teraz nawet już nie bezpośrednio związanych ze sztormem. Po zawałach serca, zgonach z powodu stresu i rozpacz, przemęczenia i przegrzania oraz braku pomocy lekarskiej dla ludzi słabych, starych, dzieci i chronicznie chorych, nadeszła kolej na wypadki. Ginęli ludzie, którzy pierwszy raz w życiu wzięli do ręki piłę łańcuchową, chcieli samodzielnie naprawić dach albo usunąć ciężkie przedmioty.

W redakcji byliśmy u kresu sił. Panowało w niej piekło. Marzyłam o takich luksusach jak szklanka wody albo filiżanka gorącej kawy. Mycie zębów pepsi niezbyt im służy. Marzyłam o gorącym prysznicu albo zimnej kąpieli, ostrzegano nas jednak, by z obawy przed zakażeniem nie kąpać się w wodzie z kranu. Ulewy, wilgotność powietrza i masy żarłocznych moskitów dostarczały kolejnych wrażeń.

Czwartej, gorącej i parnej nocy po sztormie spałam bardzo źle. Dla ochłody miałam jedynie wilgotny ręcznik, którym owinęłam stopy. Nagle coś wyrwało mnie ze snu.

Prześcieradła były lepkie, ciemność całkowita. Oszołomiona, prawie nieprzytomna od gorąca, zaczęłam się zastanawiać, co też mogło mnie obudzić. Stukanie. Dzwonek przecież nie działał. Nie działał też elektryczny zegarek z budzikiem. Mogła być druga albo trzecia rano. Pomyślałam, że to pewnie Goldsteinowie. Co się mogło stać? Sięgnęłam po wielki bawełniany podkoszulek, włożyłam go, wzięłam latarkę i podeszłam do drzwi.

Otworzyłam je, spodziewając się pani Goldstein albo Setha, i spojrzałam w srebrnobłękitne oczy Kendalla McDonalda.

Zamurowało mnie, a żołądek skurczył mi się jak zawsze, kiedy go widzę.

—Britt, tak się cieszę, że nic ci nie jest! — Uśmiechnął się i wszedł do środka. W tym momencie za moimi plecami rozległo się szurnięcie stóp o dywan.

Spojrzał za mnie, wbił wzrok w ledwie rozświetlaną baterijną lampką ciemność.

Przełknęłam z trudem ślinę i odwróciłam się.

—McDonald, to jest Hal. Hal — Kendall McDonald.

Hal włożył dzinsy, ale miał nagi tors. Wyglądał mniej więcej tak, jak ujrzałam go po raz pierwszy. McDonald, z klasą, wyciągnął rękę, by uścisnąć mu dłoń.

Ból w jego oczach był przejmujący.

—Zadzwońiłbym przedtem, ale telefony nie działają...

—Nie ma też światła, wody i komunikacji. — Musiałam wyglądać tak kiepsko, jak się czułam.

—Dobrze wiedzieć, że nic ci nie jest. — Popatrzył na mnie przez chwilę, potem odwrócił się i odszedł w ciemność, zostawiając mnie stojącą jak słup soli.

—Myślisz, że wie, gdzie można dostać lód? — spytał Hal, wycierając czoło ścierką.

—Nie wiem... — szepnęłam, cicho zamykając drzwi. — Zapomniałam zapytać.

Moglibyśmy odrąbać kawałek z lodowatego spojrzenia, jakim nas obdarzył.

# Rozdział dwudziesty drugi

---

Nie mogłam pozbyć się myśli o Reyesie, który powiedział, że jest w stanie przeżyć w każdych warunkach. W ranę rozerze nie odnaleziono dziennika ojca. Byłam wściekła na siebie, że pozwoliłam go sobie wyrwać z ręki. Miałam go, ale straciłam... Męczyły mnie koszmarne wizje, w których słowa ojca były wyrywane strona po stronie z okładki, porywane przez potężne wiry, zwiewane w dal i niszczone na zawsze. Włożyłam kalosze i dwa razy pojechałam na miejsce, gdzie znaleziono samochód Reyesa, by przeczesać okolicę w poszukiwaniu jakiegoś śladu, skrawka papieru, czegokolwiek. Niczego nie było, ale to nic dziwnego. W końcu w czasie sztormu kilka znajdujących się w odległości trzech kilometrów od brzegu frachtowców wylądowało w głębi łądu. Mimo wszystko zadawałam sobie nieustannie pytanie, czy to możliwe, by Reyes przeżył.

Seth pozostał u dziadków, aby im pomagać, przynajmniej do momentu kiedy będzie prąd i dokonane zostaną naprawy budynku. Za każdym razem, kiedy go widziałam — zdecydowanego, silnego i opalonego, o rozjaśnionych entuzjazmem oczach, nigdy nie narzekającego i energicznego — przypominałam sobie o zamordowanych chłopcach i myślałam, jak niepowetowaną stratą była ich śmierć.

Jakąż Lottie miała rację, mówiąc jak seks, władza i polityka są ze sobą powiązane. Ted Bundy i John Wayne Gracy najpierw zaczęli obiecującą karierę polityczną, a potem zostali seryjnymi zabójcami, ale ich najbardziej podniecała władza, a nie polityka. Reyes nigdy nie kochał Kuby, on kochał władzę. Gdybym wcześniej ułożyła te kawałki łamigłówki, Jorge Bravo jeszcze by żył, a Reyes siedziałby w więzieniu albo został posadzony na krześle elektrycznym.

Prezydent i gubernator Fielding, ubrani w gumki i hełmy, objechali okolicę i oświadczyli, że na południu Florydy należy ogłosić stan klęski żywiołowej. Obiecali pomoc i zniknęli. Wokół nich był taki tłum dziennikarzy, że nie miałam najmniejszej szansy zapytać o ich kumpla i sponsora. Najprawdopodobniej byli bardzo zadowoleni, że problemy związane z huraganem odsunęły na plan dalszy sprawę Reyesa, a on sam nie żyje i wobec tego nie dojdzie do sensacyjnego procesu.

Czy jednak na pewno nie żył? Jeżeli nie zginął, to gdzie się ukrywał? Jego twarz była zbyt znana, aby mógł pozostać na terenie Miami. Zniknięcie w ogólnym chaosie byłoby najprostszym rozwiązaniem, zresztą sam powiedział, kiedy razem przytrzymywaliśmy drzwi przed naporem wichury, że „to idealny moment, aby umknąć”.

Zanim mógłby uciec z kraju, musiałby zejść do podziemia, zmienić tożsamość i zdobyć nową. Każdy, kto ucieka, zabiera jednak ze sobą swe demony. Doskonale pamiętałam słowa doktor Schlatter, która powiedziała, że morderca „przestanie dopiero wtedy, kiedy ktoś go powstrzyma siłą”.

Kiedy częściowo naprawiono sieć telefoniczną, natychmiast do niej zadzwoniłam. Była zbyt zajęta walką o zdobycie funduszy federalnych, by kontynuować badania wpływu sztormu na poziom przestępczości na tle seksualnym. W ramach studium miał oczywiście zostać przeprowadzony program leczenia przestępców seksualnych. Była naprawdę uparta.

— Jego świadome funkcjonowanie musiało wyglądać jak szwajcarski ser z wielkimi dziurami — stwierdziła, kiedy zaczęłyśmy dyskutować o Reyesie. Sprawiała wrażenie jedynej osoby w mieście, która żałuje jego śmierci. — Moglibyśmy tyle się nauczyć... Wielka szkoda, tacy jak on są zazwyczaj mistrzami przetrwania.

Gwardia Narodowa zbudowała miasteczko namiotowe, w którym przez kilka miesięcy miało żyć w wielkim ścisku przynajmniej osiemdziesiąt tysięcy pozbawionych dachu nad głową ludzi. Wojsko przywiozło pół miliona paczkowanych porcji jedzenia, które pozostały po Wojnie w Zatoce.

Z całego kraju zaczęli napływać oszuści, którzy składali podania o pożyczki oraz zapomogi z funduszu pomocy dla ofiar huraganu. Obcy ludzie wprowadzali się do porzuconych domów i zwracali się o pomoc finansową ze środków federalnych. Adwokaci poszukiwali klientów, którzy zechcieliby skarżyć firmy budowlane o nieodpowiednie wykonanie domu, a prokuratorzy zaczęli żądać śledztw w sprawie niedopatrzenia obowiązków przez inspektorów budowlanych. Aresztowano ponad tysiąc szabrowników i osób, które nie stosowały się do zarządzeń dotyczących godziny policyjnej. Było pewne, że prawne przepychanki potrwałają lata.

Siniak od uderzenia Juana Carlosa Reyesa szybko zniknął z mojego podbródka, rany na dłoniach i przedramionach goiły się błyskawicznie, ale moje serce było jedną wielką otwartą raną. Od sześciu dni pracowałam niemal bez snu i czułam się jak żywy trup. Musiałam też tak wyglądać. W końcu dostałam polecenie służbowe, abym sobie wzięła wolny dzień. Zrobiłam błąd, że nie poprosiłam o dwa. Nawet jeżeli Reyes zginął, sprawa nie została zakończona. Jeżeli żył, należało go ująć. Jeżeli dziennik nie został zniszczony, musiałam go zdobyć. Był moją własnością.

Najpierw powinnam zdobyć samochód. W tym celu postanowiłam przycisnąć do muru Lucasa Taylora, jednego z dwóch właścicieli pomocy drogowej Double Eagle, siedzącego zazwyczaj w ufortyfikowanym biurze za szybą z kuloodpornego szkła. Ma trzydzieści parę

lat, jest zahartowany jak stal, silny jak tur, opalony i przygotowany na wszelkie niespodzianki jednego z najtrudniejszych zawodów w Ameryce.

— Mam nóż na gardle, Lucas — zaczęłam. — Potrzebuję czegoś, co ma cztery koła.

— A co się stało z pięknym nowym t-birdem? — Zawiesił na ścianie deskę z przypiętymi kartkami i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Na zewnątrz czekali klienci. — Straciłaś kolejny samochód?

Lottie i ja miałyśmy ostatnio trochę pecha z samochodami, ale nigdy z naszej winy. Kto mógł przypuszczać, że jakiś palant wpakuje się w nasz wóz, kiedy zaparkowałyśmy go na poboczu, by opisać i obfotografować wypadek na autostradzie? Albo to, że motłoch rozwalił nam wóz w czasie rozruchów, które wybuchły miesiąc później? Albo to, że mój poprzedni t-bird wylądował na dnie kanału w Everglades, na dodatek ze mną w bagażniku, wsadzoną tam przez niedoszłą morderczynię?

Lucas uwielbiał się z tego naigrywać.

— Tak, razem z dziewięćdziesięcioma tysiącami ludzi i dlatego nie mogę nic wynająć. Musisz mi pomóc, Lucas. Ze względu na dawne czasy.

Zamarł w pół ruchu.

— Jakie dawne czasy?

— No wiesz... wszystkie te samochody, o których pisałam, wyciągnięte z morza, bagna, ściągane z parkingów na lotnisku, z lasów, czasami z ciałami w bagażniku albo jeszcze za kierownicą...

— No tak... — powiedział, kiwając głową. — Od razu pomyślałem, że mi o tym przypomnisz.

Po krótkim czasie zjawił się z poobijanym camaro rocznik 87, w połowie pomalowanym farbą podkładową, w drugiej — metallic blue. Nie interesowała mnie historia samochodu, nawet nie zapytałam, czy mam rację, sądząc, że dziura pod boczną szybą od strony kierowcy pochodzi od kuli. Chciałam tylko wsiąść i odjechać.

— Rama jest nieco zwichrowana i ściąga na prawo, więc uważaj, Britt. Masz go oddać do piątku, w jednym kawałku. — Machnął ręką i dał mi kluczyki. — Jak wrócisz, pogadamy o dawnych czasach.

Pojechałam do domu, usiadłam w kuchni i otworzyłam puszkę ciepłej coli, której zawartość od razu opryskała mi ostatnią czystą parę dżinsów. Potrzebowałam pomocy, ale nie miałam się do kogo zwrócić. Reyes stanowił smaczny kąsek dla dziennikarza, ale teraz nikt nie chciał o nim słuchać i w gazecie nie było nawet kawałka miejsca, by na jego temat pisać.

Tak jakby po wybuchu bomby w Hiroszynie chciało się ujawniać jakieś nic nie znaczące drobiazgi.

Działo się zbyt wiele — znajdowaliśmy się w epicentrum katastrofy o ogólnokrajowym zasięgu. Byłam jedyną osobą, dla której Reyes stanowił większe zagrożenie od huraganu. Jeżeli żył, musiałam go odnaleźć. Sama.

McDonald pracował na okrągło, poza tym lizał własne rany. Rodzice zamordowanych chłopców pogrążeni w bólu zajmowali się pogrzebami swoich dzieci. Hal był za mało przebojowy, aby mi w czymkolwiek pomógł, poza tym też zajęty. Jego rozgłoszanie przeszła na dwudziestoczerogodzinny program informacyjny, w czasie którego podawano, gdzie można zdobyć jedzenie, wodę, lekarstwa, łód, agregaty prądotwórcze i innego typu pomoc, informacje o powstających ośrodkach dla bezdomnych i poszukujących się nawzajem rodzin. W związku z tym pracował non stop, podobnie jak ja. Wszyscy byli zajęci sprawami związanymi z katastrofą. Zadzwoiłam do Simmonsa, ale Oddział Specjalny do spraw Zaginionych Chłopców został rozwiązany a jego wyznaczono na łącznika między Gwardią Narodową a policją. Kiedy poprosiłam o rozmowę z kapitanem Wydziału Zabójstw, przygnębiony urzędnik zapisał mój numer telefonu i obiecał, że ktoś oddzwoni w ciągu najbliższych dni.

Nie mogłam czekać. Musiałam znać prawdę. Sprawdziłam rewolwer, wzięłam z szafy zapasowe pudełko amunicji i zapakowałam to wszystko wraz z kilkoma kosmetykami do torby.

Zajrzałam do mapy, zadzwoniłam w kilka miejsc, wetknęłam w papierową torbę trochę brudnych ubrań, włożyłam obcięte nad kolanami dżinsy, bawełniany podkoszulek, czapkę baseballową i na wypadek gdyby zdarzyło się coś niespodziewanego, zostawiłam Sethowi numer telefonu znajdującego się na północy stanu motelu. Potem wzięłam moje dwieście dolarów, kartę kredytową, zamknęłam mieszkanie i ruszyłam na północ.

Ulice wyglądały przerażająco. Dzień i noc zatrasowane, koszarne korki były na każdej trasie. Wszędzie wyznaczono specjalne pasy dla pojazdów uprzywilejowanych, konwojów dostarczających jedzenie, tysiące przenośnych toalet, wielkie płyty jakiegoś tworzywa do łątania dachów oraz środki owadobójcze. W konwojach jechały również coraz to nowe oddziały wojska.

Międzystanowa przypominała tor gigantycznego wyścigu samochodów z demobilu, gdzie każdy stara się wyłączyć z walki pozostałych przeciwników. Większość pojazdów była pozbawiona szyb albo miała powgniatane dachy. Podrapane i podziurawione przez kawałki dachówek, poniszczone przez padające drzewa, znaki drogowe, latarnie i słupy telegraficzne, wyglądały, jakby dostały się w ogień krzyżowy na pierwszej linii frontu.

Okolica była pozbawiona drzew, wskutek czego niebo wydawało się większe niż zwykle. Czy Miami kiedykolwiek stanie się normalnym miastem?



Im dalej na zachód, zwłaszcza za granicą z hrabstwem Broward, tym mniej spotykało się dziwnych samochodów rodem z Mad Maxa. Choć w dalszym ciągu przeważały tablice informacyjne z hrabstwa Dade, obraz nieco się zmienił. Pędzące na północ, jak najdalej od tego koszmaru, samochody były pełne dorosłych o zapadniętych oczach i dzieci o szarej cerze i zavalone resztkami uratowanego dobytku — sprzętami domowymi, materacami, meblami, zwykle przywiązanymi na dachu wraka na czterech kółkach.

Tuż przed granicą z hrabstwem Palm Beach zjechałam z autostrady, zatankowałam, sprawdziłam olej i chłodnicę, potem podjechałam do niewielkiej kafejki. Wypiłam jedną za drugą kilka szklanek wody z lodem i kazałam nalać sobie do termosu kawy. Choć pierwsza od tygodnia nie była tak mocna, do jakiej jestem przyzwyczajona, to jednak smakowała wspaniale.

Wróciłam na autostradę niedaleko Stuart, miasteczka znajdującego się na tak zwanym Florydzkim Wybrzeżu Skarbów, w pobliżu którego do dziś w podwodnych mogiłach spoczywa roztrzaskana nieszczęsna hiszpańska flotylla wioząca w 1715 roku nieprzebrane skarby. Choć byłam zmęczona, nie groziło mi zaśnięcie wśród mokradeł porośniętych wysokimi karaibskimi sosnami, palmami i drzewami woskowymi. Chronił mnie przed tym camaro, z którym nieustannie trzeba było walczyć o zachowanie kierunku. Ckniło mi się za moim t-birdem i jego znakomitym radiem, to, co miałam, nadawało bowiem głównie szumy, od czasu do czasu przerywane kawałkiem muzyki country.

Nie było mowy, by złapać wiadomości.

Mój cel znajdował się na skraju parku narodowego Ocala, niedaleko miasteczka Mount Dora, w samym centrum florydzkich plantacji pomarańczy. Niegdyś w tym miejscu był obóz wędrownych zrywaczy owoców, w latach sześćdziesiątych CIA zaczęło tam jednak zwozić setkami kandydatów na komandosów i ich szkolić, w efekcie czego teren zmienił całkowicie charakter. Księgi hipoteczne informowały, że jest to formalnie własność Reyesa.

Cztery i pół godziny po wyruszeniu z domu zjechałam z autostrady niedaleko Orlando. Następne czterdzieści pięć kilometrów okazało się najdłuższym etapem podróży. Nie tylko dlatego, że wąska droga wiła się jak poskręcany sznurek, ale robiło się ciemno, a okolica nie należała do tych, w jakich chciałoby się utknąć z popsutym samochodem.

Zatrzymałam się w Tangerine przy pakowni owoców Golden Gem i zapytałam o drogę. Dwadzieścia minut później meldowałam się w motelu Comfort Inn, w mającym sześć tysięcy dwustu mieszkańców miasteczku Mount Dora. Zamknęłam za sobą drzwi, włączyłam klimatyzację, weszłam natychmiast pod ciepły prysznic i zaczęłam myć głowę małą butelką szamponu, jaką kierownictwo przewidziało dla gości. Potem, z torbą brudnego ubrania w rękach, poszłam do centrum składającego się z kilkunastu budynków. Ulice oświetlały latarnie, domy wyglądały uroczo — w stylu nowoangielskim z dachówką na dachach, kopułami i mnóstwem ozdóbek. Z dębów zwieszały się długie strąki oplątwy. Śpiąca okolica wy-

dawała się oddalona o lata świetlne od koszmaru Miami. Jak było przyjemnie móc rozprostować nogi! Znalazłam pralnię automatyczną, wrzuciłam do pralki dzinsy, piżamę i bieliznę i poszłam poszukać czegoś do zjedzenia. Nie było barów szybkiej obsługi, ale nieopodal znajdowała się niewielka kafejka, gdzie zjadłam lekką kolację. Potem udałam się do sklepu z pamiątkami i kupiłam bawełniany podkoszulek z herbem miasteczka.

Przyglądając się wirującym w suszarce ubraniami, myślałam o zamknięciu sprawy zamordowanych chłopców. Mimo wyjazdu z Miami nie opuściło mnie przeświadczenie, które tam miałam — że Reyes żyje. Czułam wręcz, że jest gdzieś tu, bardzo niedaleko.

Była to moja ostatnia szansa, ostatnie znane mi miejsce, gdzie mógł przebywać. Obiecałam sobie, że jeżeli tu go nie znajdę, wrócę do Miami i zajmę się artykułami o skutkach sztormu, choć będę miała oczy i uszy ciągle otwarte. Reyes musiał gdzieś się schować. Czułam to, choć byłam zbyt słaba i otepliała, by móc ufać czemuś więcej niż instynktowi.

Poskładałam ubranie, myśląc przy tym o Jorgem Bravo, który wraz z grupką innych niezłomnych bojowników nigdy nie przestał walczyć o oswobodzenie Kuby. Mieszkał w małym, dusznym domku, jeździł starymi gratami i, choć nie wyglądał groźnie, był bohaterem, podczas gdy gładki, wygadany dżentelmen Reyes ze swoją posiadłością i wysoko postawionymi przyjaciółmi wyglądał na bohatera, a okazał się potworem.

Członkowie organizacji Reyesa dawno temu przez wiele lat ćwiczyli w tym obozie, przygotowując tajne operacje wojskowe. Zamknięto go po rewizji FBI i skonfiskowano broń. Dokonano tych działań, kiedy ludzie Reyesa zaczęli być coraz bardziej niewygodni. Dochodziło do samobójstw albo wzajemnej strzelaniny, zdarzały się nie wyjaśnione wypadki na poligonie, potem doszło do symulowanej inwazji na park narodowy Ocala, w efekcie której „oddziały” zostały powyłapywane przez strażników parkowych.

Aby realizować swoją misję, Reyes zajął się wtedy polityką, ale pozostał właścicielem terenu, mającego etykietę obozu myśliwskiego. Gdzie znalazłby lepszą kryjówkę? Tylko kilka kilometrów stąd Mama Barker i jej chłopcy odbyli w latach trzydziestych bitwę z FBI.

Postanowiłam wjechać do obozu o świcie, wypoczęta, wykorzystując element zaskoczenia. Po powrocie do motelu zamknęłam drzwi na zasuwę, drzwi zablokowałam krzesłem i wsunęłam rewolwer pod poduszkę. Co prawda nie było to Miami, ale świadomość, że w pobliżu może się znajdować Reyes, przyprawiała mnie o mdłości. Całe ciało aż mnie bolało ze zmęczenia. W pokoju było chłodno, łóżko miałam czyste i wygodne, dlaczego więc nie mogłam zasnąć? Czas mijał. W którymś momencie wydało mi się, że zaraz będzie świt, usiadłam więc na łóżku i popatrzyłam na zegarek. Minęło dwadzieścia minut. Mimo krańcowego wyczerpania wstąpiła we mnie jakaś niezwykła energia, wyslizgnęłam się więc z łóżka i szybko ubrałam. Nie mogłam czekać do ranka. Musiałam jak najszybciej dowiedzieć się prawdy.

Wsunęłam rewolwer za pasek, zasłoniłam go za dużą o kilka numerów bluzą, zabrałam latarkę, nagryzmołone wskazówki, jak dojechać, i wyszłam z pokoju. Do samochodu szłam jak w śnie, otumaniona aromatycznym i wilgotnym nocnym powietrzem.

Ruch był niewielki. W centrum miasteczka zwróciła moją uwagę niewyraźna ciemna postać na chodniku. Wcisnęłam hamulec i odwróciłam się, ale sylwetka zniknęła. Mogłabym przysiąc, że to ten sam brodaty kaznodzieja, którego widziałam w South Beach, ale niemożliwe, by się tu znalazł. Umysł płatał mi figle. Przypomniałam sobie słowa ciotki Odalys: „Strzeż się *la mala hora*”. Złej godziny. Odpędziłam od siebie tę myśl.

Powoli minęłam odchodzącą od szosy polną drogę do obozu. Przez zasłone sosen i cyprysów nie przebijało się najmniejsze światło. Zjechałam na pobocze, zgasiłam silnik i reflektory i czekałam, wsłuchując się w noc. Panowała cisza i spokój.

Wkrótce odgłosy nocy zaczęły ożywać. Wysiadłam, czujna na najmniejszy ruch wokoło, potem wróciłam przebijając się przez ciemność do zjazdu. Zabezpieczał go gruby, pozamykany na kłódki łańcuch. Kiedy przechodziłam pod nim, coś podleciało, łopocząc skrzydłami. W ciemności rozjarzyły się oczy — sowa. Szłam krok po kroku, ostrożnie, aby nie potknąć się o nic w ciemności, kierując się ku jedynym widocznym budynkom, drewnianym barakom.

W tym momencie usłyszałam. Pomruk generatora oraz cichutką, dobiegającą z radia hiszpańską mowę. Zamarłam, wsłuchałam się w nadawany z Miami program. Na dachu była potężna antena. Z walącym sercem podpełzałam bliżej. Przy napiętych jak postronki nerwach, czując na całym ciele mrowienie, wyjrzałam za róg. W baraku świeciło się światło, niewidoczne z drogi, ponieważ okna wychodziły na tył budynku. Stał tu samochód, też niewidoczny z szosy.

Wnętrze baraku było znacznie gorzej urządzone od luksusowej nadmorskiej rezydencji albo prezydenckiego pałacu, ale wystarczająco dobrze jak na potrzeby mordercy dzieci. Radio stało na stole w głębi, obok leżały rozrzucone gazety. Zobaczyłam brudny talerz, szklankę i otwartą butelkę szkockiej whisky.

Gdzie on był?

—Britt Monterò?

Zaskoczona znajomym głosem, gwałtownie się odwróciłam.

Stał za mną, nie był teraz jednak przymilnym, idealnie ubranym dżentelmenem z prezydenckiego podium, lecz nie ogolonym, starszym panem w pogniecionych robociarskich spodniach i ciemnej koszuli. Kaburę pod pachą miał pustą.

Broń trzymał w ręku. Wyglądało mi to na dziewięćmilimetrowego glocka.

— Jak mnie znalazłaś? — Był autentycznie zaskoczony.

— Wiedziałam, że żyjesz. Wiedziałam to.

— Przyjechałaś sama. — Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

— Nie — skłamałam. — Kawaleria jest tuż za mną.

Wiedział, że to nieprawda, uśmiechnął się więc i skłaniając głowę na bok niczym zwierzę, wsłuchał w odgłosy nocy.

— Wejdz do mojej skromnej chaty. Machnął pistoletem i weszliśmy do środka. Na krzesła leżały dokumenty.

— Mój nowy paszport — wyjaśnił.

— Jorge Bravo od początku ostrzegał mnie, że jesteś potworem. Powinam była mu uwierzyć. — Nie czułam wcale strachu, chciałam natychmiast zadać mu mnóstwo pytań, coś zrozumieć. Stał się potworem z biegiem lat czy już taki się urodził?

Usiadłam za stołem.

— Zaczęło się od twojego amerykańskiego kuzyna? — Spytałam. — Chłopca na zdjęciu?

— Zginął w wypadku — otwarcie odparł Reyes. — To znaczy uznano jego śmierć za wypadek...

Odwzajemnił uśmiech i usiadł naprzeciwko. Uważnie mi się przyglądał. Był w kamizelce kuloodpornej. Cóż, miał naprawdę wiele powodów do ostrożności.

— A co z resztą chłopców? Dlaczego...

— Znaleźli się na ulicy — stwierdził ze wzruszeniem ramion. — Nie było to miejsce dla nich.

— To usprawiedliwia, coś im zrobił? Charles Randolph nie znalazł się na ulicy. Zajmował się twoją zasaną łodzią!

— Nie jestem homoseksualistą.

— Naprawdę? — zapytałam sarkastycznie. — A co ze Szwedem albo Davidem Clowerem... i resztą?

Jego oczy stały się niemal rozmarzone. Złagodniał mu głos.

— O tak, David... Piękny. Piękny *niño*. Delikatne rysy. Jak dziewczynka, pod każdym względem perfekcyjny. Delikatna skóra.

Wzdrygnęłam się, ale wyglądało na to, że chce mówić dalej. Samotność musiała być dla niego czymś niecodziennym. Nie wypuszczał pistoletu z dłoni, lufę oparł na blacie.

—Wszyscy byli piękni. Tylko jeden sprawiał kłopoty. Miał nóż, szwajcarski scyzoryk oficerski. Kiedy chciałem założyć mu kajdanki, gówniarz zaczął walczyć i próbował mnie zranić. — Reyes wyglądał na rozdrażnionego, oburzonego, że ofiara śmiała mu się opierać.

—To był ten sprzed pięciu miesięcy, prawda?

—Brawo! — Skinął głową.

—Zatrzymałeś scyzoryk. Znalezione go. Szkoda, Butch, że nie poderżnąłeś mu gardła.

—Większość ludzi tego nie rozumie, ale Grecy mieli własną filozofię. Kobiety służyły jedynie celom prokreacyjnym. Młodzi chłopcy byli czymś w rodzaju środka ochrony przed zajściem w ciążę. Musisz wiedzieć... — Nachylił się ku mnie i ojcowskim, przekonującym tonem, jakby szukał mojej akceptacji, dodał: — Musisz wiedzieć, że to część ludzkiej natury...

Pokręciłam głową. Chciał przekonać mnie czy siebie?

—A co z morderstwem? Też jest częścią natury ludzkiej? Nie pamiętam, aby mówiono o tym w greckiej filozofii.

Niecierpliwie szarpnął do tyłu tułowiem, w jego oczach pojawiła się groźba, postanowiłam więc zmienić temat.

—Jak znalazłeś Armando Gutierrezza?

—Zwyczajnie. — Machał pistoletem, nie wiem, czy nieświadomie, czy dlatego, by mnie zdenerwować. — Kazałem obserwować dom jego kuzynów w Miami. Był na tyle ostrożny, by się tam nie pokazywać, ale nie mógł się powstrzymać od telefonowania. Mój człowiek w centrali telefonicznej założył podsłuch i szybko stwierdził, skąd są rozmowy. — Robił wrażenie zadowolonego ze swego sprytu.

—Zniszczyłeś dziennik? Uśmiechnął się.

—Czytam go, czekając, aż będzie można zacząć realizować plan. Bardzo by zainteresował zarówno ciebie, jak i Catalinę. Jaka szkoda, że nie będziesz mogła stąd wyjść... — Powiedział to tak, jakby naprawdę było mu żal. — Niestety, to niemożliwe. — Uniósł dłoń z pistoletem. — Gdyby Catalina obdarowała Tony'ego Monterò synem, może doszłoby teraz do pojedynku. Reyes kontra Monterò, historia by się powtórzyła. — Uśmiechnął się. — Trzydzieści lat temu' udało mi się go powstrzymać, a teraz... Muszę cię jednak zapewnić, że to żadna przyjemność zabijać kobietę.

—Może gdybym była trzynastoletnim chłopcem...

Gwałtownie uderzył mnie w twarz, aż niemal spadłam z krzesła. Jego gruby sygnet boleśnie stłukł mi kość policzkową.

—Dość tego! Idziemy do lasu. Weź to! — Rzucił mi szpadel i ze smutkiem pokręcił głową. — Powinnaś była zostać w Miami.

Wyszliśmy w noc.

Kiedy księżyc wychynął zza chmur — wielki i okrągły — obrzucił czubki drzew srebrzystym blaskiem. Przeszło mi przez myśl, że mimo godziny policyjnej w Miami na pewno coś się dzieje.

Najchętniej przywaliłabym mu z całej siły łopata, niestety miałam lufę przy samych plecach. W każdym wypadku byłby szybszy.

—Czy zdradziłeś ojca w noc taką jak ta? Nie odpowiedział, zamiast tego stanął.

—Kop tutaj.

Piaszczysta ziemia była pokryta sosnowymi igłami, które utrudniały kopanie. Nachyliłam się, by je odgarnąć, nagle krzyknęłam i odskoczyłam do tyłu.

—Grzechotnik!

Reyes też zrobił krok do tyłu, ujął pistolet oburącz i wodził nim w prawo i lewo, by zabić gada. Z całej siły walnęłam go szpadlem w piszczele, ale cios okazał się zbyt słaby, by zwalić go z nóg.

Wypalił, kula poleciała jednak w niebo.

Stracił mimo wszystko równowagę. Twarz wykrzywił mu wściekły grymas, zaklął, ja już jednak ponownie brałam zamach, tym razem celując w dłoń z pistoletem. Trafiłam i glock poleciał w palmy. Klnąc, wyciągnął ku mnie rękę, złapał mnie stalowym chwytem za włosy i zaczął wlec ku kępie, gdzie wylądowała jego broń.

Udało mi się sięgnąć za pasek i wyciągnąć rewolwer. Byłam odwrócona do niego plecami i myślę, że w ciemności nawet tego nie zauważył. Pomrukując jak zwierzę, włókł mnie, choć zapierałam się piętami. Wykręcając ręce za siebie, skierowałam lufę tam, gdzie moim zdaniem miał głowę, zamknęłam oczy i nacisnęłam spust.

Eksplozja była ogłuszająca. Płomień na ułamek sekundy rozświetlił noc. Chwył Reyesa osłabł i poleciałam na plecy. Przetoczyłam się na bok i ponownie uniosłam broń.

Trzymałam rewolwer uniesiony w górę i przed siebie. Z lufy unosiła się strużka dymu. Reyes, jakby zaskoczony, wciągnął chrapliwie powietrze, runął między młode palemki na

plecy. Patrzyłam w świetle księżyca w jego puste oczy, lecącą z kącika ust stróżkę krwi i absolutnie nic nie czułam. Nawet drgnienia serca.

Zabicie go okazało się tak łatwe...

Sprawdzanie tętna wydało mi się niepotrzebne. Choć nie jestem nadmiernie delikatna, nawet martwy budził we mnie obrzydzenie.

Gdyby matka podarowała Tony'emu Monterò syna, historia może by się i powtórzyła, ale Reyes na pewno by zrewidował mężczyznę. Strzepnęłam z ubrania igły i poszłam do baraku, który metodycznie przeszukałam, aż znalazłam stary, oprawiony w skórę notes z inicjałami ojca na wierzchu.

Włożyłam go do bagażnika, potem pojechałam na parking ciężarówek i zadzwoniłam na policję.

TLR

## Rozdział dwudziesty trzeci

---

Obawiałam się, że będzie jak w kiepskim filmie — kiedy wrócimy do lasu, Reyesa nie będzie. Leżał jednak w tym samym miejscu i w takiej samej pozycji, jak go zostawiłam.

Jeden z oficerów pozostał na miejscu zdarzenia, by rano zająć się zabezpieczeniem śladów, drugi zabrał mnie na komendę i posadził w pokoiku na parterze niewielkiego, nowoczesnego budynku. Na górze znajdowała się straż pożarna. Zdziwiło mnie, że oficer, który był równocześnie dyspozytorem i kontrolerem wejść, siedzi za szybą z kuloodpornego szkła. Komendant, wściekły że musiał zerwać się w połowie nocy z łóżka, stwierdził, że aż do mojego pojawienia się, w okręgu nie popełniono żadnego przestępstwa.

—Będzie nam pani musiała sporo wyjaśnić, młoda damo — stwierdził, podkreślając po raz nie wiadomo który, że to jego pierwsze morderstwo od trzech lat.

Kolejny raz wyjaśniłam, że zabity jest seryjnym mordercą z Miami, ja jestem dziennikarką z Miami i najlepiej będzie, jeżeli zadzwoni na policję w Miami.

—Powinienem był wiedzieć... nic dobrego nie przychodzi z Miami...

—Myślę, że zdarzyło się to dlatego, że była pełnia — wyjaśniłam. — Przynajmniej z moich doświadczeń wynika, że wtedy jest najgorzej.

—Myślałem, że zdmuchnęło całe to cholerne miasto.

—Prawie całe.

—Jest pani naćpana? — zapytał podejrzliwie. — Jest pani cholernie spokojna jak na kogoś, kto właśnie zastrzelił człowieka w jego własnym domu.

Zapewniłam, że jestem jedynie zmęczona, i kolejny raz poprosiłam, by zadzwonił do Wydziału Zabójstw w Miami.

Tak jak się spodziewałam, pierwsze zadzwoniło Miami, to zaś dlatego, że telefonując drugi raz z automatu mimo trudności uzyskałam połączenie z Wydziałem Zabójstw. Po dłuższym czasie zapracowana sekretarka z nocnej zmiany podniosła słuchawkę, poznała mój głos, myślała jednak, że dzwonię w sprawie członka Gwardii Narodowej, który dostał szau i



zabił trzy osoby strojące sobie z niego żarty, albo kobiety, która groziła, że skoczy z dzieckiem z wiaduktu nad autostradą.

—Nie — wyjaśniłam półprzytomna. — Nie opowiadaj mi teraz o nich. To rozmowa międzymiastowa i nie mam czasu. — Potem przekazałam w skrócie, gdzie jestem i co się stało.

Sama byłam zaskoczona, z jakim spokojem siedzę i czekam w maleńkim pokoiku przesłuchań. Zawsze uważałam, że zabicie człowieka to wstrząsające doświadczenie. Rozmawiałam z weteranami wojen, którzy nigdy nie przyszli do siebie, i policjantami, którzy po odebraniu komuś życia w najbardziej uzasadnionych warunkach musieli korzystać z pomocy psychoterapeutycznej. Pamiętałam łzy w oczach Hala. Zawsze było mi żal tych, którzy muszą nosić brzemień takiego czynu, a jednak zabicie Reyesa okazało się proste, niemal naturalne.

Od początku gnębiła mnie sprawa śmierci chłopców, każdego z nich. Nie mogłam nie zadrećcać się myślą, ile zmarnowano młodego życia, nigdy też chyba nie zapomnę rodziców tych chłopców. Edwina Clowera, którego poczucie winy doprowadziło do alkoholizmu. Vannessy, jego byłej żony, która po zniknięciu syna dostała alergii. Kearnsów, którzy bez przerwy skakali sobie do gardeł. Cassie Randolph, której jedyny syn nigdy nie wychodził z domu bez pocałowania matki. Także Andrei Vitale, jedzącej z musu za dwoje, w dalszym ciągu kupującej ciastka dla zaginionego syna.

Po rozmowie z Miami komendant przyszedł do mnie całkiem odmieniony. Powiedział, że Miami wysyła ludzi, by zrobić z tym jakiś porządek, i jeżeli obiecuję, że nie wyjadę z okręgu, mogę wrócić do motelu. Rano przyjedzie po mnie i udamy się z prokuratorem na miejsce zbrodni, aby odtworzyć przebieg wydarzeń.

Wróciłam do motelu w towarzystwie radiowozu.

—Niech pani trochę odpocznie — poradził na pożegnanie policjant. Pomachał przyjaźnie i odjechał w momencie, kiedy zamykałam bagażnik. Niemal wbiegłam do pokoju. Nie zamierzałam spać, wcale mi się nie chciało. Całe życie czekałam na tę chwilę. Przysunęłam krzesło do stolika, zapaliłam lampę i otworzyłam dziennik ojca.

*10 czerwca. Moje Anioły, moja najdroższa żono i córko. Nie wiem, jak wyrazić wielką i czułą miłość, która jest we mnie do was i do Miami, naszego domu.*

*Moją jedyną pociechą w tym miejscu, gdzie panuje wieczna noc, a płomienie świec zgasły po wsze czasy, jest to, że obie jesteście bezpieczne w kraju słońca i kwiatów. Do dziś Winslow bez wątpienia spełnił obietnicę i znanie moją sytuację oraz wiecie, dlaczego zostałem zaprzysiężony do utrzymania tajemnicy co do natury mojej misji...*

Mój hiszpański nie jest nadzwyczajny, listy były w wielu miejscach wyblakłe, czasami łązy odbierały mi wzrok, ale było tu wszystko.

O tajnej misji, którą zleciło mu CIA. O nakazie utrzymania planu akcji w tajemnicy przed wszystkimi, obietnicy, że żona zostanie o wszystkim powiadomiona natychmiast po jego wyruszeniu na Kubę oraz zapewnieniu, że na wypadek gdyby coś poszło nie tak, żona i córka będą miały zapewnione utrzymanie.

Najpierw ojca zdradził Juan Carlos Reyes, potem Winslow, CIA i rząd. Jedna zdrada następowała po drugiej.

*Odkryłem potwora. Jest niebezpieczniejszy, bardziej zdeprawowany i zdraziecki niż Fidel. Gdyby nie jego zdrada, zwycięstwo byłoby nasze. Kiedy dotarliśmy do wzgórz, dołączyli do nas ludzie, kubańscy patrioci, o godnych charakterach i pełni zapału do walki o wolność. Teraz jesteśmy rozbici, martwi albo wtrąceni do więzień. W naszym imieniu walkę pociągną jednak następni. Wiem, że Jorge Bravo, jeżeli żyje, nie spocznie aż do śmierci.*

*Wykonuję tutaj swój obowiązek. Łączy nas jeden duch. Całuję bez końca .moją ukochaną żonę i naszego złotego anioła. Teraz mam dwie ojczyzny. Za jedną zginę, w drugiej pozostanie moje serce.*

*Może zniknę, ale moje myśli będą z wami zawsze. Zanieście moje popioły nie do ziemi, lecz do gwiazd.*

Płakałam do rana myśląc o ojcu, Jorgem Bravo i pozostałych zdradzonych. Także o matce, która została być może zdradzona najokrutniej. Tak jak Bravo straciła trzydzieści lat życia. On, podejmując niemożliwą do wygrania walkę, ona pogrążona w goryczy.

Jakie to dziwne, że to, co tyle lat temu popełnił Reyes, skończyło się jego śmiercią w tak odległym miejscu, a sprawiedliwość zwyciężyła, kładąc mój palec na spuście.

Rano pojechaliśmy na miejsce zdarzenia. Kula trafiła Reyesa blisko szczytu czaszki, przebiła ją i zagłębiła się w mózgu. Szczęśliwy strzał. Oczywiście dla mnie, nie dla niego.

*La mala hora* okazała się jego złą godziną. Wróciliśmy na komisariat i komendant właśnie zamierzał wysłać kogoś po kanapki, kiedy przyjechał detektyw z Miami.

Porucznik Kendall McDonald znalazł mnie w pokoju przesłuchań przy kawie. Zapytał, czy nic mi nie jest.

— Wszystko w porządku — odpowiedziałam nieco zbyt głośno i pogodnie się uśmiechnęłam, jak zawsze podniecona widokiem srebrnobłękitnej głębi jego oczu.

Zmarszczył czoło i wyszedł z komendantem. W ciągu kilku godzin było po wszystkim.

—Chodź — powiedział, kiedy wrócił. Objął mnie. — Zabieram cię do Miami.

Musiałam przedtem jeszcze zadzwonić. Do matki.

—Mamo! — zaczęłam podniecona. — Nie mogę się doczekać, kiedy się zobaczymy. Coś ci pokażę.

—Gdzie jesteś, Britt?

—W drodze do domu. Kocham cię.

Nareszcie będzie mogła pograć się w żalobie. Zmieni się całe jej życie.

Z McDonaldem przyjechał detektyw Simmons, z nieistniejącego Oddziału Specjalnego do spraw Zaginionych Chłopców. W drodze powrotnej jechał za nami camaro.

—Uważaj — ostrzegłam. — Ściąga na prawo.

Siedziałam obok McDonalda z notesem na kolanach. Oto moja historia, dumałam sennie. Jeden z reliktyw mojego życia. Wszystko, co pozostało mi po ojcu.

McDonald rozumie takie rzeczy, opowiedziałam mu więc, jak łatwo przyszło mi zabić Reyesa.

—Kiedy ma się powód, nietrudno jest zabić — stwierdził, zgrabnie wyprzedzając na wąskiej drodze ciężarówkę z cytrusami. — Trudniej zapomnieć. Ma się całe życie, by się nad tym zastanawiać.

Popołudniowe słońce raziło mi oczy i zaczynałam zasypiać. Obudziłam się raz, kiedy zatrzymał się na kawę.

—Co słyhać w Miami? — spytałam sennie, jakby nie było mnie bardzo długo.

—Nie pytaj o wczorajszą noc — odparł z uśmiechem. — Musieliśmy zwołać nadzwyczajne zebranie wszystkich mieszkańców z ocalałych z domów.

Obudziłam się, kiedy wjechaliśmy do hrabstwa Broward. Dumałam nad Jorgem Bravo, który już nigdy nie postawi stopy na rodzimej ziemi. Pewnego dnia zrobię to za niego. Przywiozę mu garść kubańskiej ziemi, sypnę ją na jego grób i szepnę:

—Teraz możesz spać w spokoju, Jorge. Kuba nareszcie jest wolna. Zaczęły się pojawiać dziwnie poobijane samochody i wiedziałam już,

że jesteśmy blisko domu. Kiedy mijaliśmy granice hrabstwa Dade, zachodziło słońce.

—Pojedź przelotówką — poprosiłam i McDonald wrzucił prawy kierunkowskaz.

Droga ta, której koszt wyniósł czterdzieści milionów dolarów, przez kilka lat, kiedy ją budowano, była przyczyną koszmarnych korków. Celem jej było usunięcie zatorów na skrzyżowaniu Golden Glades, ale w efekcie powstała jednopasmowa droga, koszmar, który z powodu błędów w wykonawstwie, złego oznakowania i ciągłych wypadków jedynie nasilił problem. Ma jednak jeden plus — ponieważ wznosi się na wysokich słupach, rozciąga się stąd przepiękny widok.

Miałam je całe przed sobą. Miami. Było purpuroworóżowe, a złote palce zachodzącego słońca zahaczały o panoramę wieżowców w centrum, tworząc niesamowite kontury. Wstrzymałam oddech, jakbym ujrzała namiętnego kochanka, który po długim czekaniu wreszcie się zjawiał. Załomotało mi serce. Kocham to miejsce. Miasto jarzyło się, jakby nadzieja chciała zasłonić nędzę i zapowiedzieć odrodzenie i ból odbudowy.

—Piękne, co? — szepnęłam.

—Taak... — odmruknął i ujął mnie za rękę.

TLR